

EUGENIUSZ
DEBSKI

KRÓLEWSKA ROSZADA



superNOWA

Eugeniusz Dębski

Królewska roszada

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Śmierząca robota](#)

[Wydrwiząb](#)

[Fiollun cnotliwe, nieszczęśliwe...](#)

[Królewska rozszada](#)

[Przerwany popas](#)

[Sen o wolności, sen o śmierci...](#)

Śmierdząca robota

Za oknami wieczór przeciągał się leniwie – niczym syty kot pod dłońią pana – stwarzając wrażenie, że jest dłuższy niż w rzeczywistości. Długi jesienny wieczór, mokry, chłodny jak jezior psa, który spotkał na polu nie zamrażając jeszcze kałużę.

Hondelyk poprawił się w fotelu, przesunął bosc stopy, podkulił palce rumiane od ciepła bijącego z kominka. Chwilę przyglądał się ewolucjom stóp, które kręciły się, kurczyły i prostowały, rozwierały palce na kształt wachlarza. Obcisłe skórzane spodnie nie kryły kształtu długich, mocnych nóg. Był wysokim mężczyzną – co było widoczne nawet gdy siedział – zajmował fotel, zydel, na którym opierał łydki, a nogi i tak wisały częściowo w powietrzu. Jedna ręka opierała się o stół w pobliżu kufła, druga leżała na brzuchu. Głowę odchylił na wysokie oparcie, kręcił nią to patrząc na płomienie, to zerkając na Cadrona. Na szczupłej wydłużonej twarzy malował się spokój i syte rozleniwienie, ale widać było z oczu, ich oprawy i bruzd wzdłuż nosa, że migiem mogą się przekształcić w groźną maskę. Skórzane buty z wysokimi cholewami stały w prawidłach z boku. Parowały. Cadron pochylał się i przesunął je odrobinę, sprawdził dłońią, ile ciepła dociera do butów, okręcił cholewy, żeby sechł drugi bok.

– Daj spokój, i tak dziś nie będę wychodził – mruknął Hondelyk przeciągając się. Trzasnęły stawy, ręka sięgnęła po wysoki kufel z grzonym piwem.

– Jutro pójdę na targ, zobaczę co tu jest... Posiedzimy ze dwa dni i ruszamy. Popas nam się przydał, ale ciągnie mnie dalej.

Ktoś zapukał do drzwi. Cadron zerknął na Hondelyka i pokiwał głową z wyrzutem: "Wykrakałeś!", potem podniósł się ze stęknieniem, strzepnął poły zadartego kaftana.

– Otworzyć?

Ruszył do drzwi nie czekając przyzwolenia, Hondelyk dogonił go słowami:

– A otwórz, otwórz! – Zsunął nogi z zydl. – Pocze– lee... – ziewnął potężnie. Stary posłusznie zatrzymał się. Rycerz wyszarpnął prawidłą i wsunął stopy w ciepłe, choć wilgotne buty. Wstał, przytupnął i usiadł. Machnął ręką przyzwalająco.

Cadron zrobił dwa kroki i pociągnął skobel.

– Czy twój pan zechce udzielić mi kilku chwil, dla pewnej ważnej i bezzwłocznej sprawy? – zapytał przybyły.

Hondelyk popatrzył przez ramię. Ciemności korytarza skrywały pytającego, światło z lamp i kominka zasłaniał Cadron. Sługa stał w milczeniu, czekał na polecenia rycerza.

– Cadronie, wpuść gościa – rzekł Hondelyk wstając. Przybysz przestąpił próg i pochylał głowę w ukłonie. Nie pozwolił sobie na brak dworskości – oczy ukrył jak należy pod powiekami i wytrzymał skłon akurat tyle, żeby wyrazić szacunek. Potem wyprostował się i pofolgował ciekawości. Sam był wysokim młodzieńcem, trzymał się prosto i swobodnie. Na młodej, gładko wygolonej twarzy usadowił się czerstwy rumieniec, najpewniej nie tylko jesienny przymrozek był jego przyczyną. Oczy miał ciemne, okolone długimi rzęsami, powodzenie u dziewczek murowane. Pod prawym okiem widniała mała myszka, ale nie szpeciła młodziana. Włosy, jasne i długie, ciasno związane rzemykiem z tyłu głowy, a potem obcięte wyglądały jak długi, a nie wytarty jeszcze pędzel golibrody. Ładnie i oszczędnie szamerowany kaftan z rękawami do łokci zgrabnie układał się na szerokiej piersi, spod kaftana wystawała cienka koszula z mornowej przędzy. W ręku trzymał burkę. Za broń miał ciężki, bogato zdobiony rapier na cienkim pasie, na nogach wysokie buty podobne do Hondelykowych. Prawie nie ubłocone, a więc nie przybył piechotą. Hondelyk skinął na Cadrona,

wskazał gościowi drugi, przysuwany przez służbę hotel. Młodzieniec podziękował, rzucił burkę na podłogę, zrezygnownie broń odsunął i usiadł. Gospodarz uniósł kufel.

– Grzanego piwa nie odmówicie.

– Z przyjemnością – powiedział przybysz. – Psia pogoda. Ale! Zapomniałem – poderwał się – ...prezentacji. Jestem Jalmus, syn Krotobachawego, pana na zamku Gaycherren.

– Mnie zwą Hondelyk – powiedział gospodarz sięgając do dzbanu. Nalał gościowi i sobie, po czym dźgnął naczynie.

Cadron zrozumiał gest, pochwycił dzban i wyszedł.

– Miło cię widzieć, panie. Nudno tu, co prawda nie miałem okazji przyjrzeć się okolicy, dopiero ranem tu zjechał, ale rad jestem, żeś mnie odwiedził. Od samotnego picia piwa jedno tylko jest lepsze: picie piwa w kompanii.

Zgodnie pociągnęli z kufla mocnego, ciepłego płynu pachnącego chmielem, korzeniami i miodem. Gość oblizał wargi.

– Nasz gród podupada – powiedział. – Od dwu lat. Jakem wrócił z dworu księcia Filby Wielkookiego...

– Wybałuchem poza oczy zwanym – uśmiechnął się Hondelyk.

– A tak, ale to dobry pan i mądry.

– Nie przeczę. Też go znam.

Młodzian milczał chwilę, a potem powiedział z powagą.

– Jeśli pozwolisz, panie, wrócę do sprawy. Otóż dwa lata temu gród kwitł, rolni krzatali się na polach, mieszczanie handlowali, kupcy ciągnęli do nas dwoma szlakami. Targi mieliśmy znane. Wszystko można było kupić: mięsa na czarno wędzone, tkaniny z różnych stron świata, ryby przez rusych na słońcu suszone, nawet powozy jakie kto chciał...

– Byle były czarne i na dwóch kołach – wtrącił Hondelyk.

– Słucham?

– Wybacz. Żart sobie przypomniałem. Mów dalej.

– Kwitła cała okolica. Ale dwa miesiące przed moim powrotem nadciągnęło na nas przekleństwo, fatum jakieś.

– Uniósł kufel i pochyliwszy przetoczył po stole. Rant dna zahurkotał. – Zagnieżdżyła się tu zaraza fruująca, zrazu smokiem zwana, ale potem, jakby się wszyscy zmówili, że miano smok to zbyt wielki honor dla tego smroda i nazwano ją francą. Okolice zamiera, a myśl o tym, że akurat bździna na psy nas sprowadza...

– Jak to bździna, panie, czemu się jej nie pozbędziecie? – zaczął Hondelyk, ale wszedł Cadron z pachnącym dzbanem i słodka woń zapanowała nad wszystkimi zapachami w izbie. Sługa postawił dzban na zydłu przy kominku, rycerz zaś wskazał mu krzesło przy kominie. – Jak czyrak doskwiera, to go ciąć trzeba – powiedział do Jalmusa.

– Ale musi to zrobić cyrulik doświadczony – uśmiechnął się gość. Zaraz jednak spoważniał. – To skrzydlate obrzydlistwo zasiedliło kopiec-jaskinię nie opodal martwego obrzeczka, na styku grzędy wzgórz, pól i lasu. Ma tułów większy od największego wołu, karbowany, jak glizda, niektórzy mówią, jak szynka szpagatem obwiązana. Skrzydła ma jak gacek, chwost długi na piętnaście łokci, cztery łapska z pazurami, które drą konie na strzępy, a zbroje na kawałki. No i ryj, ma się rozumieć odpowiedni... – jak antałek, żeby go w jajca kopnęło! – uzupełnił zawzięcie i nagle przypomniawszy sobie gdzie jest, przyłożył rękę do piersi. – Wybacz, panie, ale ta zhora... Najpierw nic specjalnego się nie działo, łąziło to, owcę albo cielę zeżarło, trudno.

Wola taka i już. Nawet ciekawiej zaczęło być, młodzieńcy podjeżdżali francę, ostrzelali z łuków

i wracali zadowoleni. Chłopi spalić próbowali i z toporami chodzić, ale kilku w strzechę kopnęło i przestali się zabawiać. Kupcy czasem z nudów brali przewodnika i podchodzili stwora, w końcu smoki rzecz nie zwyczajna. No, ale potem się zaczęło. Ten stwór, jak się okazało, żre, i owszem, barany i gęsi, co złapie, potem pożera korę i młode drzewa, jak bóbr czy co, a przekąsa wapnem ze wzgórza nie opodal jaskini. I czy to wapno, czy drewno czy jeszcze co, natura jego może, dość, że... – Rozłożył ręce – No...

Jak by tu rzec... Odchody jego – uśmiechnął się kwaśno – one okolicę na psy sprowadziły. Chodzi franca do rzeki i tam się wypróżnia. No i tu się zaczyna piekło: smród okrutny!

Kolor woda ma taki, że na sam widok wewnątrz się człowiekowi wywraca, a jak nawet spłynie pierwsza fala, a ktoś niebacznie się napije, umiera z bóleści, tak wyjących ludzi nie widział nikt, nawet na wojnie. Nigdy nie wiadomo, kiedy ta gnida pójdzie do rzeki, to raz... – Wyprostował kciuk. – Kupcy nas omijają, bo kilka razy trafili akurat na wodę skadzoną, to dwa. Po trzecie odłogiem coraz więcej ziemi leży. Chłopstwo złe, głodne, w rozboje się bawić zaczęło. Ci, na dole rzeki, też pretensje do nas mają, że niby na naszej ziemi, to trza zabić. No i po czwarte – ściszył głos, przygryzł dolną wargę – srom na wszystkie okoliczne ziemie idzie. Mówią na nas: obsrańce. Ani do panny w konkury uderzyć, bo konkurenci zatykają nosy i to wystarczy, żeby panny się odwracały. Nie honor zasrańca na męża wybrać, rodzice dziewczek na pośmiewisko nie dadzą. No i tak teraz żyjemy: skarbczyk chudnie, lada dzień na żebry pójdziemy. Studnie śmierdzą niczym... – nie wytrzymał i splunął. – Wybaczcie, jak o tym mówić, to piana człowiekowi na usta wychodzi.

– To dlatego przed każdym obejściem stoją beki i nawet stawy pokopane gdzieś tam?

– Ale i ta woda cuchnie, tyle że się od niej nie umiera. – Jedyne rzecz lepsza przez francę to piwo, warzą teraz je uczciwie i hojnie doprawiają, bo inaczej nikt by nie pił.

– Ciekawe rzeczy opowiadasz, panie. – Hondelyk uniósł kufel i powąchał nieufnie. Potem z ulgą przepił do Jalmusa. – Pierwsze, co winniście zrobić – zabić plugastwo. Dobrze mówię?

– Pewnie. Nawet próbowaliśmy. Dlatego coraz mniej młodych mężczyzn w okolicy. Już bez dwóch siedemdziesięciu leży po cmentarzach rozdartych, spalonych i stratowanych. O rolnych nie wspomnę. Podejść do francy się nie da; kły, pazury, ogień i chwost. Strzały łuczników nie przebijają skóry i rogoży. Las podpaliliśmy to odleciała i wróciła na zgliszcza, w ciepłym popiele się wytarzała i tak runęła do rzeki... – Wstrząsnęło nim to wspomnienie. Odstawił kufel, rzucił okiem na Cadrona, ale stary siedział nieprzenikniony, dłonie ułożył na kolanach i głaskał je jakby go łamały na deszcz. – Nie idzie jej ubić!

– Ogniem strzyka? – zainteresował się Hondelyk.

– Potężnie.

Gospodarz poruszył głową jakby chciał pokiwać ze zrozumieniem. W ostatniej chwili powstrzymał się, ale że gość to dostrzegł, więc Hondelyk roześmiał się i klepnął w kolano. Jalmus zmrużył oczy.

– Gościł w naszej okolicy szarlatan bywały w świecie. Powiedział, że franca zwie się Pirróg. Podjął się nawet walki. To znaczy nie z mieczem czy łukiem, charławy był jak to magister, ale pod jego kierunkiem zapory żeśmy budowali, żeby Pirróga od wody i wapna odciąć, las paliliśmy, faszzerowane smołą byczki podrzucalim... Oj, czegośmy nie robili! – Pokiwał głową. – Spać francy nie dawaliśmy, wilczych dołów nakopalim, wodę struliśmy, jedenaścioro okolicznych zmarło, jak się napili. – Trzepnął pięścią w kolano. – I nic.

Westchnął, podnosząc zagniewane i smutne zarazem spojrzenie na Hondelyka. Rycerz milczał. Na dole, w karczmie ktoś na całe gardło wywiódł smętnie:

Zasrani mi grają, zasrani śpiewają!

Sam zasrany chodzę, zasranicę wo-odze-ę!

Hondelyk słyszał słowa, wskazał palcem podłogę ze zrozumieniem i współczuciem. Potem sięgnął po świeży dzban, nalał do obu kufli. Jalmus nie wytrzymał:

– Nic nie powiecie, panie?

– A co mam powiedzieć? Nie wy jedni cierpicie, plugastwa na świecie wbród... Wiedźmina wam trzeba, ot co!

– Jakiego tam wiedźmina! – obruszył się Jalmus. – Przesz to bujdy dziecinne, które tylko gmin może sobie rozpowiadać, bo i w nim się zrodziły, a i chłopci wiedźmina nie wspominają, bo na głupcy wyjść nie chcą... Gdym pobierał nauki na dworze księcia Filby, doszły mnie słuchy o pewnym człowieku zacnym. Słuchałem tego jak zwyczajnych bajd, ale potem pogadałem ze skrybą księcia. To niemal krajan, z wioski Gęsia Woda, i on potwierdził te bajki. A niedawno, jakem mu napisał, co się u nas dzieje, to odpisał. Wszystko tam o tym człowieku było, że rozmawiał o nim z księciem. Ten zaś człowieka owego dobrze zna, w komitywie znakomitej byli...

– Ach tak?

– Tak mówił – szepnął Jalmus skonfundowany ironią w głosie Hondelyka.

– No dobrze. Ale co dalej?

– Ów człek to mężny rycerz, fachman niezrównany, co już niejednego stwora odesłał do piachu. Może więc i Pirróga zaszlachtować!

– No to go wezwijcie i po kłopocie.

– Dlatego tu przybyłem...

– Nie rozumiem?

– Sądzę, że wy, panie, jesteście tym człowiekiem, choć imię inne nosicie – powiedział Jalmus szepem pochylając się do Hondelyka.

Rycerz cmoknął i powiedział:

– Albo... Co was będę męczył. Nie wiem, czy o mnie wam mówił Zelman, ale owszem, podejmuję się czasem takiej roboty. Ale ostrzegam, tani nie jestem...

Jalmus poderwał się i wyciągnął ręce ku powale.

– Chwała Najwyższemu! Jużem zaczynał wątpić...

– Poczekaj, na moje warunki przystajesz?

– A jakie są?

– Pięćset okrągłutkich, złociutkich...

– Tak. Ale zabijesz ją, panie?

– Jeśli nie ja ją, to nie będziesz nikomu płacił.

Młodzieniec usiadł nieśmiało na brzeżku fotela.

– Jest jeszcze coś... – powiedział patrząc w podłogę, więc nie zauważył szybkich porozumiewawczych spojrzeń Cadrona i Hondelyka. – Trochę nie honor o tym... Ale Zelman mówił, że wy, panie, możecie przyjąć postać dowolnego człeka i niczym on sam dobro czynić, przy okazji splendoru temu dodając. – Podniósł na Hondelyka rozognione, błagalne spojrzenie.

– Ja? Ktoś jednak waści napłótl bzdur! W wiedźmina nie wierzycie, a w jakiegoś takiego... przemienca, już tak!? To dopiero bajdy gminu, kminu i pospólstwa!

– O, to zupełnie inna sprawa. Zelman powiadał, jest takie zwierzę, w dalekich krainach, co się zwie kameleniec...

– Xameleon – odruchowo poprawił Hondelyk.

Jalmus uśmiechnął się i pokiwał głową jakby chciał zakrzyknąć: "Mam waści!".

– Xameleon, racja, panie. To zwierzę przybiera postać, jaką chce, natura jego taka. I wy, panie,

również tak umiecie. Zelman powiedział, że jesteście mimikrant.

– Wyrwę jęzor temu skrybie! – powiedział rozżłoszczony Hondelyk. – Spalą mnie kiedyś przez jego gadulstwo...

– Zapomniałeś, że i on z tych stron, panie. Tu miał braci, trzech, a został sam jeden z winy francy.

– Mów dalej.

– Chciałbym... Żebyś to pod moją postacią... zrobił, panie – wyjąkał młodzieniec. – Jestem najmłodszy, dwóch braci, dwór niebogaty... Gdybym to ja... No, niby zabił Pirrógą, dostanę każdą dziewczynę, wiano sute... Nie trzeba by było z braćmi się wadzić. A i dziewczyna jest... – dodał rozmarzony. – Sprzyja mi, sama powiedziała, ale póki tu smród i gówniana śmierć, nie śmiem kasztelana o jej rękę prosić.

– Kasztela-a-na?...

Jalmus energicznie pokiwał głową.

Oczy Hondelyka błękitne, jak zauważył gość po wejściu do izby, ściemniały i stały się podobne do ciemnego burzowego nieba. Równie groźne i zwiastujące niebezpieczną przygodę. Długą chwilę penetrowały duszę Jalmusa, potem na moment przeniosły się na Cadrona. Sługa zrozumiał nieme polecenie i wyszedł z izby.

– Najpierw podpiszesz waść dokument pewien – powiedział wolno Hondelyk. – To warunek. Pierwszy dopiero, ale jeśli nie spełniony, to i gadać będziemy tylko o piwie. Musisz wybaczyć mi podejrzliwość, nie mam zamiaru kończyć na stosie z powodu czyjegoś skąpstwa albo niewdzięcznej głupoty... Ot, podpiszesz przyznanie do gwałtu na sierocie, dwóch kradzieży i krzywoprzysięstwa...

Jalmus podskoczył z fotela.

– Ja?

– Ty, panie. Jeśli kiedyś przyjdzie ci do głowy oskarżyć mnie o czary użyję tego dokumentu. To mój pancerz.

W oku młodzieńca błysnęła skra.

– A ja? Też powinienem mieć gwarancję.

– Masz moje słowo!

Jalmus walczył ze sobą. Wszedł Cadron. I on i Hondelyk wiedzieli, że Jalmus chce powiedzieć: "Moje słowo nie wystarcza a twoje tak?", ale się nie odważył. Hondelyk pomógł mu:

– Przecież polecał mnie Zelman.

Gość głośno sapnął.

– Dobrze. A co do ceny?

– Mówiłem: pięćset.

– Tak... Myślałem... Że pod postacią... drożej?

– Podałem ci cenę ostateczną.

Sługa wręczył młodzieńcowi kartę pergaminu. Na stole postawił gliniany polewany kałamarz i pióro.

Jalmus przeczytał dokument, spurpurowiał, podniósł wzrok na Hondelyka, ale napotkawszy bezwzględne spojrzenie jęknął, sięgnął po pióro, dźgnął w otwór i złożył podpis. Cadron szybko odebrał dokument. Hondelyk uśmiechnął się.

– Jeszcze jedno, pieniądze teraz. Jeśli mam wystąpić w twoim imieniu, musisz tu zostać. Nie może być tak, żebyś walczył z Pirrógą i jednocześnie kasztelance romance śpiewał. Ty wyjdiesz dopiero, gdy ja wrócę. Dlatego musisz teraz iść po pieniądze...

– Mam je na dole, przy koniu. – Jalmus uśmiechnął się nieśmiało. – Gdybyś zginął, mnie spalą,

prawda? Bo tu jestem i tam będę...

– Nie, gdybym zginął, będzie tam moje ciało. A świadkom zawsze możesz głupotę zarzucić.

– No tak. – Jalmus ruszył do drzwi.

– Czekaj. Powiedz słudze, że zostajesz w karczmie na kilka dni. A może też wyjedzie.

– Słusznie, mogliby się niepokoić – przyznał młodzieniec.

Wyszedł. Cadron zwinął pergamin, sięgnął do stojącego w kącie kuferka i bez uwagi wrzucił dokument do środka.

– Nie wierzysz w jego moc – stwierdził Hondelyk.

Wyciągnął nogi w kierunku ognia i z wilgotnych butów znów zaczęły uła tywać smużki pary. – Ale dotychczas nikt nie próbował złamać słowa?

– Dotychczas zawsze się wywiązywałeś z zobowiązań...

– Raz nie!

– Stawałeś dzielnie, świadkowie byli. Splendoru nikt nie odbierze. No i oddałeś połowę zapłaty – roześmiał się Cadron.

Hondelyk pokiwał głową, pstryknięciem paznokcia wydobył z dzbana głuchy dźwięk i westchnął.

– Tom się już napił. – Popatrzył na Cadrona, stary bez słowa podszedł do złożonych pod ścianą trzech kufków i otworzył największy, wyjął zeń duże zwierciadło i strąciwszy wiszący na haku pęk wonnych ziół, zawiesił je. Hondelyk przyjrzał się. – Dużo nie będzie trzeba zmieniać – mruknął.

– W ogóle bym się nie zmieniał – powiedział Cadron. – Gdybyś zabił Pirrógę w swoim imieniu, dostałbyś od kasztelana więcej i...

– No właśnie. Mało to razy próbowałem – powiedział z goryczą Hondelyk. Odwrócił się od lustra, zgrzytnął zębami.

– Pod swoją postacią po pierwsze boję się, po drugie – nie wychodzi. Jak jestem pod maską, proszę bardzo! I odważnym, i przemyślnym, i zręcznym...

– Stawałeś przecież kilka razy – bez wiary wtrącił sługa.

– I co z tego? Drobne sprawy, żadnej sławy i omal nie zginąłem. Nie-e... Widać taki mój los – xameleon. Pogodzić się trzeba i tyle.

Otworzył szeroko usta, poruszył wargami, żeby odsłonić zęby, potem – trzasnęły zawiasy – zuchwą prawie dotknął piersi. Ręką trącił ucho, pociągnął je w dół, przycisnął, przekręcił trochę. Pomajstrował przy brwiach – podniósł do góry, naciągnął, puścił. Na schodach rozległy się szybkie kroki, Hondelyk zerknął w kierunku drzwi za pośrednictwem lustra, ale się od niego nie odsunął.

Wszedł zdyszany Jalmus. Lewą rękę przyciskał do brzucha, kryjąc coś pod połą kaftana. Zamknął drzwi i przycisnął je tyłkiem.

– Oto pieniądze – powiedział, wyciągając cztery sakiewki. Zerknął na odbicie Hondelyka w lustrze. – Po sto dwadzieścia pięć w każdej. – Co innego chciał powiedzieć, patrzył chwilę zdezorientowany i nie wytrzymał: – Mielście, panie, inne oczy, niebieskie... A teraz?...

Hondelyk obojętnie skinął głową, Cadron podszedł i odebrał woreczki zapraszając gościa do stołu. Potem wrócił do skrzyń i wyjął porządnie poskładane ubranie.

– Musisz się przebrać – powiedział rycerz. Ja wezmę twoje rzeczy, broń będę miał swoją. Pamiętaj potem powiedzieć, że rzeczy wyrzuciłeś, bo cuchły. Konia powiesz, że pożyczyłeś, bo niebojący i ułożony specjalnie. – Hondelyk przesunął się tak, by widzieć w zwierciadle odbicie gościa. – Wybacz mi moje miny, ale... – otworzył usta jakby podstawał je cyrulikowi do rwania zęba. – ...przymierzam się do twojego wyglądu. – Przycisnął uszy do czaszki, a gdy odjął ręce, Jalmus przysięgłby, że miały inny kształt i inaczej trzymały się głowy. Gospodarz zerknął na Cadrona.

– Poczęstuj nas winem – polecił.

Jalmus wpatrujący się w Hondelyka nie zauważył, że Cadron wsypał do jego pucharka zawartość pojemniczka wydrążonego w małej kości. Gospodarz wypił, oddał pucharek Cadronowi. Jalmus również pociągnął tęgo. Hondelyk chrząknął, wrócił do stołu.

– Przebierz się – powiedział. Jalmus wstał, zrzucił kaftan i zaczął odpinać guziki koszuli. – Rano mnie nie będzie, we wszystkim musisz słuchać Cadrona. Rozumiesz? We wszystkim!

– Tak...

– Nie wolno ci wychodzić z tej izby. Ani na krok i ani na chwilę. – Wyjął z rąk sługi puchar i dopił resztę wina. Gość podążył w jego ślady. Cadron dolał obu mężczyznom. – To nic, że piętro całe wykupiłem, powtarzam – ani na krok. Bardachę, za przeproszeniem, będziesz miał i rozrywkę, jadło, napoje... – Hondelyk przepił do Jalmusa i odstawił puchar. – I w ogóle – słuchaj, proszę, Cadrona. To mój przyjaciel i współnik, moje drugie ja.

Gdy młodzieniec został w bieliźnie, Hondelyk wskazał przyszykowane przez Cadrona odzienie, a sam przejrzał rzeczy Jalmusa. Młodzian był o pół głowy niższy, więc Hondelyk wybrał tylko to, co mógł włożyć bez obawy o śmieszność – kaftan, pas. Odłożył rapier, a resztę wskazał palcem. Cadron zgarnął to i zaniósł na ławę. Jalmus pośpiesznie założył lekki domowy strój przygotowany przez sługę. Przetarł oczy.

– Zaraz będziesz tu miał miłe towarzystwo, ale przedtem odpowiedz mi na pytania...

Po dwóch kwadransach droga do jaskini francy, ukształtowanie terenu, zawołanie bojowe rodu Jalmusa i ich ulubione przekleństwa, umiejętność posługiwania się kuszą, toporem, sznurem besardyjskim – nie kryły przed Hondelykiem większych tajemnic. Kiedy Jalmus zmoczony ziołami zaczął zasypiać, Hondelyk sam przetaszczył młodzieńca do sypialni i ułożył na łożu. Po chwili wśliznęła się śliczna dziewczyna, dygnęła uprzejmie przed nie zwracającym na nią uwagi Hondelykiem i przemknęła do sypialni. Cadron prychnął z politowaniem.

– Zawsze mi się wydaje, że za bardzo dbasz o wygodę tych...

– Nie żałuj, Cadronie – rzucił Hondelyk wyjmując broń ze skrzyń i oglądając ją przy świecy. – Jeśli chcesz...

– Dziękuję. Wolę zwyczajne dziewczuchy.

– Myślę, że mówisz tak tylko z przekory – Hondelyk przeciągnął się. – Obudzisz mnie godzinę przed świtem.

Podszedł do ławy, zmiótł z niej ubranie Jalmusa, usiadł, ziewnął potężnie. Cadron podał mu skórę olbrzymiego niedźwiedzia. Rycerz ułożył się i nakrył skórą. Ziewnął jeszcze raz.

– Nie-e-e... myśl, że mnie nie dziwi... Gdy jako Hondelyk odparłem z mikrym oddziałem horde Bocwanów, poklepano mnie po ramieniu i tyle. A gdy pod postacią Prachera rozprawiłem się z marną setką tychże, Pracher dostał tytuł menaskuła i dwa wozy bogactw. Zawsze tak jest, czy to damę serca zdobywam wierszami i pieśnią, czy najeżdżcę przeganiem, czy niedźwiedzia ludojada morduję...

Pamiętasz... Prawie ubiłem pod swoją postacią Blekberdę, a Lucienis ją dobił, fetowali go jakby cudu dokonał. A niedługo potem było odwrotnie – w zastępstwie Lochnaja prawie zatłukłem Gambasa, ale czas mi się skończył i musiałem jako Hondelyk dokończyć roboty. I co? Omal mnie w smole i pierzu nie wytarzali, bom jakoby niehonornie postąpił... Nie dane mi być bohaterem. Przekleństwo nade mną czy czart wie co. Tak to idzie, że łaski tłumu nie zaznaję, jakbym miał dla innych tylko żyć, nic dla siebie.

– Jak to, nic? – szepnął Cadron. – Przecież ty wiesz i ja, i ci, za których stajesz...

– A tak, tak... Ale to już nie to...

Cmoknął, zamknął oczy. Cadron westchnął, splunął na palce i powygaszał wszystkie świece. Po czym włożył dwa polana do ognia, usiadł w fotelu i przygotował się do czuwania. – Jalmus wytłumaczył mi, że nie ma tam miejsca dla konia, zostaniesz w zagajniku...

Ogier szedł równym stępem, nie zareagował na słowa Hondelyka. Juczna klacz z tyłu zarżała cicho, ale urwała jakby wystraszona.

– Smród okrutny – zagaił Hondelyk niezrażony milczeniem ogiera. – Jeśli to rzeczywiście jest Pirróg, powinieneś się cieszyć, że cię nie biorę ze sobą. – Pociągnął wodze klaczy.

– Ty ciesz się również. – Klacz onieśmielona zapachem nie rżała już tylko wietrzyła głośno i parskała. Hondelyk-Jalmus dotknął myszki pod prawym okiem czubkami palców, grubej, nabijanej ćwiekami rękawicy, – Do takich rzeczy najtrudniej się przyzwyczaić... Ale za to nikt nie wątpi, z kim ma do czynienia.

Roześmiał się cicho, przypominając sobie zaskoczenie chłopa, na którym jako Jalmus wymusił kwaterę i nocleg poprzedniego popołudnia. Chłopina jękał się i kajał za warunki niegodne syna jednego z miejscowych możnych. Proponował jedzenie i zerkał ponagłajaco na córki. Hondelyk-Jalmus podziękował za jedno i drugie, zostawił klacz i ekwipunek w obórcie chłopiny, by resztę dnia spędzić na samotnym rekonesansie. Teraz z grubsza wiedział, gdzie się udać i jak spełnić robotę.

Pokonali garb wzgórza, Hondelyk ściągnął wodze. W połowie stoku zaczynał się młody las, niżej drzewa były starsze, czerniały pomiędzy nimi miejsca po niedawnych pożarach. Te czarne plamy tworzyły duży okrąg, w jego centrum powinna się znajdować nora francy. Przez placki spalenizny wąwozami przebijał się wąski strumień, wpadał do zadrzewionej kępy i wypływał; nawet z odległości widać było zmianę koloru wody.

Na brzegach strugi wypływającej z leża potwora nie było żadnej roślinności. Dopiero kawałek dalej pojawiały się kępki zieleni. Były to osty, nadzwyczaj wybujałe, oblepiuchy, częściowo zanurzone w wodzie, kostropawie, jadowicie żółte i ślepiączka; normalny człowiek, a nawet bydlę, omija je z daleka. Tylko wsiowe znachorki, te głupsze mogły się nimi interesować.

Hondelyk zrozumiał teraz dlaczego wysiłki miejscowych nie przyniosły sukcesu. W rzadkich laskach konnych wysyłałby tylko głupiec, piesi zaś nie mogli tu nawet uciekać, a co dopiero walczyć. Z zachodu do niecki przylegało wzgórze, niegdyś zalesione – atakujący widziani przez stwora mogli co najwyżej hamować, by na tyłkach nie wturlać się w jego łożę. No a z północy i wschodu była struga i gołe, zachwaszczone teraz, kiedyś pewnie uprawne pole. Tam można by rozwinąć linie, ale Pirróg takie właśnie pola wybierał do walki. Tu mógł podskakiwać i walić się całym pancernym ciałem w piechotę, mógł grzmocić chwostem konie i pieszych, no i razić ogniem, smrodem i wyglądem.

– To robota dla jednego – podsumował Hondelyk.

Przejechał kawałek garbem do spotkania z drugimwzgórzem, przy czwartym drzewie zeskoczył na ziemię. Przywiązał konie, ale tak ściągając węzły, by po bardzo mocnym szarpnięciu puściły. Popuścił popręg ogiera i rozjuczył klacz. Wybrał ze stosu dwa zwoje lin, trzy pakunki sieci, dziwny topór – lekki, ale na bardzo długim stylisku i równie lekki niby-paradny miecz, którego głownia została wykuta z pręgowanego metalu. Rapier odpiął od pa sa, cisnął na stos, a przypasał ów niezwykajny miecz. Chwilę stał nieruchomo jakby pogrążony w modlitwie, tymczasem oczy Jalmusa, ciemne jak stary jantary z Bochledo, biegały od złożonych na trawie juków do odłożonego stosu, sprawdzały, czy rzeczywiście wszystko gotowe. Potem zaczął pogwizdywać.

– Gwizdanie wiatr wywołuje – powiedział. – A przydałby się dzisiaj, do tej śmierdzącej roboty.

Wyjął z juków szarfę, obwiązał nią twarz, a do lewego przedramienia przywiązał mały flakonik

z wydrążonego rogu. Potem zarzucił na lewe ramię oba zwoje sznurów, na wierzch nałożył sieci, przykrył to toporem, pod pachę wsunął rapier i chwyciwszy niedbale kuszę i kołczan obrzucił spojrzeniem konie. Ogier stał nieruchomo i przyglądał mu się uważnie, klacz przestępowała z nogi na nogę, ale żadne nie wydało dźwięku.

Hondelyk ruszył po stoku w dół długim krokiem, mocno wbijając obcasy w darń. Im bliżej dna kotlinki, tym bardziej skracał krok i przystawał co chwilę, Między drzewami zwolnił jeszcze bardziej, odsunął zasłonę z ust i nosa, wietrzył krzywiąc się, nawet ułożył usta jak do splunięcia, ale powstrzymał się i podniósł zasłonę. Przełożył kołczan na plecy, naciągnął kuszę i założywszy strzałę jeszcze ostrożniej ruszył naprzód. Poruszał się niemal niesłyszalnie, omijał kupy uschłego listowia, odgarniał wolno gałęzie; zresztą drzewa wkrótce zaczęły rzednieć, a krzaki zniknęły zupełnie, na ziemi zaś leżały nie zwiędłe liście, ale brunatna ich warstwa niemal bagienna. Smród potwora, rozkładającego się poszycia i gnijącego mięsa unosił się w powietrzu gęsty i ciężki jak wilgotna zbutwia ła kotara. Hondelyk zatrzymał się, odszpurował flakonik i skropił szal. Aromat, ostry i chłodny jak świeżo wykuta i schłodzona klinga zdusił feter, ale rycerz wiedział, że to chwilowe. Po kilkunastu krokach zaczął się ugór, najpierw nadpalone drzewa, bez konarów, ale pnie tylko osmalone, potem drzewa wypalone do połowy, dalej same kikuty pni. Wzrok sięgał przeciwnego skraju lasu i wbitego weń wzgórza z odgryzionym kawałem zbocza, na którym Pirróg zakąszał wapnem. Z prawej, w odległości pięćdziesięciu kroków widniał nieduży kopiec, zupełnie łysy z ciemną szczerbą u nasady. Stamtąd waliła para, szara z żółtymi pasmami, a chwilami zamiast mętnych obłoków pojawiała się zwykle w upalny dzień falowanie powietrza jak nad ogniskiem czy pustynną wydmą. Hondelyk pochylił się i nie tracąc z oczu boków zaczął skradać się do kurhanu. Zaszedł go od tyłu, szybko, ale bezszelestnie położył na ziemi kuszę, topór i rapier, starannie ułożył na ziemi trzy sieci, obok zbuchtowane obie liny. Wolno, żeby nie dźwięczała stal, wysunął z pochwy miecz i wbił go w ziemię. Pod nogami coś zbulgotało, poczuł drżenie gleby, znieruchomiał z ręką wyciągniętą do miecza, ale bulgotanie ucichło, natomiast rozległo się głośne pierdnięcie, a potem syk u wylotu nory. Hondelykiem wstrząsnął krótki dreszcz, szybko zerwał flakonik i wylał całą zawartość na szarfę. Odrzucił naczynie, chwycił ciężki, przegniły kłoc walający się pod nogami, chwilę trwał nieruchomo, a potem zamachnął się i cisnął nim w kierunku wjazdu do nory. Trafił celnie, chlupnęło błoto i odchody, Hondelyk podniósł i cisnął drugi kawał drąga mierząc przed wylot i natychmiast wytarłszy rękę o nogawkę spodni chwycił sieć. Pochylił się i czekał.

W norze zbulgotało jakby zawrzała potężny sagan gęstej bryi, buchnęła para brudnożółta i z otworu wychylił się łeb Pirróga. Z boku i z tyłu widać było tylko wąską wykrzywioną ku dołowi szczelinę pyska z obwisłymi faflami i trzy grube krótkie rogi chroniące dziurę ucha. Pirróg strzelił kłębem pary, towarzyszył temu wysoki świst, a pod koniec strugi ukazało się z paszczy kilka długich jęzorów ognia. Poczwarą wysunęła się jeszcze o krok, niezgrabnie kołysząc łbem na długiej szyi pokrytej łuską, Hondelyk odwinął rękę z siecią, ale Pirróg zatrzymał się, cofnął głowę i charknął jeszcze mocniejszą strugą pary. Płomienie też były dłuższe i obfitsze. Hondelyk przykucnął. Pirróg czknął i zaczął wylazić z nory. Gdy ukazała się tylna para nóg i wyglądało na to, że potwór zaraz zacznie się rozglądać, a nie tylko tępo wpatrywać w pole przed sobą, Hondelyk cisnął siecią. Rozwinęła się wachlarzowato, ciężarki na końcach sztywników zaczęły opadać pierwsze i sieć znakomicie wymierzona opadła na Pirróga. Gadzina szarpnęła skrzydłami, ale niemrawo, zrobiła jeszcze jeden krok, w tym czasie Hondelyk cisnął drugim zwojem, równie celnie i chwycił zwój liny. Zakręcił nad głową pętlą i rzucił, ale pośpieszył się – lina przeleciała nad znieruchomiałym stworem. Szarpnął więc z powrotem i nie zwijając zostawił. Drugą pętlą trafił w głowę, błyskawicznie zaciągnął w sak z sieci i puścił.

Pirróg poczuł, że dzieje się coś dziwnego, zaczął nerwowo kręcić pyskiem, wciągając powietrze do bulgocącej gardzieli.

Hondelyk posłał mu nie mierząc pierwszą strzałę. Odbiła się od zrogowaciałej skóry na pysku. Druga strzała – prosto w paszczkę. Franca hyrknęła zdziwiona i rozżłoszczona, Hondelyk krzyknął radośnie, nałożył następną strzałę, trafił znów w pysk. Pirróg zapomniał, że chciał rzygnąć ogniem, okręcał się wolno, a Hondelyk szył strzałami z kuszy. Większość odbiła się od pancerza, ale Pirróg okręcając się nadepnął w końcu na koniec sieci, uwalnił się z rykiem odsłaniając podbrzusze. Rycerz szybko wyjął z kołczana trzy strzały oznakowane jasnymi bełtami, zdjął z ich grotów skórzane pochewki i starannie wymierzywszy posłał pierwszą w brzuch stwora. Trafił w łapę i strzała poszybowała rykoszetem w pole. Druga utkwiała w brzuchu, trzecia również. Hondelyk krzyknął, odetchnął z ulgą, szarpnął leżącą na ziemi pierwszą linę, szybko nawinał ją na przedramię, sklarował i pomachawszy w powietrzu pętlą cisnął jeszcze raz. Mierzył w nogę stwora szarpiącą i drącą sieć, ale nie trafił. Ściągał linę, chcąc powtórzyć rzut, lecz gad uwolnił już jedną tylną łapę, a ogniem przepalił sieć krępującą pysk. Lada moment wysunie paszczę z więzów.

Hondelyk zarzucił celnie ostatnią sieć, chwycił topór i kuląc się tak, żeby kałdun Pirróga osłaniał go przed jego własnym wzrokiem podbiegł do miotającego się stwora, zamachnął potężnie i ciał po stawie tylnej nogi. Przeciągły ryk zawibrował, majątający się bez celu swobodny ogon gada świsnął i trafił Hondelyka w biodro. Rycerz wyleciał w powietrze jak uderzona packą mucha, wywinął kozła i ciężko gruchnął o ziemię. Chwilę leżał nieruchomo.

Pirróg zauważył lecące ciało i zachrypiał radośnie. Spod ogona bluznęła z pierdliwym bulgotem struga żółtosinobrazowoczarnych odchodów. Stwór szarpnął się, wychylił łeb z otworu w sieci, ale majątająca się bezładnie tylna noga powodowała, że sieć kołysała jego głową. Dlatego strumień wrzącej pary trafił nie w Hondelyka, lecz przeleciał wysoko nad ziemią. Rycerz poczuł ostry amoniakowy zapach, szarpnął się, przeturlał po ziemi, zerknął przez ramię, poderwał i kulejąc pognął do pozostawionej broni. Łeb stwora obracał się za nim, ale bezmyślne ruchy nóg powodowały, że strugi pary, gazu i ognia nie doszły celu. Hondelyk wrócił do wbitego w ziemię miecza, podjął także rapier Jalmusa i tak uzbrojony pobiegł w drugą stronę dookoła kurhanu. Ślizgał się w cuchnącym błocie, powietrze z ciężkim jękiem wrywało się z płuc.

Zachlapana błotem szarfa zdawała się nie przepuszczać powietrza, więc zerwał ją i niemal zatchnął się ciężkim fetorem przyprawiającym o łzy i pieczenie w gardle. Poczuł, że oddech ma coraz płytszy i coraz bardziej bolesny, ale dobiegał już do leżącego na tym samym boku Pirróga, miotającego się, machającego przednią łapą ryczącego z bólu i wściekłości. Tylna, nadcięta toporem, bezmyślnie używana do rozdzierania sieci sterczała świeżym kikutem z ułamaną siną kością, urywkami mięśni i ścięgien. Hondelyk wymierzył dokładnie i wsadził rapier pomiędzy płyty grzbietu przyszpilając przy okazji lewe skrzydło. Zostawił broń w ciele i przesunął się ku głowie zerkając czujnie na uderzający po drugiej stronie ciała ogon. Pirróg nie zareagował na rapier wbi y pod szkliwiaste rogoże, ale gdy Hondelyk zbliżył się do szyi zamierzając ciąć, łeb gadziny miotnął się w tył. Hondelyk uderzył słabo, a przyuszne rogi trafiły go w brzuch. Upadł na plecy zostawiając miecz płytko tkwiący w szyi. Pirróg majtnął głową sięgając podnoszącego się Hondelyka, uderzył go jeszcze raz. Waląc się ponownie w gnojowicę usłyszał rycerz ohydny trzask i ryk, od którego zafalowało rzadkie błoto, huknęło walące się w lesie drzewo, a potem miękka kurtyna spadła na jego uszy. Szarpnął się do tyłu, byle poza zasięg pyska stwora, poderwał na kolana, runął w maź, poderwał jeszcze raz i udało mu się ustać. Odwrócił się do Pirróga. Mętniejące źrenice patrzyły z nienawiścią, kikut łapy kreślił koła na tle nieba, ale z przeciętej szyi, zerwanej do końca bezmyślnym ruchem stwora buchała bura ciecz, parując na chłodzie poranka. W ciężkim, trującym powietrzu

roszedł się nowy fetor. Hondelyk odszedł kilkanaście kroków. Zdarł z siebie śmierdzący kaftan, odwrócił go na drugą stronę i przetarł twarz. Potem zwymiotował.

– Co tu jeszcze... – wychrypiał. Dotknął piersi trąconej pyskiem gada i jęknął. Ostry ból szarpał stłuczone biodro. W piersiach kłuło i piekło. – Miecz... zabrać. Kusza może zostać, rapier musi. Och... sznury trzeba i może sieci... A, pal je licho, niech Jalmus łże, że narzucił przypadkiem...

Najchętniej nie wracałby do francy, ale wiedział, że trzeba. Odczekał aż gadzinie zmętniały rogówki. Pokuśtykał dokoła, znalazł swój topór, jednym uderzeniem odłamał rękojeść rapiera, klingę zostawiając w ranie. Obszedł potwora jeszcze raz. Przystanął przy głowie i uderzył z całej siły w nadoczne rogowe wyrostki. Były kolorowe, wręcz tęczowe, dziwne na tym gadzie, jakby smoczy bóg ulitował się w ostatniej chwili i jednym niedbałym maźnięciem swoje ohydne dzieło. Zabrał oba i nie oglądając ruszył do koni. Przed wspinaczką na stok umył twarz i ręce w strudze, która za kilka tygodni miała toczyć znowu czyste wody. Umyślnie nie zmieniał ubrania i miał przez to kłopoty z końmi, ale gdy pojawił się w obejściu, w którym spędził noc, wiedział, że wieść o zabiciu Pirrôga błyskawicznie obleci okolicę. O to chodziło. Wykąpał się w beczce prawie wrzącej wody, kazał po trzykroć ją zmieniać. Do ostatniej wlał butlę wyciągu z paulinki i sagan winnego octu gospodarza. Ale i tak gdy skończył, wydawało mu się, że smuga smrodu wlecze się za nim, gdziekolwiek się ruszy. Było mu to obojętne. Zwalił się spać na piernaty gospodarzy, zostawiając im ucztowanie i radosne śpiewy, a potem pijackie ryćkanie.

– Może to niezbyt miłe – powiedział już pod własną postacią do oniemiałego z podziwu Jalmusa – ale musisz, jeśli nie nałożyć, to przynajmniej zabrać stajni wór ze swoim ubraniem, zapłać dobrze gospodarzowi, bo rzeczywiście smród z tego wali okrutny. Będzie nie raz okadzać stajnie. Dalej... Masz też tam rękojeść rapiera. Co do Pirrôga, mówiłem: liny, sieci, kusza, miecz, pamiętasz? – Jalmus skinął głową. – Tu masz jedną płytkę znad oka, drugą zatrzymam na pamiątkę, możesz powiedzieć, że upadła ci w błoto. Przy okazji poszukiwań przekopią ludziska to pole, też zysk. – Krzywiąc się podniósł rękę z pucharem, podejrzliwie powąchał zawartość. – Wszystko mi zajeżdża tym świństwem. – Łyknął. – Jest jeszcze jedna sprawa, dla ciebie, panie, mało przyjemna.

– Ja też mam jeszcze jedną sprawę – wybełkotał Jalmus. – Ale we łbie mi się kołuje. Wczoraj jeszcze widząc was, jakbym w zwierciadło patrzył...

Hondelyk mrugnął do Cedrona.

– To już nieważne. A jeśli o sprawach, to najpierw moja.

Kładź się waść na stole. Nie możesz wszak całutki zdrowy, nieposiniaczony chociażby, pokazać się na zamku. Potrzebne ci blizny bojowe – rzekł bez odrobiny kpiny.

Jalmus odstawił kielich i szarpnął koszulę. Za oknami rozległy się chóralne okrzyki.

– To na twoją cześć – powiedział Hondelyk. – Powiesz, że mój sługa cię opatrywał, ale już nie można zwlekać. Nie ściągaj koszuli...

Jalmus położył się na brzuchu i w oczekiwaniu bólu zacisnął pięści. Hondelyk mieczem splazował kilka razy młodzieńca nie zwracając uwagi na jego syki. Potem, niezadowolony z efektu, szarpnął koszulę i przeciągnął ostrzem po jego plecach. Przyklepał koszulę, na białym materiale załśniły kropelki krwi.

– Dobrze. Jeszcze to... – wskazał Cadrona stojącego już przy stole ze świecą w ręku. – Wszyscy widzieli, że masz opalone włosy – przekręcił Jalmusowi głowę i niemal całkowicie spalił warkoczyk-pędzel związany rzemykiem.

Oddał świecę Cadronowi, a gdy młodzieniec odwrócił się, uderzył go pięścią w twarz. Jalmus runął na podłogę. – Mógłbyś ty to robić – mruknął Hondelyk do sługi z niezadowolaniem.

– Ja? A za co? I kto by mi na to pozwolił?

– A tam!...

Przykucnął nad Jalmusem, dwa razy uderzył twarząchłopaka o podłogę. Wstał z niezadowoloną miną. Cadron szybko odwrócił Jalmusa i spryskał mu twarz zimną wodą. Młodzieniec zamrugał, jęknął, dotknął palcami puchnącego policzka.

– Wybacz, ale trzeba było...

– Wiem, nie szkodzi. – Jalmus dziarsko poderwał się z podłogi. Zupełnie nie przejmował się tym, co zaszło, w jego oczach palił się dziwny ogień. Hondelyk najpierw wziął to za radość z udanej transakcji, ale Jalmus zdawał się nie pamiętać, po co tu przyszedł. – Panie, wiem... Moja prośba... To znaczy... Och, muszę ci powiedzieć... – Chwycił kielich i wypił duszkiem. – Ja nie mogę bez Ajsei!

– Bez kogo?

– Ajseja – powiedział skonfundowany Jalmus. – Ta dziewczyna, która... No wiesz, panie... Ja z nią dwie noce...

Hondelyk zmarszczył brwi, potem wygładził czoło. Uśmiechnął się.

– Nie.

– Ale ja nie mogę... Nie oddycham, jak na nią nie patrzę!

– No to będziesz żył dotąd, dopóki ci starczy powietrza.

– Kpisz sobie ze mnie i słusznie, ale to nie jest zwyczajna dziewczyna...

– Właśnie: to nie jest zwyczajna dziewczyna – potwierdził Hondelyk.

– To i mówię... – Jalmus dosłyszał wreszcie szczególną intonację gospodarza. Zamarł z otwartymi ustami. – No jakże to? Przecież...

– Daj spokój, Jalmusie, daj spokój. Idź... – Hondelyk okrążył młodzieńca, wcisnął mu do ręki zawiniątko z łuską Pirróga i rękojeścią rapiera, objął go ramieniem i pociągnął w kierunku drzwi. – Kasztelanę masz, zapomniałeś? – Jalmus usiłował stawiać opór, ale uchwyt palców Hondelyka stwardniał. – Zastanów się i wybierz, dobrze radzę.

– Nie wi...

– Tak!

Jalmus westchnął i pochylił głowę. Za oknami buchnął ryk kilkudziesięciu, może kilkuset gardeł. Hondelyk okręcił młodzieńca i wskazał okno ruchem głowy.

– Trochę mi niezręcznie... – mruknął Jalmus. – W końcu nie ja zabiłem...

– No to się nie przechwalaj przesadnie – zaśmiał się Hondelyk. – Jeszcze ci to wezmą za skromność, a tej nigdy nikomu za wiele. Żegnaj.

Otworzył drzwi i przepchnął gościa przez próg.

– Ot i koniec. – Ruszył do stołu, chwycił kielich i podszedł do okna. Gdy buchnął wrzask na widok wychodzącego Jalmusa, zapytał Cadrona: – Masz jakiś pomysł, gdzie się udamy teraz? Jakieś słuchy?

– Nie starczy ci?

– Czy ja wiem? A co mam począć? Siedzieć przy kominku i słuchać pieśni sławiących pogromców potworów? – W głosie Hondelyka nie trzeba by długo szukać gorzkości. – Wolę coś zrobić...

Cadron sięgnął do kieszeni i podszedł do Hondelyka. Odchrząknął i uśmiechnawszy się podał mu pierścień.

– Co to... Na me zdrowie?! – Hondelyk wpatrywał się w gigantyczny kamień, z wyraźną purpurową kropką gdzieś w głębi przezroczystego, soczystego błękitu. – Przecież to... Nie!?? To największe Kini-Ka-Okno jakie kiedykolwiek widziałem!

– Nie tylko ty – przyznał Cadron. – To chyba jest w ogóle największe Kini-Ka-Oko. Godne królów! Widać Jalmus z nie byle jakiego rodu pochodzi, skoro takie prezenta dziewczce robi.

Hondelyk drgnął i wytrzeszczył oczy na Cadrona.

– Coś ty powiedział? On to dał Ajsei?

– Tak.

Rycerz przeniósł spojrzenie z twarzy Cadrona na pierścień, z pierścienia na sługę, jeszcze raz na kamień. Wybuchnął gromkim śmiechem, zatoczył się i zaryczał waląc pięścią w kolano. Oparł się o stół, rzucił przed siebie pierścień i wpatrując weń rżał co sił. Cadron podszedł bliżej, uśmiechał się nie zarażony nieprzytomną wesołością pana, ale nie rozumiał, o co mu chodzi.

– Cadronie? – Hondelyk zmusił się do powagi, wytarł łzy wierzchem dłoni, pociągnął nosem. – Wiesz co? Wiesz co? – Parsknął jeszcze jedną salwą śmiechu. – Od zabijania smoków dużo popłatniejsze jest prowadzenie zamtuza! Ale temat na filozoficzną dysputę? Co?

Wstał i wytarł przedramieniem łzy. Parsknął jeszcze raz, zerknął w kierunku okna. Znowu przejechał rękawem po zaszklonych oczach. Popatrzył na spoważniałego towarzysza.

– I tak pewnie zawsze będzie?

grudzień'92

Wydrwiząb

Jechali od świtu, wolno, stępem, miarowo, nudno, aż dzień doczołgał się do południa, przewalili przez upalny szczyt i zaczął podążać ku chłodniejszej porze. Na razie jeszcze słońce świecąc z tyłu skracało cienie, więc kopyta koni uderzały we własne ciemne sylwetki na dobrze utrzymanym trakcie, leniwe obłoczki kurzu chwilę wisiały w powietrzu, a potem osłabione upałem i zniechęcone, bo jeźdźcy już odjechali, opadały oczekując na mocniejszy wiatr i innych konnych, którym można by bez przeszkód wpaść do ust i płuc. Jeden z wędrowców, wysoki, szczupły w kapeluszu, spod którego wysuwał się pojedynczy gruby warkocz i ociężale spoczywał na plecach, zerknął na towarzysza i uśmiechnąwszy się pod nosem powiedział:

– W takich kępach lip – Brodą wskazał kierunek: przed nimi droga zanurzała się w zagajniku – lubią tryskać źródelka. Pamiętam kilka... – Przewrócił oczami i cmoknął z rozkoszą. – Woda w nich lodowata i pachnie miodem.

Drugi konny, ciężej zbudowany i nieco niższy, z kawałkiem lekkiej dery narzuconym na głowę i kark, przyjrzał się uważniej zagajnikowi przed sobą, wzruszył ramionami. Prychnął.

– Dobrze by było – wychrypiał. Łokciem wytarł pot spływający z czoła do oczu. – Spali się wszystko...

Miał na myśli – jak rozumiał pierwszy jeździec – uprawy. Rzeczywiście, jeśliby ktoś przyjrzał się polom po obu stronach drogi zauważyłby, że w równych, pozostawionych przez lemieszce bliznach ledwie tli się zielone życie. Rośliny weszły kiedyś ochoczo, wiosna była soczysta, wilgotna, wczesna, ale zaraz potem korzenie spiły prawie całą wodę i kielki niemal zatrzymały się w rozwoju. Powstał miły dla oka równy dywanik ulistnionych łodyg, jeszcze – mimo panującej suszy – zielonych. Wysoki zachichotał chrapliwie, odkaslnął i splunął niemrawo w bok.

– Nibyś wędrowiec, Cadronie, niby obieżyświat, a... Co to tam z butów wyłazi? – zakpił ochryple.

– Palce mi wyłazą przede wszystkim. – Na dowód Cadron wysunął nogę ze strzemienia i wyprostowaną uniósł do góry. Podeszwa natychmiast opadła w dół trzymając się tylko gdzieś w okolicach obcasa. Zamajtał stopą. – Niczym pies, co się nagał za suką. – I zakończył klnąc bez szczególnego zapału: – Żeby to ch-chudy bąk...

Uśmiechnęli się obaj, ale niemrawo, płytko i sucho. Słońce paliło. Cadron jak królik poruszył wargami zbierając wilgoć z zakamarków ust. Zamierzał splunąć, ale się rozmyślił.

– Nic nie ujmuje twojej, Hondelyku, wiedzy – Pochylił się w siodle, oparł o łęk skrzyżowanymi łokciami – ale strumienia tam być nie może... – Mówiłem o źródle – przerwał mu Hondelyk. – Załóżmy się, kto ma rację nie czyści przez dekadę koni, co?

– Stoi.

Cadron trącił konia piętami i ociężale zakłusował. Hondelyk zachichotał bezgłośnie i również ponaglił konia. Zresztą oba wierzchowce zawietrzyły nerwowo i samoistnie przyspieszyły kroku, Cadron obejrzał się z niepokojem i widząc szeroki uśmiech na twarzy towarzysza zaklął pod nosem. Wpadli niemal równocześnie w cień rzucany przez rozłożyste stare dostojne w nieruchomym powietrzu lipy. Wysokość jeźdźca przekraczały leszczyny, z puszysto-futrzanymi żółtymi fiutkami zwisającymi nieruchomo. Powietrze było tu chłodne i pachnące lipami. Pszczoły zaciekle uwijały się omal nie zderzając ze sobą.

– Jakbym przeskoczył z balii z wrzątkiem do koryta z lodem – stęknął Cadron ściągawszy cugle. – Już to mi wystarczy...

– A mnie – Hondelyk ominął go i pojechał przodem rzucając przez ramię: – że nie będę się zajmował końmi.

Trakt rozgałęział się, główna droga wiodła na przestrzał przez chłodną kępę, a węższa odnoga odchodziła w bok, w lewo od drogi, prowadziła w dół i teraz nawet ludzkie kiepskie nosy, teraz na dodatek wysuszone, wyczuły błogi zapach wody. Cadron zachrypiał radośnie, zerwał derę z głowy i wymachując nią nad głową, pohukując pognął pomiędzy drzewa i krzewy. Hondelyk powstrzymał się od krzyków, ale nie zwlekał. Zarzucili wodze na gałąź drzewa i rzucili się do korzeni ogromnej lipy, w wykrocie pod korzeniami ciemno lśniła misa sporej sadzawki. Cadron pierwszy dopadł wody, zwałił się na kolana i zanurzył głowę aż do uszu w wodzie. Hondelyk nieco wolniej, ale zrobił to samo. Łapczywie łykali chłód i wilgoć, Cadron wysunął na chwilę głowę, grmiącym głosem odkaslnął, przetarł twarz, odetchnął kilka razy. Zerknął na konie, ale uznał, że muszą – choć bardzo się niecierpliwiły – jeszcze chwilę odetchnąć. Hondelyk również podniósł głowę, chciał coś powiedzieć, ale zakrztusił się i dopiero mocne trzy uderzenia w plecy przywróciły mu oddech. Otarł usta i załzawione oczy.

– Uoech!.. – Ano – potwierdził Cadron. Wstał i chwyciwszy leżący na ziemi kapelusz Hondelyka szybko zaczerpnął nim wody i zanim wyartykułowany został protest podszedł do koni i poczęstował je kilkoma łykami wody. Gdy łapczywe pyski zaczęły domagać się więcej poważnie zaczął im tłumaczyć, że mogą się nabawić suchoty. Odepchnął natrętne głowy i odwrócił się do Hondelyka, ale nie zdążył nic powiedzieć – oba konie jak na komendę trąciły go głowami i niemal wepchnęły do sadzawki. Rozzłoszczony odwrócił się i wrzasnął:

– Powiedziałem – napij się łapczywie i zdechniesz w krótkich abcugach! Chcesz tego, chcesz? – Oba konie zakiwały radośnie głowami. – Durnie i tyle... Wrócił do źródła i usiadł ciężko na ziemi krzyżując nogi. Hondelyk sięgnął do przewieszanej przez ramię, zrobionej z zakwaszonej na czarno skóry torby i wyjął fajkę i kapciuch z tytoniem. Rzucił torbę Cadronowi, ale zaledwie tamten ją złapał usłyszeli dźwięczne i zdecydowane:

– Nie ruszajcie się, jeśli chcecie wypalić te fajki!

Zamarli. Krzaki od strony lipy-źródłanki rozchyliły się i wyskoczył z nich chudy jak trzcinka młodzian ubrany w jaskrawy czerwony kubrak na czarnej koszuli i obcisłe również czarne spodnie. Na gładko wygolonej twarzy, może nawet jeszcze nigdy niegolonej gościł groźny wyraz, malowany przy pomocy ściągniętych grubą kreską malowanych brwi i zaciśniętych pełnych warg. Wysoki dziewczęcy głos wskazywał na młody wiek niespodziewanego gościa równie wyraźnie jak jego gładkie oblicze i figura. Dla wzmocnienia efektu potrząsnął krótko ściętymi włosami i wysunął do przodu trzymany w ręku przedmiot: grubości przedramienia krótki drąg z przyczepionym do końca kawałkiem zgiętego w pół i ściśniętego metalowego paska. Cadron omal nie wybuchnął śmiechem, ale zobaczył, że z łoża drąga wystaje bełt i przełknął rodzący się ironiczny śmiech. Młodzian ostrożnie przestąpił przez pręty leszczyny i nie przestając celować w wędrowców podszedł bliżej. Grot strzały kilka razy podniósł się do góry.

– No? – ponaglił młodzieniec.

– Co no? – zapytał Cadron. – Mamy ci oddać sakiewki, rozebrać się do naga czy powiesić?

Młodzian otworzył usta i znieruchomiał na chwilę. Jeszcze raz ponaglił ruchem broni. Ale ruchy miał niepewne i rozterkę w oku. Hondelyk strzelił krótkim spojrzeniem w towarzysza: "To nie rabuś, nie rób niczego gwałtownego".

– Pokażcie ręce! Nadgarstki, to znaczy... – zadysponował napastnik.

Przyjrzał się uważnie czterem przegubom, chrząknął z zakłopotaniem.

– Nie jesteście źli, panowie? Wybaczcie. – Pochylił dziwną broń, przykucnął i położył ją na

ziemi. – Kręci się tu w okolicy podobno banda niejakiego Watholsa. Mają na przegubach znaki, co mają ich chronić przed schwytaniem. Wybaczcie, czułem, że nie macie z nimi nic wspólnego, ale – jak to się mówi – strzeżonego... Jestem Malepis.

– Nie mamy cienia pretensji – powiedział Hondelyk nie zwracając uwagi na imię i nie wymieniając swojego. Niemal nie odrywał oczu od leżącej na ściółce broni.– Dziwne to – wskazał brodą oręż młodziana. Nagabnięty uśmiechnął się i wskazał broń przyzwalającym gestem. – To coś jak arbalet – powiedział. – Mój ojciec to wymyślił. Znakomita, bo się składa i wygląda tak... – Zręcznym ruchem wyszarpnął belt, szczęknął czymś i nagle groźna broń przybrała postać dziwnego, ale zupełnie niegroźnie wyglądającego grubego kija. – Poręczniejsza, prawda?

– Bez wątpienia – przyznał Hondelyk. Poruszył ręką, jakby chciał wziąć do ręki broń, ale powstrzymał się. – Jak się nazywa ten padefon?

– Nie ma nazwy, bo jest tylko jedna – młodziak uśmiechnął się szeroko. – Ja nazywam ją tuńka, bo tatuniek ją wykoncypował.

Cadron zachichotał. "Tuńka!" parsknął śmiechem.

– Wdzięczna nazwa – skwitował Hondelyk. – Sprzedasz? Malepis zmarszczył brwi i zastanawiał się chwilę.

– Właściwie... Mogę. Tatu... – zerknął na Cadrona i zająknął się. – O-ojciec już prawie skończył drugą.

– Dziesięć lentów?

– Dobrze – zgodził się skwapliwie Malepis. Uważnie wpatrywał się w palce Hondelyka wyławiające z sakiewki monety i odliczające dwadzieścia półlentowych monet. Przejawszy kwotę podrzucił je i zręcznie schwycił w jedną rękę. – Więcej niż w dwa miesiące zarabiam na zębach. Może kupicie jeszcze jedną dla towarzysza?

– Nie, dzięki! – zaprotestował szybko Cadron. – Ja nie mam takiego pędu do zbierania wszystkiego czym się można skaleczyć, i nie będę się na starość uczył jakiegoś nowego składanego arbaleta.

– No właśnie. – Hondelyk wskazał tuńkę palcem i poruszył kilkakroć brwiami.

– Już. – Malepis zręcznie rozłożył broń, zablokował jakąś dźwignię, szarpnął jakiś pręt, założył belt. Rozejrzał się dokoła i znalazłszy suchą sterczącą z drzewa gałąź niemal nie celując strzelił w nią. Belt świsnął zawadiacko, uderzył w cel i odłamawszy gałąź zniknął w gęstwinie krzewów. – Oj! – po dziewczęcemu pisnął strzelec, przykrywszy usta dłonią. – Już szukam – poderwał się i pognął w krzaki.

Cadron pokręcił protekcyjnie głową i zabrał się do pojenia koni. Cmokały i parskwały, raz gdzieś z gęstwiny dobiegł ich okrzyk Malepisa uspokajający Hondelyka, który nie bacząc na kpiące spojrzenia i drwiące pomruki Cadrona rozognionym spojrzeniem pieścił nową zabawkę.

– Gdybyś tak woził ze sobą wszystko, coś dotychczas kupił... – przerwał i zaczął nasłuchiwać.

Hondelyk sam słuchał chwilę i nie odzywając się zapytał wzrokiem Cadrona o przyczynę milczenia. Cadron potrząsnął głową, przykrył powiekami oczy i całkowicie oddał się nasłuchiowaniu.

– Jada tu, ze sześciu jeźdźców – szepnął. – Nie kryją się, rechocą... – Nic nie słyszę – szepnął Hondelyk.

– To trzeba było sobie kupić nową parę uszu, a nie tuńkę.

– Jak cię kopnę, to... – Nagła myśl zmroziła wymowę Hondelyka. Spowaźniał, zamrugał oczami i przygryzł dolną wargę. – Czy to mogą być służbowi? Cadron wzruszył ramionami, ale znowu przymknął powieki i słuchem przeniósł się na trakt.

– Jada tu – szepnął. – O co chodzi? – zapytał widząc wyraźne zaniepokojenie Hondelyka.

– Musimy... Nie, nie możemy uciekać, Malepis im opowie, będą szukać. – Poderwał się na równe nogi. – Słuchaj ich!

Rzucił się w krzaki, z których wyszedł na nich Malepis. Zniknął za rozkołysanymi gałęziami, Cadron wstał również, nasłuchiwał starannie. "... nie daruję... A juści, też bym go zakołkował... to powiedz mi kto inny by ją wydupcył? Ja bym...". Rozejrzał się nerwowo dokoła – Malepis wciąż szukał bełtu, Hondelyk przepadł za grzędą leszczyn. Konie przerwały pokłony składane tafli wody i zaczęły strzyc uszami. Głosy mężczyzn podążających w stronę źródła stały się wyraźne, dzieliło ich od Cadrona kilkadziesiąt kroków. Z krzewów wypadł Hondelyk, trzymał w ręku płaski kuferek z drewna obitego szorstką niewyprawioną grubą skórą, opasany dwoma pasami, rzucił go pod drzewo i dopadł Cadrona żeby potrząsnąć go za ramiona. Chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i bez słowa, skoczył w kierunku, w którym zniknął Malepis, jednak tuż przed skokiem w krzaki odwrócił się i syknął:

– Mnie tu nie było!

Zaszeleściły liście. Cadron zaczerpnął pełne płuca powietrza i wypuścił je przez nos rozglądając się dokoła. Nie miał pojęcia co ma robić, co powiedzieć, gdy Malepis zapyta gdzie jest Hondelyk, dlaczego towarzysz uciekł, dlaczego...

Na zakręcie pojawił się pierwszy jeździec, za nim drugi i reszta. Rozmawiali swobodnie ze sobą, ale po kolei milkli na widok Cadrona. Podjechali bliżej i zatrzymali się. Mieli jednakowe lekkie półpancerze z tym samym herbem – gawron z trzcina w dziobie, spod niedbale odsuniętych na czubki głów spływał na surowe twarze pot. Dowódca, który jeszcze chwilę temu najgłośniejszy i nadzwyczaj rubaszenie roztrząsał walory łupania na grochowinie, jakby niezadowolony z obecności Cadrona warknął:

– Ktoś zacz?

– Po prostu – wędruję tędy. Nie wadzę nikomu...

– A to ja... Ja powiem czy wadzisz. Pokaż ręce!

– Już to sprawdzono! – powiedział dźwięczny głos z krzewów. Rozchyliły się i wyskoczył z nich Malepis. Dowódca rozchmurzył się, a Cadron otworzył usta i skamieniał osłupiały. Malepis strzepnął z rękawów czarnej koszuli jakieś listki, poprawił kaftan i zerknąwszy na Cadrona zajął się otrzepywaniem szarych spodni. Na kolanie miał ciemną wilgotną plamę. – Witajcie!

– Ano. – Dowódca przystawił poduszkę kciuka do jednej dziurki nosa, odchylił się w siodło i zręcznym dmuchnięciem przeczyścił nos. – To co – napoimy konie i ruszamy?

Malepis uśmiechnął się blado, pokiwał głową bez entuzjazmu. Rzucił krótkie spłoszone spojrzenie na Cadrona, ale nie odezwał się słowem. Żołnierze posiadali z koni i ruszyli do źródła, pili niemal wszyscy razem, konie również, nie dbali czy są zgonione, bo – Cadron przyjrzał się im teraz – nie były, musieli przejechać tylko kawałek w spiekocie. Podczas gdy żołdactwo zaspokajało pragnienie Malepis podniósł swój kuferek i tuńkę, przyczepił bagaż do konia Hondelyka i bezczelnie zerknął na Cadrona. O co tu chodzi, zdenerwował się Cadron. Umówili się z Hondelykiem, czy jak? Czy go ogłuszył? Dlaczego? Nie jakby ogłuszył, to by mnie oskarżył o coś, jego ziomkowie już by mnie tu odpowiednio sflekowali. Na Kreista! Co robić!

– Malepis! – huknął dowódca. – A z nim co? Znajomy?

– Ot, trochę – odpowiedział Malepis. – Ale to zacny człowiek, może jechać z nami.

– Ty!?! – żołdak wziął się pod boki i roześmiał. – Co ty – gości panu Jugry sprowadzasz? Nie za wiele sobie pozwalasz? – Plasnął dłonią o drugą. – Doigrasz się! – Rzucił władcze spojrzenie na podkomendnych. – Wsiadać. – Oszacował wzrokiem konia Hondelyka. – To twój kuń? – zapytał.

Cadron otworzył usta, żeby sobie przypisać Poka, ale Malepis uprzedził go:

– Tak, od niedawna mój. Dobry, co?

Wojaka splunął z całego serca.

– Ot, życie. Takie ci gówno – wskazał żołnierzom Malepisa – zapraszane jest wszędzie, kunie to ma coraz lepsze, a uczciwy żołnierz, co życie ryzykuje – tyle!

Zakręcił nad głową ręką, zacieśnił pętlę i nagle dłoń wystrzeliła w przód i znieruchomiła demonstrując słynną trzypalcową figurę.

– Jak nie chcesz ryzykować życiem, to nie wychodź codziennie z karczmy pijany – rzucił swobodnie Malepis. Wskoczył w siodło i pytająco popatrzył na skonfundowanego wojaka. Tamten machnął ręką, dosiadł konia i ruszył pierwszy, konie żołnierzy odgrodziły na chwilę Malepisa od Cadrona, a potem, już na drodze, w pełnym słońcu i tak nie miał okazji, by porozmawiać z młodzianem. Wlókł się ponuro na końcu nieśpiesznej kawalkady i zastanawiał – wrócić i poszukać w krzakach Hondelyka czy jechać i uciec gdzieś przed kwaterą, czy uciec już teraz, czy... Zgrzytnął zębami.

–...musi mu się przysłużyłeś, skoro cię znowu wzywa – zagadał dowódca, któremu przeszła chyba złość. – Rzecz jasna. Nie raz.

– Teraz chodzi o Ruppijel...

– Ach, Ruppijel – przeciągnął Malepis. – I co z nią?

– A co ma być? Skruszyła chyba ząb, wścieka się... Nawet nie pije. Od ciebie zależy czy wystąpi w orszaku ślubnym, a pan Jugry bardzo chce, żeby była.

– To ślub już? – zapytał ostrożnie Malepis.

Dowódca okręcił się w siodle. Z niedowierzaniem na twarzy rozejrzał się dokoła biorąc obecnych na świadków swego zadziwienia.

– Czy ci słońce mózg wypaliło? Przecież pojutrze, kiedy ma być! – Czego się drzesz? – dyszkantem wypalił nagle Malepis. Cadron zrozumiał, że chłopak poczuł się pewniejszy przypomniawszy sobie, że jest potrzebny miejscowemu możnowładcy. – Co to – pożartować nie można? Nie? No to kiwaj się sobie w siodle...

Wysunął się na czoło i hardo wyprostował plecy. Oficer skrzywił się posłał za nim "śmieszna" minę i kilka ruchów biodrami. Po kilku krokach zapomniał o krzywdzie, zwolnił i podjechał do Cadrona.

– Udało ci się – powiedział. – Jugry ma jedną tylko córkę, na ten ślub czekaliśmy od lat. Będzie zabawa, że hej! Bo to – Wyciągnął dłoń i zaczął prostować w miarę wyliczania palce. – dwie trupy komediantów, turniej minstrelki, przyjechało ich już ze czterdziestu, sześciu presto... presty... prestygatorów, czy jak ich tam; potem turniej, cały dzień – arbalety, łucznicy, rycerstwo – wiadomo, nawet ciury będą się poduchami okładać. Będą jaja! A, takiego jednego, Litti Harta mamy dla kata, okradł znajomka, to mu kat fiuta na trzy razy utnie...

Słuchający go nieuważnie Cadron zainteresował się wbrew dręczącemu go od skoku Hondelyka w krzaki niepokoju:

– Na trzy razy? To takiego ma?...

– Eee, nie – skrzywił się żołdak. – Nasz kat to fachura, może ci na sześć plasterków obrznąć.

– Mnie? Dzięki, nie wartem takiej obsługi...

Malepis zdarł nagle konia, zawrócił.

– Cadronie – powiedział. – Nad źródłem został mój kapelusz, wróć się, co? – I zanim zaskoczony Cadron zdołał otworzyć usta ze złością potarł płamę na kolanie: – Czyste porty zapaprane! Żeby to ch-ch-chudy bąk!.. Cadron poczuł, że słońce chlusnęło na głowę wiadrem ukropu.

Plama na szarych spodniach rozjechała się, potroiła, aż zrobił się z niej szereg, smuga szarości. Potem wróciła do poprzedniej pojedynczej postaci. Plama. Jedna plama. Na szarych spodniach. Szarych! Pytania zrodziły się błyskawicznie, runęły do ust i gwałtownie powstrzymane spowodowały, że rozkaszał się aż do łez. Malepis skorzystał z tego, że żołnierze wyprzedzili już ich, mrugnął do Cadrona i pognął za drużyną. Cadron pokaszując w rozterce zawrócił i z głową pełną rozchwierutanych myśli pogalopował z powrotem.

Młodzian odprowadził go wzrokiem i szerokim zawadiackim uśmiechem, po czym okręcił wierzchowca i dołączył do drużyny.

– ...bodaj go! A przepowiadałem – nażresz się tej ich zieleniny to i zasiądziesz na stolcu na pół dnia, ale on nie i nie! To zdrowe! No i masz... – O czym mówicie? – zainteresował się Malepis.

– A o takim jednym mądrali z naszej wsi – objaśnił jeden z żołnierzy. Wydatne bruszysko telepało mu się w rytm końskich kroków omal nie uderzając w łęk siodła. Miał na boku nosa ogromną brodawkę, przez co nikt nie wiedział jakiego koloru ma oczy, bo wszyscy tylko na purchawę zerkali. – Był w podróży i trafił w okolicę, gdzie wszyscy żarli jakąś ci taką roślinę i żyli prawie po sto lat. To on się uparł, że też to jeść będzie, posiał, zżął i się napchał. Ot! – żołnierz plasnął ręką w kolano. – Mielim pogrzeb zacny dwa dni temu.

– Bo nie wszystko co zdrowe dla każdego jest zdro... dobre – z mądrą miną wtrącił się jadący obok niego wojak.

– No ta, weźmy na ten przykład pochmielunek – jeden używa kwasu z ogórków, drugi tylko kisłe buraki, trzeci kwaśnym mlekiem zapija, czwarty maślaną, trzeci zaś bierze...

– Trzeci już był – przerwał Malepis.

– Co? – zapytał wyrwany ze słowotoku grubas. – Jaki trzeci?

– Ten trzeci, co już był – cierpliwie objaśnił młodzieniec.

– Gdzie już, jucha, był? – zniecierpliwiał się wytrącony z równowagi wiarus. Dwaj kompani zarechotali. Wojak ściągnął wodze i zanim Malepis zareagował znalazł się tuż obok, twarz miał purpurowa i ściągniętą gniewem. – Będziesz ty sobie jajca za mnie... – Zamachnął się krzepkim kułakiem.

– Trenko! – Wrzasnął dowódca. – Zostaw! Ma robotę we dworze, a jak się poskarży Jugremu, to ci za nią włoży tyle batów, że będziesz się chciał zamienić z Litti Hartem!

Trenko zasapał wściekle, pomyślał, zezem zerknął na brodawę, jakby u niej szukał rady i opuściwszy pięść, wymruczawszy kilka ryszokowych obietnic ze złością szarpnął wodze i wrócił na swoje miejsce w kondukcje.

Malepis otworzył usta, ale z tyłu rozległ się stukot kopyt galopującego konia, wszyscy odwrócili się. Cadron gnał, jakby zobaczył diabła, w ręku ścisnął jaskrowoczerwony kapelusz, który z dziwną miną już kilkadziesiąt kroków przed Malepisem zaczął wyciągać w jego stronę. Zatrzymał konia, cisnął okrycie głowy młodzianowi. Zachichotał. – Masz! – No, mam. Dziękuję – warknął Malepis. – Czego się szczerzysz?

– Nic.

Żołnierze odjechali już kawałek, Malepis sprawdził czy mogą ich słyszeć.

– Gadaj! Cadron zachichotał, podjechał bliżej.

– Zarazo, nic-żeś mi nie powiedział, że to ty – powiedział z wyrzutem.

– Kiedy miałem powiedzieć? – mruknął Hondelyk-Malepis. – Jak usłyszałem zbrojnych, to

musiałem się ukryć. Mam z Jugrym na pieńku, nie darowałyby sobie takiej okazji. Wszystko za szybko poszło...

– Oj tak – powiedział dziwnym tonem Cadron.

– No to wykrztuśże w końcu co cię tak śmieszy?

Cadron wskazał brodą kapelusz.

– Co?

– Nic ci to nie mówi? Barwa, kształt?

Hondelyk chwilę wpatrywał się w trzymany w rękę filcowy kłobuk z małym fantazyjnym piórkiem. Nagle przypomniał sobie ostatnie słowa dowódcy, jęknął.

– Widzę, że zaczynasz kumać. Właśnie tak – Cadron ruszył do przodu omijając skamieniałego Malepisa.

– Nie! – jęknął młodzian.

– Tak – rzucił przez ramię Cadron. – Znalazłem ją, zapłaciłem za narzędzia, kubrak i kapelutek, obiecałem zresztą, że narzędzie zwrócimy. Nakazałem, żeby się zaszyła w mysia dziurę, co jeszcze mogłem zrobić?

– Baba! – jęknął głosem Malepisa Hondelyk. Dogonił Cadrona i powtórzył okrzyk.

– Dziewka – poprawił go przyjaciel. – Wykształcona w rwaniu zębów, i mało kształtna, jak na dziewczuchę, trza przyznać. – Ironicznie oszacował długim spojrzeniem Malepisa. – Jak to mówią – długa jak miesiąc i chuda jak trzos, a na piersi wpadnięta jak ciasto z zakalcem, ale jednak dziewczka.

Konie szły stępa, nikt ich nie poganiał. Cadron chichotał do woli, ale w końcu spowaźniał.

– I co teraz?

– Nie wiem. Mam wyrwać ząb jakiejś kobiecie, pewnie jakiejś znacznej, skoro Jugry aż zastęp na spotkanie wysłał. Nie chcę nawet myśleć, że to może być jego żona albo kochanica.

– Może panna młoda?

Malepis popatrzył na Cadrona z wyrzutem: – Naprawdę potrafisz pocieszyć!

Dowódca zerknął przez ramię.

– Śpicie tam, czy jak? – huknął.

Trenko skorzystał z okazji żeby dopiec Malepis:

– Pewnie ją obszcypuje! – Zarechotał głośno, ale widząc, że nikt nie się przyłącza wydusił z siebie jeszcze jedną wymuszoną i sztuczną salwę śmiechu i klepnąwszy w ramię najbliższego kompana zamilkł. – Umiesz rwać zęby? – półgłosem zapytał Cadron. Malepis jechała w milczeniu z zaciśniętymi ustami. – No powiedz – umiesz czy nie?

– Umieć wybijać – warknęła dziewczyna.

Cadron obruszył się, zamierzał rzucić jakąś kąśliwą uwagę, ale chwila zastanowienia wystarczyła, żeby zrezygnował. Malepis sięgnęła za siebie do przywiązanego do siodła kuferka, przeciągnęła go przed siebie i rozpiąwszy pasy odchyliła wieko i zaczęła penetrować zawartość. Cadron wychylił się w siodle i zaglądał przez ramię. W środku starannie wybitym grubym pluszem do wieka przymocowane były skórzane pętelki, w których siedziały mosiężne wypolerowane do błysku narzędzia – szcypce, noże, cęgi i kilka innych, których przeznaczenia nie sposób było się domyśleć. Kiedy Hondelyk zaczął gmerać w kufrze odsłoniło się jakby drugie dno, przekładka, gdzie w podobnych pętlach osadzono małe fiołki z ciemnego szkła i srebra, a na właściwym dnie małe z różnokolorowej skóry uszyte mieszki. Między przekładką o wiekiem i dnem leżały cienkie długie zwoiki materiału – Malepis zajrzała do jednego i widząc sztywne łodygi wysuszonych ziół zawinęła starannie z powrotem i westchnąwszy z rezygnacją porządnie przywróciła ład, zamknęła kuferka i przesunęła na miejsce. Powiedziała do siebie "hm" i zerknęła na Cadrona. – Kiepsko z nami –

zapytał-stwierdził towarzysysz.

– Jeszcze nie wiem, ale dobrze nie jest. Konie zmęczone, nie uciekniemy, jak się poszkapię – kat z nami zatańcuje. Jugry to cham i nie będzie się wahał, jeśli trafi mu się okazja do zabawienia gości i zaspokojenia własnej ponurej natury.

– Może to nie ma sensu, bo już za późno na dywagacje, ale po jakie лихо pchaliśmy się tym szlakiem?

– Bo krótki, a objazd ani bardziej bezpieczny, ani miłszy... Myślałem, że przesmyrgniemy się raz-dwa. – Wzięła głęboki oddech. – Licho-lichu nadało! Kto mógł przypuszczać...

– Daj już spokój. – Cadron pochrząkiwał przez kilka kroków, szukał jakichś słów na pocieszenie, chwilę temu zdał sobie sprawę, że choć wyglądało to w tej chwili dla nich obu, dla niego zwłaszcza, śmiesznie, to, w gruncie rzeczy, zabawne nie było. Jechali do dworu raptusa, który miał coś do Hondelyka, jechali wykonać pracę, o której nie mieli pojęcia. Nad plecami wyprzedzającej ich drużyny, w rozgrzanym falującym powietrzu zamajaczył katowski pieniek. Cadron zobaczył go tak wyraźnie, że mógł policzyć wystające guzy ściosanych sęków. I bure plamy na bokach. – Może wrócę do prawdziwej Malepis i... Oficer wstrzymał konia, odwrócił się i wyraźnie zniecierpliwiony ryknął:

– Co wam tam – strzałę posłać!? Sam mi tu! Bo, jakem Nulik!.. Wymienili spojrzenia i jednocześnie ponagliли konie, zanim zbliżyli się do kawalkady Malepis szepnęła:

– Może tak trzeba będzie zrobić, ale powiem ci czy i kiedy. Na razie zastosujemy się we wszystkim...

Dołączyli do drużyny, Nulik gestem rozpedził konnych tak, że Cadron i Malepis musieli wjechać pomiędzy konie i – już wyraźnie strzeżeni ze wszystkich stron – kontynuowali jazdę. Żołnierze dzielili się ze sobą informacjami o nastrojach u dzierżawców, przechwalali ostatnimi podbojami. Malepis po kilku opowieściach powiedziała głośno, że gdy się tak ich posłucha, to wygląda, że nikomu prócz nich, tęgich wojaków, dziewczyny nie dają. Na co jeden z jeźdźców ryknął: – Bo tak i jest! co pozostali przyjęli z radosną aprobatą. Zmienili jednak temat i zaczęli radzić sobie nawzajem gdzie się ulokować podczas uczyty żeby najszybciej dorwać się do jadła i napojów. Omal nie rozgorzał dyskurs o przeszłości panny młodej, ale Trenko – ostentacyjnie zmierzwszy spojrzeniem obcych kategorycznie zabronił gadać na ten temat. Rozmowa przygasła niemal na całe popołudnie.

Słońce zawisło nad horyzontem zmiatając cienie na prawą stronę drogi, a jeszcze trochę później w ogóle do rowu. Na poboczach zaczęły pojawiać się z rzadka najpierw, potem coraz częściej drzewa, potem jeden i drugi chłop w polu. Wjechali w końcu w aleję wiśniową, dotarli do krawędzi płaskowyzu, na którym się znajdowali i zaczęli zjeżdżać w dolinę, w której znajdował się gród i dwór. Cadron popatrzył w dół, potem odruchowo obejrzał się do tyłu i zerknął na słońce – obliczał ile czasu dzieli ich od lipowego źródła i nie był szczęśliwy z wyników obliczeń. Prawdziwa Malepis nie miała szans dotarcia w szybkim czasie na pomoc. Gdyby nawet chciała. – A ta banda, co tu harcuje? – zapytał Cadron Trenkę. Postanowił na wszelki wypadek wyjaśnić wszystko, żeby mieć jasny obraz gdyby co. – Duża jest?

– E, srali muszki będzie wiosna, będzie lepiej trawa rosła! – machnął lekceważąco ręką Trenko. – To te wiejskie pierdoluchy o nich ciągle gadają... Banda?! Czterech zbiegłych chłopca, może pięciu. Gdzieś po lasach się szwendają, jak wytrzeźwieją, to wybiją zęby komuś, prosiaka zaszlachtują, babę wyonacą. Nawet ich nie ścigamy – chłopstwo po domach siedzi, bab i krów pilnuje, kłusowników mniej, bo się boją chodzić do lasu, ciule.– Splunął niemrawo, odcharknął i poprawił. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował i tylko machnął ręką.

Malepis zacisnęła zęby, ale nie odpowiedziała na obraźliwą dla chłopstwa perorę Trenki. Konie eskorty przyspieszyły, Pok Hondelyka i Gaber Cadrona poszły ich śladem, zakłusowali na długim stoku, potem żołnierze widząc bliski cel spięli konie i galopem dotarli do dworu, rozpędzając snującą się pomiędzy czworakami biedotę, psy i kozy dotarli do stajen. Od strony kuchni niemal całe podwórze zablokowały wozy, wózki i tragarze z pakunkami, kojcami z drobiem, worami, skrzyniami węgla drzewnego i wiązkami drewna. Ochmistrz z laską w ręku i dwaj jego pomocnicy usiłowali zaprowadzić w tej gmatwaninie jakiś porządek, ale ponieważ tylko oni byli tym zainteresowani ich głosy ginęły w ogólnym tumultie, a rozdawane często razy przyjmowane były jak dopust z pokorą i obojętnie. Rozdarł się jakiś rozżłoszczony osioł, zawtórowały mu zamknięte w kojcu świnię, żałośnie, rozpaczliwie, jakby słyszały już wizg ostrzonych noży, ale gawiedzi to nie przeszkadzało – wszyscy czuli, że bałagan i wrzawa musi być, i że skończy się to samo, cokolwiek by nie robili: węgiel trafi do kuchni, zapasy do spiżarni, świnię i drób na ruszt, a butle, te pełne i te chyłkiem i w pośpiechu osuszone, do piwnicy. Trenko gwizdnął ogłuszająco, ale widząc, że nikt do nich nie śpieszy zeskoczył z konia i wskazał palcem dwóch podwładnych:

– Wy dwa zajmiecie się końmi – i widząc malujące się na ich twarzach żal i krzywdę dodał: – Wynagrodzę wam to, a oni – wskazał głową Cadrona i Malepis – sami się swoimi zajmą. No, już-już!

W stajni panował miły chłód i łagodny półmrok. Cadron wprowadził Gabera na wskazane brudnym paluchem wojaka miejsce, wrócił do ustawionych przy wejściu wiader z wodą, sprawdził, czy już się nagrzała, nalał do koryt obu ogierom rozkiełznanym już przez Malepis. Gdy konie zaspokajały pragnienie i głód wyczyścili je, choć żołnierze, którzy poprzestali na zdjęciu siodeł i zadaniu obroku ponuro wpatrywali się w nich i niecierpliwie wzdychali i pomrukiwali. Cadron przeciągał jak mógł czyszczenie czekając na sprzyjającą rozmowie chwilę samotności, ale doczekał się tylko, że jeden ze strażników nie wytrzymał i warknął:

– Zara tu przyjdą stajenni, to wyczyszczą. U nasz o konie to się dba!

– A ja sama dbam o swojego! – zjadliwie oświadczyła Malepis biorąc się pod boki i miną oraz postawą dając znać, że tylko czeka na powód do awantury. Sepleniący wojak zgrzytnął zębami i skinął na kolegę. Wyszli przed stajnię i stanęli na tle jasnego prostokąta wrót. – No właśnie...

– Czy masz jakąś wiedzę o darciu zębów? – szeptem zapytał Cadron. – Niewiele – przyznała Malepis. – Śpieszyłem się, udało mi się tylko powłokę... Coś tam mi się kołacze... Może jakoś się wykręcimy.

– "Coś", "może", "jakoś" – syknął Cadron. – Oj, doczekamy się kiedyś. Słyszałeś do jakiej perfekcji dochodzą kaci? Na sześć plasterków kuta... – Przestań! – pisnęła Malepis. – Nie uchodzi niewiastom takich rzeczy słuchać! Hańba!

Oślupiały Cadron zamarł z otwartymi ustami, od wrót dobiegł ich zniecierpliwiony głos Trenki: – Co wy tam, jaja znosicie? Idziemy, Jugry was oczekuje!

– Już! – krzyknęła Malepis machnąwszy uspokajająco ręką, potem pochyliła się do Cadrona. Gdy tamten skłonił ku niej głowę powiedziała półgłosem: – Kiedyś do pewnej karczmy wbiegł spocony wojak i wrzasnął do karczmarza: "– Piwa, szybko-szybko, bo zaraz się zacznie!". Zaskoczony karczmarz utoczył szybko piwa i podał, wojak wypił, zażądał drugiego i trzeciego. Wypił je duszkiem i odetchnął. Karczmarz po chwili otrząsnął się z zaskoczenia i pyta: "Pieniądze masz?" A wojak na to: "– No i się zaczęło!". – Wyprostowała się i klepnęła znieruchomiałego Cadrona w ramię. – Idziemy.

Potrząsnęła głową, krótkie włosy zafalowały i opadły na miejsce. W marszu chwyciła swój kuferek, szła pierwsza swobodnym krokiem. Cadron jęknął cicho, rzucił szczotkę na półkę i ruszył za

nią. Po przekroczeniu progu uderzyło ich w oczy światło słoneczne, w uszy gwar, który przez czas kiedy czyścili konie nie ścichł ani o jotę. Trenko niecierpliwie potrząsnął głową i ponaglił ich machnięciem ręki. Pchnął żołnierza, by torował drogę, poszedł za nim. Obrzeżem tłumu, wyprzedzani przez obficie serwujących gawiedzi kopniaki i szturchańce żołnierzy dotarli do frontu piętrowej budowli z kamienia przedzielanego potężnymi dębowymi belkami, z oknami przesłoniętymi błyszczącymi w niskim słońcu kolorowymi szklami. Tu też trwało zamieszanie, ale uwijała się służba a nie chłopci czy dzierżawcy. Przewodnik zatrzymał się z boku drzwi, Trenko odgarnął zamaszystym ruchem przeszkadzających mu dwóch chłopaków i wszedł do korytarza. Przed rzeźbionymi drzwiami zatrzymał się wskazując kciukiem klamkę.

– Ruppijel tam jest? – zapytała Malepis.

Mina Trenko zaskoczyła obu – rozdziawił gębę i cofnął głowę.

– Coo tam jeeest? – zapytał ponad miarę przeciągając słowa. – No...

Od wewnątrz ktoś mocno szarpnął drzwi, jednocześnie ktoś chyba inny, bo z głębi komnaty zagrzmiął:

– No, gdzie jest ta Malepis?

Dziewczyna ruszyła w kierunku progu, zatrzymała się i niecierpliwie powtórzyła pytanie: – Jest tam czy nie?

– Zdurniała... – jęknął Trenko. Chwycił za ramię dziewczynę i wepchnął do pokoju, sam wkroczył za nią i do razu od progu radośnie zawołał:

– Pyta, panie, czy Ruppijel jest tutaj!

– A gdzie ma być! – warknął niezadowolony grubas siedzący przy stole w otoczeniu całej sfory łaciatych czarno–białych psów. – Toć, że tu!

Oderwał kawałek mięsa z misy i rzucił największemu psu, reszta karnie siedziała w półkręgu cierpliwie czekając na swoją kolej.

– Nie... – zarechotał Trenko. – Pyta czy jest w tej komnacie!

– Zdurniałaś, duszko? – zapytał łagodnie Jugry uważnie i – to widać było wyraźnie – łakomie wpatrując się w Malepis. – Chodź no tu! – Dziewczyna posłusznie podeszła bliżej, Jugry wykonał w powietrzu ruch jakby wskazującym palcem drapał od spodu w deskę, Malepis podeszła jeszcze bliżej. Gospodarz raptownie wyciągnął rękę, chwycił ją za przegub i gwałtownie przyciągnął do siebie, wykręcił szybko i zręcznie jak na swoją tuszę i zaskoczony Cadron, który zamierzał ruszyć w obronie Hondelyka zrozumiał, że Jugry osiągnął cel – dziewczyna siedziała na jego grubym jak bal udzie, a łapsko mężczyzny spoczywało na jej kolanie. – Ruppijel tutaj? A co ja bym robił tu z klaczą? Hę? Mój ty chudy wydrwizębie?

– Ja nie tak... – pisnęła Malepis. Rzuciła szybkie zrozpaczone spojrzenie na Cadrona, ale widząc osłupienie malujące się na jego obliczu roześmiała się fałszywie. – Chodziło mi o to, że ją, panie, lubisz...

– Lubisz? – ryknął Jugry. – Ja ją kocham, bo zasługuje na to. – Zasapał wściekle. – Nikt na to nie zasługuje... – Chytrze zmrużył oczka i odsunawszy się trochę od Malepis przyjrzał jej uważnie, od czubka głowy do czubka buta. – Może trochę ty, moja szczapko. – Chwycił w palce policzek dziewczyny i po–tarmosił. – Nie przytyłabyś trochę, co? – Płasnął dłonią w kolano, Malepis stęknęła i zaczęła rozcierać nogę. Na jej policzku w oczach rozkwitał czerwony pęk–ślad po uszczypięciu Jugry'ego. – Tu i tu i tu! – Chwycił w garść kuperek Malepis, poklepał w brzuch i na koniec nakrył bochnem dłoni lewą pierś. Ruchy miał tak szybkie, że Malepis nie nadązała z obroną,

zdołała tylko pisać. Wypuszczony z ręki kuferek huknął o podłogę. – Co tam masz? – zainteresował się Jugry.

Dziewczyna skorzystała z chwili nieuwagi, zanurkowała pod opasującą ją ręką, zeskoczyła z kolan, odsunęła michę pełną parującej smażonej wołowej wątroby, drżącymi rękami zaczęła rozplątywać rzemienie opasujące kufer. Ju– gry cmoknął niezadowolony, ale nie napierał, sięgnął do naczynia, chwycił kawał wątroby i nie zważając na popiskujące psy wybił z rozkoszą zęby w przysmak.

– Kocham wątrobę – wymamrotał do Malepis. – Mogę ją zreć na okrągło, nie ma dla mnie lepszego zarcia. Żeby tak było miało po sześć takich pieczonek... – Rzucił psom dwa kawałki, sobie wsadził do ust największy. – Kiedyś zatrzymałem się w jednej podłej karczmie, pytam oberżystę co ma do jedzenia, a on, że wątrobę. Dawaj mi tu, wrzeszczę. I zjadłem całą wołową, je– go mać, wątrobę. A on – bystry był, psiajucha – gdzie wypadł, jak jeszcze jadłem i kiedy skończyłem – patrzę wnoszą świeżutką, syczącą, prosto z patelni, jeszcze jedną. Pochłonałem i ją... – Nalał sobie piwa i łyknął, dwornie powstrzymał beknięcie, cofnął tylko odrobinę głowę i syknął cicho. – A on powiada, tak nieśmiało: "Lubisz, jak domniemywam, panie, wątrobę!" – H-haa! Ch-chaa-ha! – rozryczał się Jugry. – Po dwóch wołowych, on mi mówi, że domniemywa!!! – Śmiał się długo, w tym czasie Malepis zdążyła otworzyć kufer, rozłożyć narzędzia na stole. – Wiesz ty, że on pogonił do stodoły i zabił z dwoma synami krowę i tę właśnie mi wątrobę podsunął? Co? Ot, wierność. – Pokiwał głową. – Sowiec mu odpłaciłem, zasługiwał na to. – Posapał chwilę osowiałym wzrokiem wpatrując się w dno miski. – Won, wy mi stąd, nie ma! – rozpedził psy. Wyjął ociekający tłuszczem ostatni kawałek i z żalem podniósł do ust. – A co ty tu? Co to jest? – Niemrawo zainteresował się rozkładanymi narzędziami. – Nowe?

– Tak, udało mi się zrobić na wzór... – Malepis szybko rozesłała na stole chustę, zaczęła rozkładać na niej narzędzia objaśniając jednocześnie: – To zwykle kleszcze, to do przednich zębów, tu skrobak, a tu grabowla, to zaś "koźła nóżka"... – Zerknęła na wpatrującego się z obrzydzeniem Jugrego i pobladłego Trenko. – To się nazywa miazgociać, bo w zębie, jeśli byście rozłukli taki na kamieniu, jest taka miazga, która...

– Przestań... – jęknął Trenko.

– Tu zaś mamy noże do cięcia dziaseł, kilka rodzajów; o, jest też otoczak; to repeter; a to dławnica. Tu mamy zdierę i kowadełko i trzaskawkę, to jest – roześmiała się cicho – tak go nazywam, wyjec, co służy do szczególnie ciężkich...

Trenko okręcił się dookoła własnej osi i gruchnął na podłogę. Cadron odskoczył w bok, gdy wojak waląc się na wznak rozłożył obie ręce, jakby chciał rozprostować skrzydła; ręce poszybowały łukami w przeciwne strony i uderzywszy wierzchami dłoni o podłogę zamarły. Głowa najpóźniej z całego ciała spotkała się z deskami, za to wydała z siebie najgłośniejszy odgłos. Jugry zaczerpnął powietrza, wskazał żołdaka i nagle zabalgotowało mu w gardle, szarpnął głowę, poderwał ją, wybałuszył oczy. Wydał z siebie przeraźliwy bulgotliwy ryk. Malepis rzuciła się do zawijania rozłożonej na stole tkaniny, zagrzechotały, rozbrzęczały się uderzające o siebie przerażające narzędzia. Torsje wstrząsały otyłym ciałem Jugrego, duszący kwaśny smród zapanował w komnacie, psy rozhaukały się dobierając do niespodziewanej uczyty. Cadron zacisnął zęby, odbiegł od stołu, przystanął czekając na Malepis, która pośpiesznie zgarnęła rogi tkaniny, pod pachą umieściła kuferek i rzuciła się do drzwi. Byli już na korytarzu, gdy z pokoju dogonił ich wrzask gospodarza będący mieszaniną wspomnień dotyczących rodziców obu uciekinierów i obietnic ciekawych zajęć dla rezydującego w dworze kata. Pobiegli korytarzem ścigani na przemian odgłosami wymiotów i rykami Jugrego. Przy drzwiach Cadron zatrzymał się i miną zapytał Malepis o kierunek ucieczki. Zatrzymała

się w progę.

– Potrzyмай – powiedziała lekko zdyszana. Cadron chwycił kuferek, odchylił wieko oczekując, że towarzyszka wrzuci bezładnie narzędzia i pognają dalej, ale Malepis zaczęła systematycznie wyjmować pojedynczo narzędzia i metodycznie umieszczać je w odpowiednich gniazdach. Na niecierpliwe pochrząkiwania Cadrona podniosła wzrok, niedbale wstrząsnęła ramionami i nie wykazując się pośpiechem kontynuowała pakowanie. – Gdzie to?.. – zastanawiała się nad dziwnym rygłem z okrągłymi nacięciami.

– Na Kreista, pośpiesz się! – wymamrotał Cadron. – Nie słyszałeś, co on robi z przyrodzeniami skazanych...

– A co mnie to? – Malepis figlarnie poprawiła włosy i klepnęła się w szczupłe biodro, ale widząc wzrastający gniew Cadrona poklepała go po ręce. – Spokojnie, Jugry nic nam nie robi. – Co ty możesz wiedzieć? – syknął Cadron.

– Skoro Ruppijel to klacz, to póki ona będzie potrzebowała pomocy nic nam nie grozi. Jugry kocha wątrobę wołową i konie. – Dokończyła pakowania narzędzi, zatrzasnęła wieko, cisnęła płachtę w kąt i dziarsko skinęła głową na Cadrona. – Możemy iść.

– Słuchaj – Cadron podreptał za odważnie maszerującą dziewczyną, dogonił ją, obiegł z prawej strony. – Skoro on kocha konie, to nie dotykaj ty tej klaczy, może nas tylko zabije za opieszałość?

– Spokojnie – powiedziała dziewczyna. Przerzuciła kuferek z ręki do ręki, syknęła: – Cham! – Dotknęła lewej piersi. – Uszczypnął mnie jakbym była jego... Ech! – Rzuciła kuferek w stronę Cadrona. – Może byś się tym zajął?! Skrajem wrzącego tłumu dotarli do stajen. Malepis zapominając na chwilę o własnym ciele maszerowała szerokim hondelykowym krokiem, niedbale rozgarniając wpadających z rzadka pod nogi ciurów. Gdy podeszli pod stajnie z ręcznie chwyciła za ucho przebiegającego parobka, którego rozradowane spojrzenie i chwiejny krok świadczyły, że służba potrafi przekształcić bałagan w spadające jej z nieba chwile słodkiego chaotycznego nieróbstwa. Chłopak pisnął, jęknął, wyhamował gwałtownie czując, że krok w przód pozbawi go ucha.

– Czego... – wrzasnął hardo. – Aj! – dokończył w innej tonacji, gdy Malepis skrzyła lekko rękę.

– Prowadź do Ruppijel, potem przyprowadzisz stajennego. – Puściła ucho, ale chłopak nie kwapił się do wykonania polecenia. – Goń, bo się pan dowie jak się starasz przy jego koniu.

– Tam – wskazał ręką budynek przy stajni. Zdmuchnęło go z miejsca. Ruszyli do wskazanej budowli, była cała murowana z obszernym wysypanym piaskiem placem ogrodzonym okorowanymi balami. Na pięć-sześć kroków wokół ścian stajni ziemia była wysypana świeżym, starannie wygrabionym piaskiem. Nikt nie ośmielił się zostawić na poliniowanym piasku śladu stopy, Malepis również skrzyła, żeby wejść do stajni po gładko uklepanej ścieżce. Znajdowali się kilka kroków przed stajnią, gdy przez wiszący nad podwórzem gwar zaczęło się przebijać bolesne rzenie konia. Cadron poczuł ciarki na plecach, niespokojnie zerknął na Malepis. Zatrzymała się i przekrzywiając głowę słuchała chwilę, nie starając się podejść bliżej. Powinniśmy skorzystać z rozgardiaszu, pomyślał Cadron, i zwinąć się stąd najszybszym galopem, na jaki stać nasze konie. Jeśli nie pomożemy klaczy – wykastuje nas... mnie, to znaczy. A jak mamy pomóc, skoro...

– Cadronie! Cadronie! – powtórzyła dziewczyna. – Nic nie mąc, nie wikłaj...

– Akurat! Jak? Jak chcesz...

Malepis parsknęła radosnym śmiechem. Machnęła ręką i gdy naburmuszony Cadron podszedł uczepliła się jego ramienia i poprowadziła do stajni, ale przed drzwiami zatrzymała się. – Poczekamy na koniuszego. – Ponad głową Cadrona rozejrzała się po podwórzu, beztrusko zanuciła coś pod nosem. – Wiesz, że nie byłem jeszcze na żadnym weselu? – powiedziała Malepis-Hondelyk, głosem dziewczyny, intonacją mężczyzny.

– Nie, proszę – jęknął Cadron. – Odjedźmy stąd, znajdę jakieś fajne weselicho, zaproszę cię, naraję nawet najładniejszą druhnę...

– Po co mi druhna? – zalotnie przewróciła oczami. – Dziewosłęba, w to mi graj! Albo pana młod... – Zabiję... – obiecał Cadron. – Jak tylko stąd się oddalimy. Jeśli ujdziemy z głowami!

– Jakoś – wzruszyła ramionami – nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś mi robi krzywdę. Kobiety powinny częściej... – przerwała na widok biegnącego w ich kierunku koniuszego, wymachującego pękiem kluczy. Jakby na powitanie w stajni cierpiący koń zarżał boleśnie, głośniej i coś huknęło. – Jeszcze sobie nogę złamię – syknęła Malepis. – Prędej!

Koniuszy minął ich biegiem, zręcznie otworzył zamek szerokich wysokich drzwi i szarpnięciem rozwarł wrota. Malepis ominęła go i podbiegła kilka kroków, tam gdzie zza przegrody buchnęło rozpaczliwe kwikliwe rzenie. Stała tam na drżących nogach piękna jabłkowita klacz, ze spienionym pyskiem, wilgotnymi od potu bokami. Na widok ludzi zadarła do góry łeb i przeciągle zacharczała, zupełnie jak zmęczony bólem człowiek. – Moja ty biedna... – powiedziała Malepis i pochyliła się żeby zdjąć zasuwkę.

Koniuszy podskoczył i gwałtownie odtrącił ją od drzwi.

– O nie! – powiedział. – Jeden chłopak ma wybite oko i poturbowany jest fest, drugi rękę w łubkach, jeszcze dwaj tylko posiniaczeni... Oszalała z bólu – zupełnie niepotrzebnie wskazał klacz. Zamarła na chwilę, jakby czekała na wynik rozmowy i – widząc, że Malepis nie zamierza podejść bliżej – sama skoczyła do drzwi i huknęła w nie przednimi nogami, rżąc odwróciła się błyskawicznie i poprawiła potężnie tylnymi. Solidne dębowe drzwi zadygotały.

– Ho-ho! – skomentowała Malepis. Przygryzła dolną wargę i w zadumie wpatrzyła się w Ruppijel. – Piwa z okowitą – powiedziała. Cadron zaczerpnął powietrza, chcąc zaprotestować, ale przechwyciła jego spojrzenie i patrząc mu w oczy, ale zwracając się do koniuszego powtórzyła: – Każ przynieść wiadro piwa i dużą flachę jakiejś przepalanki.

Koniuszy podszedł do drzwi i przeraźliwie gwizdnął, po chwili stanął przed nim młody chłopak, dostał dyspozycje i pognał znikając z prześwitu wrót. Malepis podeszła do kuferka, przykucnęła i pogwizdując otworzyła go, zastanawiała się długo, w końcu westchnąwszy usiadła krzyżując nogi i zaczęła metodycznie przeszukiwać przedział z buteleczkami, grzebała długo zanim zatrzymała się na jednym miedzianym okrągłym tubusie. Przeczytała wydrapane na boku słowo, podrzuciła go, złapała. – Tak... – rzuciła w przestrzeń.

Rozejrzała się wokół siebie, znalazła długie grube źdźbło słomy, starannie odłamała kolanka, dmuchnęła w rurkę, przechwyciła pytające spojrzenie Cadrona, mrugnęła do niego. Odkręciła wieczko tubusa, powąchała. Cadron wzruszył ramionami, odszedł dalej od drzwi i również usiadł na słomie opierając się plecami o ścianę. Klacz huknęła jeszcze raz kopytami w drzwi i zamarła. Po chwili koniuszy, który stał cały czas na progu stajni drapiąc się po poślaskach, odwrócił i poszedł w kierunku dziewczyny.

– Spijemy i co? – Zobaczymy. Patrzyłeś jej do pyska?

– Ciekaw jestem jak? – zapytał urażony. – Próbowałem. – Odgarnął włosy z czoła i pokazał kilka długich strupów na linii włosów. – Chwyciła mi głowę w pysk, ledwo zdążyłem odskoczyć. – Puścił włosy. – Diabeł w nią wstąpił. – Zerknął na klacz, stała tyłem do niego, ale wyglądała jakby słuchała co mówi. Splunął z żalem na podłogę. – O, jest... – mruknął widząc truchtających dwóch chłopaków, jeden taszczył antałek z piwem, drugi dwie butelki z jasnobrązowym płynem. I pęk kufli. Malepis roześmiała się, skinęła na chłopaków. Kiedy podeszli powiedziała:

– Nalejcie do trzech kufli, skoro już je przynieśliście a resztę do wiadra. Po chwili szpunt

odskoczył, pienista struga uderzyła w dno jednego kufła, drugiego, trzeciego, głucho zahuczała na dnie drewnianego wiadra; gdy piana zbliżyła się do krawędzi Malepis oderwała kufel od warg i poleciała: – Dość, teraz jedną flaszkę gorzały. – parobek zawahał się. – No?

– Dawaj, dawaj! – ponaglił go koniuszy odstawiając swój kufel. Chłopak z dużą wprawą palnął dnem butelki o uniesione do góry udo, korek wyskoczył jak wystrzelony z procy, zapach miodu, imbiru i jeszcze innych korzennych przypraw buchnął w nozdrza zainteresowanych poczynaniami Malepis mężczyzn. Dziewczyna wstała, oddała pusty kufel drugiemu parobkowi i zerknąwszy na cicho rżącą klacz szybko poderwała wiadro i przeniosła przez krawędź niskich drzwi. Ruppijel widząc kątem oka ruch w swojej świątyni boleści, szarpnęła się, odwróciła i skoczyła do drzwi, ale dziewczyna już była poza zasięgiem jej zębów. Klacz zarżała ze złością w głosie, zatupała, kopyto uderzyło w wiadro, Ruppijel pochyliła głowę i zaczęła węszyć, ludzie zamarli a potem, słysząc, że trącone mocniej wiadro wywraca się popatrzyli na siebie. Malepis ruchem głowy i rąk pokazała, że czeka na drugą porcję napoju, chłopcy na palcach rzucili się do nalewania piwa i okowity. Koniuszy przysunął się do ściany i wyciągając szyję zajrzał do boksu, a potem wykrzywił się radośnie i zakiwał głową do Malepis. Ruppijel zacmokała, podniosła kształtny łeb i popatrzyła na ludzi. Koniuszy przesunął się przed zagrodą klaczy, podszedł od drugiej strony, zagadał, żeby ściągnąć na siebie jej uwagę, jeden z chłopaków ponaglony wzrokiem Malepis podniósł wiadro i umieścił w boksie a potem gwałtownie uskoczył. Ruppijel zerknęła na niego, zachrapała, przesunęła się, zauważyła wiadro, zawęszyła i zaczęła łapczywie pić. Towarzyszyło temu pięć długich pełnych ulgi westchnień.

– Zostało tam co? – zapytał szeptem Cadron wskazując antałek.

Jeden z chłopaków, ten który tak zgrabnie otworzył flachę wódki, trącił antałek i porozumiewawczo umiechając się pokiwał głową. Drugi pozbierał kufle i obaj zajęli się nalewaniem. Trójka miłośników piwa nie podnosząc się, żeby nie płoszyć pijącej klaczy, zgrupowała się pod ścianą.

– A ty od kiedy tak żłopiesz piwo? – surowo zapytał koniuszy Malepis.

Podnosiła właśnie kufel do ust, znieruchomiła, nadeła pogardliwie wargi.

– Jak mam ochotę to piję – powiedziała wyzywającym tonem.

– No, niechby to Jugry zobaczył – rzucił koniuszy. – Podobno nieźle tam – kiwnął głową w stronę dworu – narozrabiałaś. Ogłuszyłaś Trenkę?

– Ogłuszyłaś?! – syknęła oburzona. – Zemdłał! Ścięto go gdy zobaczył moje narzędzia i tyle...

– Ale Jugry stracił całą przekąskę – zachichotał koniuszy. – Na gwałt biją tam świnię, ale to już nie to, cały dwór się trzęsie.

– A tam.. – machnęła lekceważąco ręką. Przerwała, bo Ruppijel wystawiła nagle łeb nad krawędź drzwi, patrzyła chwilę na znieruchomiłych ludzi a potem komicznie wstrząsnąwszy głową wydała z siebie długie dźwięczne beknięcie.

– No i dobrze – skomentowała Malepis. – Zaraz ją sieknie. Rzeczywiście, zanim dopili swoje piwo klacz zarżała przeciągle, drugi raz, zatupała, koniuszy skinął na chłopaka, tamten zerknął do przegródki i machnął ręką.

– No, komu ochota, temu robota – rzuciła dziewczyna. Podeszła do swoich rzeczy, zanurzyła koniec słomki w tubusie, drugi raz, trzeci, sprawdziła, czy w rurce źdźbła jest odpowiednia ilość proszku. – Z której strony ją boli? – zapytała.

– Z lewej – szybko poinformował koniuszy. – Co tam jest?

– Gizi – rzuciła obserwując słaniającą się na nogach klacz.

– Jakie gizi?

– Gizi, co z nosa lizi! – warknęła. – Odczep się ode mnie. Trzeba ją położyć, tak, żeby miała ten bolący na wierzchu, bo jak się uwali na drugą stronę będzie niedobrze. No, już-już!

Koniuszy zacisnął zęby u skinąwszy na parobków otworzył drzwi, Ruppijel zrobiła ruch jakby chciała skoczyć na ludzi, ale ugięły się pod nią przednie nogi.

– Szybciej, na Kreista! – syknęła dziewczyna.

Cadron mruknął coś pod nosem i odrzuciwszy koniuszego pierwszy wskoczył do przegrody, udało mu się chwycić klacz za szyję, gdy zaczęła się walić na bok, podtrzymał, żeby nie uderzyła głową o brukowaną podłogę, pomogli chłopcy i koniuszy. Jeden parobek zasiadł na przednich nogach Ruppijel, drugi spętał tylne i przywarował przy nich, koniuszy z obrażoną miną przycupnął przy uszach. Cadron objął głowę konia, zerknął zaniepokojony na Malepis, a ona, jakby nie widząc jego spojrzenia, podeszła ze słomką, przykucnęła i wolno, żeby nie spłoszyć chrypiącej klaczy, łypiącej na nią przekrwionym okiem, pogłaskała ją po szyi, przesunęła rękę, delikatnie odwinęła wargę i zaczęła wypatrywać bolącego miejsca. Potem, cmoknąwszy przez zęby szybko pochyliła się i przytknąwszy koniec źdźbła do szczęki klaczy dmuchnęła w drugi koniec. Po stajni rozniósł się mocny zapach goździków.

– Trzymajcie – szepnęła dziewczyna. Wszyscy pomocnicy mocniej chwycili klacz. Szarpnęła się niemrawo, za drugim razem mocniej i jeszcze raz i ścichła. Malepis odczekała chwilę i odrzuciwszy słomkę obiema rękami zaczęła gmerać pomiędzy wargami klaczy. Robiła to po omacku, w napięciu, niewidzącym spojrzeniem wpatrując się w belkowany sufit. – Ach ty... – mruknęła i energiczniej zaczęła manipulować palcami. – Mam to gówno!.. No, chodź... – Przyklęknęła i starając się wypatrzyć to coś pochyliła nad głową Ruppijel. – Jeeest!

Podniosła się i wypadła w przegrody. Coś brzęknęło, pojawiła się znowu z dwoma małymi buteleczkami w ręku.

– Jeszcze chwilka, moja śliczna – powiedziała do klaczy. Pacjentka sapała nie ruszając się. Dziewczyna chlusnęła w miseczkę lewej dłoni jasnej cieczy z flakonika, zębami otworzyła drugi, dołała drugiego płynu, zamieszała palcem i całą zawartość wtarła w džiaśła konia. – Może się ciskać – powiedziała odskakując. – Uciekajmy.

Pierwsza minęła furte, za nią zakotłowali się chłopcy i koniuszy, Cadron widząc przeszkodę w furcie przeskoczył górą, jeden z parobków huknięty w ucho przez wystraszonego koniuszego wrzeszcząc "Ała-ła-ła!" pobiegł do wrót. Drugi, zadowolony, że to nie jemu huczy w uchu roześmiał się głośno.

– Patrz – powiedziała Malepis. Podniosła do góry i przysunęła pod nos koniuszego wyszczerbiony szczyrzący na wszystkie strony ostre końce kawałek metalu. – Ciekawa jestem jakbyś ty się czuł z takim gwoździem w pysku?!

– Co – ja? – Obraził się koniuszy. – Nie mogę dopilnować wszystkich... – No to dopilnuj, żeby ten ćwok, który opiekuje się końmi zajął się wynoszeniem w wiadrach gnoju na pola – warknęła rozzłoszczona Malepis. – Czy teraz o nasze konie dba ten sam tuman? – Yyy...

– No to sprawdź. Nic nie powiem Jugremu – powiedziała dziewczyna zajmując się pakowaniem swojego kuferka. – A ty nam migiem uzupełnisz zapasy, z antalkiem takiego piwa na czele. Wyjeżdżamy za chwilę.

– Powiem Jugremu, żeby ci... – Zadowolony z obrotu sprawy koniuszy poderwał się żeby biec do dworu.

– Nie trzeba! Nie potrzebuję zapłaty – wyprostowała się i zerknęła do przegrody Ruppijel. – Gdy się obudzi dobrze by było przepłukać jej jeszcze okowitą pysk i daj do picia wywar z koziarka i

szałwii. – Wskazała palcem kuferek i pomaszerowała do drzwi. Cadron chwycił kufer i poszedł za nią. – Pośpiesz się. Jugremu potem powiesz, że to mój prezent ślubny.

Siedząc w cieniu pod stajnią czekali aż wyprowadzą ich konie, popijali zimne mocne aromatyczne piwo. Przegryzali kawałkami ciemnego, prawie brązowego koziego sera.

– Nie wiedziałem, że tak się znasz na zębach – sapnął Cadron sprawdzivdzy, że w najbliższej okolicy nie ma żadnych dworskich.

Malepis prychnęła.

– Część to pamięć, a ponieważ już kiedyś miałe... miałam taki problem z patykiem w zębach... – wzruszyła ramionami. Zza rogu koniuszy osobiście wyprowadził Poka i Gabera, osiodłanych, z przytroczonymi bagażami. – Dzięki – rzuciła Malepis podnosząc się, poklepała uśmiechniętego przymilnie koniuszego po ramieniu, wskoczyła w siodło i zawadiacko nasunawszy na tył głowy wesoły czerwony kapelusik pogalopowała w kierunku drogi.

Cadron dogonił ją dopiero na wspinającym się na płaskowyż stoku. Odchrząknął raz, drugi.

– No?

– E, nic – powiedział fałszywie niedbałym tonem, ale nie wytrzymał długo. – Hm, powiedz – jak przybierasz postać kobiety, tak jak teraz było... To... tego, jesteś cały kobietą czy jak?

Malepis obdarzyła go długim spojrzeniem, zalotnie zatrzepotała rzęsami.

– Domyśl się.

Zachichotała, spięła Poka i pognała do przodu, doganiając wyprzedzający ją radosny beztroski śmiech.

Fiollun cnotliwe, nieszczęśliwe...

Na skrzyżowaniu szlaków Hondelyk ściągnął wodze i zaczął się zastanawiać, więc Cadron umyślnie zmusił konia do niecierpliwego podreptywania w kierunku szerszej, wygodniejszej, lepiej ubitej drogi, jednym słowem tej pewniejszej. Hondelyk popatrzył na konie, wsłuchał się w siebie i pokręcił głową:

– Nie, zjedźmy do Fiollun. To ledwie godzina stąd, a jutro w południe wyruszymy i...

Cadron uczynił wysiłek, by milczeć jeszcze głośniejsze, wyraziściej; Hondelyk mówiąc zerknął na niego, przerwał i po chwili namysłu zapytał..

– Nie widzi ci się Fiollun?

– Tak. To znaczy nie. Jeny! Co ja plotę!? Racja: nie widzi mi się. Nikt o nim nie mówi, jakby było przeklęte czy zaklęte, czy jeszcze jakieś. Po co nam ono?

– Mój drogi, nie chodzi mi o żadne właściwości miasta. Po prostu chcę jak najszybciej przyłożyć głowę do jakiejś jasiczki. Konie – wskazał brodą jednego i drugiego wierzchowca, juczna klacz z tyłu poruszyła się i trąciła kopytem kamień, jakby obrażona brakiem zainteresowania Hondelyka – mają do- syć. W końcu od świtu...

– Jeśli powiesz mi, panie, że nie czujesz niczego szczególnego w tej mieścinie... – Cadron chytrze zawiesił głos i przekrzywiwszy głowę popatrzył na rycerza.

Hondelyk wytrzymał chwilę, potem roześmiał się.

– No dobrze – czuję. Bije do niego jakaś aura, dziwna, pomieszana, skomplikowana. Dziwi mnie, intryguje, kusi...

– No, to tak trzeba było od razu mówić. – Cadron ściągnął wodzę, koń posłusznie odchylił głowę do boku, zrobił krok i ustawił się na wprost drogi do Fiollun. – Waści – jak mawiała moja matka – ani jeść, ani spać nie trza dawać tylko perypetie!

– Tak? Moja matka też tak mawiała. – Hondelyk na chwilę zamyślił się. – Dlaczego akurat dzisiaj przypomniałeś swoją matkę?

Zapytany wzruszył ramionami, jego koń zrobił pierwszy krok po drodze, zatrzymał się, ale jeździec nie zareagował w żaden sposób, wierzchowiec zrobił jeszcze jeden niepewny krok i – nie czując zakazu – poszedł odważnie do przodu. Hondelyk trącił lekko piętą swojego ogiera, koń ruszył, bez komendy wyprzedził obie klacze i wyszedł na prowadzenie. Jechali długą chwilę w milczeniu.

Okolice nie różniła się niczym od widzianych już i widywanych stale – wiosenne pola ze wschodzącymi odważnie zbożami, z tirlikającymi nad nimi ptakami; łąki, na których żarłocznie pożera bujną trawę bydło; kępy białych owczych stad z ujadającymi co jakiś czas brypheńskimi psami pasterskimi; gdzieś pod lasem zapilikał na fujarce młody pastuszek. Hondelyk odwrócił się do Cadrona.

– Zawsze chciałem mieć takiego psa – oświadczył z wyraźnym rozmarzeniem a nawet żalem w głosie.

– Zgłupiałby przecież – oburzył się Cadron. – Dopóki będziesz co i rusz zmieniał postać, na żądanie tego czy owego tchórza i za niego dokonywał...

– Przestań!..

– ... czynów rycerskich, bojowych czy honorowych, czy jakichś innych, do których nie ma ikry, a na które go stać, i które przydadzą mu się w jego biografii... – dokończył z naciskiem sługa, pamiętając, że nie raz już to mówił i że rycerz nie raz to słyszał. I że nie raz jeszcze będzie mówił o psie i czekał na racjonalną uwagę Cadrona. – Gdybyście zaniechali... Zamilkł i omal nie machnął z

rezygnacją ręką, ale przypomniał sobie, że jego pan nie lubi takiego "gdybania". Westchnął.

– A mnie się wydaje, że nieważne kto coś dobrego zrobi, kto przegoni rabusiów czyli też kto ubije zbyczzonego tura. Ważne żeby choć trochę świat oczyścić...

– Taaa... Wiem, nie bierzesz się do robót podłych, niepewnych, których celem jest zagarnięcie czyichś dóbr, wiem. Ale...

Umilkł, a po kilkunastu krokach machnął ręką kończąc dyskurs. Ujechali w milczeniu kilkaset kroków, droga zachybotła się od lewej do prawej i z powrotem, pokrywając dno płytkiego jaru między łagodnymi wzgórzami. Wspięli się nie zwalniając na przeciwstok i ujrzeni Fiollun. Mieścina wtuliła się w nieckę powstałą w podkowiaste w kształcie pasmo wzgórz, jak psiak w wybity ciałem matki dół obok budy. Hondelyk zatrzymał konia i chwilę przyglądał się domom, dymom, dachom. Większość z nich była kryta dachówką, część tylko – i to te na peryferiach – z drewnianym gontem lub z rzadka słomą. Pyrknął przez przymykane i otwierane na przemian usta.

– Nieciekawe – mruknął.

– To wiadomo było wcześniej – wtrącił z urazą Cadron. – Dlatego właśnie ciekawe – dokończył rycerz śmiejąc się przekornie i trącił wierzchowca piętą. Zakłusował nawet, ale zaraz wstrzymał konia. – Nie czuję tu jakiejś roboty dla siebie, ale też... Hm... Coś tu jest – po- kręcił głową. – Coś dziwnego, ale niezupełnie mi obcego.

Zamyślił się i przestał odzywać a sługa uszanował milczenie rycerza. Bliżej granic miasta pojawiły się sady, duże, obficie i różnokolorowo ukwiecone, wielogatunkowe i wieloodmianowe. Zadbane. To widać było z daleka. Hondelyk rzucił okiem na owocowy dostatek i więcej nie patrzył, Cadron dok- ładnie obejrzał sady, policzył na palcach gatunki i z podziwem pokręcił głową. Zaraz w pierwszej linii domostw ujrzał kręcący się wokół własnej osi, wiszący nad drzwiami jednego z domów, drewniany kloc z zaostrozonym jednym końcem i z wyżłobioną mozolnie niecką na drugim.

– Mówiłeś, panie, że cyrulika byś chętnie odwiedził, oto okazja – wskazał dłonią.

– A tak, słusznie.

Hondelyk podjechał pod drzwi, wyskoczył z nich bojek, chwycił rzucone wodze, poczekał na Cadronowe i nieśmiało uśmiechnąwszy się poprowadził konie do stajenki. Rycerz przeciągnął się i stęknął. Kiwnął głową, weszli.

– Mistrzu! Golenie – dwa razy, migiem. Mycie głów – dwa razy, też pośpiesznie. Poślij chłopaka do karczmy po dwa garnce piwa, a to musi być wykonane najszybciej. No! – Hondelyk usiadł w krzesło i energicznie uderzył głową w oparcie wysokiego zydlu. Cyrulik mruknął coś do chłopaka i podszedł do Hondelyka, do Cadrona zbliżył się inny chłopak, znacznie od pierwszego starszy i widząc wahanie w oku klienta zręcznie zakręcił otwartą brzytwą wokół palców, a ponieważ kiedy skończył miał je wszystkie – Cadron skinął głową z aprobatą, usiadł i przymknął powieki. Zdziwił się słysząc głos swojego pana:

– Piękne macie tu sady, a szczerze mówiąc nie słyszałem byście słynęli z owoców. Od kiedy tak się zabraliście do tego zajęcia?

– A?

Cadron otworzył oczy, w odbiciu zobaczył niespokojne spojrzenie czeladnika rzucone na mistrza; ten, już dotykając prawie brzytwą policzka klienta, odsunął ostre narzędzie, zmarszczył w namyśle czoło, potem, gdy już znał odpowiedź, pomyślał chwilę jeszcze raz i dopiero odpowiedział:

– Sześć lat będzie.

Zamilkł. Hondelyk otworzył oczy i przyjrzał się cyrulikowi uważnie i dwakroć: raz w odbiciu i korzystając z chwili przerwy w mydleniu – bezpośrednio. Chłop był jak chłop, jak barber – szczupły, giętki, starannie ostrzyżony i wygolony do błysku. Rycerz zaczerpnął powietrza i zaczął jeszcze raz:

– Wojewodą któż tu jest? Nie Kalehan? Takie potężne chłopisko, z blizną od ucha do ust? Gębę sobie rozdarł jak kiedyś przez płot skakał?

– On. Ale bliznę zakrywa wąsikami, broda mu nie rosła, więc wąsy za– puścił.

Zamilkł. Cadron postanowił gruchnąć z grubej rury, tak żeby golibroda wreszcie zajął się tym, czym od zarania dziejów zajmują się barberzy. Plotkami.

– A żona Kalehana? Podobnie zadaje się z młodymi...

– Panie, my plotkami się nie zajmujemy i wam nie radzimy! – gwałtownie przerwał cyrulik.

"Nawet jeśli rzeczywiście cyrulik w tym mieście nie zajmuje się plotkami – pomyślał Cadron – to i tak nazbyt gwałtownie reaguje na zaczepki." Popatrzył na Hondelyka, rycerz oddał mu zaniepokojone i zaciekawione spojrzenie. Długą niezręczną chwilę chrzęściły tylko pod brzytwami golibrodów zarosty gości, potem rycerz zapytał:

– Jakies dobre mydło do włosów masz?

– Dobre? Ja mam znakomite! – ożywił się mistrz. – Sam skomponowałem z kilku składników. Mydło i trefidło w jednym. Myje znakomicie, delikatne i od razu nasycza włosy wyciągiem z tataraku, chnei, brześca, pokrzywy i dynki. Za przeproszeniem waści, ale tępi wszy znakomicie, i mendoweszki. Największe damy do mnie przychodziły żebym im głowy umył – dodał i zaraz umilkł skonfundowany umieszczeniem wzmianki o największych damach tuż obok informacji o pasożytach.

Umilkł. Jednocześnie Hondelyk poczuł, że bezbłędnie dotąd operująca po jego policzku brzytwa drgnęła. Minimalnie, nie zacięła, ale jednak jej płynny bieg został zakłócony. Rycerz odchrząknął.

– A już nie przychodzą? Te damy? – Nie, już nie.

– Może za daleko od śródmieścia? Może zacznij sprzedawać w naczyniach swoje szwarc-mydło-trefidło?

– Próbowałem. – Mistrz na tyle energicznie pociągnął po szyi od grdyki do czubka brody, że nawet siedzący o trzy kroki od niego Cadron zrozumiał, że temat nie jest mu miły.

– No to musi do chrzanu – prychnął Hondelyk.

"Zdekapituje mnie – pomyślał. – Albo wywlekę zeń wszystkie jego cyrulikowe sekrety, łącznie z tajemnicą i alkowy Kalehana i recepturą tego specyfiku".

– Nie. – golibroda odsunął się o krok jakby nie był pewien swych reakcji. – Jest świetne. – I jakby na chwilę zrywając jakieś pęta wyrzucił z siebie gwałtownie: – Kiedyś rzucę to cholerne miasto, wyjadę i gdzie indziej zbiję fortunę! Bo tu... Tu... – zatchnął się, machnął ręką i umilkł.

Czeladnik odczekał chwilę i widząc, że mistrz na dobre zamilkł odetchnął z wyraźną ulgą. Hondelyk wyciągnął rękę spod okrywającego go prześcieradła, pociągnął się za ucho odchrząkując trzy razy. Cadron zrozumiał: "Już nic więcej nie rób", w tym przypadku: "Nie pytaj". Zamknął oczy, w ciszy oddał się goleniu a potem myciu włosów. – Niezłe, rzeczywiście – powiedział Hondelyk wstając z fotela, dotykając jedną ręką włosów, a drugą wyciągając z kieszeni cztery srebrne monety.

– Może mi patent sprzedasz, skoro sam nie masz z tego korzyści?

– A co mi po pieniądzach tutaj? Żebym tylko podatek płacił? – ponuro burknął cyrulik.

W tej samej chwili do izby wpadł zdyszany chłopak z dwoma garncami w ręku. Przystanął i odetchnął głęboko. – Wybaczcie panie, ale karczmarz musiał zejść dopiero...

– Dobrze, postaw i zmiataj! – warknął barber.

Chłopak postawił piwo na stole i okręciwszy się na pięcie zniknął. Hondelyk wskazał piwo palcem.

– Wypijcie, mistrzu. Oby wam humor poprawiło... – i do Cadrona: – My się i tak wybieramy do gospody. Konie nam tam przyprowadźcie, dobrze?

Karczma znajdowała się o kilkadziesiąt kroków od golarni, wyglądała o niebo lepiej niż setki

podobnych sobie, w podobnych miastach. Na przykład – czyste ściany z zewnątrz, nie po wczorajszym bieleniu, a mimo to bez charakterystycznych smug wieczornego i nocnego moczu podchmielonych gości, i sprośnych napisów, i malunków. Cadron popatrzył znacząco na pana, ale Hondelyk ściągawszy brwi wpatrywał się w budynek, niemal węszył; zanim wszedł zrobił kilka kroków w bok, żeby zerknąć na podwórko i stajnie. Przechwycił czujne spojrzenie towarzysza, wzruszył ramionami. Weszli do środka przygotowani na niespodzianki i dlatego nie zdziwiła ich czystość izby, biały fartuch karczmarza, lśniące ławki, wyskrobane do białości blaty stołów, ziołowy, niezwykajny w karczmach zapach. Przy jednym ze stołów dość ponuro siedziała piątka miejscowych z niewielkimi naczyniami w splecionych dłoniach. Spojrzeli na wchodzących z ciekawością a karczmarz chyżo okrążył kontuar, strzepnął śnieżnobiałą ścierką najbliższy stół, wskazał go zapraszającym gestem przybyłym. Jednocześnie westchnął ciężko. Jakby nie wie– dział: cieszyć się z gości, czy też martwić ich najściem.

– Piwa dostaniemy? – zapytał Hondelyk.

– Specjalne, miejscowe. Trochę słabsze – zatrajkotał oberżysta. – Ale uczciwie warzone...

– Skosztujemy – powiedział rycerz siadając. – Mięsa jakiegoś daj, i gorącego i zimnego. Jakbyś miał jabłka moczone w occie, jakieś grzybki, hę?

– Z mięsem, to... tego... Dzisiaj wtorek, nie wolno mi mięsa sprzedawać, ale mam znakomitą kielbasę serową, ogóreczki twarde i jędrne, soczyste; knedle ziemniaczane z grzybami i kapustą. Sieldź, jakiej często, panie, nie spotkasz. Kwas razowy, ostry jak kosa...

– To i dawaj po kolei, jak dla siebie – zarządził oblizując się Hon– delyk. Odpiął rapier i położył w poprzek stołu, przy lewym łokciu. – A kto mięso aresztował? Kalehan?

– Dzie tam! On sam cierpi... – Karczmarz chciał coś dodać, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Zabolał go chyba, bo uśmiechał się niez– darnie, gdy gnał na zaplecze.

Cadron nieznacznie oszacował spojrzeniem grupę z pięciu fiolluńczyków. Siedzieli niezbyt radośni, choć pora była sprzyjająca zabawie – sobotnie późne popołudnie; obmacywali palcami swoje kufle i kielichy, ale rzadko sięgali po nie, by wlać zawartość do gardeł. Pochylił się do pana, chcąc podzielić się tą informacją, ale Hondelyk skorzystał z jego zbliżenia i mruknął:

– Czy mi się zdaje, czy oni zachowują się jakby nie mieli pieniędzy na następny kufel?

– Właśnie tom chciał rzec – szepnął zmartwiony jego spostrzegawczością Cadron. – A biednie nie wyglądają...

– Może...

Przerwał, bo nadszedł a właściwie nadbiegł karczmarz z tacą. Za nim kłusowała dziewczyna w szarej sukni z zapiętym pod szyją kołnierzem; na głowie miała chustkę zakrywającą szczelnie głowę aż do brwi, tak, że nawet nie widać było jakiego koloru ma włosy. Rozstawiła sprawnie talerze, kufle, kilka małych dzbanuszków z korzennymi przyprawami, oberżysta w tym czasie zręcznie naciachał plastrów ciemnego, prawie czarnego ostro pachnącego sera, zaszlachtował kilka chrzęszczących ogórków, ułożył je na podkładzie z marynowanych liści rzepy, baldaszków kopru i brzeńcechy, kiszonych rzodkwi, chrzanu, jabłek, pomidorów i grzybów. Oddzielnie wyłożył zawinięte wo kół rzodkwi i ogórka płaty dalekomorskiej sieldzi, tłustej, grubej, korzennej. Między Cadronem i Hondelykiem dziewczyna porozkładała miseczki, w których można dostrzec było paprykę, agrest utarty z czarnym pieprzem, szałwin z grochem i kukurydzą i jeszcze coś, i jeszcze coś. Trzy gatunki pieczywa: puchową pszenną bułkę, żytnio-razowy i ciemny greyhayemski. Kłęb aromatów uderzył w nozdrza gości, zerknęli na siebie i rzucili się do pałaszowania. Karczmarz odsunął się o krok i z wyraźną przyjemnością wpatrywał w łapczywie zajadających Hondelyka i Cadrona. Dziewczyna również usunęła się, poprawiła chustkę na czole, a rzucający akurat na nią

przyjazne spojrzenie Hondelyk zobaczył, że pod czystą chustką ma wysmarowane sadzą czy też węglem czoło. Zjadł do końca ogórek, przekąsił jajem, sięgnął po drugie i nagle olśniło go. Powstrzymał się, żeby nie wbijać znowu spojrzenia w dziewczkę, przełożył plaster sera jarzynami, ugryzł i kiwając z aprobatą głową popatrzył w naturalny sposób na karczmarza a potem równie naturalnie na dziewczynę. Schowała już czoło pod chustką i nic nie zobaczył, obdarzyła go natomiast trochę smutnym uśmiechem, odwróciła się i odeszła. Karczmarz również odchrząknął z zadowoleniem i skinąwszy gościom poszedł za szynkwas.

– Może nie wolno im? – mruknął w końcu Hondelyk.

Cadron prychnął z niedowierzaniem. Hondelyk skinął głową dwa razy wiedząc, że zostanie to właściwie odczytane – czyste i nie biedne ubrania piątki gości szynku nie wskazywały na tak prozaiczną przyczynę ich wstrzeźliwości jak brak funduszy, musiało to więc być coś innego. Zakaz? Jedli przez chwilę w milczeniu, grupa miejscowych oszczędnie łyknęła z kufli również nie przerywając milczenia. Zachowywali się, jak gdyby nie do oberży przyszli, ale do domu żałoby, choć chyba – tak wydało się Hondelykowi – trawiła ich zwyczajna w takim czasie i w takim miejscu gorączka sobotniego wieczora. Rycerz odetchnął głęboko, sięgnął po cieniutko nałupane drewnianka do dłubania w zębach, chwilę manipulował końcem jednego w ustach a potem, sapnąwszy, sięgnął do kufła i pociągnął zeń. Z boku wyglądało jakby zamierzał opróżnić naczynie duszkiem, ale po dwóch łykach gwałtownie przestał pić, oderwał usta od brzegu naczynia i zadziwiony popatrzył w jego wnętrze. Przeniósł ostre zaskoczone spojrzenie na Cadrona, potem na karczmarza, ale ten nie zauważył, że gość szuka u niego wyjaśnienia jakiejś kwestii. Hondelyk popatrzył na piątkę miejscowych, uniósł kufel i pokazał im go, jednocześnie pytająco unosząc brwi i brodę do góry. Czworo z zapytanych opuściło wzrok, ale piątemu drgnęły ramiona i dolna warga, gest stary jak woda, ogień, powietrze i wiatr. Cadron zrozumiał, że jego pan potrzebuje mocniejszego wsparcia w zamierzonej prowokacji, umyślnie ostrożnie skosztował piwa i jęknął:

– Co to jest? – Rozejrzał się teatralnie. Znalazł wzrokiem gospodarza. – Po lichu, karczmarzu, wodę rozcieńczasz wodą!?

Oberżysta zamrugnął oczami, przejechał spojrzeniem po suficie tam szukając jakiejś pomocy i nie znalazłszy oblizał wargi, oblizał raz jeszcze, odchrząknął, jeszcze raz oblizał wargi:

– Taką mam nakazaną moc. Innym być nie może...

– A kto ci zakazuje warzyć uczciwe piwo? Ha! Istnieje przecież edykt obowiązkowy w tym kraju? Tak? – Hondelyk przechylił swój kufel i z lekkim obrzydzeniem zerknął do jego wnętrza. – Kto ci... – Przerwał i zaczął inaczej: – Skąd wiesz jakie ma być piwo?

Karczmarz z wyraźną goryczą pokiwał głową: – Już ja wiem – powiedział wzdychając przeciągle na zakończenie.

I popatrzył na Hondelyka, jakby chciał powiedzieć: "Lepiej byś, panie, nie wiedział. Nic to dobrego". Sięgnął po szklanicę, chuchnął na jej bok i zaczął ją zaciekle pucować. Po chwili oderwał się od swego zajęcia, nabrał powietrza do płuc, ale w ostatniej chwili powstrzymał się i wydał z siebie tylko dziwne hmyknięcie. Zza jego pleców wynurzyła się dziewczka, za nią wyszła druga, podeszła do stołu tubylców i przetarła go czystą ściereczką. Trzecia dziewczyna, wszystkie trzy identycznie ubrane – chustki i skromne suknie – zajęła się szynkwasem.

– Dobrze, pal diabli piwo – powiedział wesoło rycerz. – Jużem splukał gardło, ale teraz – mruknął swawolnie do Cadrona – przydałoby się coś mocniejszego. Żeby sieldź nie myślała, że ją świnię jedzą, che-che!

Jego kompan zawtórował rechotem. Karczmarz jakby zbladł, a od stołu piątki miejscowych dobiegło wyraźne szlochliwe chlipnięcie. Cadron nie zauważając reakcji obecnych zamachał do

karczmarza:

– Hej, dajże-no nalewki żołądkowej!

– N-nie... – zająknął się zrozpaczony oberżysta. – Nie mam – dokończył drżącym głosem.

– Coś ty powiedział? – W skamieniałej ciszy zapytał wolno, groźnym głosem Hondelyk. – Jak to? – Odczekał chwilę. – Poderżnę ci za chwilę gardło – zagroził, ale karczmarz milczał. – Jaką masz wódkę? – wrzasnął.

– Żad... Żad... Żad-nej...

– No-o-o toś, bracie, stracił w tej chwili certyfikat na karczmę – wycedził Hondelyk. – Natychmiast zamelduję w izbie cechowej, niezwłocznie! Tyle jeszcze będziesz tu siedział ile potrwa wylanie całego tego świństwa. – Podniósł do góry dzban z "piwem" i patrząc w oczy karczmarzowi wolno przechylił i wylał zawartość na podłogę. Popatrzył na kałużę i powiedział oskarżycielskim tonem: – Nawet się nie spieniło. Hańba!

– Ja... – szynkarz wyprostował się. Zacisnął zęby, jego oczy strzeliły urazą. – To nie ja! – krzyknął.

Popatrzył na miejscowych, jakby u nich szukał wsparcia. I otrzymał je.

– To nie jego wina – wydusił z siebie ktoś za plecami Hondelyka.

I jakby przerwało to tamę, drugi głos potwierdził wcześniejszy, i trzeci, i kobiecy, jeden i drugi.

– Nie winny on...

– Każdy na jego miejscu!..

– Nie mógł inaczej...

– Wcale go to nie cieszy, i nas też!..

– Co by to był za szynkarz...

– ...a i my też byśmy...

Hondelyk wolno rozejrzał się po karczmie a pod jego spojrzeniem, choć wcale nie taki był jego zamiar, gasły protesty. W końcu jego pytanie rozległo się w zupełnej ciszy:

– No to kto?

Ciszę, jaka zapanowała w izbie, można było zmierzyć na łokcie. A potem dziewczyna, ta z brudnym czołem, powiedziała wyzywającym tonem:

– Sheilerd!

– Hm... – odpowiedział jej po chwili namysłu Hondelyk.

– No właśnie – rzuciła jeszcze bardziej hardo dziewczyna. – Wszyscy mocni, póki nie usłyszą z kim mają do czynienia.

Dziwnie zachowywała się jak na dziewczynę z karczmy. Sama to poczuła i zdecydowała się brnąć dalej, bo wycofać się bez tłumaczenia już nie można było.

– Powtórzę "hm", bo po prostu imię to nic mi nie mówi – powiedział z uśmiechem Hondelyk. – Ani się go nie boję, ani nie lekceważę. Nie rozumiem po prostu... Dziewczyna wciągnęła i przygryzła dolną wargę. Mocno, ale nawet się nie skrzywiła. W izbie cisza aż załomotała w uszach. Karczmarz poruszył się, dziewczyna podniosła rękę.

– Nie, ojcie, trzeba opowiedzieć...

– No to ja! – powiedział z mocą szynkarz. Zrobił krok i objął dziewczynę, a potem przesunął ją w bok i za siebie. "Ach, ojciec!" zrozumiał Cadron. "Ojciec i córka, podobni przecież są!". – Ty się nie mieszaj... Przynajmniej nie więcej niż już się mieszasz... – Podeszedł bliżej do stołu i powiedział: – Powinienem w takiej chwili postawić na stół coś godnego, ale same takie berbeluchy mam w piwnicy, że... Aa-ch... – machnął ręką.

– Nic to dziwnego, każdy oberżysta ma lepsze i gorsze trunki – powiedział spokojnie Hondelyk

od niechcenia nabijając na czubek noża dorodną rzodkiew, obejrzał ją ze wszystkich stron, wolno włożył do ust i zaczął gryźć z chrzęstem słyszalnym mimo zamkniętych ust.

– Tak, ale ja mam tylko te najgorsze. Wstyd mi, nie tak prowadziłem ten zajazd... – westchnął. – Cztery lata temu, dokładnie cztery lata, siedem miesięcy i czternaście dni, przyjechał do nas człek, który kazał się nazywać Sheilerd. Na oko normalny, trochę chudy, skromne odzienie, tylko oczy mu się paliły. Najpierw stanął na kwaterze u mnie, a potem przeniósł się do wdowy Gadki. Że niby u mnie hałas, śpiewy, tańce, pija, szcżą i... tego... siano rzyciami dziewczynskimi młóca... Co tam dysputować – wszystko to prawda, ale niech no mi kto pokaże karczmę, gdzie się nie pije, nie śpiewa, nie kurzy fajki i wszystko inne? – Rozejrzał się po izbie. Miejscowi z zapalem przytaknęli jednakowymi ruchami głowy, w oczach załśniło im miłe sercu wspomnienie. Hondelyk zerknął na Cadrona, jakby chciał go przestrzec, żeby przypadkiem nie strzelił czymś w rodzaju: "No, chyba właśnie jesteśmy w oberży?!". – Zaczął po miesiącu nas namawiać, wszystkich, każdego z osobna i razem, i Kalehana, żebyśmy skromniej żyli, ale... Nikt go po prawdzie specjalnie nie słuchał – okolica bogata nie jest, co tam biedaka do skromności namawiać!? Jeszcze miesiąc później przyszedł tu kiedyś wieczorem, w sobotę, pełna karczma ludzi była... – Oczy zamgliło mu wspomnienie, zmarszczyło czoło. – Siedział w kącie, te jego ślepia mu się jarzyły jak koboldowi, potem zaczął pouczać kogo się dało: najpierw dziewczęta, żeby się tak nie pochylały nad blatami, bo to nieskromnie...

– Najpierw czepił się Hozego, że mu w twarz czośkiem zionie! – poprawił karczmarza jeden z gości. Poderwał się od swojego stołu i podszedł bliżej. – Potem mu gadał, żeby tyle nie pił...

– No tak, ale to nieważne – powiedział niezadowolony z przerwy karczmarz. – Najpierw Hoze, potem dziewczyny, potem wskoczył na stół i zaczął do wszystkich przemawiać – że niby picie nie wolno, kopcić tytoniu, gzić się, kraść i obgadywać i jeszcze coś, ale chłopcy zaczęli gwizdać i nie było go słychać. Inny by się uspokoił, ale on ciągle przeszkadzał, nie dawał dziewczynom roznosić tac, strofował pijących, wyszedł nawet na dwór i tam przemawiał do szczących... Potem – bo nikt go nie słuchał – doczekał do chwili przerwy w pieśniach, jeszcze raz wskoczył na stół i zaczął grozić. Nie powiem – nawet zrobiło się cicho, tak groźnie zaczął gadać. Mówił, że uruchomi gosthy i puniry, które będą nas karać za grzechy, za mord, złodziejstwo, cudzołóstwo, bicie słabszych, za picie wina i okowity...

– Za obłapianie dziewczek! – wtrącił się ten tubylec, który przypomniał sobie Hozego. W jego głosie słychać było zgrozę i żal. – Tak!

– Tak, to też – zgodził się karczmarz. – W każdym razie długo mówił, aż Hoze ściągnął go z blatu i dał w pysk, ot, żeby się przymknął. Ta-ak... I to był początek naszego teraźniejszego życia. Myśmy się śmiali z Sheilerda, a następnego dnia zaczęły się dziać u nas dziwy i cuda. Najpierw to był powód do chichotu, bo tak – przychodzi na przykład Hoze rano, kwasu żąda – wszystko dobrze. Po chwili uszczypnął dziewczynę w zadek i zawołał o flaszkę wódki – i dostał w pysk. Rzucił się do bójki, ale nie było z kim, knajpa jeszcze pusta, nie wiadomo kto go strzelił w japę. Nalał sobie kielich, do ust – bęc, w mordę! Coś go biło za każdym razem, gdy wyciągał ręce do dziewczek i wódy. Potem przyszli inni goście, pośmiali się z Hozego, ale ich też zaczęło to samo od trunku odstręczać. Wieczorem przybiegł bełkocący Rajek. Stał w progu i krzyczał, że coś mu żonę zabiło. Pobieglim tam, a ona leży – goła, w ich stajni, na słomie, zlana krwią, blada i zimna. Kiedy tam staliśmy, jak zamurowani, zza słupa wysunął się blady i też goły Truwol. Wszyscy zrozumieli co się stało – kobieta Rajka wielu chłopaków obdzieliła swoimi wdziękami, ale Truwol jąkał się i bełkotał coś, że to nie on ją zaszlachtował. Nikt mu nie uwierzył, najpierw go chłopcy trochę poszturchali, potem odprowadzili do komory w rynku i zamknęli. A on gadał cały czas, że niby tylko się zaczęli obłapiać

jak coś niewidzialnego na nich runęło, jego odrzuciło a ją jakoś tak przygniotło, że krew z niej buchnęła i po zabawie. Dwa dni tak siedział i mamrotał aż się przydarzyło to samo – kobita zaczepiła parobka, wciągnęła do łóża i stało się z nią to samo co z Rajkową. I jeszcze byśmy nie wiedzieli co to jest, ale Sheilerd dumny przyszedł na plac i wszystko nam wyjaśnił – goshy i puniry będą od tej pory czuwały nad naszym zacnym żywotem. A kto nie będzie przestrzegał cnót – na karę się narazi, odpowiednią do przestępstwa. Pamiętam jak się zrobiło cicho w rynku, a on nam wyłuszczał wszystko – co za cudzołóstwo, co za kradzież, co za plotki, oszczerstwa, przekupstwo, bluźnierstwo, gwałt...

– Nikt mu chyba nie uwierzył! – wtrącił się rozgorączkowany miejscowy. – Myśmy się rozeszli do domów zadziwieni, ale chyba nikt nie zamierzał go słuchać. Ale już w nocy okazało się, że niektórzy własną skórą pobierali naukę, co znaczą puniry i goshy. A potem zrobiło się jeszcze gorzej – te niewidzialne diabelstwa najpierw karały za każdy grzech inaczej, za lekki lekko, za cięższy – ciężiej, ale potem – popatrzył na karczmarza i zmarszczył brwi – gdzieś po miesiącu, prawda? – Karczmarz skinął głową. – Sheilerd ogłosił, że jesteśmy oporni, że goshy nie nadążają, i że będą ostrzej karały, żeby szybciej nas nauczyć jak godnie żyć. Taki, cholera, dobroczyńca...

– I zabiły Kantię! – powiedziała dziewczyna.

– Zabiły Kantię – zgodził się karczmarz. – Za śpiewanie sprośnych piosenek. Wiecie? Tu, w okolicy, zawsze się śpiewało taką "Poleczkę cwana"; no, jak sobie chłopcy popiją to i świętują trochę, prawda? Każdy chyba z Fiollun znalazł się w tej piosence, wszystkie urodziny, śluby, pogrzeby... Taka śpiewana kronika miasta, tyle że sprośna... No, a Kantia tu trochę śpiewała u mnie w soboty. I poleczkę też czasem... Aż zaśpiewała i na naszych oczach chlustnęła z niej posoka. Koniec...

Jeden z piątki, wciąż jeszcze siedzący przy swoim stole poderwał się i zatrajkotał:

– I to wtedy się zaczęło naprawdę! Okazało się, że już nic nie można – okłamiesz żonę – ktoś niewidzialny ćwiczy się batogiem przez kwadrans, podbierzesz owoce nie ze swego sadu – duch wyrywa ci dwa palce, napijesz się okowity – dostajesz takiego kopa w bebech, że cię wywraca na nice. Wszystkiego nam zakazał! Obgadywania, puszczenia bąków...

Cadron nie wytrzymał i roześmiał się.

– To nie jest śmieszne – powiedział spokojnie karczmarz. – Chłop soczewicę chętnie jada i groch. No to jak ma sobie potem nie ulżyć? Musi. A tu puniry dźgają go czymś, jakby rozpalonym prętem w zad. Później przez cały tydzień krwawi z rzyci. To się robi taka głupawka – chłop nie bzdzi, bo się boi, ale w końcu kiedyś musi, bo pęknie. Jak kiedyś popuścił cichacza – był spokój, teraz wszyscy wstrzymują się tak długo aż nie mogą i przez to w kółko pierdzenie słyszać głośne.

– A poważniejsze przewiny? – zapytał Hondelyk.

– No, pewnie, nikt tu już nikogo nie morduje, choć i wcześniej nie było tu ludobójców. Ale jak wojewoda skazał jednego na karę ścięcia – kat odmówił. Śniło mu się, że jak dotknie skazańca... – Oberżysta obrazowo przejechał kantem dłoni po gardle. – Wojewoda musiał skazanemu zagrozić, że spali go na stosie, dopiero morderca sam pociągnął za sznur, a wtedy ciężka kłoda opadła i zgruchotała mu krzyże. A ile przedtem było kombinowania jak go zabić, żeby sam się zabił?... – wzruszył ramionami. – I fakt – nie ma gwałtów, nikt żony nie bije, bo mu ręka usycha... – popatrzył na jednego z klientów. – O, ten próbował, Kintup... – wskazał go brodą.

Mężczyzna podniósł się i wyciągnął przed siebie prawą rękę, palce sterczały sztywno we wszystkie strony, jak niekształtna wiecha. Trzymał ją tak chwilę.

– Czy to sprawiedliwe? – powiedział wysokim głosem, falsetem nieomalże. – Raz ją tylko piznąłem, raz! Jajko rozgniotła, to co miałem tylko patrzeć jak się rusza niczym krowa po izbie?!

Piznąłem i o! Teraz ani do siewu, ani do orki, ani do sadu; dzieciśka głodne, stara ryczy cały czas, sama przyznaje, że z jej winy... Tfu! – Splunął na podłogę i nagle szarpnął się wystraszony swoim zachowaniem. Wytrzeszczył oczy, zniekształconą dłoń przycisnął do piersi, nerwowo rozejrzał się dokoła. Wszyscy umilkli, miejscowi również rozglądali się po suficie i na boki. Cadron też zerknął za siebie, ale – przyłapał się na pewnym rodzaju żalu – nic tam się nie ruszało, nie skakało, nie przypalało i nie hałasowało. Kintup delikatnie schylił się i niemal bezgłośnie usiadł. – Ot i wszystko – powiedział szeptem.

– A Kalehan? – zapytał Hondelyk.

– A on siedzi cicho w dworku i udaje, że go cieszy takie życie. Raz na tydzień, po niedzielnym obiedzie z Sheilerdem, głośno gada jak to dobrze teraz tu jest, i tyle. Ale my go pamiętamy wcześniejszego – nie taki tłusty, ale fajny był chłop, sprawiedliwy i życiowy, a teraz to on już nic nie ma do gadania i do roboty. No bo co? Wojewoda Starchi powiedział podobno do niego: "Jak tacyście święci to płacicie!" – i płacimy wszystkie możliwe podatki: dochodowy, placowy, drogowy, spadkowy, chorobowy, a jeszcze podymne, bykowe, pogłównne... Grzecznie i terminowo płacimy, to po co komu wójt? Kalehan to rozumie, ale co ma robić? Jeszcze trochę i Starchi powie, że wójt tu niepotrzebny. Bo i prawda – od dawna nikt nas nie najeżdża, bo nikt głupi nie jest, żeby z gosthami i punirami zadzierać...

– Babka Sanitreba walczyła... – powiedziała córka karczmarza.

– A tak, ale co to za walka? – roześmiał się z goryczą ojciec. – Ziołami do ognia sypała, coś mamrotała... Kto tam wierzył w jej duchy? – zapytał sam siebie i sam sobie odpowiedział: – Nikt i nigdy. A gosthy co innego, prawie każdy coś po nich ma... – Umilkł, zerknął na swój prawy przegub, przeżuł coś, a w każdym razie poruszył żuchwą. – Zawsze tu mieszkała, tak nam się przynajmniej wydaje... Uroki odczyniała, może i rzucała, kto ją tam wie. Leczyła trochę ludzi, porody przyjmowała, no i te tam... Wiadomo dziewczki czasem do niej biegały... – Oberżysta wyciągnął przed siebie lewą dłoń, trzasnął w nią kantem prawej. – Koniec! Po dwóch miesiącach Sanitreba zniknęła, albo się wyniosła jakiejś nocy, albo ją gosthy...

– Gdzie tam się wyniosła – ponuro powiedział ten najrozmowniejszy z miejscowych. – Przesz za sam zamiar można stracić kończybę.

Nastała głęboko cisza. Ten z miejscowych, który pierwszy wtrącił się do opowieści karczmarza westchnął, podciągnął spodnie i wrócił na swoje miejsce. Energicznie sięgnął po swój kubek i przechylił nad owartymi ustami, ale nie spłynęła z niego ani jedna kropla; porywczym gestem wyciągnął kubek w kierunku oberżysty, nagle jakby się opamiętał – pokręcił głową, odstawił kubek i usiadł.

– Powiedz jeszcze – jak już tak plotkujemy, i tak nas kara spotka... – Dziewczyna stanęła obok ojca – ...jak się teraz gosthy zachowują. – Z wyzwaniem wysunęła brodę do przodu.

Karczmarz szarpnął głową, trochę jak koń przesuwający kantar. Wysunął dziewczynę przed siebie.

– Te pomioty Sheilerda się nudzą – powiedział cicho. – Od roku nic się u nas nie dzieje, wszyscy żyją jak sobie tego Sheilerd życzy. Więc od niedawna gosthy zaczęły tak się zachowywać, jakby się nudziły – podstawiają nam nogi na schodach, zupełnie bez powodu, przysięgam. Przypalają tyłki, gdy się z żonami ten-tego... Ona... – Popatrzył na córkę. Dziewczyna szarpnęła chustkę, pod nią miała różnokolorowe włosy i całe czoło upstrzone siniakami. – Co i rusz co ładniejsze dziewczyny mają oblewane głowy jakimiś farbami, co i rusz jakaś niewidzialna zołza wycina jej szc lutka w czoło... – Zacisnął zęby, dziewczyna hardo podniosła do góry głowę.

Hondelyk uśmiechnął się do dziewczyny, odpowiedziała mu uśmiechem, naciągnęła chustkę na

włosy, ale już nie nasuwała jej tak starannie na czoło.

– Nie daj boże wejść na drabinę w sadye – odezwał się trzeci z odważniejszych miejscowych.

– Na pewno ni stąd, ni zowąd zachwieje się i spadniesz jak grucha! Już cztery razy tak się waliłem.

– Jak się Maawemu dom palił – szybko dorzucił Kintup – cała woda z wiader chlustała nam z powrotem w twarz!

– A wiatr kołował tak, że nikt nie wiedział, którą chałupę polewać, żeby się ogień nie przedostał.

– A Kalehanowi ostatnio ktoś ciągle do jedzenia dorzuca bobków kozich... – zachichotała dziewczyna.

Po raz pierwszy roześmiał się ktoś z miejscowych.

– Po co? – zapytał Cadron.

– Bo za tłusty się zrobił, tak puniry uważają!

– Widziałem też capa, którego ktoś niewidzialny w zad kopał! – krzyknął czwarty z miejscowych. – Musi nie do swojej kozy się zabierać!

– Szaleją jakby się urwały z powroza!

– No, dość-dost! Idą tu inni goście. – Karczmarz oderwał spojrzenie od okna, wyciągnął szyję, uniósł rękę i powstrzymał otwierającego już usta Kintupa. – Goście już wiedzą jak żyjemy, sam nie wiem dlaczego tak się rozgadaliśmy. I sam nie wiem dlaczego jeszcze nikt z nas nie wyje z bólu, może wy, panie, macie jakąś moc?.. – W miarę wypowiedzania słów rosła w nim nadzieja, słowo "moc" wypowiedział niemal modlitewnym szeptem, jak zaklęcie, modlitwę..

– Na pewno nie – energicznie i wiarogodnie zaprzeczył rycerz.

Oberżysta westchnął, przypomniał sobie coś, poderwał głowę, ale nie zdążył nic powiedzieć.

– Czego się boisz? Mów, przecież donosicielstwo jest karane? – zapytał Hondelyk. – Nikt nie rozpowie Sheilerdowi.

– E-e-e... – Karczmarz podrapał się po głowie. – Masz rację, panie – parsknął cichym, ale niewesołym śmiechem. – Chociaż gadanie z wami też... – Jeszcze raz chwycił czuprynę i szarpnął na boki. – No tak... Ale jacyś już tacy jesteśmy od tych nieszczęsnych czterech lat, że sami nie wiemy kiedy i czego się bać...

– I czy w ogóle trzeba się bać – powiedział cicho Hondelyk.

Gdy otwierał usta trzasnęły drzwi i do izby weszli czterej nowi goście, nikt nie usłyszał słów rycerza. Przybyli pociągali nosami, podchodzili do szynkwasu, odbierali zwyczajowe kubki z rozcieńczonym piwem i szprycerem z wody i kilku kropel wina, odchodzili i siadali na ławach. Córka oberżysty poszła w kierunku drzwi do kuchni, ale nagle zawróciła i podeszła do Hondelyka. Pochyliła się.

– Czy ja was dobrze, panie, usłyszałam?

– Myślę, że dobrze – uśmiechnął się Hondelyk.

– Aha.

Uśmiechnęła się nieśmiało i energicznie ruszyła na zaplecze. Hondelyk popatrzył na Cadrona.

– Zapłać i jedziemy.

Cadron skinął głową, ucieszyła go ta wiadomość. Sięgnął do kabzy, wyjął kilka srebrnych monet i położył na stole. Hondelyk mrugnął na co Cadron szybko dołożył jeszcze dwie monety, rycerz mrugnął jeszcze raz, tym razem z aprobatą, wyciągnął do góry rękę, ściągnął na siebie uwagę właściciela karczmy i wskazał mu pieniądze na stole. Oberżysta ruszył dokoła szynkwasu. Kiedy mijał drzwi do kuchni omal nie zderzył się z córką. Wyszła z zaplecza z odkrytą głową, trzymając w ręku kantorytkę, skromnie zdobioną, ale o ładnym kontrastowo intarsjowanym dekle i o dwa tony

jaśniejszym odeń szpiглу. Karczmarz odskoczył od córki jakby zobaczył zjawę, wytrzeszczył oczy. Dziewczyna minęła go i poszła w kierunku stołu pod oknem. Hondelyk trącił Cadrona w ramię i wskazał drzwi. Wstali i ruszyli w kierunku wyjścia.

– Nie pamiętasz, co się przytrafiło Kantii!? – krzyknął oberżysta.

Cadron przepuścił w drzwiach Hondelyka, obejrzał się.

– Będziemy śpiewały po jednej zwrotce – powiedziała dziewczyna siadając na brzegu stołu i układając instrument na kolanach. W drzwiach pojawiły się dwie inne dziewczyny, również miały zdjęte chustki i dumnie trzymały różnokolorowe głowy i spuchnięte niebieskofioletowe czoła. – Wszystkich nas nie pozabija – rzuciła dumne i pytające spojrzenie na wychodzącego Hondelyka, ale tylko Cadron to zobaczył.

Puścił drzwi, szybko poszedł do stajni, osiodłał konie, wyprowadził przed karczmę. Hondelyk podziękował uśmiechem, wskoczył w siodło. Ruszyli przed siebie, nagle z karczmy dopadło ich:

Jedna dziewczyna dworska, zawsze niedomyta,

Parobek ją cmoknął – wyciągnął kopyta!

Cadron zerknął na rycerza. Hondelyk uśmiechnął się tajemniczo.

– Kiedyś siodłał konie nasłuchiwałem się tej poleczki cwanej – powiedział. – Kunsztowne – trzeba przyznać – są niektóre zwrotki. Lud ma dar do takiego nagromadzenia i takiej kompozycji słów plugawych, które nikomu poza nim nie przyjdą do głowy...

– A-a-a... – Cadron obejrzał się przez ramię, chwilę jechał niemal tyłem, ale nic się nie działo. – ...Czy ja dobrze zrozumiałem twoją radę? Bunt?

– Opór.

– Opór? A co to da? Przecież opierali się, na początku i za to właśnie zaczęli być karani...

– Nie. Karani zaczęli być za niegodziwe – czyimś zdaniem – życie. A teraz radzę im opór, nie dlatego bym pochwalał czkanie w towarzystwie dam, czy cudzołóstwo, ale dlatego, że nikt ze śmiertelnych nie ma prawa do ferowania wyroków co jest dobre, a co złe. Opór dla zasady. A potem, rzeczywiście – bunt.

– A oni będą za to karani – prychnął Cadron.

– Chyba tak. Może jeśli wezmą się wszyscy razem, to ofiar nie będzie zbyt wiele, ale jakieś na pewno będą.

– A jeśli się nie wezmą?

Rycerz wzruszył ramionami. Chwilę jechali w milczeniu.

– Zło żywi się biernością. Im dłużej będą zwlekać tym ciężiej będzie się ruszyć i tym więcej wysiłku będzie należało włożyć. Ale to konieczne. Chyba że chcą być baranami prowadzonymi na postronku od urodzenia do śmierci.

– Chyba by mi się nie podobał taki wybór.

– Wyboru – przyznaję – nie ma. Muszą tak postąpić dla własnej godności i może dla innych. Żeby to się nie powtarzało, żeby Sheilerd nie próbował tego samego w innej wiosce, mieście. Z całym światem.

– On uważa, że ma dobre zamiary?..

– W piekielnej otchłani najwięcej jest takich, co mieli dobre zamiary. Cadronie... – Hondelyk odetchnął głęboko, ziewnął. – Nie da się ludzi ulepszyć, uzdrowić, uszlachetnić jednym ruchem zaczarowanej dłoni. Słyszałeś – jak zakążesz cichego puszczenia wiatrów, to się je będzie puszczało głośno, bo mus.

– No, zły to przykład – zaproponował Cadron. – Inne rzeczy, zbrodnie weźmy, nie są przypisane człowiekowi; nie musi gwałcić, kraść, mordować...

– Pewnie, przykład zły, masz rację, ale ludzie nie szlachetnieją na rozkaz. Widziałeś kogo złego, kogo by nawrócono karami, czy przykładem? Nie, musi sam dojrzeć, wtedy to będzie trwała i pewna zmiana. Ludzi nie można wychowywać na siłę, to znaczy – można, ale efektu nie będzie.

Jechali chwilę w milczeniu.

– Czyli co?

– Co? Mieszkańcy grodu pewnego dnia chwycą za widły i cepy i zatłuką albo przegonią Sheilerda i będą obgadywali, klęli i pili. I długo jeszcze, wiele pokoleń urodzi się i zemrze, i dopiero – może – wtedy pewne skazy znikną, może bezpowrotnie...

– Dopiero kiedyś tam będziemy lepsi?

– Tak sądzę.

Kilkadziesiąt końskich kroków przejechali w milczeniu.

– Taką mam nadzieję...

Królewska roszada

Blady świt. Któryś z kramarzy usiłuje przy pomocy zestawu pochodni przyśpieszyć nadejście dnia i klienteli, na dodatek chlapanął na kwacze jakimś specyfikiem, który być może działa na insekty, ale też na pewno kopie potężnie w nozdrza.

– Chodźmy stąd, Cadronie – jęknął Hondelyk robiąc cierpiętniczą minę.

– O nie! Taki targ? Nie po tom się z tobą kłócił pół dnia, nie po tom wywalczył o dzień późniejszy odjazd, prawda?..

– Ughp! – Żeby teraz, zanim rozkwitnie bazarowe święto, wyjeżdżać! Niedoczekanie...

– W-hughtp?

– Rozumiem, panie, twoją zamaskowaną stęknieniami ocenę – może i cuchnie tu, bo – jak pieśń głosi... – Cadron zaczerpnął powietrza i zanim Hondelyk zdążył go powstrzymać zaśpiewał mocnym falsetem: -...Za-a-anim nocne mgły opadną, trzeba ruszyć w stronę gó-óór...

– Twój dobry humor jest mocniejszy niż smród i niżli on mi miłszy, ponadto jest w lepszym guście niż wystawione tu towary – rzucił zgryźliwie Hondelyk z niesmakiem rozglądając się po otoczeniu. – Ale tego samego nie powiedziałbym o głosie, który – i owszem – mocny jest.

Cadron zachichotał i wprawnie oraz bez szacunku dla pospólstwa rozgarniając ręką tłum ruszył do przodu.

– Mam sentyment do takich targów – oznajmił przez ramię. – W moim rodzinnym Terpin Gorze były takie co tydzień. Uwielbiałem myszkować po nich, gapić się na tancerki z Barsolaine, na juryńskich zaklinaczy węży, cyrki pcheł...

– Ha! Tu musiało przyjechać ich sporo, ale artystki im się rozbiegły – wskoczył mu w słowo Hondelyk. – Przynajmniej po zajeździe.

–... smakując kwaśne kichy, serbet z beczek, zimny, słodki i aromatyczny – ciągnął Cadron nie zrażony sceptycyzmem rycerza.

– To minione – zaoponował Hondelyk – Nie ma już...

Cadron gwałtownie się zatrzymał, wyciągnął w górę szyję i zaczął węszyć. Uciszył szybkim uniesieniem ręki w górę towarzysza, niczym czapla kręcił głową we wszystkie strony, po czym runął w bok machając zachęcająco ręką. Rozgarniany przez niego tłum natychmiast po przejściu zwierzał szeregi, ale przed Hondelykiem ponownie sam i to sprawnie rozsuwał się na boki. Wysoka postać, długimi krokami połykająca przestrzeń, chociaż niosąca uśmiech na twarzy, wymuszała szacunek na plebsie; nawet po jej przejściu korytarz zarastał wolniej niż po Cadronie. Ten tymczasem zanurkował pod kilkoma płóciennymi dachami i zniknął z pola widzenia rycerza. Gdy Hondelyk zbliżył się do pierwszego z szeregu owych kramów jego właściciel zrobił minę, jakby chciał przesunąć cały stragan, ale nie zdążył, bo Hondelyk powtórzył manewr Cadrona i ominął oddychającego z ulgą kramarza. Cadron stał już przy niskim tłustym spoconym mężczyźnie w zatłuszczonym pierwszy raz kiedyś przed laty i niepranym od tej pory kitlu. Pierś, pulchne ramiona i okrągła, niemal beznosa twarz wystawała ponad przesiąkniętą tłuszczem, ale wyskrobaną do czysta ładę, a ze stojących po bokach tłuszczochaganów waliła para i – Hondelyk poczuł gwałtowny napływ śliny do ust – niebiański aromat. Cadron rzucił już kukowi monetę i teraz stał z wyciągniętą w niemal żebraczym geście prawą ręką, lewą opierał na ladzie i niecierpliwie wybijał palcami jakiś nerwowy rytm. Przesępował z nogi na nogę i nawet palce stóp wyginały mocną skórę na czubkach butów.

– Dawaj-dawaj-daw-daw-daw!.. – powtarzał jak działające tylko przy szybkim wymawianiu zaklęcie.

Tłuścioch zdążył już nienajczystszą ścierką spenetrować wnętrze wziętej ze stosu miski – Hondelyk szybko odwrócił wzrok, żeby nie zastanawiać się ścierka czy miska wygrają w konkursie brudu – i posapując wrzucił do niej cztery czarne napęczniałe kiełbaski. Zerknął na Hondelyka, sięgnął pod ladę i wyjąwszy płaskie pudło szybko otworzył je, zgrabnie wyszarpnął owalny śnieżnobiały talerz, nałożył pięć sztuk specjału, dołożył lśniący widelec z płaskimi zębami, nóż, i wszystko to podał z lekkim ukłonem Hondelykowi. Rycerz podziękował skinieniem głowy i trzymając talerz rozejrzał się dokoła. Cadron zerknął nań spod oka rozszarpując zębami pierwszą kiełbaskę i mruczając coś pod nosem.

– Chodźmy tam, na trawę – wskazał głową kierunek Hondelyk i ruszył pierwszy.

– Byhle niehalecho – wymamrotał z pełnymi ustami Cadron, ale potulnie podążył za panem.

Hondelyk pierwszy przekroczył niepisaną granicę targu, jeszcze krok temu był ścisk, gwar, nerwowa bieganina kupujących i machanie rąk sprzedawców, teraz, o krok zaledwie – spokojna zielona murawa, niewiele nawet śmieci, nieśmiałe słońce z góry.

– Rosa – oznajmił Hondelyk patrząc z góry na trawę. – A! – skrzywił się lekceważąco Cadron, skrzyżował nogi i runął na trawę całą uwagę poświęcając misce, potem jednak odstawił ją, zrzucił swój skórzany kubrak i rozścielił go na trawie dla Hondelyka. Nie czekając na podziękowania wrócił do łapczywego pożerania kichy. – Żeby tak się nie podniósł z tej trawy: zupełnie jak z dzieciństwa! – powiedział szybko, najwyraźniej chcąc usprawiedliwić swoje zachowanie.

Hondelyk pokiwał głową, usiadł na kubraku i ustawivszy talerz na udach ukroił kawałek i włożył do ust. Jeszcze raz pokiwał głową, ale już zupełnie inaczej.

– Nie mówiłem? – ucieszył się Cadron. Kończył trzecią kichę, szybko obejrzał się za siebie i uspokoiony widokiem targu odetchnął głęboko przed zaatakowaniem ostatniej już kiełbaski. – Oj, jak dobrze, że zostaliśmy – powiedział.

– Oj, dobrze – przyznał Hondelyk. – Rzeczywiście – rzadko... mmm... mamy okazje do takich... mmm... uczt. – W przeciwieństwie do Cadrona nie denerwował się, nie miał gorączkowych ruchów, jadł i mówił niemal nie przerywając i jedzenia i mówienia, ale gdy Cadron rzucił szybkie spojrzenie na talerz rycerza zobaczył, że zostały na nim tylko dwie kiszki. – Jest kilka takich prostych rzeczy, do których tęskni moje brzucho: braska z jarzębiny, nikt już takiej nie robi; gałuchy z knapami i jeruchą; sieniawy nie miałem w ustach od kilkunastu lat; karpia w glinie bym zjadł, ale nie spotkałem takiej gliny jak w ... – Zamyślił się na krótką chwilę i Cadron nie usłyszał, gdzie była najlepsza do karpia glina. Zamyślane spojrzenie rycerza omiotło najbliższą okolicę i odrobinę zmieniło się. Cadron wolno przekręcił głowę, żeby sprawdzić na co patrzy Hondelyk. – Toteż... – zaczął i nie dokończył rycerz.

Drogą, wzniecając niskie wężę kurzu, kołysząc się, poskrzypując i dzwoniąc jakimiś metalowymi częściami podążał długi pokraczny wóz. Od dachu w dół, z boków, zwisały długie kolorowe płachty z rysunkami dziwacznych zwierząt; płachty falując na wybojach powodowały, że stwory chwilami poruszały pokracznymi pyskami, a przy większym poruszeniu odsłaniały się na chwilę metalowe klatki, których to pręty dzwoniły właśnie na całą okolicę. Przez środek kopulastego dachu, niczym grzebień na grzbiecie puklerzowej jaszczurki, biegła wyszczerbiona przez deszcze i wiatry ścianka z jakimiś napisami. Gdy wóz zbliżył się, najwyraźniej kierując na targowisko, napisy stały się czytelne. "Niespotykane w okolicy okazy zwieźny! Kozan! Wąż dwugłowy! Szarsaki, glebojady i kichrony! Penterka (najokrótniejszy drapierznik Chajomy)! Inne zjawiska".

– Inne zjawiska. Na przykład bździna na wietrze! – zachichotał Cadron i wrócił do jedzenia.

Hondelyk odgryzł połowę przedostatniej kichy, odłożył talerz i nie spuszczać oka z wozu ruszył do punktu, w którym drogi jego i wozu miały się przeciąć.

– Wąż dwugłowy!? – rzucił przez ramię Cadronowi.

Cadron chwycił w palce kiszkę, nadgryzł i trzymając niczym ogarek świecy przed sobą pognął za rycerzem. Podeszli do drogi szybciej niż zbliżył się wóz, Cadron wyjął z kieszeni monetę i cisnął ją woźnicy. Chudy, niemal całkowicie łysy, ale z małą kępką spłowiałego włosia tuż nad czołem, chłopina chwycił monetę w locie, zdążając jeszcze przedtem ściągnąć lejce. Wóz rozdzwonił się i stękawszy stanął. Pod plandekami coś warknęło leniwie, a woźnica zeskoczył z kozła i ukłonił się. Najwyraźniej zamierzał wartko wyrecytować wyuczony tekst, bo zaczerpnął powietrza, ale wstrzymał go ruch ręki rycerza.

– Pokaż nam tylko węża – powiedział Hondelyk

Chłopina zrobił krok, pokiwał głową, przestąpił z nogi na nogę, szmygając jednocześnie nosem.

– Tu jest. – Zrobił dwa kroki i szarpnął do góry płachtę. Hondelyk i Cadron zbliżyli się. W długiej płaskiej klatce leżał zwinięty w kłębek czerwono-żółty wąż. – Po prawdzie – woźnica odchrząknął – drugą głowę odgryzł mu inny wąż. I zdechł, bo się zadławił...

Hondelyk prychnął przez nos i pochylił głowę nad klatką.

– Co ty mi tu smolisz – mruknął. – Zwyczajny parchawiec, tylko ma nieco inne ubarwienie, a ta narośl przed głową powstaje, gdy podczas wylinki nałoży mu się opaskę. – Nie odwracając się i nie patrząc błyskawicznie sięgnął w bok, cęgami palców chwycił za nos woźnicę i przyciągnął do klatki. Chłop uderzył uchem w górną krawędź i jęknął jak nadeptany kot. – Tak? – Chłop pisnął coś, Hondelyk zmienił chwyt – złapał za ucho furmana, przycisnął jego twarz tak mocno, że czubek nosa przedostał się przez oka siatki. – Parchawiec nie jest jadowity, ale przez rok po ukąszeniu żadna dziewczka, a nawet żona ci nie da.

Zaniepokojony wąż poruszył się, wyprostował kawałek ciała, woźnica rozdarł się wniebogłosy. Hondelyk puścił biedaka i pokręcił głową.

– No i widzisz? – powiedział z wyrzutem do Cadrona. – Zachciewa ci się kolorowych jarmarków, a to wszystko pozór, miszura i kant. Jeszcze się okaże, że kiszkę z jarzyn gotu...

– Panie!? – Cadron wolno wyciągnął rękę z końcówką kieszki, ale wcale nie zamierzał się nią dzielić. Wskazywał coś i perorujący rycerz przerwał w pół słowa i odwrócił głowę. – Na dachu... – podpowiedział Cadron.

Pod dużym pstrym napisem dumnie zachwalającym pokazywane zwierzęta biegł dużo skromniejszy i mniejszy. Głosił: "Natychniast i za dobre pieniądze kupię calameona. Chętnie bojowego. Zapewniam godziwe warunki życia i różne atrakcje". Hondelyk odetchnął głęboko, przeczytał napis jeszcze raz.

– Masz pieniądze na calameona? – zapytał.

– A dzie tam! – skrzywił się woźnica. – To nie ja, to nasz władca, Ttafeond. On wyposażył sześć takich wozów i rozesłał po świecie. Wszystkie mają szukać calamena, czy jak on tam... – splunął w pył drogi. – Wybaczcie, panie.

– Dawno to było?

– O, rok temu... Tak, rok temu mnie wysłał, powiedział gdzie mam jechać i żeby nie wracał póki nie znajdę. To i jeżdżę...

– Zawsze miałeś takie szachrowane zwierzęta?

Yyy... Nie, ale – panie – padają one, padają. Przecie to nie jest dla nich życie, nie? Klatka, panie, w spiekotę – żar i duchota, w zimie – mróz. Co ja się namordowałem... – Nagle chłopina chlipnął i sięgnął do oczu wierzchem dłoni. – Już bym wolał swoją karę... – pociągnął nosem i zamilkł.

– Zamiast kary masz jeździć?

Woźnica pokiwał głową.

– I sześciu was takich?

– Ta. Wzieli nas z lochu, sam Ttafeond nas zavezwał przed swoje oblicze i powiada: – "Jak mi, ścierwa, camelena nie przywieziecie to i wy i rodziny wasze w lochach zgnijecie. A który przywiezie tego tajemniczego zwierza – wieś sobie kupi. Rozumiecie? I pilnie. Żebyście wiedzieli – wieś dzielę na dwanaście kawałków, co miesiąc jeden kawałek zabieram. Im szybciej wrócicie z kamelenem tym więcej mieć będziecie". To co było robić?

– Rok temu to było? – zapytał Cadron. Wciąż trzymał swój kiszkowy ogarek, dopiero teraz przypomniał sobie o nim i włożył w całości do ust. – To juf niewiele byf doftał... – Zerknął szybko na Hondelyka.

– No tak, ale zawsze jeszcze jedna część zostaje – powiedział chłop. W jego głosie zaczęła pobrzmiwać nieśmiała nadzieja. – Czy może, panowie szlachetni, coś wiecie o tym gadzie? Cośkolwiek bynajmniej. Zawsze to by było coś. Do Ttafeonda pół dnia drogi, jeszcze bym... – Mówił coraz szybciej i szybciej, trajkotał jakby chciał zagłuszyć przeczącą odpowiedź, której się spodziewał.

– Cicho bądź – syknął Cadron

Popatrzył na Hondelyka. Rycerz stał wpatrując się niewidzącym spojrzeniem w odległe o rzut kamieniem targowisko, kręcąc na serdecznym palcu pierścień z seledynową, prawie niewidoczną na misternie rzeźbionym tle literą "X".

– Jak się nazywasz? – zapytał chłopca nie patrząc nań.

– Algobs, panie?

– Dobra, Algobs. Wracaj do domu, to znaczy – tam, gdzie ci kazał władca. Mamy wiadomości o calameonie, zawieziemy je Ttafeondowi. To powinno wystarczyć do twojej nagrody, a i tak innych lepszych wieści mu nie zawieziesz, więc szkoda mitręgi twojej i tych biedaków w klatkach. Wypuścisz je po drodze. – Sięgnął do kieszeni i rzucił woźnicy srebrną półszeflową monetę. Chłop rozdziawił gębę jakby chciał świat połknąć i zamarł nie wierząc własnemu szczęściu. – Tylko nie próbuj jakiegoś szwindla, znajdę i zatłukę. Powiedziałem – wracaj i czekaj nagrody.

– No, juści! Dyc pendze!

Chłopina jednym susem znalazł się na koźle, machnął potężnie batem, ale przypomniawszy pytania rycerza o los zwierząt i widząc jego uważne spojrzenie stłumił strzał z bata, starannie i łagodnie zawrócił i ruszył w przeciwnym niż zamierzał kierunku.

– Albo głupi... – powiedział Cadron. Przykucnął i wytarł zatłuszczone palce o trawę, z dołu zerknął na rycerza. – Albo potrzebuje was...

– Jak zwykle masz rację, Swatonie – mruknął zamyślony Hondelyk.

– Słucham?

– Nic-nic, tak mi się powiedziało. – Hondelyk zrobił krok, pochylił się, wyszarpnął długie źdźbło mierzchelnicy ze spiralnym kłosem. Strzepnął kłosem o nogawkę, gotowe do siewu nasiona trysnęły we wszystkie strony. Rycerz włożył do ust źdźbło i mocno przygryzł. – Ttafeond nas potrzebuje, tylko po co? Nie słyszałem o żadnej dla nas robocie... W państwie spokój...

– Ttafeond, słyszałem, chory. – Cadron dogonił rycerza i szedł obok niego z pewnym niepokojem zerkając na targowisko, jakby już tracił nadzieję na myszkowanie po nim. – I rośnie napór plemion Crulle..

– Tak... – Hondelyk obojętnie minął kubrak Cadrona i swój talerz z pozostałą kichą, ale nagle zatrzymał się. – Anim lekarz, ani mogę zatrzymać Crulle. Prawda?

– Praw... Ale! Gdybyś... – Cadron podszedł do skamieniałego w bezruchu rycerza i ściszył głos.

– Może on chce, żebyś podmienił władcę czarnych i przestał nachodzić Vernie?

– Cóż za karkołomny plan... I ile trzeba by siedzieć z dzikimi? Ile by trwało zanimby mnie zatłukli? Oni kochają najazdy – białe kobiety, skarby, konie, ubrania, pola... Nie, to nie to.

– No to... Hm, nic mi nie przychodzi do głowy...

– Mnie też. Chodźmy...

– Panie?

Hondelyk zrobił już dwa długie kroki, ale zatrzymał się i odwrócił. Cadron stał z bardzo przejrzyście wyrysowanym na obliczu wyrzutem. U jego stóp białiał talerz z tłustymi śladami na dnie. Prawa ręka Cadrona wskazała talerz.

– Przepraszam – powiedział Hondelyk uśmiechając się lekko. – Masz czas na harce po tym targu. Możesz się napchać... Nie, wiesz co? Ja też idę z tobą; do Ttafeonda pół dnia drogi, dojedziemy przed wieczorem. Potrzebuje nas – to przyjmie, a nie – poczekamy do jutra w stolicy. Idziemy.

* * *

Z wartowni wyszedł wąsaty, niski oficer, postawę miał nienaganną, sprężysty chód, broń przytroczoną tak, że nie ulegało wątpliwości – w razie potrzeby szybko i zrećcznie ją wyjmie; z całą pewnością nawet głupiec nie odważyłby się w oczy powiedzieć mu, że jest niziołkiem, a mądry nie rzuciłby takiego określenia również poza oczy. Lekko zmarszczył brwi i zasalutował Hondelykowi.

– Czy naprawdę mam pchnąć umyślnego do króla? – zapytał, a w jego głosie nad pytaniem przeważała nieśmiała radość. Widocznie Ttafeond często przypominał poddanym o swej zachciance.

– Jeśli takie było jego polecenie – wzruszył ramionami Hondelyk.

– Takie właśnie było, ale nie chciałbym niepotrzebnie...

– Ja mam wieści o calameonie, ty masz, oficerze, powiadomić o tym władcę. Cóż tu jeszcze mędrkować?

– No tak, zapraszam do wartowni – kapternus wskazał ręką drzwi i usunął się z drogi. Wychwycił spojrzeniem jednego z żołnierzy i skinął głową. Hondelyk spokojnie ruszył we wskazanym kierunku, ale zdążył zauważyć, że uruchomiony spojrzeniem oficera żołnierz zaczął wciągać na wysoki maszt długi wzorzysty proporzec. Inny wojak już trzymał w ręku wodze koni Hondelyka i Cadrona. Sprawa, pomyślał Hondelyk, rozwija się nadzwyczaj dobrze. Ttafeond musiał dbać o sprawność swojej armii, co nie dziwiło wobec nasilającego się naporu czarnych plemion. Chwilę potem jak goście i dowódca wartowni weszli do pomieszczenia, wpadł doń młody kadept, zasalutował z dużą wprawą i leciutką, w granicach przyzwoitości, nonszalancją.

– Jest sygnał! Gości doprowadzić natychmiast do pałacu!

Oficer zerknął na Hondelyka i widząc jego uniesioną brew zbeształ kadepta:

– Nie doprowadzić, a odprowadzić! Cztery dni w stajni poza...

– Przepraszam – wtrącił się Hondelyk – Jeśli można – kadept śpieszył się, jak sądzę, przekreślił słowo. My nie czujemy się poszkodowani, przysięgam.

– Hm, no... – Oficer uniósł jedną brew i skubnął wąs. – Tym razem... Tylko dlatego, że goście...

– Machnął ręką i purpurowy ze wstydu kadept zasalutował, tym razem absolutnie przepisowo i wyskoczył z pomieszczenia. – Na dodatek zasromał się jak panienka – mruknął kapternus. – Młodość, kr-r-ręcone jej warkocze! No, nic. Proszę za mną, zaraz wyznaczę przewodnika...

Ulice miasta były czyste i w większości brukowane, po śladach mioteł można było sądzić, że nałożono tu na właścicieli domów obowiązek utrzymywania czystości przed swoimi domami. Hondelyk nauczony doświadczeniem z innych miast kilka razy pociągnął nosem, ale nie wyczuł charakterystycznego odoru fekaliów wylewanych gdzie indziej po prostu na ulice. Pokiwał z

uznaniem głową, ale powstrzymał się od komentarzy. Na placu przed pałacem władcy, za podwójnymi murami rozłożyły się kramy z kwiatami i – co było niezwykle – każdy mógł na ten plac wejść. Cadron skwitował to aprobującym pomrukiem.

– Mnie też się to podoba – powiedział z przekonaniem Hondelyk.

– Zamek SČlcŘ. – Przewodnik bez słowa zatoczył ręką półokrąg, jakby proponował gościom kupno bukietu u którejś z kwiaciarek, a sam pocwałował ciężko, pobrzękując bronią do stojącego przy wewnętrznej furcie oficera. Szybko zasalutował i krótko poinformował o przybyszach, nie powstrzymując się od wskazania ich ręką, co było absolutnie zbędne, bo oficer słuchając go nie odrywał zaintrygowanego spojrzenia od nowoprzybyłych. Po wysłuchaniu meldunku zbył żołnierza niedbałym ruchem ręki. Rzucił okiem na podległych żołnierzy z prawej i lewej strony, przywołał najbliższego i krótko wydał polecenie; rozeszli się, oficer ruszył w stronę gości, żołnierz biegiem zniknął w bramie.

– Zmuszony jestem prosić o chwilę cierpliwości – powiedział dowódca przedpałacowej straży. – Umysłny już powiadamia króla o nadejściu informacji. – Westchnął prawie niezauważalnie. – Co prawda... – urwał.

Hondelykowi drgnęły brwi. – Czy będą kłopoty z uzyskaniem audiencji u waszego władcy?

Oficer pyrknął wargami, chwilę zastanawiał się lecz obowiązek utrzymania tajemnicy przeważał. Pokręcił głową, w milczeniu, ale z miną niepewną. Może coś w końcu powiedziałby, ale w bramie rozległo się metaliczne stukanie podkutych podeszew, oficer z wyraźną ulgą odwrócił się, zobaczył cwałującego w jego kierunku podwładnego i z jego miny odczytał wiadomość. Ruchem ręki skierował gońca na posterunek.

– Proszę tedy wskazać kierunek i – gdy Hondelyk ruszył w stronę furty – poszedł obok niego. Przy bramie czekał już zaawansowany wiekowo paż. Skłonił się przybyłym i bez słowa ruszył pierwszy. Oficer zasalutował. – Do widzenia panom.

Paż prowadził szybko. Musiał mieć w oczach wypisany pośpiech, bo ktokolwiek pojawiał się na drodze zniknął zdmuchnięty jego miną. Ci, co nie mieli dokąd uciec przyciskali plecy do ścian i wciągali brzuchy, niektórzy dodatkowo stawali na palcach. Cadron, idący z tyłu chrząknął znacząco, Hondelyk potarł prawą dłonią kark: "Zauważyłem". Paż zatrzymał się nagle przed odnogą korytarza, wnęką, w której mogły się zmieścić wygodnie najwyżej cztery osoby, a odgradzały od korytarza niskie do pasa, dwuskrzydłe drzwi.

– Liftiera – powiedział z pewną dumą paż trącając drzwi.

– Widzę – rzucił Hondelyk wkraczając za nim do wnęki. Podłoga zachybotwała się lekko. – Czy ktoś się zajmie naszymi wierzchowcami? – zapytał pażia lekkim tonem.

– Oczywiście – przewodnik chwycił kutas lśniącego jedwabście sznura i trzykrotnie szarpnął. Gdzieś pod nimi rozległ się dźwięczny głos gongu. – O ile wiem są już prowadzone do pałacowej stajni.

Podłoga pod stopami drgnęła i – niespodziewanie dla pasażerów – cała wnęka zaczęła posuwać się do góry.

– Koło wodne czy kierat? – zapytał niedbale Hondelyk spoglądając znacząco na Cadrona.

– Kierat, w stajni.

– Aha.

Przesunęli się w milczeniu przez przestrzeń korytarza piętro wyżej, potem przedelfilował przed nimi kolejny strop i zatrzymali się na poziomie trzeciego piętra. Paż odczekał chwilę i trącił drzwi.

– Już. Jesteśmy na miejscu.

Przeszedł kilka kroków w prawo, pochylił się na uchem wartownika, szepnął mu coś, na co

tamten skrzywił się, jakby chciał powiedzieć, że propozycja pazia nie ma sensu. Odsunął się jednak od drzwi otwierając je jednocześnie. Paż odstał od progu.

– Proszę, król oczekuje was. Tylko... – wskazał spojrzeniem rapier rycerza.

Hondelyk bez słowa odpiął pas i podał żołnierzowi, podniósł do góry obie ręce i pozwolił ręką wartownika myszkować po swoim ciele, Cadron poszedł w jego ślady. Wartownik skinął głową. Weszli do pokoju.

Światło było stłumione zasłonami, ale tylko stłumione, w gruncie rzeczy promienie słońca docierały do pokoju, ale nie raziły oczu Ttafeonda. Wspomagało je miękkie oświetlenie z wysokich i grubych, zakutych w przepołowione metalowe rury świec. Przyciągnęły na chwilę uwagę niezwykłym kształtem i wielkością, kute przez świetnych rzemieślników futerały również, ale gdy Hondelyk zauważył na kilku z nich podziałkę, zrozumiał, że ma przed sobą nieco udoskonalone albo udziwacznie zegary woskowe i stracił do nich zainteresowanie. Ściany pokrywały wesołe w tonacji i frywolne w treści sceny z polowań i – w przeważającej większości – po nich. Środek pokoju wolny był od mebli, pod ścianą z lewej biwakowało ogromne łóżko, obok niego przeżył wąskie nogi stół, obok którego zamarły na baczność smukłe, wysokie, lekkie i kruche krzesła. Po drugiej stronie łóżka ociążała wypoczywała grupa foteli, na podobieństwo brzuchatych kupców posapujących w swojej kompanii po jakimś szczególnie udanym kontrakcie. Na łóżku spoczywał stary mężczyzna, może nie stary – jak zaraz zauważył Hondelyk – ale zmęczony i... tak, wycieńczony chorobą. Skóra na twarzy wiotka i cienka, szarawa, marszczyła się, a układ zmarszczek wskazywał, po pierwsze, że chory często marszczy teraz twarz w grymasie bólu, po drugie, że kiedyś skóra pokrywała jędrną płaszczyzną umięśnioną twarz, skorą równo do śmiechu jak i grymasów gniewu. Obfite siwe wąsy kryły niemal całkowicie usta, ale nie były w stanie pokryć bruzd oddzielających policzki od nosa. A w bruzdach czaił się ból i cierpienie. Szare, bardzo jasne, by nie rzec: bezbarwne oczy Ttafeonda z zainteresowaniem i – tak to odczytał Hondelyk – z nadzieją wpatrywały się w gości. Rycerz skłonił się.

– Nazywam się Hondelyk, a to mój towarzysz Cadron. – Ttafeond mrugnął powiekami i nie odezwał się, ale mrugnął jeszcze raz i jeszcze, jakby ponaglając Hondelyka. – Dowiedziałem się, że szukasz, panie, kamelena...

– T-chak... – wychrypiął król. – Nie wiem, czy o tym samym zwierzu myślimy. W ofercie mowa była o bojowym calameonie, ja znam kamelena, ale to nie jest bojowe zwierzę, ono tylko naśladuje inne... Ttafeond poruszył się na łóżku, krzywiąc i cicho stękając podniósł trochę głowę, szarpnął się, uniósł górną połowę ciała i podciągnął w dół poduchy. Już pólśiedząc odetchnął głęboko. Poruszył prawą ręką, ale zaniechał wysiłków. – Nie potrzebuję żadnej paroty – powiedział mocniejszym głosem. – Nie mam na myśli naśladowania głosu – powiedział cicho Hondelyk. – Kamelen udaje całą postać, na przykład jadowite stwory...

– A xameleon? Z tyłu wetchnął Cadron, Hondelyk przygryzł dolną wargę.

– Xameleon?... – powiedział cicho. – To nie jest to samo...

– Nie jest – zgodził się król. Jego spojrzenie nabrało ostrości, część zmarszczek wygładziła się, głos odzyskał wiele z mocy, choć i tak co kilka słów robił przerwę, by odpocząć i zaczerpnąć tchu. – A skoro to wiesz, to... nie bawmy się w zawijańce...

– Wielu wie jaki jest...

– Nie! Umyślnie przekręciłem nazwę, a ty... przekręciłeś ją jeszcze bardziej. Chciałeś ostrożnie sprawdzić o co... mi chodzi, prawda? – Hondelyk milczał, Ttafeond stęknął, szarpnął rękoma koc i – mimo że ten przesunął się odsłaniając kościste stopy – zdołał usiąść. – Powiedz mi... że się nie myłę! – zażądał Ttafeond.

– Nie mylisz się, królu...

– W takim razie... Nie, czekaj. – Ttafeond zaczął wyglądać jakby zaczerpnął jeszcze trochę sił z niewidocznego i nieznanego innym dotychczas zasobu. – Zawołaj, proszę, wartownika – poprosił Cadrona, a gdy ten spełnił polecenie i zaniepokojony żołnierz wpadł do pokoju król poruszył brwiami i rozkazał: – Migiem odnaleźć Zingute, niech rozkaże... podać tu poczęstunek dla gości. I dla mnie. Niech też pogoni konsyliście, ma tu... być za chwilę z tymi swoimi driakwiami. Goń!

Żołnierz przełknął oszołomienie i wypadł jak burza z sypialni władcy. Ttafeond sapnął kilka razy. Poruszył lewą brwią, wskazywał – jak się okazało – kierunek: – Siadajcie, proszę. Siadajcie... – a gdy Hondelyk rozsiadł się wygodnie, ale nie okazując spoufalenia, w fotelu i gdy usiadł Cadron Ttafeond oznajmił patrząc przed siebie:

– Potrzebny mi jest xameleon. Bardzo potrzebny. – Zrobił kilka chrapliwych oddechów, kwitując każdy głębokim stęknieniem. – I szybko. Natychmiast. To trudne warunki, przyznaję, ale wynagrodzenie proponuję królewskie, albo i większe...

Z wysiłkiem uniósł głowę i popatrzył na Hondelyka. Rycerz, ze zdumieniem, zobaczył w jego oczach głęboką żarliwą prośbę. Przełknął ślinę, chcąc zyskać na czasie chrząknął dwakroć i odezwał się:

– Do czego ten mimikrant może być potrzebny królowi Ttafeondowi?

Kończąc pytanie rozejrzał się po komnacie, Ttafeond dobrze odczytał jego intencje:

– Tu nikt nas nie podsłuchuje. Komnata jest otoczona ze wszystkich boków moimi żołnierzami, również z dołu i z góry. Można – jeśli się ma co – powiedzieć wszystko. – Hondelyk milczał, więc władca kontynuował: – Słyszałem o nim, że może wcielić się w każdą postać i robi tak dość często. Nieważne, czego dokonuje pod cudzą postacią, walecznych czynów od niego nie żądam...

A czego?

– Miałyby się stać mną... – powiedział król mimowolnie i wbrew temu, co sam przed chwilą powiedział o niemożności podsłuchu ścisząc głos. – Zastąpić mnie – sprecyzował szeptem.

Hondelyk spokojnie patrzył w oczy króla, nie poruszał się i nie odzywał. Ttafeond minimalnie skinął głową.

– Mówić dalej? – zapytał

– Tak, panie. Przecież już wiesz, że to ja jestem xameleonem.

Ttafeond uśmiechnął się i otworzył usta, ale otworzyły się drzwi i niemal wbiegł przez nie wysoki, pająkowato poruszający się mężczyzna. Zatrzymał się zaraz za progiem, niecierpliwie zatrzaskał drzwi i popatrzył na króla. Ttafeond zerknął na Hondelyka, wolno odwrócił głowę i oznajmił:

– Jest. Jest – powtórzył z triumfem. – To on!

– Twój pomysł się sprawdził, królu... – Miał głęboki dźwięczny głos, zaskakujący przy szczupłej posturze. W charakterystyczny sposób wymawiał "r", długo, soczyście, niemal wzbudzając rezonans w lekkich krzesłach.

– Ale nawet nie ma wąsów...

Hondelyk odruchowo dotknął górnej wargi, rzeczywiście – nie było na niej wąsów. Zobaczył, że wysoki mężczyzna przyglądał mu się badawczo.

– ... ale to nieważne. Panie... Jak cię zwać?

– Hondelyk.

– Hondelyku, to jest Zingute, moje zaufanie, moja wierność, trochę nadzieja. Prędzej bym sam siebie zdradził niż on by to zrobił, tak więc zna cały mój plan, a zaraz i ciebie z nim zapoznam...

Ttafeond zrobił przerwę na złapanie oddechu, a Zingute uniósł rękę, jakby nakazując milczenie,

drugą otworzył drzwi i wpuścił piątkę służących ze stosami nakryć, potraw i napojów na tacach. Ttafeond nie krył zniecierpliwienia, ale nie odezwał się, ani – prócz gniewnych błysków wyblakłych oczu – nie ponaglał służby. Za nimi wsunął się na zielono ubrany mężczyzna, zręcznie zmieszał w pucharze rozcieńczonego wina dwa jakieś proszki, biały i karminowy, wymieszał zawartość łyżeczką i bez słowa łynawszy z pucharu wytarł jego brzegi i podał królowi. Ttafeond wypił krzywiąc się. Konsyliasta uklonił się i zniknął. Król wytrzymał aż do wyjścia służby, gestem ręki zaprosił do stołu, ale sam odmówił, gdy Zingute przysunął doń wąski stolik i nie naprzykrzał się gościom, którzy zignorowali stół.

– Zingute – sapnął widząc, że – jak na razie – nikt nie zamierza korzystać z obficie zastawionego stołu. – Zapoznaj gości z moim planem... – Jeszcze chwila, przepraszam –

powiedział Hondelyk. – Żebym nie zapomniał – nagroda za kamelena należy się Algobsowi.

Zingute skinął głęboko głową. I zaczął mówić:

– Jesteście w Vernie, największym kraju południowego brzegu morza Śródziemnego. Na zachód od nas są trzy mniejsze kraje, na wschód – pustynia. Na południu, niestety, mamy coraz silniejsze plemiona Crulle, czarni ludzie. Zawsze był to problem Vernie, i Analass, i Mant, i Syurney, i – chociaż częściowo leży po drugiej stronie cieśniny – Zrugan Formalo. Jeszcze kilkanaście lat temu Crulle byli dokuczliwi, ale nie niebezpieczni. Kilka garnizonów, regularny pobór do wojska, taka tradycyjna ciepła granica, można by powiedzieć. Ale władca jednego z plemion zjednoczył kilka okolicznych wsi, potem inne i miał wizję.

Ttafeond zachrypiał, najwyraźniej chciał energicznie wtrącić się do rozmowy, ale wystarczyło mu sił tylko na zachłystnięcie się własnym oddechem. Kaszląc pokręcił głową i trzepotliwym ruchem ręki poprosił Zingute, by kontynuował.

– Ten drań wymyślił sobie, że zaleją najbliższe kraje, do których, na szczęście, częściowo dostępu bronią góry i pustynia. A gdy je podbije ruszy na drugi brzeg morza i w głąb kontynentu. Od tej chwili dokuczliwi tylko dzicy sąsiedzi stali się śmiertelnie niebezpiecznymi myślącymi wrogami; już nie chodziło im o stado bydła czy trochę broni zdjętej z zabitych żołnierzy. Uparcie i w przemyślany sposób drażą nasze drogi, rozpoznają nurty rzek, słowem – przygotowują się do wojny nie do serii potyczek. Teraz mają tam silniejszego niż kiedykolwiek władcę, syna owego stratega, Hurwe. Nie będę się rozwodził skąd, ale wiemy na pewno, że w przyszłym roku ruszą na nas, potem rzeką na Analass, a jeśli ich plany się powiodą, to znaczy jeśli wygrają z nami wojnę, będą mieli otwarty szlak korytem rzeki, wąwozem w górach i Mantę zaleją bez trudu. Potem Syurney, też się nie obroni. Więcej zachodu mogą mieć ze Zrugan Formalo, ale będą już mieli wyspy, z których nań ruszą. No a potem dalej jeszcze. Tak – z przesłuchań jeńców i naszych przemyśleń – wygląda plan Hurwe. Musieliśmy przyznać, że jest to najlepszy plan, jaki dzicy mogli wymyśleć.

– Nawet... – Ttafeond zamachał ręką, Zingute zamilkł a król odetchnął spazmatycznie i dokończył: – ...nie powinniśmy już o nich mówić dzicy!

– Tak... – zgodził się Zingute. Popatrzył na Hondelyka, ale rycerz nie zareagował na jego spojrzenie. Zausznik Ttafeonda popatrzył na władcę, król wpatrywał się w przeciwległą ścianę i najwyraźniej wsłuchiwał we własne ciało, własny ból, który najwyraźniej właśnie teraz go zaatakował. Zingute wpatrywał się chwilę w króla przygryzając wargi w napięciu, a widząc wyglądające się odrobinę zmarszczki wokół oczu, zrozumiał, że ból ustępuje i kontynuował: – Gdy już byliśmy pewni zamiarów Hurwe...

– Nie próbowaliście usunąć tego stratega?

– Tak. Nie udało się. Biali nie mają szans do niego dotrzeć, chyba że związani jak szynka, na chwilę rozmowy przed ugotowaniem. A czarni wielbią go jak boga i żaden nie podniesie nań ręki. To

znaczy – przekupiliśmy kilku degeneratów, ale nie dotarli do Hurwe.

– Nie ma żadnych wrogów?

– Już nie. Zjadł ich. I nawet się nie spał. – Zingute pozwolił sobie na leciutki gorzki uśmiech.

– Acha...

– Tak więc... Gdy poznaliśmy plany tego diabła zaczęliśmy tworzyć koalicję przeciwko Crulle. Wiemy, że sami nie oprzemy się zalewowi czerni, a nasi sąsiedzi nie wierzą w dalekowzroczność Hurwe, sami nie są napadani, bo chronieni przez góry i wszystko – jak na razie – skrupia się na Vernie. Im dalej od Crulle tym trudniej przekonać leniwe i syte kraje, że niedługo zabiorą im ich zasoby i popędzą do pracy w pustyni. Albo zaczną zjadać ich samych w miarę znikania zapasów. Od dwu lat jednak nasze usilne starania zaczynają przynosić rezultaty, władcy czterech krajów zaczynają dostrzegać niebezpieczeństwo, ale z różnych powodów jeszcze nie zdecydowali się przystąpić do koalicji...

– Czy to jakaś specjalna koalicja? – Hondelyk wychylił się do przodu i uważnie wpatrywał w Zingute

– Tak... – wychrypiał Ttafeond – Nie ma sensu wiązać się bardziej lub mniej wątlym tylko wojennym sojuszem, czarni już nie ustąpią. Ktokolwiek będzie ich władcą będzie parł na północ. Marzą... Marzą im się nasze skarby, nasze kobiety, nasze konie, bydło... Dlatego postanowiłem – wzorem, przyznam Hurwe – dążyć do trwałego zjednoczenia pięciu krain. Wtedy bylibyśmy bezpieczni i silni, najsilniejsi po tej stronie morza, a kto wie... – zakaszłał i przez chwilę wstrząsały nim spazmy. – ... może najsilniejsi z w ogóle nadmorskich krajów.

– To dobry plan – pochwalił Hondelyk

– Tak, tylko że ja umieram i – jestem pewien – nie dożyję nawet do ostatecznego spotkania władców pięciu krajów. Wiedziałem, że rokowania będą trwały długo... Wiedziałem, że jestem chory i dlatego rozesłałem gońców w poszukiwaniu ciebie, a teraz jesteś mi... nam potrzebny jak nigdy dotąd... Za trzy tygodnie zbierają się wszyscy władcy i nieodwołalnie trzeba będzie podjąć decyzje. Ja już w tym nie będę uczestniczył, pakt nie dojdzie do skutku. Natomiast gdybyś ty mnie zastąpił... Myślę, że mógłbyś po prostu stać się Ttafeondem, na długo, na ile zechcesz?.. – Wychylił się i zachłannie sięgnął ręką dłoni Hondelyka. – Pomyśl – zostaniesz królem! Jeśli wszystko pójdzie jak zaplanowałem, to nawet władcą koalicji, potęga! Żaden z pozostałych władców nie jest wystarczająco silny, na dodatek nie mają nawet godnych następców. Będiesz miał – owszem – trudne władanie, ale piękny cel przed sobą, to nie mordowanie smoków i pojedynki w cudzym imieniu, prawda? Prawda?

Hondelyk milczał, Ttafeond stęknął, poprawił się na poduszkach, ale niecierpliwym gestem odegnał zamierzającego mu pomóc Zingute.

– Powiedz! – zażądał król.

– To się nie uda...

– Uda się! – prawie krzyknął Ttafeond. – Wszystko przemyślałem. Zastąpisz mnie, dziś, jutro, pojutrze... – Pałace spojrzenie utkwił w twarzy Hondelyka. – Jest taka gra, gdzie można figurę zwaną Dziedzicem zastąpić inną, to się nazywa rosza. A mnie zostało kilka godzin, dopiero teraz czuję, że trzymało mnie przy życiu czekanie na xameleona, ale już zużyłem wszystkie możliwe zasoby, koniec. Nie mam następcy, miałem... Mój syn pokłócił się ze mną, wyjechał chyłkiem... Nie wrócił. Jeśli nie ja – to nic się nie uda. A tak... To proste – Zingute ci pomoże, zastąpisz mnie, będziesz udawał przez jakiś czas chorego Ttafeonda, potem, stopniowo, odzyskasz siły, odbędziesz rokowania, zmusisz pozostałych do trwałej ugody i będziesz walczył z Hurwe. Pokonasz go, na pewno. Z flotą Zrugan Formalo i Syurney, która może zaatakować czarnych od tyłu, z piechotą Manty... Musimy ich

pokonać! Wtedy...

– Wybacz, panie. To niemożliwe. Nie mogę tak długo zastępować ciebie, ani kogokolwiek...

– Ależ... – Ttafeond zachrypiał, szarpnął głową. Poleciała do tyłu, błysnęły białka oczu, król tracił przytomność. Obaj goście i Zingute rzucili się do władcy, ale niespodziewanie, gdy głowa opadła na poduszkę źrenice oczu skierowały się znowu na Hondelyka, wskazujący palec wskazał go. – Widzisz? Umieram... Musisz podjąć się tego zadania, dla dobra kilku państw, dla własnego...

Hondelyk pokręcił głową. Król jęknął, wydawało się, że tym razem naprawdę wpadnie w omdlenie, ale jeszcze raz żelazna wola zwyciężyła słabość, sił miał już jednak niewiele. Zdołał tylko wyszeptać:

– Magia-a...

– Nie, królu, to nie magia. Nie jestem czarownikiem, nie mam cudownego amuletu, mam, owszem, kilka przedmiotów, do których – jak każdy człowiek – jestem przywiązany i trochę wierzę, że przynoszą mi szczęście. Ale kiedyś ich nie miałem, a i tak mogłem udawać innych ludzi. To jakaś szczególna właściwość mojego ciała, nie wiem jak to się dzieje. Ale na pewno masz czy miewasz na dworze komediantów i widziałeś jak udatnie niektórzy naśladują inne postacie, jednak nie wszyscy. A ja jestem najlepszym na ziemi komediantem. Najszybciej uczę się nowej roli, najszybciej wcielam się w graną postać, robię to najlepiej ze wszystkich ludzi, ale to tylko tyle.

Hondelyk mówił wolno, podkreślając głosem szacunek dla Ttafeonda, uważnie obserwował twarz władcy i widział jak w miarę mówienia znika z oczu nadzieja, pojawia się smutek i żal po straconym na czekanie na xameleona czasie. Gdy skończył mówić Ttafeond szepnął:

– Trudno, niech tak będzie...

Zaskoczony Hondelyk wyprostował plecy i z góry wpatrywał się w króla.

– Nieważne czy jesteś magiem czy nie, nieważne... Musisz odegrać tę rolę, przynajmniej przez miesiąc, póki... póki... – z rozpaczą w oczach popatrzył na Zingute.

Sługa pośpieszył z wyjaśnieniami:

– Jeśli uda się na spotkaniu władców tych pięciu krajów zjednoczyć je, to Ttafeond może już nie być potrzebny. Ma – co prawda – prawo domagać się dla siebie korony, z całej koalicji jesteśmy najsilniejsi, ale może od tego odstąpić. Mój pan chce powiedzieć, że bylebyś podjął się udawać jego przez miesiąc, miesiąc i kilka dni?..

Ttafeond jęknął i skinął głową. Hondelyk otworzył usta, chcąc odmówić, poruszył głową, chcąc wspomóc słowa ruchami głowy, jednak desperacja bijąca z oczu mierającego króla zamurowała mu usta.

– Pięć lat układam wszystko – wychrypiał Ttafeond I nie było wątpliwości, że słuchają jego ostatnich słów. – Od dwóch lat walczę z niemocą, tylko dla jednego celu, powinienem być pochowany pół roku temu... Ale czekałem na ciebie, musiałem czekać... I teraz mi... odmawiasz?.. Błagam! – Palce jego lewej ręki pomaszerowały w stronę Zingute, sługa zrozumiał czego chce król, chwycił za rękę, podparł plecy władcy własną dłonią, Ttafeond usiadł i ciężko chrapliwie dysząc wpatrywał się jarzącymi oczami w rycerza. – Wszystko ułożone...

– Jeśli nie chcesz... Jeśli nie możesz długo być królem – wynagrodzisz siebie jak zechcesz. Nasz skarbiec jest twój, do końca życia... – Zingute zawahał się, ale dokończył: -... do końca życia nie będziesz musiał nikogo udawać...

– Wszystko macie ułożone? – zapytał szybko Hondelyk. Najwyraźniej w ogóle nie słuchał Zingute.

– Tak! – Zingute pokiwał energicznie głową.

– Dobrze. Zgadzam się...

Obecni poruszyli się. Ttafeondowi opadła głowa na piersi, a Zingute odetchnął z ulgą i nawet przez chwilę nie zareagował na omdlenie króla. Cadron, dotychczas milczący, wyprostował ręce w kierunku Hondelyka jakby trzymał w nich niewidzialną misę. Pokręcił głową.

– Panie...

– Już dobrze, Cadronie. Wiem, co chcesz powiedzieć; zapewniam cię, że sobie poradzę.

Zingute ułożył bezwładne ciało Ttafeonda na łożu i z niepokojem popatrzył najpierw na Cadrona a potem na Hondelyka.

– Nie przejmuj się, podjąłem zadanie. Jeśli tylko będę mógł – wykonam je. – I widząc spojrzenie Zingute dodał: – Bez obaw – jakkolwiek by się rzeczy potoczyły fałszerstwo nie wyjdzie na jaw.

Powiernik Ttafeonda skinął głową starając się, by westchnienie ulgi nie było słyszane przez gości. Ale było, i ciężki oddech króla. Zingute przyłożył dłoń do czoła władcy, potrzymał chwilę, nerwowo przełknął ślinę, przeniósł swą rękę na dłoń króla i pozostał w tej pozycji. Hondelyk przechwycił wyraziste spojrzenie Cadrona. Pokręcił głową dając do zrozumienia, że nie rozumie co przyjacielowi chodzi.

– Wytlumacz nam jak wygląda wasz plan – powiedział Cadron

Nieprzytomny król poruszył powiekami, odwracający się do Cadrona Zingute zatrzymał się w pół ruchu i chwilę przyglądał się Ttafeondowi, widząc jednak, że władca nie podzyskuje przytomności, wciąż obejmując swymi palcami wychudzoną i wiotką dłoń swego pana powiedział cicho i szybko:

– W razie zgody ty, panie, masz opuścić miasto i wieczorem wrócić tajemnym przejściem pod murami, przez piwnice. Potem... – Z takim trudem wydusił to słowo "potem", że nabrało groźnego i nieprzyjemnego znaczenia. Jakby chcąc przyzwyczaić się do niego powtórzył: – Potem... tą samą drogą my wyniesiemy ciało króla i zawieziemy do nieznanej nikomu pieczary w lodowcu, damy radę wrócić przed świtem. Tam złożymy ciało, zamarnie...

– A więc król przewidywał, że mogę się nie zgodzić na zawsze? – przerwał Hondelyk.

Zingute pokręcił głową.

– Nie. Ale tak dużo czasu spędziliśmy na rozmowach o tym planie... Po prostu Ttafeond nie chciał być pochowany w tajemnicy, gdzieś w nieznanym nikomu miejscu... To znaczy – uważał, że może kiedyś, kiedy znajdą drugie jego ciało potomni przyznają mu rację i będą dobrze o nim myśleli. On... kocha ludzi, zawsze chciał, by i jego kochano...

– Czy aby nie trzeba do króla zawołać...

– Tak. Zaraz. Tylko...

– Rozumiem – Hondelyk wstał z krzesła. – A jak król zamierzał sprawić, bym poznawał ludzi z jego otoczenia? Żebym...

– Och, to proste! Po pierwsze, zawsze można dużo zwalić na chorobę. Król nawet umyślnie kilka razy udawał, że nie poznaje otoczenia, są przyzwyczajeni. Poza tym, rok temu kazał przygotować specjalny tron, w którym mieści się ukryty człowiek. To będę ja. Mogę tam siedzieć i szeptać ci, panie, do ucha podpowiedzi.

Kątem oka Hondelyk zobaczył, że Cadron z podziwem kręci głową. Położył rękę na ramieniu Zingute i łagodnie potrząsnął nią.

– Widzę, że naprawdę przygotowaliście wszystko nader przemyślnie.

– Tak. Tylko nie byliśmy pewni...

– Tak – powtórzył Hondelyk – Rozumiem. Tylko co z Cadronem? Nie przewidzieliście go w swoim planie, a nie zamierzam się z nim rozstawać.

– Eee... Wiem! Możesz powiedzieć... – zająknął się, rzucił spojrzenie na umierającego króla i głęboko odetchnąwszy dokończył: – Możesz powiedzieć, że jest od dzisiaj twoim astralem. Będzie mógł przebywać zawsze w twojej bliskości i... I w ogóle...

– Dobrze. Więc...

Zingute wstał z krzesła, niechętnie wypuścił dłoń Ttafeonda ze swojej i sięgnął do kieszeni kaftana, chwilę rozsupływał zamykające ją troczki. Wyjął płaską skórzaną kopertę i podał Hondelykowi.

– Tu jest plan i klucz do furty. Gdyby mnie nie było na dole poczekaj na mnie. Najpóźniej o północy będę tam, żeby cię tu przeprowadzić.

Hondelyk przyjął kopertę, schował do wewnętrznej kieszeni kaftana. Zrobił krok i przysiadł na łożu. Teraz on delikatnie ujął dłoń nieprzytomnego władcy.

– Ubranie dla mnie – powiedział cicho wpatrując się w twarz Ttafeonda. – Zabroń wszystkim wchodzenia tu dzisiejszej nocy. Sam możesz, bo inaczej byłoby to podejrzane. I Cadron, rzecz jasna. – Milczał chwilę, jego palce, widzieli to obaj obserwatorzy, coraz mocniej obejmowały obciążone skórą kości dłoni króla. – A co będzie...

– Wczoraj król powiedział: "Jeśli tylko On się pojawi, natychmiast wywieź mnie do jaskini. Chcę umrzeć tam, niech mój duch się nie pęta po pałacu".

Hondelyk skinął głową. Powiernik Ttafeonda oblizał wyschnięte wargi i chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Cadron uniósł rękę, pomachał dłonią i dla pewności położył palec na ustach. Zingute skinął głową i na palcach odszedł do okna. Hondelyk wpatrywał się żarłocznie w twarz Ttafeonda jakby chciał pożreć każdy rys, każdą zmarszczkę, każdą plamkę na twarzy, każdy włoszek na głowie. Trwało długą chwilę, Zingute nie wytrzymał i odwrócił się nie chcąc obserwować czegoś, co w duchu nazwał rytuałem przeistoczenia; przeszły mu ciarki po plecach, gdy pomyślał, że zaraz zobaczy dwóch króli, dwóch Ttafeondów – umierającego i zdrowego, rześkiego. Dlatego zdziwił się, gdy Hondelyk westchnął głęboko, puścił dłoń Ttafeonda i wstał. Nadal był to ten sam Hondelyk.

– No to jadę. – Zrobił kilka kroków do drzwi, zatrzymał się i powiedział: – Za bardzo się na tym nie znam, ale wydaje mi się, że król stoi na progu. Nie wpuszczaj nikogo, bo jeszcze zobaczy zgon i potem trudno będzie... – Machnął ręką nie chcąc kończyć. – O zmierzchu będę z powrotem.

* * *

Gdy ostrożnie włożył skrecony dziwaczny klucz do zamaskowanego kępą bujnej blizarki otworu, kawał kamiennej popękanej z zaciekami ściany drgnął i przesunął się w bok i do przodu, zaszeleściły tłusto połyskujące w świetle księżycy liście, trzasnął jakiś patyk. Hondelyk popchnął ścianę, drzwi bezszelestnie uchyliły się. Zadbął naprawdę o wszystko, pomyślał o Ttafeondzie. W zadziwiająco szerokim i wysokim korytarzu paliły się dwie pochodnie. Zingute tu był, pomyślał. Król umarł. Zrobił dwa kroki, korytarz skręcił ostro, za zakrętem była komora. Jedna pochodnia na ścianie, Zingute, dwa konie, wierzchowy i juczny z długim, zgiętym w połowie i przełożonym przez grzbiet, zawiniętym szczelnie bagażem. Hondelyk podszedł do konia, położył rękę na całunie króla i pochylił głowę. Potem odsunął się przepuszczając Zingute.

– Cadron zna już przejście, czeka na ciebie, panie, za drzwiami. A ja...

Rycerz pokiwał głową i bez słowa ruszył do szerokich drzwi, zanim pchnął skrzydło odwrócił się i zapytał:

– Twoja nieobecność? Konie?

Zingute już trzymał w ręku wodze, trochę nieobecne spojrzenie skierował na Hondelyka,

zmarszczył brwi jakby zastanawiając się nad odpowiedzią, ale raczej zbierał myśli, skierowane już widocznie na ostatnią wycieczkę Ttafeonda.

– Wszystko ułożone – powiedział w końcu. Odczekał chwilę i widząc, że Hondelyk nie zamierza go zatrzymywać ani o nic już pytać pociągnął wodze. – Jadę.

Rycerz skinął głową, pchnął drzwi i przekroczył próg. W drugiej, jeszcze większej komnacie czekał Cadron. Wymienili spojrzenia i Cadron bez słowa ruszył pierwszy, wprowadził Hondelyka w wąski ciemny korytarzyk, potem wiódł wąskimi schodami w górę. Schody zawijały się wokół komnat, oplatały całe kondygnacje, czasem przez jakieś szczeliny w ciemny korytarz wpadało światło, a nawet słychać było głosy. Ciekawe, pomyślał Hondelyk, kto wie o tym przejściu i kto nim się posługuje. Jeśli... No, nic, wyjaśnimy to z Zingute. Na trzecim piętrze charakter korytarza zmienił się, już nie oplatał poszczególnych pokoi, wiódł prosto, aż natknęli się na ścianę i Cadron przystanął. Wykonał jakiś ruch przy drzwiach i szybko wszedł, gdy tylko uchyliły podwoje. Rozejrzał się nerwowo i skinął głową. Hondelyk wszedł za nim.

– Ten korytarz? – wskazał kciukiem za siebie. – Tajne przejście, kto o nim wie?

– Zingute twierdzi, że tylko on i Ttafeond

Podszedł do łoża i wygładził fałdę na pościeli. Była świeża, czysta, pachniała nowością. Hondelyk zrozumiał dobrze jego ruch.

– Już– już...

Usiadł na krawędzi łoża, ściągnął buty, spodnie. Cadron podał mu stertę czystej delikatnej bielizny z ozdobnym "T" na każdej części. Hondelyk zerknął przez ramię. Głupi, pomyślał, nie ma tu już ciała króla. Zrzucił z siebie wszystko i szybko włożył królewskie gatki, koszulę, manicę. Bielizna była zimna, Hondelykiem wstrząsnął krótki dreszcz.

– Otwórz okno na chwilę, dobrze?

Wskoczył pod nakrycie i naciągnął je pod brodę. Przez chwilę jakby zapomniał co tu robi, po co wlaź do łoża, wpatrywał się w przeciwległą ścianę, w kilka zżartych czasem i płomieniem świec, niewidzącym spojrzeniem, z zaciśniętymi zębami. Cadron zamierzał przypomnieć Hondelykowi co ma do zrobienia, ale zrezygnował, podszedł do okna i szarpnął klamki. Mocował się chwilę z rozeschniętymi skrzydłami, w końcu ramy ustąpiły z żalonym, głoszącym wszem i wobec krzywdę, jękiem; do komnaty buchnęło chłodne, świeże nocne powietrze, niosące w sobie lekki zapach kwiatowej mieszanki. Może z tych kramów przed pałacem, pomyślał Cadron. Była jeszcze w tym powietrzu woń stygnących kamiennych murów i ciche odległe głosy nawołujących się strażników i kilku podpitych mieszczan. Jeden z nich, chyba najbliżej pałacu się znajdujący, bo najlepiej było go słychać, usiłował zaśpiewać zwrotkę sprośnej piosenki, ale myliły mu się słowa "kadź", "mać", "srać", przerywał i zaczynał od nowa aż chyba upadł i zasnął – ucichł w połowie bełkotliwie wywodzonej strofy. Cadron wychylił się i popatrzył w prawo i w lewo. Okno komnaty wychodziło na owalny wewnętrzny dziedziniec, okna pokoi naprzeciwko były ciemne i ciche. Pod parapetami najwyższego piętra biegł wąski balkon, po którym snuł się senny żołnierz, tak skoncentrowany na drodze, którą przemierzał, że nawet nie usłyszał skrzywienia okien. Na dole, w kilku podłużnych grzędach, otoczonych brukiem rosło kilkanaście kęp kwiatów. Cadron pociągnął nosem. Maciejka na pewno, pomyślał, rybiczek i morskie stokrotki, i coś jeszcze, nie poznaje.

– Król ma młodziutką i śliczną żonę – powiedział cicho.

– Czy mówisz to w jakimś specjalnym celu? – usłyszał chrypienie z tyłu.

Odwrócił się szybko i – mimo że wydawało mu się, że przywykł do niewiarogodnych przemian swojego pana i przyjaciela – poczuł lodowatą pelerynę na karku, obsuwała się szybko w dół, a włosy na głowie, jakby od jej idącego również do góry tchnienia, zjeżyły się. Szybko odwrócił

spojrzenie od leżącej na łożu postaci, ale przemógł się i zrobił krok w jej kierunku. W pokoju nie było śladu po Hondelyku, spod przykrycia na łożu wystawały suche, chude, pokryte wiotką skórą dłonie, na poduszce spoczywała wąsata koścista twarz Ttafeonda, zamglone bólem oczy spoglądały na Cadrona. Usta rozciągnęły się w wąłym nerwowym uśmiechu.

– Znasz dykteryjkę o błaznie... który ogłosił, że będzie rozbijał... kamienie głową? – głos Hondelyka-Ttafeonda odbiegał wyraźnie od znaczenia słowa "dykteryjka". – A kiedy zrobił to i zachwycona publika zaczęła się domagać...następnego pokazu pokręcił głową i powiedział: – Nie, dajcie mi spokój, nie wiedziałem, że to tak boli!

– A boli?

– Och... Nie pytaj... Postaram się szybko... – Przerwała mu salwa kaszlu. Wyciągnął rękę w kierunku dzbana. Cadron szybko nalał do kubka wina i pochylił się nad łożem. Pomógł Hondelykowi unieść głowę, podsunął kubek do ust, ale i przy jego pomocy większa część wina wylała się na brodę, szyję i pierś chorego. Jednak ta niewielka część, która trafiła do ust przyniosła ulgę. Hondelyk zamrugał w podzięcie oczami, odkaslnął raz jeszcze. – ... wyzdrowieć – dokończył. – Uff! Niedobrze być chorym... – Nagle zachichotał. – Odkrycie, co?

Cadron odsunął rękę z naczyniem, postawił kubek na stoliku i – jak wcześniej zrobił to Zingute – położył rękę na czole Hondelyka.

– Masz gorączkę.

– Mam. – Hondelyk nerwowo oblizał spieczone wargi. – Aha, posłuchaj, od tej chwili zapomnij o Hondelyku., dobrze?

– Tak, królu.

Ttafeond przymknął oczy, jego głowa, choć nie poruszyła się, jakoś dziwnie zapadła się w poduszkę.

– Co mówiłeś o żonie?

– Młoda i śliczna. Ale... Sam zobaczysz. Co jakiś czas odwiedza kró... cię odwiedza. Zachowuje się jak przystało na zmartwioną żonę...

– Dokończ – zażądał Ttafeond nie otwierając oczu. – Nie wszystko mogę sam zobaczyć, zbyt wielu rzeczy muszę pilnować. – Otworzył oczy i spojrzał na Cadrona z niespodziewaną złością. – Czy mógłbyś mi nie utrudniać? Dlaczego robisz jakieś aluzje i tajemnicze miny?

– Nie chciałbym skrzywdzić kobiety – szybko powiedział Cadron. – Po prostu – wydaje mi się, że wyczuwam w jej zachowaniu jakiś fałsz, obłudę, że nie przychodzi tu, by czuwać przy umierającym mężu, ale by sprawdzić, czy aby choroba nie ustępuje, pilnuje jej jak kwoka jaja.

– Ot, masz... Nie powiedział mi o tym... – Ttafeond niespodziewanie, równie niespodziewanie jak się podniecił, uspokoił.

– Może sam nie wiedział?..

– Może...

– Poza tym to może być moja tylko imaginacja... – wykrztusił Cadron – Ona nie jest królową, więc powinna raczej starać się pozostać przynajmniej żoną króla... Chyba że...

– Chyba że chce zostać żoną króla, tyle że innego.

Cadron cmoknął. Kilka chwil w pokoju panowała cisza, podmuch lekkiego wiatru pchnął skrzydło okna, uderzyło o ścianę, zadzwoniły obluźowane w ołowianych ramkach kolorowe szyby.

– Jeśli to prawda... – Ttafeond uniósł nieco głowę i rozejrzał się po pokoju. – Przystaję ufać tej komnacie – dokończył szeptem. – Wiesz co? Każ zawołać muzyków, niech grają coś pod drzwiami, dokończymy spokojnie rozmowy...

Cadron pokiwał z aprobatą głową, podszedł do drzwi, uchylił je i energicznie prężącemu się

gwardziście rozkazał sprowadzić muzyków.

– I nie wpuszczaj konowała – dodał. – Król chce spokojnie pospać.

Wrócił do pokoju.

– Zakazałem wpuszczać kogokolwiek, zwłaszcza lekarza, jeszcze odkryje, że nastąpiła niespodziewana zmiana...

Ttafeond obojętnie skrzywił się, mrugnął powiekami. Cadron pomaszerował do szafki w rogu i wziął do ręki jakiś sznur biało-czarno-czerwonych koralu i kryształową bryłę obrobioną z grubsza na kształt kuli. Położył to wszystko na stoliku obok łoża.

– Skoro jestem astraletem?.. – powiedział.

Czekali w milczeniu – Ttafeond oddychał ciężko i nierówno, Cadron trącał palcem kulę albo poprawiał rozłożenie sznura na stoliku – aż pod drzwiami rozległy się dźwięki kobz, skarletów i rozków. Muzycy mieli kłopoty z cichym graniem na instrumentach przeznaczonych do głośnych wesołych popisów, ale jakoś w końcu zestroili się. Ttafeond skinął na Cadrona i ten pochylił się nad nim. Władca otworzył usta, ale akurat bęben wypadł z rytmu i przez chwilę podenerwowany muzyk walił ostro w instrument zanim dołączył do kolegów i w tempie i głośności.

– Z jednej strony muszę odzyskiwać siły, bo inaczej nie przekonam władców tych czterech krain, z drugiej – nie mogę zbyt dobrze wyglądać, bo zadadzą mi coś – jeśli masz rację z żoną... – Począł na reakcję Cadrona, ale jedyną było poruszenie brwi. – No właśnie... Dobrze, że nie muszę udawać ... Jak ma na imię ten?.. Hurwa?

– Hurwe.

– Hurwe... Tak.

– Myślę... Myślę, że będę w każdej wolnej chwili korzystał z korytarza, może dowiem się kto się smuci, a kto weseli na myśl o twojej śmierci.

– To na nic – mruknął Ttafeond. – Gdyby tak łatwo można było wykryć wrogów już dawno byłoby to zrobione.

– Może, ale Zingute musiał siedzieć przy królu, ja też uważam, że nie można cię zostawić samego, ale będziemy czuwać na zmianę, a ja już pomyszkuję sobie...

Cadron uniósł palec jakby przypominał sobie coś, poderwał się, podbiegł do skrzyni, gdzie złożył ubranie Hondelyka i wyjął z niej dwa noże. Jeden wsunął za pas pod połę kaftana, drugi przyniósł do łoża, uniósł przykrycie i ułożył wzdłuż ciała króla, obok jego lewej ręki.

– Nie starasz się dodać mi otuchy – uśmiechnął się niewesoło Ttafeond. Salwa kaszlu zagłuszyła na chwilę muzykę z korytarza. – Sta...re kch-chae!.. ciała mają wiele niedobrych stron...

Sługa podrapał się po szyi, otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale Ttafeond ziewnął, z wysiłkiem sięgnął ręką, przetaił czoło przedramieniem.

– Chyba chce mi się spać? – powiedział lekko zdziwiony. – Myślałem, że po dniu pełnym wrażeń...

Przez cichą muzykę przedarły się odgłosy rozmowy. Obaj mężczyźni jednocześnie odwrócili się do drzwi i nadstawili uszu.

-... rozkaz... wyraźny... nie może...

– Przecież to ja, durniu! Odsuń się od drzwi, bo cię każę posiekać na karmę dla psów! – krzyknęła jakaś rozżłoszczona kobieta.

Ttafeond nerwowo popatrzył na Cadrona.

– Jak ona ma na imię?

Cadron otworzył usta i zamarł, w jego oczach pojawiła się panika. Zaczął szybko kręcić głową, jakby wymyślił sobie, że głowa, to jakaś skrzynia, w której leżą porozrzucane bezładnie myśli i

potrząsanie kufrem może spowodować, że akurat ta potrzebna wysunie się na wierzch sterty. Zamknął energicznie usta, szczęknęły zęby.

– Nie pamiętam! – wyszeptał ze zgrozą.

Ttafeond przewrócił oczami, a potem niespodziewanie się uśmiechał.

– Wpuść ją, i nie panikuj – przecież jestem ciężko chory.

Odprowadził spojrzeniem idącego do drzwi Cadrona, osunął się na poduszki, potem szybko wyjął rękę spod przykrycia, zwichrzył gęste szare włosy, przejechał dłonią po wąsach i szybko schował rękę. Zapadł się w poduszki.

– Przygaś światło! – syknął szybko.

Cadron skoczył do świec, zdmuchnął połowę, potem dwoma skokami dopadł drzwi, otworzył. Kobieta sięgająca ręką obok gwardzisty do klamki, zamarła na chwilę, potem z wściekłością uderzyła piąstką żołnierza w ramię. Strażnik ani drgnął.

– No puszczaj, tępaku! – pisnęła. Natychmiast zakryła usta dłonią i przestraszona usiłowała ponad jego ramieniem zajrzeć do pokoju. Cadron trącił od tyłu strażnika w plecy.

– Królewski rozkaz nie dotyczył małżonki – powiedział. Żołnierz odsunął się energicznie, pozostając plecami do drzwi. Kobieta uważnie przyjrzała się Cadronowi. Odsunął się również z przejścia. Złożył głęboki ukłon. – Proszę, pani.

– Gdzie jest Zingute?

– Król odesłał go na spoczynek...

– Aha, a ty – nie zapamiętałam jak cię zwać?..

– Cadron...

– Cadron... Ty czuwasz przy królu?

– Tak sobie zażyczył...

Wysunęła do przodu rękę, Cadron odsunął się, pochylając jednocześnie jeszcze raz głowę. Właściwie – co mi ona? – pomyślał. – Nic nie znaczy przy królu, a król... Oj, zamknij się, Cadronie. Królowa dotarła już na palcach do łoża Ttafeonda, pochyliła się i długą chwilę wpatrywała w twarz śpiącego. Odwróciła się i widząc, że Cadron wchodzi i zamyka cicho drzwi odczekała aż na nią popatrzył, wskazała otwarte okno i sama bezszelestnie poszła w jego kierunku. Cadron pośpieszył za nią.

– Jak król się czuje? – zapytała szeptem.

– Nie gorzej, niż jak tu przybyłem – również szeptem odpowiedział Cadron

– Acha, to dobrze. – Cadron wsłuchiwał się z uwagą w jej głos, ale w cichym szepcie nie odnajdywał śladów fałszu czy obłudy. Prawdę mówiąc w takim szepcie nie dało się odnaleźć żadnych uczuć, tylko treść słów docierała do rozmówcy. – A ty jesteś?.. Astraletem?

Cadron bez słowa pochylił głowę.

– Acha... – powiedziała znowu kobieta. – No to jak widzisz przyszłość króla? Czy... Kiedy... – poprawiła się. – ... odzyska siły?

– Wybacz, pani, ale wyraźny królewski rozkaz zabrania mi rozmawiać o jego prognozach, zresztą w moim zawodzie i tak nie rozmawiamy o horoskopach z nikim innym jak tylko z tym, kogo dotyczą.

– Bzdury! – Uniosła nogę chcąc tupnąć, ale przypomniała sobie, gdzie jest i cicho opuściła stopę. – Niejeden tu był astralet i plótl każdemu wszystko...

– Nie trzeba go było traktować poważnie – powiedział Cadron.

– Tak właśnie było – prychnęła kobieta i zamarła z otwartymi ustami widząc, jak rozmówca złapał ją w pułapkę. Chwilę wpatrywała się w Cadrona, a potem zamknęła usta i skinęła jakby z

aprobata głową. Popatrzyła ponad jego ramieniem na Ttafeonda. Cienka pozioma kreska przecięła jej czoło. – Medyk był? – Nie, to znaczy wcześniej był, gdy król go zawołał, potem zakazał.

Kobieta pokiwała w roztargnieniu głową, ominęła Cadrona i podeszła do króla. Chwilę stała przy nim, wolną wyciągnęła dłoń i dotknęła delikatnie ręki króla, pogłaskała ją. Cadrona zacisnął zęby zły na siebie, że nie ustawił się po drugiej stronie łoża i nie widział wyrazu jej twarzy w tym momencie, ale uświadomił sobie, że gdyby tam był i tak nie byłby pewien, czy jest szczerą. Mimo wszystko stąpając na palcach przesunął się i ustawił naprzeciwko kobiety. Ttafeond poruszył się i otworzył oczy. Niewidzące spojrzenie utkwiał w suficie komnaty.

– Kto tu jest? Zingute!?

– To ja – powiedziała cicho kobieta.

– Kto?

– Kalia...

– Kalia... – powtórzył Ttafeond. Przesunął spojrzenie, ale w kierunku Cadrona. Kiedy sługa pochylił lekko głowę. Król odwrócił się i w końcu popatrzył na żonę. – Ciemno tu...

– Spałeś...

– Tak, spałem... Trochę lepiej niż onegdaj... Chociaż nie śniło mi się nic dobrego...

– To ten upał i uparty wiatr... – Kalia przycupnęła na brzeжку posłania. – Ja też nie śpię, a jak zasnę śnią mi się jakieś koszmary...

– Jakież to koszmary cię dręczą?

Królowa pokręciła głową.

– Naprawdę czujesz się lepiej, prawda, panie? Od dawna nie pytałeś mnie o nic. – Popatrzyła na Cadrona, miała w spojrzeniu radość i zdziwienie. – Moje koszmary?.. Takie babskie – kot mi podrapał twarz albo uciekam i podarła mi się suknia... – Gwałtownie pochyliła się nad Ttafeondem, pocałowała go w usta i nagle uniosła nogi, przekręciła się i ułożyła na wznak przy królu. Skrzyżowała ręce na piersiach. – Wczoraj śniło mi się, że zamknięto mnie w stajni, ciemność zapada, a ja nie potrafię znaleźć drzwi. Konie zaczynają się urywać z uwięzi, rżą, wałą kopytami w ściany... – Wstrząsnął nią dreszcz, poruszyła się na łożu. Zamarła na chwilę, poruszyła się jeszcze raz i nagle zeskoczyła na podłogę. Zanim mężczyźni zdążyli zareagować wsunęła rękę pod przykrycie i wyciągnęła sztylet. Trzymała go na wysokości piersi i wpatrywała zdziwiona. – Dlaczego to tu leży?

– To mój pomysł, pani – szybko rzucił Cadron – Taki tam... – postarał się na twarz wywołać zakłopotanie. – ...zwyczaj z moich rodzinnych stron... Nic złego nie miałem na myśli. Ot, pomyślałem sobie, że nie zawadzi spróbować...

– Hm? – Kalia ostrożnie wsunęła sztylet na to samo miejsce. Usiadła na łożu. – Myślę, że istotnie nie... – Machnęła niecierpliwie ręką. Odwróciła się do Ttafeonda. – Pójdę już, spokojniejsza... – Pochyliła się i jeszcze raz pocałowała króla w usta, tym razem dłużej. Wstając trzymała jego dłoń w swojej, trzymała stojąc chwilę pochylona. W końcu puściła i dygnęła. – Spokojnych snów!

Wybiegła nie zwracając uwagi na ukłon Cadrona. Przez otwarte drzwi do sypialni wpadły głośniejsze dźwięki muzyki, ścichły, gdy drzwi zostały zamknięte. Ttafeond kaszlnął.

– No i co? – zapytał.

– Nie wiem – Towarzyszyło temu wzruszenie ramion. – Łatwiej by było, gdyby się jakoś zdradziła, ale ponieważ się nie zdradza – dalej ją podejrzewam.

– Nie chcesz uwierzyć w niewinność?

– Ponieważ nie widzę niczego złego w jej zachowaniu to może znaczyć, że się dobrze maskuje, prawda?

– Prawda... – westchnął Ttafeond – Prawda... Poprawił się na łożu, obrócił na bok. – Chyba nie się stanie jeśli ktoś zastanie mnie na boku, co? Już mi plecy ścierpły.

– Lepiej się czujesz?

– Znacznie lepiej, w końcu to moje ciało. I – tak myślę – niedługo nie da się ukryć poprawy zdrowia. Będziesz musiał uczynić nade mną jeszcze kilka guseł, żeby było wiadomo skąd poprawa.

Cadron prychnął z niesmakiem: – Tak! A potem któryś z możnowładców poprosi cię o przysługę, żeby przysłać do niego tego znachora, co tak skutecznie leczy. A jak nie ulecę mu jego ukochanej córki – każe mnie ściąć, a ciebie przeprosi i przyśle w darze parę bojowych cserfanów!

Ttafeond ziewnął, przymknął powieki. Po chwili ciszy powiedział cicho:

– Zawsze chciałem mieć kilka bojowych cserfanów. Uwielbiam patrzeć jak te zwierzaki niby walczą krwawo, a w gruncie rzeczy nie czynią sobie najmniejszej krzywdy, masują tylko futra...

– Dziękuję, królu – powiedział z udawaną goryczą Cadron

Ale Ttafeond już sapał równomiernie. Nie był to oddech zdrowego człowieka, co jakiś czas popiskiwało coś w jego gardle, kaszlał wtedy, postękiwał cicho, co kilka oddechów stękał przeciągle, niczym zmęczony noszeniem drewnianych bali drwał. Cadron na palcach zbliżył się do łoża i długo wpatrywał się w twarz śpiącego, a potem, widząc, że niedawna jeszcze szarość na twarzy i wręcz siność w bruzdach rysów ustąpiły, pokiwał z zadowoleniem głową, przesunął jeden fotel tak, by blokował ukryte drzwi, a drugi pod drzwi ze strażą, otworzył te drugie i kładąc palec na ustach uciął muzykę, a potem zamknął drzwi, zabarykadował fotelem, sam usiadł w nim i po chwili spał. W płytkim śnie poruszył się, zgrzytnęła na jakimś ziarnku naniesionego nogami piasku drewniana noga mebla po kamiennej podłodze. Ttafeond uniósł powieki, wpatrywał się chwilę uważnie w Cadrona, potem poprawił ostrożnie swoją pozycję w łóżku, przesunął wyżej, zerknął na Cadrona jeszcze raz i przesunął jeszcze wyżej. Zamknął oczy, ale nie spał. Lewą ręką odszukał pod kołdrą sztylet, prawą wyżej podciągnął przykrycie – kamienne mury i podłoga oddały już wcześniej całe nagromadzone w czasie dnia ciepło i zaczynały pobierać cudze. Ttafeond leżał chwilę nieruchomo, potem – widząc, że Cadron zaczyna podciągać nogi wyżej, kulić się na niewygodnym fotelu – cicho wstał i zgarnawszy leżącą w nogach łoża kapę podszedł do sługi i ostrożnie otulił go ciężką grubą płachtą. Podszedł do szarzejącego już wyraźnie okna, stanął z boku, wyrżał ostrożnie, rozejrzał się uważnie. W zasięgu wzroku nic i nikt się nie poruszało. Samo jądro zamku nie miało zewnętrznych murów, ale budowniczy nie potrafił zrezygnować z zabezpieczenia siedziby władcy. Centralną część budowli oddzielał od zewnętrznej pas dziedzińca, oddzielający nieco niższy budynek pierścieniem otaczającym właściwą siedzibę władcy. Dość łatwo przezeń przetrząść kładki, pomyślał Hondelyk, ale pewnie korytarze i schody w tamtym budynku są tak wąskie, że nie da się nawet przenieść kawałka drewna. Tak przynajmniej ja bym zrobił.

Co cztery załomy muru stał śpiący w najlepsze wartownik. Żaden co prawda nie siedział, ani nie opierał się na pice. Wszyscy widoczni spali w ten sam sposób – tyłki oparte o mur, pika w prawej dłoni, tułów lekko pochylony do przodu, w równowadze, jakby wpatrywali się w szereg maszerujących przed czubkami butów mrówek. Za ich plecami, pomiędzy wąskimi arkbutanami, w ciemnych lukarnach, które pewnie nigdy nie przepuszczały do wnętrza tyle światła ile powinny, nie poruszało się nic, nawet w śródzamkowym ogrodzie liście na limunach, berberysach i kolorowym kobiercu kwiatów zamarły. Głęboki przedświt, pomyślał. Najlepsza pora na atak... Dlaczego przyszedł mi do głowy atak? Wystarczy – jak dla mnie – dzień, zwykły dzień Ttafeonda.

Westchnął, poruszył zziębniętymi stopami. Nie przekraczając prześwitu okna, bokiem wrócił do łoża i położył się w wyziębionym, wygniecionym własnym ciałem, a wcześniej ciałem Ttafeonda kanionie pościeli. Znowu poprawił ułożenie sztyletu i kołdry. Zwykły dzień... Ma rację Cadron, że

nie można zbyt szybko przyjść do zdrowia, ale jeśli będzie udawał zbyt solidnie, a ktoś to odkryje, to – przyjmując, że Zingute ma rację i istnieje frakcja niechętna pomysłowi Ttafeonda – mogą nastąpić gwałtowne działania. Czyli co – chory, ale zdrowszy; zdrowszy, ale słaby?

Poczuł ssanie w żołądku, a potem długie przeciągłe warkotliwe i cichnące burczenie. Ot, trzewia, jeszcze nie przestaniesz się bać, jeszcze nie wiesz, że już się nie boisz, a flaki pierwsze się odzywają. Jakby do nich droga od głowy była najkrótsza. Zerknął na stolik przy łóżku – piramidka owoców, na czubku jędrna śliwicha, sięgnął po nią, nie przełamując włożył do ust w całości, długo ze smakiem obsysając wiązkę pestek, a potem z nudów rozgryzł ją i obrobił zębami tak, że zostały tylko suche kruche łuski. Popatrzył z czułością na butlę z winem, ale odmówił sobie na pusty żołądek. W końcu nalał do kubka wody, dolał jeszcze i jeszcze i na koniec niemal wkropił trochę gęstego ciemnobrązowego z bordowym odcieniem strugi wina. Popijał dekokt rozmyślając nad swoim, Hondelyka, położeniem, potem zmusił się do przestawienia – myśl jak Ttafeond, rozkazał sobie. Inaczej i nic z tego nie będzie, i jeszcze się zdradzisz jak głupiec. Spalą cię albo utopia, albo utopia i spalą. Dlaczego gdy pomyślałem "spalą" przypomniał mi się udziec młodego koziołka, zamarynowany, naszpikowany garlikiem i posypany muszkata, upieczony na delikatnym ogniu i na końcu, tuż przed podaniem, zrumieniony ostro? Wszak na "utopia" nie pojawiły się w głowie ryby? Ech, myśli...

Za oknem rozdarł się radośnie któryś z kwikarów, pewnie przywódca stada, najczujniejszy, wyprzedzający o chwilę młodszych, chętnych do zawładnięcia pierzastymi podwładnymi. Za nim, ciszej i bez jego animuszu, jakby zniechęceni kolejnym nieudanym zamachem, bez przekonania dali głos adeptci. Po serii przeciągłych wrzasków nastąpiła cisza, w której donośnie rozległ się brzęk i suchy drewniany turkot – któremuś z gwałtownie obudzonych wartowników wypadła z ręki pika i potoczyła po kamieniach balkonu. Wojak zaklął głośno i szpetnie. Ttafeond zachichotał, zerknął na śpiącego błogo Cadrona, wyskoczył z pościeli, żeby podbiec do okna. Poczekał aż żołnierz podniósł broń i ziewając rozejrzał się po otoczeniu. Zmrużone w ziewnięciu oczy napotkały ostry wzrok króla, wartownik zamarł z rozdziawioną gębą, zatrzaskał ją, wyprężył pierś, a władca uniósł pięść i energicznie kilka razy zabełtał nią powietrze między sobą i żołnierzem. Wojak mrugnął dwa razy, chyba po to, by utrzymać gałki oczne w oczodołach, Ttafeond poruszył wargami, posyłając bezgłośnie przekleństwo, potem odwrócił się i chichocząc bezgłośnie wrócił na palcach do łóżka. Nalał do pucharu jeszcze jedną porcję wody, zastanowił chwilę, ale jednak oszczędnie plusnął winem i wypił mieszankę duszkiem. W dużym lustrze na ścianie zobaczył siebie, w długich jedwabiście połyskujących gaciach, wystających spod brzegu o ton jaśniejszej koszuli, rozchełstanej na piersi, z wycięcia sterczała grdyka, po wiotkiej szyi przechodząca w głębokie solniczki. Ttafeond poruszył brwiami, przyglądał się nastrożony wąs. W zwierciadle Cadron poruszył się pod kapą, król potarł ramiona i na palcach wrócił do łóżka. Wolno, starając się nie hałasować ułożył na pościeli, przykrył, sięgnął machinalnie po znajdującą się na wierzchu kiść wina, skubnął wargami kilka gron i zamyślony spokojnie po kolei obrabiał je zębami ze skórki, rozgryzał pestki i zjadał miąższ i nasionka, cicho wypluwając łupiny. Zamyślane spojrzenie utkwiał w przeciwległej ścianie komnaty, jakby chciał śledzić bieg czasu wykazywany obsuwającym się w metalowej pochwie knotem. Blask świec znalazł odbicie w oku Cadrona od jakiegoś czasu łypiącego na Ttafeonda. Król westchnął.

– A wyglądało, że będziemy spali jak susły – mruknął w przestrzeń.

– Spałbym, gdybyś mnie nie obudził – poskarżył się Cadron

Odgarnął przykrycie, wstał i przeciągnął się ziewając z zamkniętymi ustami. Przez chwilę – z wysuniętą do przodu zuchwą, zmrużonymi oczami i naprężonymi ścięgnami na szyi – wyglądał, jakby chciał zawyc do okna. Ttafeond roześmiał się cicho, zdziwiony Cadron odwrócił się.

– Śmiech bez powodu... – nie dokończył znanego obu powiedzenia. Skarcił sam siebie za nadmierną poufałość, machnął ręką i podszedł do króla. – Nie powinniśmy rozmawiać ot, tak sobie – szepnął.

Ttafeond pokiwał głową. Gdzieś po językiem odkrył kawałek łupiny, przez chwilę pracowicie ją wydłubywał językiem. W zupełnej ciszy głośno zaskwierczał knot jednej ze świec, a zaraz potem zgrzytnęło coś, Cadron odwrócił się sięgając pod połę kaftana, a król dwoma susami dopadł łóżka i wskoczył w pościel. Fotel, którym Cadron zablokował tajne przejście drgnął, przesunął się o pół stopy, zatrzymał. W szczelinie pojawiło się oko. Potem do komnaty wsunęła się ręka i trafiwszy na oparcie fotela chwyciła je, uniosła i przestawiła, jednocześnie bezszelestnie otwierając drzwi. Do komnaty wsunął się Zingute, lewą rękę zaciskał na rękojeści sztyletu, zatrzymał i szeroko otwartymi oczyma wpatrywał w króla. Trwało to tak długo, że Ttafeond skinął nań ręką, żeby wszedł i zamknął drzwi. Zingute wykonał polecenie, nawet zdołał oderwać na chwilę spojrzenie od króla, ale zaraz potem ponownie wpił się wzrokiem w postać na łóżku, wypuścił rękojeść broni i zaczął wciągać w płuca powietrze. Trwało to tak długo, że Cadron w obawie o zdrowie Zingute pomachał ręką w powietrzu, zbliżył się i zapytał szeptem:

– Czy na pewno w tej komnacie można rozmawiać bez obawy?

Zingute pokiwał głową nie odrywając spojrzenia od Ttafeonda. Król skrzywił się.

– Długo tak będziesz się we mnie wpatrywał? – wychrypiał.

Zingute pokręcił głową, zamrugał oczami.

– Gdybym nie... pochow... – zająknął się i poprawił: – Nie wiedział...

Obaj słuchacze zrozumieli, że chciał powiedzieć: "Gdybym nie pochował własnoręcznie króla...". Zingute odetchnął jeszcze raz, zrobił krok w kierunku łoża i nagle przyklęknął na jedno kolano i pochylił głowę.

– Teraz wierzę... – powiedział cicho. – Plan...

– Ćśś! – syknął Ttafeond

Zingute poderwał się z kolan i uśmiechnął lekko, nieśmiało. Rzucił przez ramię spojrzenie Cadronowi, a ten pokiwał głową.

– Myślę – powiedział – że astralet, po całonocnej pracy nad profetycją dla króla i ty, po równie długim czuwaniu, możemy zjeść obfite śniadanie. Król, niestety, tylko jakieś pewnie driakwie? Czym się odżywia?

Zingute zerknął na Ttafeonda, przygryzł dolną wargę, a potem zrozumiawszy co Cadron ma na myśli mruknął "uhu" i podszedł do drzwi. Gdy odsunąwszy barykadę zniknął z oczu Cadrona ten podszedł do okna i zamknął je.

– Chłodno – mruknął. – Każę napalić. – Wskazał kciukiem wystający ze ściany półokrągły bok wyłożonego kaflami pieca.

Wysunął głowę na korytarz i chwilę przekazywał polecenie wartownikom. Jeszcze zanim wrócił do komnaty, rozległ się zgrzyt otwieranych na korytarzu drzwiczek, trzask pośpiesznie łamanego chrustu, a potem łomot wrzucanych do pieca polan. Ttafeond leżał z przymkniętymi powiekami, z kącikami ust wygiętymi w górę, w namiastce fałszywego uśmiechu, jedynej oznace ataku bólu. Sługa na palcach przesunął się pod okno, zerknął na ścianę z tajnym przejściem, odmierzył odległość od drzwi na korytarz i łoża Ttafeonda i uznawszy, że zdąży odeprzeć każdy atak przycupnął na parapecie. Obejrzał dokładnie pokój, sufit, wysmakował sceny myśliwskie i te, na których były zwierzęta również. W innej sytuacji podszedłby pewnie bliżej, by przyjrzeć się szczegółom, teraz jednak poruszył tylko brwiami i głową. Potem przypomniał gdzie i z jakiej przyczyny jest, przyglądał się chwilę królowi i – widząc, że pomarszczona twarz wygładza się – odetchnął bezgłośnie przez

ułożone jak do gwizdnięcia wargi. Ttafeond otworzył oczy i odetchnął również, ale nie kryjąc ulgi.

– Mówię ci: nie starzej się i nie choruj. Fatalne to doświadczenia – spróbował się uśmiechnąć.
– Gdybym wcześniej wiedział... Mam na myśli nie tę sytuację, chciałem rzec, że gdybym wcześniej wiedział, że starość jest taka niemiła to bym nie dopuścił...

Szczęknięta klamka, drzwi otworzyły się na całą szerokość, do pokoju wmaszerował Zingute, odsunął się na bok i przepuścił trójkę służących bacznie obserwując ich wejście i kontrolując wzrokiem wnoszone tace z naczyniami i jedzeniem. Po chwili przerwy do komnaty weszli dwaj smukli paziowie dźwigając długi lekki stół na wysokich nogach, ustawili się przy nogach łoża i dając sobie znaki nieznacznymi ruchami powiek jednocześnie ruszyli do wezglowia ustawiając stół nad łożem, tak by król mógł jeść nie zmieniając nawet pozycji. Odprawieni krótkim ruchem głowy Zingute wybiegli z komnaty niemal zderzając się ze się zdenerwowanym konsyliście. Z daleka obmacał spojrzeniem władcę, przełknął nerwowo ślinę, nie oglądając się machnął ręką do kogoś, kto szedł za nim i zrobił dwa nieśmiałe kroki w kierunku Ttafeonda. Za nim wsunął się uczeń, młody, ale już łysy i wyszarzały, zakurzony, jakby zebrał na siebie cały kurz uczonych, wylegujących się w piwnicach i na strychach ksiąg.

– Jeśli zamierzasz mi powiedzieć, że żyję, to każę cię... zrzucić głową w dół z wieży do talerza z wodą... – powiedział król.

– Jeśli to ma ci sprawić radość!..– zręcznie znalazł się kosylista.

– Wielką – wychrypiał król. – Już zaczyna mi się wydawać, że jeśli cię nie widzę u swego boku, to znaczy, że nie żyję.

Lekarz przysunął się bliżej, zerknął na dyrygującego rozstawianiem tac i naczyń Zingute i – triumfująco – na Cadrona. Pociągnął nosem i wyciągnął dłoń chcąc sprawdzić czoło Ttafeonda. Zawahał się.

– Śmiało. Przecież jeszcze nie dam rady ugryźć.

Medyk zachichotał nerwowo i przymilnie. Dotknął nerwowo dłonią czoła króla i zaskoczony oderwał rękę, jakby nie dowierzał zmysłom. Przyłożył odważniej dłoń jeszcze raz i odchrząknął.

– Najwyraźniej kuracja przynosi dobre wyniki – powiedział nie będąc w stanie ukryć zdziwienia.

– Właśnie – dziwne, prawda? – zakpił król. – No, dawaj te swoje, za przeproszeniem, driakwie, i zmykaj – nie mogę patrzeć na twoją triumfującą minę.

– Ależ, panie... – Konsylista postarał się przybrać urażoną minę, ale chyba przypomniał sobie porywczy charakter króla, przełknął ślinę i dumę, skinął na ucznia. Z podsuniętej z szacunkiem tacy wybrał z mądrą miną cztery buteleczki, odmierzył z nich po kilka kropel ciemnych cieczy, dodał nieco więcej gęstej, ledwo wyciekającej z naczynia mazi, końcem pałeczki nabrał z kilku puzderek po odrobinie proszków, podlał to wszystko wodą. Na koniec zabełtał miksturę i wlał do kielicha. – To cię wzmocni, panie.

– Miej nadzieję – mruknął król. – Już wydałem polecenie, że zanim ostygną moje członki masz ruszyć za mną w podróż w zaświaty.

Otworzył usta i pozwolił, by dygoczące nieznacznie dłonie wlały mu do ust miksturę. Przełknął, wytrzeszczył oczy na konsyliście, uniósł głowę z poduszki, zachrypiał.

– H-hotruć... mnie chcesz, parchudo?!

– J-ja-j-jaj-ja... – zająknął się zapytany. – Ja-ja...

Za nim zadygotał pomocnik, rozdzwoniły się buteleczki, dzbanki, mieszadełka, szalki i miseczki trzymane na tańczącej we wszystkie strony tacy. Dźwięk był tak niespodziewany i głośny, że nawet konsylista zamilkł, choć nie ośmielił się odwrócić spojrzenia od chrypiącego króla.

Ttafeond opuścił bezwładnie głowę na pościel, wzrokiem przegnał parę medyków. Zingute rzucił kontrolne spojrzenie na stół, przechwycił czujny zaniepokojony wzrok służących, wskazał brwią wyjście. Zniknęli bez słowa, cofając się z pochylonymi głowami, bezszelestnie zamknęły się prowadzone delikatnie drzwi. Cadron odkasznął, plasnął w dłoń.

– Jedzenie królewskie! – rzucił radosnym tonem i natychmiast zorientował się, że w tej komnacie, w tym towarzystwie, w tym położeniu nie zabrzmiało to najlepiej – jeden król pochowany po kryjomu wczoraj, drugi – uzurpator, choć z błogosławieństwa pierwszego. Nie wiedząc co zrobić z rękami plasnął jeszcze raz i potarł zaciśniętą prawą pięść. – Ghm!..

– Dla mnie dużo soku – polecił Ttafeond. Zaparł się łokciami w posłanie i podciągnął wyżej. – A wy jedzcie.

Zingute szybko nalał do karminowej czarki płynu z jednego z dzbanów, podał z ukłonem Ttafeondowi, po czym odsunął się o krok i chwycił się obiema dłońmi za przeguby. Król wypił połowę, ostrożnie uniósł rękę i otarł umoczony w soku wąs.

– Jedzcie – powiedział. – Macie przecież przyzwolenie?..

– Ja... Jeśli nie mam wyskoczyć z czymś głupim.. Muszę traktować cię, panie, jak... No, muszę zachowywać się jak daw... – Zingute zaplątał się beznadziejnie, poszukał wzrokiem wsparcia u Cadrona.

– Rozumiem – powiedział Ttafeond – Zgoda, masz rację. Poczekajcie chwilę, nie będę długo jadł.

Wskazał Cadronowi płyty pozbawionego kości białego mięsa, zjadł kawałek, potem przekąsił kilkoma plasterkami okorków, kawałkiem ozora, umaczał ciemny chleb w sosie, skosztował pikli. Dopiero popijając sokiem jedzenie napotkał umykające natychmiast spojrzenia Zingute i Cadrona. Parsknął krótkim cichym śmiechem.

– Dłużej to trwa niż myślałem – zaczął się usprawiedliwiać – ale sam nie wiem skąd wziął mi się wzięła ochota. Uznają was za obzartuchów, cóż – ktoś musi pokryć moją żarłoczność.

Skubnął jeszcze z kilku talerzy i z pewnym żalem trącił stół. Zingute z Cadronem migiem odsunęli mebel i widząc przyzwalający gest króla rzucili się na jadło. Ttafeond obserwował chwilę ich zmagania z wytworami królewskiej kuchni, potem przeniósł spojrzenie na rzeźbiony sufit, przymknął powieki.

– Kalia... – powiedział. – Co o niej możesz powiedzieć?

Zingute omal nie zadławił się przełykając duży kawał zimnej sarniny. Gwałtownie popił, z bulgotem i z najwyższym trudem powstrzymał beknięcie, gdy wduszone w żołądek powietrze runęło z powrotem.

– Sam nie wiem, z jednej strony nie mogę jej nic zarzucić, nie przyłapałem jej na żadnym fałszywym ruchu, słowie czy czynie.

– Ale?

– Ale nie potrafię uwierzyć w prawdziwość jej uczucia do kró... – odetchnął głęboko. – Do was, panie. – Wściekły na siebie z całej siły uderzył pięścią w udo. – Nie, nie potrafię mówić do was jak do was i jednocześnie jak o kimś innym. Jakbym..

– Spokojnie! – rzucił Ttafeond. Miał mocny głos o metalicznym w tej chwili brzmieniu. – Powiedziałem – mów, więc?

Zingute kilka razy poruszył ustami, zabawnie westchnął i zaczął szybko recytować:

– Kalia pochodzi z dość podłego rodu, to znaczy rodzina jest dobra, była dobra, ale od kilku pokoleń dość oddalona od dworu, podupadła, nieważna. Nie wiem kto szepnął o niej królowi, w każdym razie sprowadził ją do pałacu, zakochał się i ożenił, ale nie jest królową. Mimo to nie wierzę

w jej gorące uczucie do was, w jego prawdziwość.

– Nie będzie królową?

– Nie. Właściwie może być kłopot z sukce...sją... – Otworzył szeroko oczy, zamilkł i stał nieruchomo tknięty jakąś myślą.

– Nie zamierzam... – powiedział cicho Ttafeond – ... udawać Ttafeonda długo. Tylko tyle, ile będzie trzeba do zjednoczenia waszego kawałka świata.

– A jeśli się nie uda? – wykrztusił Zingute.

Ttafeond wzruszył ramionami.

– Nie nadaję się na władcę – mruknął ledwo dostłyszalnie. – Nie ma w panowaniu nad ludźmi niczego, co by mnie pociągało. A i ludziom nie byłoby ze mną dobrze, znam siebie. To nie dla mnie i ja nie do tego. – Milczał chwilę. – Co z następcą Ttafeonda?

– No, jest młody Lemis, ale uciekł lata temu z pałacu i słuch o nim zaginął. – Wsunął do ust czubek kciuka i chwilę zawzięcie gryzł paznokcie, Ttafeond otworzył usta chcąc go zbesztać, Zingute o mgnienie oka wyprzedził jego słowa: – Kalia nie jest królową, może zostać stryj wasz, panie, Oprus, ale on tego naprawdę nie chce i nikt się nie zgodzi, za stary jest. Jemu raczej niewinne już zabawy z młódkami w głowie, a i tak za każdym razem trzeba mu przypominać co, jak, po co i dlaczego uważa, że go to bawi. Wyście obaj jedyni z rodu Bornelew...

– Czyli – Kalia nic na tym nie skorzysta...

– A gdyby nie Ttafeond został królem koalicji?

Zingute odwrócił się i popatrzył na zadającego pytanie Cadrona.

– To znaczy?

– Kto poza nim może zostać przywódcą zjednoczonych ziem?

– Chyba Dersawe, król Zrugan Formalo...

– Żonaty? – jednocześnie zapytali Ttafeond i Cadron.

Zingute skinął twierdząco głową. Cała trójka wymieniła spojrzenia, Zingute potrząsnął głową.

– Ma dorosłego syna, ale to chyba nazbyt karkołomna kombinacja... Mówiłem – nie przepadam za nią, więc cały czas uważam na każdy jej ruch i – trudno, ale muszę przyznać, że tak jest – nie zauważyłem niczego takiego... żadnej komitywy z Dersawe. Ani bezpośrednio, ani przez umyślnych.

Zmiał mocno palce prawej ręki, aż trzasnęły kostki. Zastanawiali się długą chwilę, co jakiś czas szukając pomocy we wzroku pozostałych. Ttafeond w końcu machnął dłonią:

– Trudno, zostawmy to, zastanówmy się jak poprowadzić sprawę koalicji!

Zingute mruknął coś, podszedł do ściany i nacisnął dłonią narożnik wypukłej ramy, w której osadzona była jedna z podpór świecznika. Następnie przesunął się dwa kroki w prawo i przykucnąwszy napał silnie na ścianę. Kwadratowy fragment przekreślił się i zatrzymał tworząc wnękę ze stolikiem. Na "stoliku" umocowana była szkatuła. Zingute otworzył ją i wyjąwszy gruby plik spiętych czarną klamrą kartek podszedł i podał go Ttafeondowi.

– Tu spisaliśmy całą historię pomysłu zjednoczenia krain, tu są uwagi króla jak prowadzić dalej sprawę. Są też uwagi na temat każdego z władców, niektóre mogą pomóc zyskać sympatię.

Ostatnie zdanie zaakcentował inaczej. Ttafeond potrząsnął plikiem jakby chciał go zważyć.

– A czy są takie uwagi, które mogą któregoś z nich przymusić do czegoś? Czy nasi szpiedzy dali nam... – Umyślnie używał słów "nasi", "nam" i umyślnie to akcentował. – ...jakiś oręż na tych, co mogą być przeciwni?

Zingute bez słowa skinął głową.

– Dobrze. – Jeszcze raz zważył dokumenty. – Schowaj je pod poduszką, poczytam w nocy.

* * *

W nocy króla Ttafeonda zaatakowała gorączka. Wezwany medyk zaaplikował nerwowo sporządzone driakwie, potem, gdy nie widać było efektu – kazał obłożyć władcę zmoczonymi w zimnej wodzie prześcieradłami. Nad ranem Ttafeond poczuł się lepiej, a przynajmniej przestał parzyć dłonie sprawdzających go bez umiaru Zingute, Cadrona, Kalii i medyków.

– Król przeżył atak – triumfującym szeptem oznajmił konsylista.

Los i ludzie szykowali jednak inny.

* * *

– Uchył okna – poprosił Ttafeond.

Zingute poderwał się z fotela, trącając łokciem stolik, smukły kielich, z którego popijał zimne wino zatoczył się, wyrzucił i z brzękiem rozpadł na kilka kawałków. Wino chludnęło na podłogę, odłamki rozdzwoniły się, krótko i zwięźle oznajmiając światu swój zgon. Sprawca znieruchomiawszy wpatrywał w szkody.

– Na szczęście – mruknął Cadron ponurym głosem.

– Okno! – ponaglił Ttafeond.

– Dopiero co opadła gorączka – zaprostestował Zingute mimo sceptycznej miny Cadrona: "Znam go, nie ustąpi".

– Gorączka nie ma nic do rzeczy, byłem przeziębiony już wcześniej. Teraz pływam we własnym pocie. Otwórzcie okno albo sam to zrobię!

Cadron poderwał się i wykonał polecenie. Podszedł do łoża.

– Jak się czujesz?

Wyciągnął rękę chcąc przyłożyć ją do czoła Ttafeonda, ale król gwałtownie zaprostestował:

– Przestańcie ugniatać mnie w tym łożu, każdy kto chce wyciera sobie o mnie zimne dłonie. Już nic mi nie jest.

Cadron odwrócił się do Zingute, powiedział przez nos "hu-hu-hu-hu-hu!" i pokiwał głową:

– Chyba rzeczywiście najgorsze mamy za sobą.

Zausznik Ttafeonda uśmiechnął się krótko, czubkiem buta przesunął kawałki szkła pod stolik.

– Jeśli jest gdzieś w pałacu jeszcze jeden jakiś kielich to nalejcie mi do niego wina – poprosił król.

Poderwali się obaj, Cadron był szybszy, pierwszy sięgnął butli, ostrożnie ją przechylił, napełnił puchar i ruszył w stronę łoża. Zaczynał pochylać się nad siadającym Ttafeondem, gdy coś miękko uderzyło w ramę okna, opadło na parapet, przewaliło przez brzeg. Zanim zaskoczony Cadron, usiłujący obejrzeć się i jednocześnie nie oblać króla winem, odwrócił się przedmiot plasnął na podłogę i pękł. Po błyszczących deskach rozlała się ciecz, wypływając ze sflaczałego szaro-żółtego skórzastego worka, w przezroczystym śluzowatym płynie pływały i osiadały na dywanie jakieś biało-żółto-czarne grudy. Zingute zrobił krok naprzód i pochylił się nad błyszczącą, pokrytą śluzem sakwą. Grudy zaczęły się poruszać.

– Nie! – wrzasnął Cadron.

Chludnął winem na worek, szarpnął cienki koc, przykrywający Ttafeonda, skotłowany, przepocony, strzepnął w biegu i przykrył poruszający się już szybciej galaretowaty sak.

– Pędź po żar z pieca, szybko! – ryknął do zmartwiałego Zingute. Wrócił do usiłującego usiąść Ttafeonda, bezceremonialnie wydarł spod jego głowy poduszkę, cisnął ją na wyrzuszony cienki koc, wściekle trącił zbyt wolno odwracającego się Zingute. – Żar!!! Na łopacie, w wiadrze, szybciej!

Trącony runął do drzwi, trącający wskoczył na poduszkę i zaczął ubijać ją stopami. Spazmatycznie deptał pierze, postękiwał w rozterce i jednocześnie rozglądał nerwowo po komnacie. Na korytarzu rozległ się szcęk drzwi pieca i ponaglące krzyki Zingute.

– Co to... – wycharczał Ttafeond, ale Cadron nie zamierzał odpowiadać. Zeskoczył z poduszki i pognął w kierunku ściany. Król jednym niezgrabnym rzutem spuścił nogi wpatrując się w niezgrabny tłumok na podłodze. Poduszka poruszyła się, ubijane przed chwilą stopami Cadrona pierze nie wiadomo w jaki sposób drgnęło, wybrzuszenie zaczęło się wypełniać. – Powiedz mi...

Cadron tymczasem szarpnął świecznik, zawisł na nim, ale ciężkie ramiona okazały się być mocno osadzone w ramie i ścianie. Wyrwał jedną świecę i nie dbając o metalową otulinę cisnął nią w poduszkę, zerwał drugą i trzecią, wszystkimi celując w poruszającą się coraz mocniej stertę. Wszystkie świece zgasty, Cadron wyszarpnął czwartą i osłaniając płomyk dłonią podbiegł na palcach do poduszki, skierował ogień na skwierczące końcówki pierwszych trzech świec. Nieśmiały płomyk zapełgał w rozlanym wosku, buchnęły kłęby białego dymu coraz lepiej widoczne w rozpalającym się ognisku. Zaskwierczało. Cadron nerwowo obejrzał się przez ramię i widząc biegnącego z dymiącą tacą Zingute krzyknął:

– Tu, szybko! – Wychylił się, żeby zobaczyć go stojący w drzwiach wartownik i ryknął: – Jeszcze żaru, migiem! I kilka wiader wody!

Zingute podbiegł i cisnął polanami w poduszkę, gęsty dym na chwilę przesłonił widok, zaskrzeczała rozpalające się tkanina i pierze, syknęły zanurzone w kałuży roztopionego wosku rozpalone bierwiona i niemal natychmiast buchnął wesoły, jakby zadowolony z przerwania długiego postu ogień. Cadron odsunął się o krok, obiegnął płonący stos, nie zważając na dłonie poprawił w dwu miejscach ułożenie bali. Odskoczył na bok i machnął ręką do Zingute:

– Bierz coś metalowego... Nie nóż! – machnął dłonią. Chwycił ze stolika dwa srebrne talerze i cisnął nimi w Zingute – Jeśli coś wydobędzie się stąd – zabij! – Sam rozejrzał się i nie widząc więcej poręcznych naczyń chwycił lekkie krzesło i grzmotnął nim o podłogę, trzasnęły i odpadły nogi, uderzył raz jeszcze odłamując oparcie i z płaskim siedziskiem w dłoni przesunął się stając między płonącym rażnie ogniem i Ttafeondem. – Stra-aż! – wrzasnął. – Gdzie ten żar?!

Przez drzwi wpadł wartownik. Wcześniej zerwał z siebie pas, naciągnął kaftan i w ten podolek nawkładał rozpalonych szczap, mając zajęte obie ręce biegł majtając na boki nogami, ale nikt się nie roześmiał. Podsycany pędem powietrza ogień buchał mu na brzuch i pierś, żołnierz zadzierał i odwracał głowę, ale nie zwalniał. Skierowany okrzykami i gestami Cadrona zrzucił płonące brzemie i uderzeniami dłoni gasząc płonący na brzuchu kaftan wybiegł z komnaty. Cadron w napięciu obserwował ognisko przesuwając się i poruszając głową, by dym i płomienie nie zakrywały mu widoku. Kostki zaciśniętych na kawałku krzesła palców zbielewały, spocone opuszki poślizgły się, omsknęły na drewnie.

– Co to jest? – wykrztusił Zingute

Cadron milczał zajęty wpatrywaniem się w ognisko, dym zaczął wypełniać przestrzeń nad ich głowami, płomienie były niemal pod sufit.

– Osy cheichel – rzucił. Przesunął się nieco w bok, wychylił, tak by widzieć inną stronę stosu, ale jednocześnie nie tracić z oczu Ttafeonda. – Pali się od twojej strony?

– Tak. Osy cheichel? – zapytał Zingute – Co to – na Kreisa! – jest?

Przez próg przeskoczył pacholek z wiadrem wody, drugi, pierwszy pędził w kierunku ognia, najwyraźniej zamierzając gasić ognisko. Zingute zrobił krok i zastąpił mu drogę, zderzyli się, niemal połowa wody chlustnęła na podłogę.

– Stać! – krzyknął Zingute – Postawcie wiadra i pędźcie po następne. No!?

Wybiegli zderzając się obaj po kolei z trzecim; gdyby zamierzali rozśmieszyć w ten sposób otoczenie nie zrobiliby tego zręcznie, ale tym razem nikt się nie roześmiał. Trzeci pacholek,

poobijany przez poprzedników, zostawił wiadro zaraz za progiem i pognął za pierwszymi dwoma. Zaraz za nim wpadł do pokoju wartownik w nadpalonym mundurze, krzywiąc się niemiłosiernie niósł na wyciągniętych do przodu przedramionach jeszcze kilka rozpalonych bali.

– Ciśnij je tu, człowieku! – krzyknął Cadron. – I już nie trzeba więcej!

Żołnierz syknął z bólu, niezgrabnie cisnął bierwionami w ogień. Jedno spadło na bok, strulało się, więc pochylił się, zanurzył w dymie z własnego munduru i chciał gołymi rękami poprawić stos. Cadron chwycił go za bark i odepchnął pod ścianę.

– Nie trzeba, już niebezpieczeństwo minęło – zawołał do wartownika. – Dzielnyś! Idź do medyka, a później przypomnij się panu Zingute.

Pomachał przed twarzą siedziskiem, rozpedził na chwilę dym, obszedł ze wszystkich stron ognisko, cisnął na stos kawałek krzesła.

– O, masz! – powiedział z niezadowoleniem. – Po com to zrobił? – Zakaszłał nałykawszy się dymu. – Oblejmy to ze wszystkich stron, żeby się pałac nie spalił.

Ostrożnie chlustając oblali odłogę i obrzeża stosu, gęsta para przesłoniła na chwilę widok, Zingute otworzył wszystkie okna. Cadron odmierzając porcje wody polał całe ognisko tłumiąc płomień, ale go nie gasząc do końca. Mniejsza ilość świec i przygaszone ognisko, kłęby dymu i pary spowodowały, że w komnacie zrobiło się wyraźnie ciemniej. Oczy Cadrona błysnęły dziko, gdy przez ramię zerknął na otwarte drzwi, a smuga światła z korytarza padła na jego spoconą, rozgorączkowaną twarz.

– Zamknij je i nie puszczaj już nikogo. Musimy się zastanowić nad pewną rzeczą...

– Kto! – powiedział Zingute z siłą zamykając drzwi i opierając się o nie plecami.

– Tak jest – kto? – zgodził się Cadron.

– Dobrze, zgadzam się. To ważne. Ale co to jest, te osy cheirel? – Ttafeond wstrząsnął ramionami i otulił się prześcierałem.

– Cheichel – poprawił Cadron – Och, paskudztwo, panie. Możesz się tylko cieszyć, że ich nie zobaczyłeś. Już mówię! – Widząc zniecierpliwienie na twarzy Ttafeonda wyciągnął obronnym gestem przed siebie dłonie. – To przekłete owady, mało przypominające osy, więc nie wiem dlaczego tak się nazywają, te osy cheichel. W każdym razie dwa ukąszenia, najwyżej trzy, i koń umiera zanim z niego zeskoczysz. Prócz żądeł jadowych mają znakomicie działające szczęki, budują gniazda w wydrążonych przez siebie dziuplach, nawet w najtwardszym drzewie, podobno mogą nawet przegryźć piaskowiec. Trudno je rozdeptać, są twarde jak chrząszcze, ale ciężkie, dlatego latają słabo i niektórym ofiarom udało się uciec, ale... – Pokręcił głową, jakby chciał zakończyć: "...niewielu takich jest". Zingute obszedł płonące wciąż ognisko, a Ttafeond zapytał, co za wór widzieli. – No... Tak się ich używa do niecznych celów. Osy cheichel wpadając do wody, czy polane nią otaczają się błoną, jak dziecko w łonie matki. Jeśli jest ich kilka skleją się w grono, więc jeśli masz zamiar wykorzystać je do uśmiercenia kogoś – polewasz gniazdo wodą, wyjmujesz kiść os, wkładasz do naczynia z wodą i podrzucasz. – Zaczął mówić wolniej i wolniej myśląc intensywnie nad czymś. – Najlepiej nocą... Wtedy osy po wykonaniu swojej roboty uciekają i... – Zamilkł całkowicie i marszcząc się wpatrywał błędnym spojrzeniem w ścianę.

– I co? – ponaglił niecierpliwie Zingute.

– I rano nikt nie wie dlaczego ofiara umarła... Mam! – Chwycił wiadro i chlustnął w ogień. – Szybko, musimy przeszukać pałac, szukamy takiego naczynia – zaczął rysować w powietrzu rękami: – Szczelna pokrywka, która nie odpadnie przy nieostrożnym ruchu, z boku dziobek, przez który nalewa się wody, jeśli osy są przechowywane długo. Może być w jakimś pudle wyłożonym słomą, wiórami... Rusz się, powiedz, że szukasz podpalacza albo że pałac płonie. Niech wszyscy wyjdą ze

swoich komnat i przeszukaj je z jakimiś pewnymi żołnierzami. Tylko pośpiesz się.

Ponaglił Zingute zamaszystym ruchem rąk, jakby wypląsał z pokoju, odczekał aż zamknęły się drzwi, okrążył dogasający stos, parujący i dymiący niemiłosiernie, dolał wody, a potem sprawdził czy wszystkie okna są otwarte na całą szerokość, i przy okazji poprzysłał je kotarami. Zaczął przemierzać pokój pilnując jednak, by zawsze znajdować się między oknami i Ttafeondem. Mruczał coś pod nosem.

– Co mówisz? – zapytał król wysuwając na chwilę usta spod prześcieradła.

– Że masz... mamy... – poprawił się. – ... wrogów. I to przygotowanych już od dawna do energicznych działań.

– Dlaczego tak myślisz?

– Osy cheichel to nie taki prosty do zdobycia towar. Trzeba je przywieźć aż zza pustyni Sarcha Sichre-Gyu, droga daleka i nie wszystkie docierają, nie wspomnę, że odważnych łowców też nie jest za wielu. Nie każdy też podejmie się transportowania tego świństwa; opowiadali mi, że wydobywszy się z rozbitego w ładowni dzbana tak długo szukały dobrego miejsca na gniazdo, że w końcu zatopiły statek. Załoga, ta jej ocalała część, rzecz jasna, uciekła do szalup. Ktoś więc tu w pałacu już wcześniej zaopatrzył się w osy, na wypadek gdyby nie zmogła cię choroba i teraz ich użył.

Wspomógł ostatnie słowa wyrazistym gestem obu rąk. Ttafeond, mając schowaną pod prześcieradłem niemal całą twarz pomrukał oczami, na znak, że się zgadza z jego słowami. Cadron uniósł wskazujący palec i zakończył:

– Gdy dowiedzieli się, że zwalczyłeś gorączkę postanowili nie czekać dłużej.

– Może trzeba się rozejrzeć, kto z władców nie chce przymierza, niekoniecznie musi na mnie dybać ktoś z Vernie?

Cadron zastanawiał się chwilę po czym minął wyraził brak zdecydowanej opinii. Powrócił do marszu nie zmieniając trasy. Król wsunął usta pod prześcieradło.

– Śmierdzi okrutnie – poskarżył się.

Cadron potwierdził stwierdzenie, ale nie zajęło go to tak, jak życzył sobie król.

– Zamiast biegać tak, aż doczekam się bólu oczu zająłbyś się sprzątnięciem tej kurzawy – ponaglił leżący władca.

– Tak-tak, już – zbył go Cadron. Przystanął na chwilę i myślał nad czymś usilnie. – Nie, nic mi nie przychodzi do głowy. Co miałem zrobić? – Zmarszczył czoło usiłując sobie przypomnieć polecenie władcy.

Ttafeond wzrokiem wskazał szerniały stos: szczątki poduszki i koca, czarne mokre, zalatujące spalonym i mokrym pierzem, głównie. Ciemna plama wody zabarwionej sądzą i splukanym z drewna węglem rozlała się po komnacie sięgając od ściany z tajnymi drzwiami aż po łóżko Ttafeonda.

– Zaraz spłynie pod drzwi i wszystko się wyda – syknął Cadron. Podbiegł do drzwi, szarpnął klamkę. – Prędko czterech wartowników do ochrony króla i służbę do usunięcia zgliszczy! – wrzasnął. Wrócił do pokoju i zaniepokojony rozszerzaniem się plamy wody zdarł z siebie kaftan, cisnął pod ścianę i zamaszystym ruchem nogi odgarnął kałużę od ściany kryjącej wejście do sekretnej korytarza. – Bardzo nam była potrzebna ta historia – mruknął "do siebie".

Do pokoju wmaszerowali żołnierze, ustawili się przy łożu króla i służbiste niewidzące spojrzenia utkwili w przestrzeni przed sobą. Obnażone miecze oparli na ramionach. Zaraz za nimi wsunęły się dwie dziewczyny i czwórka noszowych z pustymi kubłami i grubą kostką zgrzebnego płótna. Dziewczyny bezzwłocznie zaczęły zgarniać wodę kolistymi ruchami trzymany w ręku szmat, dwaj noszowi zgarnęli największą pierwszą porcję pogorzeliśka na płachtę i wybiegli z komnaty, pozostali dwaj biegiem wynosili wypełnione brudną wodą, kłębami mokrego pierza i szmatami kubły

i zdyszani wracali z pustymi. Chwilę później do pokoju wsunął się na palcach jeszcze jeden służący ze świecznikiem na masywnym stojaku. Ustawiając zerknął przez ramię na króla, za co Cadron poczęstował go solidnym kopniakiem, wystraszona ofiara migiem wypadła z pokoju, a ręce dziewczyn jeszcze szybciej zaśmigały po podłodze. Cadron czubkiem buta odsunął na bok poczerniały owalny kształt przypominający olbrzymią larwę, upewnił się, że Ttafeond to widzi i nacisnął podeszwą buta kokon. Rozległ się głośny trzask, na twarz Cadrona wypełził pełen satysfakcji uśmiech. Jeden z noszowych przytaszczył dzban z jakimś ziołowym naparem i obficie skropił podłogę, dziewczyny przetarły jeszcze raz deski i wybiegły z komnaty. Za drzwiami czekali już spoceni noszowi z grubym zrolowanym dywanem, który migiem rozciągnęli na podłodze, Cadron niecierpliwym gestem przegonił wartowników i gdy zamknęły się za nimi drzwi wyjął w końcu rękę zza rozcięcia koszuli i odetchnął z ulgą.

– Zingute musi... – Porzucił zaczęłą myśl i zapytał sam siebie: – Ale jak?.. Ktokolwiek tu będzie, będzie musiał słyszeć. Nie! – urwał stanowczo. Ze złością uderzył pięścią w lewą dłoń. – Ani tak, ani tak.

– Musi odizolować kilka komnat, może część skrzydła pałacu... – powiedział Ttafeond – ...tak, żebyście tylko wy wiedzieli, w której izbie jesteśmy. Wszystkie muszą się nadawać do zamieszkania, no i musi do którejś z nich być dojście z sekretnych kularów.

Cadron chwilę rozważał plan Ttafeonda, skinął z aprobatą głową. Zamyślony przyjrzał się dywanowi, nacisnął nań czubkiem stopy, jakby chciał sprawdzić jego grubość, wszedł i przemierzył od brzegu do brzegu. Wciąż z czegoś niezadowolony zatrzymał się w centrum kobierca, rozejrzał po pokoju nie zwracając uwagi na zainteresowane spojrzenie króla. Przypomniawszy sobie coś ruszył do drzwi, otworzył je i polecił przynieść dla króla świeżą pościel, a gdy po chwili usłyszał pukanie i odebrał stos ułożonych płócien powtórzył polecenie i nie dość szybko wykonującego rozkaz wartownika pogonił pięścią. Otrzymałą pościel cisnął niedbale na fotel, to samo zrobił z drugim stosem i kazał przynieść jeszcze jeden. Pozamykał okna i odsłonił część portier. Dopiero z trzecim kompletem pościeli podszedł do króla i w milczeniu zręcznie zmienił przepecone prześcieradła i zakopcone pledy. Ttafeond milczał również. Nie odzywali się do siebie długo, obaj zamyśleni, pogrążeni w rozmyślaniach nad niedawnym zajściem, jego przyczynami, sprawcami i przewidywaniem przyszłości. Energiczne wejście Zingute przerwało ciszę, wkroczył niosąc kilka sztuk mieczy, arbalet z kołczanem i dwie tarcze. Ułożył broń na stoliku i sapnął wściekle. Pod pachą trzymał pękaty dzbanek z wąskim wysokim dziobkiem. Cadron pokiwał głową.

– Masz sprawcę – stwierdził.

Zingute zgrzytnął zębami i postawił dzbanek na podłodze.

– Miałem – warknął. – Ktoś skręcił mu kark.

– Czyli nadal chodzi po pałacu.

– Tak. – Odkasznął. – Kalia, panie, chciała tu koniecznie przyjść, powiedziałem, że odpoczywasz. – Widząc aprobujące skinienie głowy Ttafeonda ciągnął: – Cztery patrole nadal przeszukują dwór, może są jeszcze inne takie gadziawki. – Zerknął z nienawiścią na połyskujące matowo naczynie. – Ale możemy ich już nie znaleźć, za dużo rejwachu we dworze. Myślę... – umilkł powstrzymany gestem Cadrona.

– Mamy plan: trzeba odciąć od reszty pałacu jakąś jego część, kilka komnat. Wartownicy – najpewniejsi, a i tak niech mają posterunki zasłonięte od korytarza. Jedzenie i wszystko inne będziemy odbierali sami, komnaty będziemy zmieniać, tak by nikt nie wiedział, w jakiej jesteśmy i kiedy. Można tak zrobić? Zingute zastanawiał się chwilę i zgodził się na plan. Zapytany czy do którejś z nowych izb prowadzi śródścienny korytarz potwierdził, jego twarz rozpogodziła się nieco.

– Tak zrobimy, bezzwłocznie.

– Nie, za jakiś czas. Najpierw wizyta konsyliisty i żony – odezwał się Ttafeond.

Obaj słuchacze równocześnie zgodzili się z pomysłem władcy.

– Każę założyć kraty w oknach tych komnat. – Zingute ruszył do drzwi, ale powstrzymał go okrzyk króla:

– Nie, nie damy satysfakcji wrogom, nie będę się zamykał w wieży ze strachu.

– Dobrze – Zingute bez żalu porzucił pomysł, wrócił i chcąc usiąść dotknął sterty pościeli na krześle, zmarszczył brwi nie rozumiejąc skąd się tyle jej tu wzięło.

– Są takie trucizny, nasąca się nimi szaty czy pościel ofiary. A ponieważ przeciwnicy sięgają do nader kunsztownych sposobów... – poinformował go Cadron.

Zingute wpatrywał się chwilę w rozmówcę z otwartymi ustami, a potem potrząsnął głową:

– Po coś to powiedział? Teraz będę cały czas myślał co trzeba zrob... Garderoba! – klasnął w dłonie i ruszył do drzwi, idąc dodał zupełnie niezrozumiale: – I woda...

Zniknął za drzwiami. Cadron z Ttafeondem wymienili spojrzenia, dość niewesołe. Ttafeond przesunął spojrzenie na ścianę z ukrytą galerią.

– Nie zapomnij o mojej broni – mruknął układając się wygodniej i przymykając powieki.

– Pamiętam, pamiętam. – Astralet podszedł do okna, odsunął zasłonę i chwilę wpatrywał się w okna naprzeciwko ich komnaty. – Myślę sobie... – zaczerpnął powietrza i sapnął przez nos. – Myślę sobie – powtórzył. – że jesteśmy w oblężonym dworze, co? – Odwrócił się i popatrzył na króla.

Ttafeond uniósł brwi i zmrużył oczy. Mogło to znaczyć: "Cóż zrobić!" albo: "Czy ja wiem?", lub: "Poradzimy sobie", ale nie otworzył ust, a Cadron nie dopytywał się co aktualny władca Vernie miał na myśli. Wpatrywał się intensywnie w szeregi okien, ale były martwe. Wszystkie zamknięte, żadnego poruszenia, nawet w tych, gdzie zasłony nie były zaciągnięte. Wartownicy – może poruszeni jego widokiem – energicznie przemierzali balkon prężąc piersi, z bronią w sztywnej gotowości. "Czy to stamtąd ktoś rzucił czy cisnął z dołu, z dziedzińca? Nie zapytałem Zingute gdzie miał izbę ten biedny przekupiony woj. Głupi... Martwy. Nie pomyślał, że nie ma żywych zamachowców, są co najwyżej żywi przez chwilę. Czy inni... Trzeba by rozpuścić tę wieść, niech inni pomyślą zanim dadzą się zwieść blaskowi monety". Przeniósł spojrzenie na skrzydło okna, w którym odbijała się komnata. Zobaczył jak Ttafeond podniósł rękę do szyi i chwilę masował grdykę, jakby walczył ze skurczem. W ciemnej szybce wyraźnie jak w lustrze widział grymas na twarzy Ttafeond. "Po co dał się namówić na to? Przecież nie wyjdzie z tego żywy, im dłużej naśladuje czyjaś powłokę tym więcej traci własnych sił. Zawsze starał się jak najszybciej wrócić do swej postaci, a tu – miesiąc! Dobrze jak miesiąc! Nie wiadomo czy niedomoga nie wejdzie weń na zawsze... Ot, zabawa!".

Postanowił nie odwracać się dopóki atak bólu nie opuści Hondelyka całkowicie, obserwował więc leciwego ogrodnika, jak wychodzi z naręczem narzędzi na dziedziniec, rozkłada je i zapuszcza się w kępy krzewów, uszczykuje wilcze pędy, starannie zrywa żółknące liście i odcina zaczynające więdnąć kwiaty. Staruch zdążył dokładnie sprawdzić cały zieleniec, wzruszył szpadlem ziemię i zaczynał przymierzać się do podlewania, zanim rysy twarzy Ttafeonda wygładziły się i zamarły w spokoju. Cadron bezszelestnie przymknął okno, na palcach odsunął się odeń i oparłszy się plecami o rozgrzaną ścianę pieca, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami zamarł w bezruchu.

– Hurwe – powiedział nagle Ttafeond. Niewątpliwie drzemał – przymknięte powieki, nieruchoma twarz, regularny płytki oddech, ale gdy Cadron wpatrywał się w tę twarz szukając wskazówki śpiący rozchylił wargi i dodał wyraźnie: – Hurwe nie jest problemem.

Uśmiechnął się krzywo, z leciutką wzdargą, jakby chciał śnionemu rozmówcy pokazać, że nie boi się dzikiego władcy dzikich. Cadron wstrzymał oddech gotów złowić uchem najśłabszy dźwięk,

ale Ttafeond nie powiedział już nic więcej, a po chwili odwrócił się na bok i podciągnął koc wyżej, na szyję i część głowy. Cadron westchnął ciężko, ale wypuszczał powietrze długo, bez hałasu, przykucnął wciąż opierając się plecami o znacznie mocniej rozgrzane na dole kafle, łokcie wbił w kolana. Trwał w tej pozycji długą chwilę, nieruchomy i zamyślony, ale poderwał się czujnie, natychmiast gdy poruszyła się klamka u drzwi. Wchodzący do komnaty Zingute zobaczył go jak stoi z jedną ręką na rękojeści sztyletu i z palcem wskazującym drugiej ręki na ustach. Pokiwał głową ze zrozumieniem i wywołał Cadrona ruchami ręki na korytarz. A

– Idź do zakrętu. – Poleciał jednemu z czekających wartowników, drugiego odesłał w przeciwnym kierunku. – Wszystko gotowe – powiedział ocierając spocone czoło rękawem z wewnętrznej strony przedramienia. Włosy na czole i skroniach miał mokre i poskręcane w cienkie spirale, szybko płytko oddychał jakby biegał po schodach nie korzystając z liftiery. – Kazałem sprawdzić załogę, brakuje dwóch żołnierzy... – zawiesił głos, więc Cadron poczuł, że powinien coś powiedzieć. Mruknął coś o dziewczkach i piwie. Zingute pokręcił głową. – Może być, ale obaj są z tej samej skadry! – Uniósł dłoń do góry i kilka razy szybko rozłączył i połączył dwa palce. – I z tej samej skadry, co ten zabity – dołączył trzeci palec. – Przypadek?

Cadron machnął niecierpliwie dłonią – "Wiadomo!".

– Po drugiej stronie budynku ten korytarz kończy się i tam mamy cztery komnaty – rzekł zadowolony z reakcji Zingute. – Warty będą rezydowały przed zakrętem, naprzeciwko okien nie ma budynków, ale tylko z jednej komnaty jest wejście do korytarza.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale widząc, że rozmówca rozgląda się na boki zamilkł i wyczekująco popatrzył na Cadrona.

– Czy masz jakichś naprawdę zaufanych ludzi, którzy mogliby wędrować po korytarzu i podsłuchiwać rozmowy? – zapytał szeptem Cadron

– Eee... M-hm... Y-yech...

– Co ci?

– No, takich naprawdę zaufanych, za których dałbym łeb... To tylko dwie... osoby – dodał szybko i zaczerwienił się.

– Coś kręcisz, he? – Zmrużone oczy Cadron świdrowały Zingute aż ten nie wytrzymał i uśmiechnąwszy się z wysiłkiem dodał:

– Dwie dziewczyny, siostry. Bliźniaczki. Są tak podobne, że nie wiem, którą kocham bardziej, i... Yyy...

– No, nie wiem – zawahał się Cadron – To niebezpieczne, nie masz przecież pewności, że nikt inny nie wie o istnieniu tego przejścia? – Zobaczył niepewny przeczący ruch głowy Zingute i prychnął. – Właśnie.

– Ale te dziewczyny też nie są od haftu i wdzięcznego śpiewu! – zaprotestował zausznik Ttafeonda.

– No to zdecyduj sam.

Zrobił krok w stronę drzwi, przyłożył do nich ucho i słuchał chwilę.

– Gdy tylko król się obudzi – przeprowadzka. Aha, tę skadrę, co to z niej był zamachowiec – odsuń od pałacu, a...

– A dowódcę weź pod baczenie. Już to zrobiłem – przerwał i dokończył za niego Zingute.

– Dobrze. To zostaje nam na dzisiaj tylko przeprowadzka.

Zingute nie zaprzeczył, bo i on nie wiedział, że los zachował na resztę dnia również inne wydarzenia.

* * *

Pokój, do którego przeniesiono Ttafeonda był skromniejszy od wcześniej zajmowanej komnaty, z gładkim pobielonym sufitem i takimiż gładkimi i białymi ścianami, bez żadnych kobierców na nich ani na podłodze, za to był jaśniejszy – okna miały zwyczajne przezroczyste szyby, z wyjątkiem jednej, zapewne kiedyś wytłuczonej i zamienionej na dymną. Powietrze w komnacie było świeże, niedawno wpuszczone do pomieszczenia, tak samo świeże i długie były świece w pięciu kandelabrach. Na każdym z nich paliły się po dwie – jedna z podziałką czasową i druga zwyczajna. Zingute poinformował, że piece dawno nie były ruszane, więc upłynie czas jakiś zanim złapią cug, rozpalą się i zaczną grzać. Ttafeond zbył jego usprawiedliwienia niedbałym ruchem ręki. Zażądał papierów i gdy w pokoju trwała jeszcze krzątanina – obaj współpracownicy przestawiali meble, sprawdzali zamki, rozkładali w różnych miejscach broń, wnosili i ustawiali dzbany z wodą, winem i piwem – zagłębił się w czytaniu dokumentów.

– Co z konsyliantą? On będzie wiedział, gdzie aktualnie jest król – zapytał cicho Cadron.

– Nie będzie. Wsunie mu się na korytarzu na łeb worek, pokoje mają tyle samo okien i jednakowe zasłony...

– A Kalia?

– Ktokolwiek żądny jest śmierci króla, a wie, że tylko on może wskazać komnatę – zastanowi się zanim tu uderzy. Wszak będzie wiadomo natychmiast kto zdradził!?

Cadron zauważył, że Zingute swobodnie nazywa Hondelyka królem, odnotował też, że Zingute mało się odzywa, ale po otrząśnięciu się z rozpaczy i zmieszania zaczął myśleć szybko i sprawnie, przewidując niemal wszystko, co może się wydarzyć.

– Tak-tak-tak... – mruknął zamyślony, szukając jakiejś dziury w rozumowaniu kompana. – Ale najchętniej zamknąłbym tu króla i nie dopuszczał zupełnie nikogo...

– Jeśli tylko król się zgodzi. – Zingute zerknął przez ramię na łożo.

Zaczytany Ttafeond nie zwrócił uwagi ani na ich rozmowę, ani na spojrzenia. Cadron zrobił minę "Nigdy w życiu!", na co Zingute odpowiedział miną "Wiedziałem" i obaj, niezadowoleni i trochę rozgoryczeni powrócili do przygotowywania komnaty do długotrwałego wygodnego zamieszkiwania. Na koniec ustawili przy drzwiach, tych na korytarz i do sekretnego przejścia, fotele, na których zamierzali czuwać i od razu, bez umawiania się padli każdy w swój i długimi przeciągniętymi westchnieniami dali do zrozumienia światu, że są zmęczeni. Ponieważ Ttafeond nie zareagował wymienili spojrzenia i zamarłszy w bezruchu oddali się bezgłośnemu planowaniu, przewidywaniu, a także rozpamiętywaniu trosk. Co jakiś czas spoglądali na siebie jak ludzie, którzy usiłują zapamiętać, co mają do powiedzenia drugiej osobie, a nie mogą tego powiedzieć od razu. W końcu Cadron nie wytrzymał, wstał i wskazał brodą drzwi na korytarz. Wysunęli się obaj bezszelestnie.

– Ile to już trwa – dwa dni? Tyle się wydarzyło, więcej niż czasem przez całe życie. Jak sen, może nawet szalony – rzucił półgłosem Zingute sondując wzrokiem obie strony korytarza.

Cadron od razu zrozumiał, co miał na myśli.

– Wcześniej tego nie widziałeś?

– Wcześniej nie było innego wyjścia, dlatego wydawało nam się, że lepsze takie niż żadne. Ale teraz... Za dużo...

– Za dużo gadamy i za dużo się martwimy. Jeśli mamy wrogów, to oni muszą działać, a w końcu ich jest mniej niż lojalnych dworzan i żołnierzy. No i my wiemy więcej niż wiedzą oni, a to, że w ogóle atakują znaczy jedno – czują swoją słabość, czują naszą siłę, prawda?

W miarę mówienia Cadron sam zapalał się do swych słów, zaczynał widzieć rzeczy inaczej niż jeszcze kilka chwil temu, zaczynał sam wierzyć w swoje racje. Podniecony chwycił Zingute za rękaw

koszuli i szarpnął kilka razy, chcąc wytrząsnąć z niego brak wiary i napełnić otuchą. Ze zdziwieniem zauważył, że właśnie mu się to udało. Zingute zacisnął zęby i myślał chwilę, a potem z głośnym plaśnięciem nakrył swą dłonią dłoń Cadrona i potrząsnął nią.

– Masz rację!.. – powiedział zdziwiony, że sam na to nie wpadł. – Oni się boją. Bardziej niż – Chciał powiedzieć "bardziej niż my", ale zmienił zamiar i dokończył pewnie: – jakiś czas temu. Na pewno!

Zatarł dłonie. Zerknął w oba końce korytarza. Zrobił nagle dziwną minę, która zaniepokoiła Cadrona, dopiero po chwili zrozumiał, że Zingute ziewa z zamkniętymi ustami. Zamyczał na koniec, potrząsnął głową, odchrząknął.

– Opowiedz mi coś o was – poprosił.

– Nie – odpowiedział szybko Cadron. Tak szybko, jakby od dawna spodziewał się tego pytania i od zawsze gotów był tak właśnie na nie odpowiedzieć.

– Dlaczego? Łatwiej mi będzie...

– Nie. Wybacz, ale nie.

Nie ulegało wątpliwości, że uporu Cadrona nic nie złamie, ale Zingute najwyraźniej zamierzał jeszcze coś powiedzieć, tyle że zza załomu korytarza rozległ się cichy okrzyk wartownika. Zingute odwrócił się na pięcie i ruszył biegiem w stronę zakrętu, a Cadron wolno wrócił do Ttafeonda. Król widząc go odłożył na brzuch papiery, popatrzył wyczekująco.

– Nic-nic. – Cadron podszedł do fotela i uwalił się w nim ciężko. – Lepiej dziś wyglądasz

– To chyba niedobrze – uśmiechnął się pod wąsem Ttafeond.

– No właśnie. Do czego to doszło – martwić się z powodu dobrego wyglądu!

– A czym jeszcze się martwisz?

– Oj... – Machnął ręką. Gest był szeroki i szybki i miał znaczyć: "Powodów mam aż za dużo!".

– Aha. – Król zamyślił się na chwilę. – Zastanawiam się... – urwał pogrążony w myślach, a Cadron milczał i czekał. – Zastanawiam się... – powtórzył i znowu na chwilę umilkł. – Czy nie spróbować przyspieszyć tego spotkania, co? – Zerknął w stronę otwartych drzwi i na Cadrona, sługa przymknął oczy i pokiwał głową na znak, że wszystko w porządku. – Będziemy czekać na kolejne zamachy, a ja będę odzyskiwał siły i kusił los. Jak myślisz?

– Nie wiem, do licha, nie wiem – skrzywił się Cadron. – Chciałbym już to mieć poza sobą, ale tobie nie chodzi o wydostanie się stąd, po prostu. Skoro tak, to trzeba postępować w sposób najlepiej prowadzący do celu. Tylko jak?

– No właśnie.

Chwilę wpatrywali się w swoje oczy, czekając na jakieś słowa, jakiś plan, zastanawiając się jednocześnie, ale widząc bezskuteczność takiego działania król podniósł znowu do oczu papiery. W ciszy zaszeleściła sztywna karta, Cadron pociągnął nosem. Wciąż czuł w nozdrzach zapach splenizny i duszący smród płonącego pierza, może zwęglających się odwłoków os. Podciągnął nogi zamierzając wstać i podejść do okna, ale w tej samej chwili zrozumiał, że bolą go nogi i zrezygnował. Pochylił się tylko i chwilę masował uda i łydki. Potem na korytarzu rozległy się szybkie kroki Zingute, a jeszcze chwilę później do komnaty wpadł on sam, blady i z płonącymi oczami.

– Przybył książę Jabberg – wyrzucił z siebie. Zrobił dwa kroki w kierunku odkładającego ponownie papiery Ttafeonda, poklepał się po piersi chcąc szybciej odetchnąć. – To jeden z synów Kenlee Tyerera, króla Manty. Doprasza się pilnego posłuchania, ale raczej się nie doprasza, a domaga.

Zasapał ciężko. Zerknął przez ramię na Cadrona, ale tamten wzruszył ramionami. Ttafeond zabębnił palcami w arkusze papieru. Zastanawiał się chwilę.

– Zawsze możemy odmówić ze względu moją niemoc – rzucił cicho w przestrzeń przed sobą a widząc poruszenie Zingute dodał: – Wiem, czuję, że nie będzie to dobre. Myślisz, że jego wizyta ma jakieś specjalne znaczenie? – Zingute w milczeniu skinął głową. – No właśnie. Uniki nic nie dadzą. Więc trzeba go przyjąć, ale skąd mamy wiedzieć o co mu chodzi... – Odpowiedziała mu cisza. Zastanawiał się chwilę, a potem odezwał się jednocześnie z Cadronem:

– Myślę... – Ttafeond.

– Może... – Cadron.

Ttafeond szybko odwrócił głowę do przyjaciela.

– No? Mów...

– Może przyjąć go, ale za jakiś czas. Powiedzieć, że teraz.. Hgm.. Że teraz cię kąpią, a przez ten czas postawić przy jego komnacie szpiega, a i my się zastanowimy. Zyskać na czasie, po prostu.

– Tak zrobimy – zdecydował Ttafeond. – Załatw kąpiel i jakieś dobre uszy. Czy ten specjalny tron tu jest? Dobrze. No to pędź!

Zingute poderwał się do zwrotu, chwilę marudził stojąc jeszcze ze zmarszczonymi brwiami, jakby chciał coś powiedzieć, zastanowić się czy zwyczajnie – dobrze zapamiętać polecenia. Mruknął jednak tylko "dobrze" i wybiegł z komnaty. Ttafeond poderwał papiery i zaczął je gorączkowo wertować.

– W Mancie króluje Kenlee Tyerer, nie chce sojuszu, w Zrugan Formalo – Filtil, też się opiera, Morsey z Analass jest z nami, i zostaje Pwo z Surney. Na tych wrogo nastawionych nic nie mamy – rzucił z zalem. – W ogóle – jeśli kogoś można do czegoś przymusić to tylko Pwo z Surney, choć i to wątpliwe. – Złożył papiery w porządy stos i trzepnął nimi w kolano, rozległ się głośny trzask, Ttafeond skrzywił się ze złością. – Władca Manty jest przeciwny sojuszowi i nie mamy na niego wpływu.

– Może się namyślił i właśnie dlatego wysłał syna? – ostrożnie podsunął Cadron.

– Ha! To by nie było złe, gdyby było prawdą; tak podobno powiedział pewien wędrowiec spadając z mostu, który okazał się omamem. Jeśli masz rację, to niepotrzebnie wpadliśmy w popłoch, ale coś mi się nie wydaje...

Cadron cmoknął z miną "Powiedziałem swoje, ale nie wiem czy dobrze".

– Zobaczmyż właśnie jakie są nasze szanse. – Ttafeond szarpnięciem podniósł się wyżej w łóżu i odłożył papiery. – Morsey z Analass opowiada się za aliansem, bo jest następny w kolejce do podboju... I... I... I to wszystko, pozostali nie wierzą w nawałnicę dziczy, albo ufają w swoje góry, morze... Jeden duży kraj i jeden mały z jednej strony i takie same z drugiej, i niepewny Manta, niewiadomo z której strony. – Chwycił za obwisły koniuszek wąsa i zakręcił na palcu a potem włożył do ust i przygryzł. Podciągnął nogi i zaczął intensywnie wpatrywać się w dwa wzgórki swoich kolan.

– Czy Ttafeond tak robił? – zapytał Cadron

– Co?

– To z wąsami?

– Tak – niecierpliwie rzucił Ttafeond, zły, że przeszkodził mu w zastanawianiu się.

– Skąd wiesz?

Leżący na łóżku mężczyzna oderwał spojrzenie od pościeli, popatrzył na Cadrona.

– Co ci chodzi po głowie?

– Skoro wiesz tyle o nim – po co czytasz te...

– Och, nie wiem wszystkiego, nie mam jego wspomnień, ani z dzieciństwa, ani innych. Wiem tylko jak zachowywało się jego cia... – Przerwał widząc wbiegającego do komnaty Zingute

– Już niosą wodę, potem będzie tron...

– Dobrze. Rozmowa odbędzie się tak: Cadron tutaj, ty w tronie. Muzyków zaweźwój, niech rzepolą jak onegdaj, nie będzie słycać jeśli się odezwiesz...

– To też załatwione.

– Wspaniale.

– Postaw też dwóch najpewniejszych przy tronie, niech wejdą razem z Jabbergiem – wtrącił się Cadron.

– Myślałem, że ty wystarczysz – pokręcił głową Ttafeond.

– Nie wiem. Nie będziemy ryzykować. Mogą uznać, że położenie z następcami tronu jest niepewne, i w zamieszaniu sprawa zabójstwa króla zejdzie na dalszy plan...

– No, kraczesz tak, że najstarsza wrona umarłaby z przestachu.

– Panie... – obraził się Cadron.

– Już dobrze, może masz rację.

Na korytarzu rozległo się stąpanie kilku par stóp, ktoś syknął głośno, gdy jakiś metalowy przedmiot uderzył w ścianę i rozdzwonił się. Po chwili do komnaty wniesiono błyszczącą mosiężną balię, za nią szeregiem wchodzili pacholcy wnosząc stągwie napełnione gorącą i zimną wodą. Zingute dyrygował nalewaniem, sprawdzał co i rusz ciepłość wody aż zamaszystym ruchem ręki przegnał wszystkich z komnaty. Sam podszedł do drzwi i podparł je własnymi plecami. Ttafeond odrzucił przykrycie, stęknąwszy przerzucił nogi przez brzeg łóżka, gestem odmówił przyjęcia pomocy Cadrona. Podczas kąpieli i wycierania nie padło w pokoju ani jedno słowo, Zingute wpatrywał się w podłogę tuż przed swoimi stopami, Cadron z lekkim strachem obserwował wychudłe ciało Hondelyka-Ttafeonda, ostre łokcie, spiczaste kolana, wiotką skórę na piersi i szyi. Ttafeond najpierw zagryzał wargi siadając i polewając się gorącą wodą, potem z przymkniętymi oczami oddał się na chwilę przyjemności leżenia w ukropie, na koniec oblał wodą z dzbana głowę i energicznie natarł twarz. Zarumieniony wyszedł z balii i okręcił podanymi przez Cadrona dwoma cienkimi prześcieradłami.

– Tron będzie w innej komnacie – ni to zapytał, ni to stwierdził.

Zingute zdecydowanie pokiwał głową: – Tak, zdecydowałem, że w następnej. Jeśli masz, panie...

– Znakomicie – pochwalił Ttafeond. – Jesteście niezastąpieni. Że Cadron jest taki – wiedziałem od dawna, sądziłem jednak, iż jest ostatnim takim człowiekiem na ziemi. Teraz jednak widzę, że jest was co najmniej dwóch takich. Szkoda, że... No, nic.

Przy ubieraniu się skorzystał z pomocy Cadrona, potem, zdyszany i z czołem pokrytym mgiełką potu skinął na Zingute: – Dawaj tron, niech mnie przeniosą, ty idź zaprosz Jabberga, wróc przed nim i wskakuj w tron. – Po wyjściu Zingute zrobił po komnacie kilka kroków, oparł się o ścianę. – Zabawne – nigdy dotąd nie było takiej różnicy wieku między mną i... – Okręcił się na stopie i podszedł do okna, ale nie stanął na wprost, tylko z boku, odchylił nieco zasłonę i wyjrzał przez szparę. – Nic nie widać, trochę drzew...

Cadron milczał. Ttafeond zamilkł również, po chwili usłyszeli ciche stąpanie kilku ludzi, drzwi otworzyły się i do pokoju ósemka gwardzistów wniosła masywnie wyglądający drewniany tron-lektykę. Siedzisko i oparcie grubo wybite były futrami, brzegi mebla intarsjowane od frontu, rzeźbione z boków. Do brzegu oparcia przymocowano wysokie skórzane nabijane złotymi ćwiekami futerały, tkwiły w nich pewnie chorągwie królewskie, w tej chwili wyjęte i trzymane w rękę przez żołnierzy – nie przeszłyby przez drzwi, może nawet nie zmieściłyby się w komnacie. Ttafeond nie czekając aż woje wyprężą piersi ciężko stąpnął na podnózek, odetchnął jakby wyczerpał go ten wysiłek i ciężko opadł na siedzisko. Zingute natychmiast wydał rozkaz i żołnierze nerwowo

rozglądając się na boki odwrócili w zbyt ciasnym dla tego rodzaju manewrów pomieszczeniu tron, wycelowali w drzwi i wyszli. Cadron odczekał aż zostanie sam w pokoju, wyjął z pościeli sztylet Hondelyka, wsunął za pas na prawym boku, zgarnął ze stołu szklaną bryłę, dwa sznury drobniutkich koralików i poszedł za tronem. W komnacie obok ustawił się z boku, odrobinę z tyłu, w cieniu tronu, skrzyżował ręce na piersiach. Koraliki zwisały z zakrytych fałdami rękawów dłoni, kilka razy potrząsnął nimi, chcąc by ułożyły się odpowiednio – widoczne na pierwszy rzut oka, określające jego zawód i miejsce przy boku władcy. Żołnierze szybko wyszli z pokoju, zaraz po ich wyjściu do pokoju wpadł Zingute.

– Niech Cadron wprowadzi księcia, ja już muszę... – podbiegł do podnóżka, wsadził palce pod spód, nacisnął coś, poderwał się z kolan i pobiegł do grubego oparcia. Jedna z tub sztandarowych, szarpnięta mocno, bezszelestnie okręciła się wraz z fragmentem boku oparcia, Zingute wytrzeszczył oczy, wypuścił powietrze i wcisnął się w pozycji siedzącej za Ttafeonda. Gdy wsuwał się wyglądał jakby zamierzał trzymać króla na kolanach. Machnął do Cadrona przyglądającego się mu z zainteresowaniem. – Idź na korytarz! – syknął.

Cadron spełnił polecenie, a gdy po chwili Ttafeond usłyszał jego sygnalizacyjne chrząknięcie, wytchnął powietrze tak, że chuda klatka piersiowa, zaczęła się wydawać jeszcze bardziej zapadnięta, przymknął powieki, wysunął do przodu żuchwę. Za nim, z głębi tronu rozległo się ciche skrzypienie i zadziwiająco wyraźny choć cichy szept:

– Słyszać mnie?

– Tak. Do pokoju wszedł Cadron prowadząc za sobą Jabberga. Młodzieniec był wyższy od wysokiego przecież Cadrona, ale o wiele masywniej zbudowany, choć tylko o krok od otyłości. Mięśnie, jeśli jakieś w jego ciele były, skrywała przed wzrokiem Ttafeonda warstwa tłuszczu – gdy księżę tupiąc głośno wszedł do komnaty pulchna pierś ciasno opięta cienką seledynową koszulą drżała w rytm kroków i nie był to przyjemny widok. Idąc nerwowo poskubywał opuszkami kciuka i wskazującego palca przegrodę nosową, jednocześnie czwartym i piątym palcem głaskał cienki wąsik. Przystanąwszy przed tronem Ttafeonda opuścił jednak rękę, skłonił głowę, a potem, jakby podjąwszy w ostatniej chwili decyzję, ugiął lewe kolano i przyklęknął na nim. Trwał w tej postawie chwilę, dobrze wyważoną, zerknął z dołu w oczy królowi, a widząc lekki ruch jego dłoni powstał i zaczerpnął powietrza.

– Mój ojciec, panie, śle ci pozdrowienie i życzenia powrotu do zdrowia – powiedział.

Głos miał podobny do ciała – niby mocny i zdecydowany, ale głucho brzmiący, natomiast w tonie trudno byłoby dopatrzeć się szacunku. To nie jest tłusty królewski synalek, pomyślał Cadron. I nie powiedział "serdeczne pozdrowienia" ani "szczerze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia". Albo mają już za nic Ttafeonda, albo umówili się z innymi władcami i odrzucą sojusz. Postąpił pół kroku do przodu chcąc wejść w pole widzenia króla i spojrzeniem zasygnalizować niebezpieczeństwo. Zerknął na Ttafeonda i zobaczył, że jego głowa drgnęła nieznacznie. Jabberg powinien był pomyśleć, że to słabość króla powoduje drżenie jego głowy.

– Dziękuję. I twojemu ojcu za troskę i tobie, bo chciało ci się odbyć niebezpieczną w tych czasach podróż, by mi wyrazy tej troski przekazać. – Ttafeond zrobił przerwę na oddech, może po to, by wyraźny sarkazm dotarł do posła, a potem popatrzwszy na Cadrona powiedział: – Podaj gościowi krzesło.

Cadron szybko podsunął Jabbergowi fotel i został za nim. Tu mógł bezpiecznie posyłać Ttafeondowi znaki. Królewicz usiadł podziękowawszy skłonem głowy, ale nerwowo obejrzał się do tyłu, jakby przeszkadzała mu czyjaś obecność za plecami, odpowiedziało mu jednak tylko puste nieobecne spojrzenie. Cadron skrzyżował ręce na piersi, jednocześnie król zaczął mówić;

czerwieniący się ze złości Jabberg nie mógł mu przerwać, nie obrażając jednocześnie gospodarza.

– Za dwa tygodnie powinniśmy się zebrać, władcy pięciu krajów, by zdecydować o swoich losach na długi długi długi czas... Czy ojciec widzi jakieś sprawy nie cierpiące zwłoki, tak pilne, by wysyłać cię jeszcze przed zjazdem?

Ttafeond nie krył kpiny zwłaszcza w drugiej części wypowiedzi. Cadron zorientował się, że chce wytrącić z równowagi butnego – z rozkazu ojca zapewne – Jabberga, tak, by ten szybko i nie kontrolując się wyrzucił z siebie z czym przyjechał. Młodzian jednak nie zareagował – jak się spodziewano – na drwinę – poderwał się wprawdzie z fotela, ale nie odezwał się, sięgnął tylko do płaskiej skórzanej torby przypiętej do boku. Jej płaskość miała oznaczać, że nie chowa w niej żadnej broni, ale i tak Cadron pochylił się do przodu i odrobinę odsunął splecione ręce od tułowia. Jabberg wyjął trójkątny pakunek i odwinąwszy kryjący go cienki materiał postąpił cztery kroki do przodu, podał papier kólowi. Ttafeond z wysiłkiem sięgnął po list, przywołał ruchem oczu Cadrona.

– Przeczytaj...

Cadron zaczął wolno łamać pieczęcie. Umyślnie podał list tak, by król musiał wyciągnąć rękę, i król jest tego świadom, pomyślał. Nie lubi takiego sprawdzania, możesz pożałować tłusciochu. Ttafeond tego nie będzie czytał, będę czytał ja, więc usłyszy również Zingute.

– Pozdrawiam cię, królu Vernie. Przyjmij zapewnienia naszej nie słabnącej przyjaźni i życzenia powrotu do zdrowia. Wybacz mi, że nie pofatygowałem się osobiście do Ciebie, ale syn mój jest wprowadzonym we wszystkie sprawy królestwa, potraktuj go jakbyś mnie miał przed sobą i o wszystkim możesz z nim rozmawiać i o wszystko się układać. Zapewniam Cię, że gdyby nie nadzwyczaj ważne sprawy nie używałbym pośrednika, nawet tak zaufanego. Pozostaję w nadziei na szybkie Twoje wyzdrowienie i nasze spotkanie.

Cadron złożył list w trójkąt i odłożył na stolik. "Czyli już wiemy – Jabberg ma się o coś układać, albo raczej my o coś z nim układać". W tej samej chwili Ttafeond powiedział cicho:

– O co się mamy układać?

– Eee-gh? My... Ojciec...

– Ojciec powiedział ci mniej więcej tak: Jedź do tego żywego jeszcze trupa i powiedz mu, że możemy wejść w ten jego sojusz i pomóc przekonać innych, ale to będzie kosztowało.

Cadron zorientował się, że Ttafeond nie widzi sensu rozmowy z Jabbergiem, lekceważący ton listu wyraźnie wskazywał, że Kenlee Tyerer nie liczy się już prawie zupełnie z chorym władcą Vernie. Lekki ruch powieki Ttafeonda spowodował, że natychmiast ruszył z pomocą królowi:

– Mówiłem ci, panie – podłączył się do gry. – Widziałem w kuli patroszenie Twojego skarbcza przez żelazne, ale pordzewiałe szczury.

Ttafeond pokiwał głową, Jabberg miał to odczytać jako potwierdzenie słów Cadrona, Cadron – jako aprobatę dla jego pomocy.

– Pamiętasz przecież jak się widzenie skończyło – zimna woda zalała skarbiec i chciwców. Tłumaczyłem Ci, że ktoś dybie...

– Pamiętam – przerwał Ttafeond. Obdarzył zaskoczonego Jabberga ciężkim spojrzeniem. – Mój konsyliasta przekaze Ci dla ojca napar z cięgnicy, znakomicie poprawia pamięć. Bo skoro mam rozmawiać z Tobą jak z ojcem, to przypomnę Ci, że obiecywałem wszystkim i każdemu z osobna nie wchodzić w oddzielne układy z żadnym z czterech władców. Skarbiec Vernie nie posłuży kupieniu sobie głosu żadnego łapczywego króla. Albo wejdziecie w sojusz z własnej woli, albo martwcie się o siebie każdy z osobna. – Pochylił się do przodu. – Jeśli nie jesteś matołem, a nie jesteś, rozumiesz, że mnie na tym aliansie coraz mniej zależy.

Jabberg otworzył usta, chrapliwie zaskrzeczał, odchrząknął ze złością.

– Gdybyś nie był, panie, chory...

– Gdybym nie był chory!?! – ryknął Ttafeond, z jego oczu były błyskawice, chude palce ścisnęły poręczę fotela aż trzasnęło suche klejone drewno. – Chory czy nie, gdybyś nie był posłem, już dawno, po pierwszych twych słowach zostałbyś wychłostany. – Wyczerpany wybuchem opadł na oparcie fotela, spodełba zerknął na bezgłośnie otwierającego i zamykającego usta Jabberga. – Dziękuję za życzenia zdrowia, skorzystam z nich. Wracaj do siebie i powiedz ojcu, że jeśli nie chce okazać się sam przeciw potędze czarnej dziczy niech pomyśli co robić. Powiedz mu także, że nie powinien rozważać niczego z tobą, bo myślisz tylko o prywacie, o tym jak najszybciej i najłatwiej wdrapać się na tron, powiedz więc – powtarzam – ojcu, że jeśli nie chce skończyć z trucizną w bandziochu niech jak najszybciej odsunie ciebie od spraw państwowych, bo mu nabruździsz. Żegnaj.

Jabberg poderwał się i zaczerpnął powietrza. Cadron przesunął się i stanął tak, że w razie ataku na Ttafeonda napastnik musiałby przedrzeć się przez zasłonę z jego ciała. Jednocześnie wsunął dłonie pod poły kaftana nie kryjąc znajdujących się tam noży.

– Jeśli zamierzasz coś obraźliwego powiedzieć, to miarkuj – powiedział cicho, ale zdecydowanie Ttafeond. – Każę cię zabić i porzucić naszpikowane dzidami ciało na gościńcu, że niby czujka czarnych trafiła na odpowiedni łup...

– To dobry pomysł – wtrącił się Cadron – Może to by przekonało jego ojca, że dzicy istnieją i są groźni. Może też z wdzięczności, że pozbył się tego bęcwała zgodziłby się na koalicję?

Jabberg wypuścił powietrze przez nos, jakby obawiając się, że jeśli otworzy usta, wyrwie się z nich coś nieodpowiedniego. W nozdrzach coś zachlipotało, na wąsik wypadł glut, zanim Jabberg zdążył zareagować smark zakołysał się i przyczepił do górnej wargi purpurowiejącego posłańca. Jęknął z zamkniętymi ustami i wykonawszy coś na kształt ukłonu wybiegł z komnaty. Trzasnęły drzwi, skrzypnęły ukryte do tronu, ze skrytki wyszarpnął swe ciało spocony Zingute.

– Czy...

Zagłuszyły go słowa Ttafeonda: – Wiem co robię. Właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Jabberg i jego ojciec nie są ważni. Mogłem, co prawda, potraktować go trochę łagodniej, ale to wesz, i musiałem go urazić, by zaczęli gwałtownie, gwałtowniej niż dotychczas namawiać przeciw koalicji. Rozumiesz? – Zingute pokręcił głową, Ttafeond przeniósł spojrzenie na Cadrona, który kiwnął głową i powiedział:

– Do spotkania władców zostało tylko dwa tygodnie, tak? Kenlee Tyerer będzie więc nerwowo zabiegał o posłuchanie dla swoich planów. A zbyt gwałtowne namawianie do czegoś zawsze rodzi opór. Będą więc nastroszeni i podejrzliwi, na pewno do spotkania nie podejmą żadnych decyzji...

– A na spotkaniu?..

– Na spotkaniu mam nadzieję załatwić to raz na zawsze. – Ttafeond zachichotał cicho. – To może być proste.

– To znaczy? – wsparł ciekawość Zingute Cadron.

– Na razie nic nie powiem, muszę dobrze przemyśleć swój pomysł. – Odkaszlnął. – Wracamy do pierwszej komnaty, podajcie mi tam coś do picia, potem dużo jedzenia i zawołajcie Kalię, zjem z nią obiad, odegram scenę wyzdrowienia i zobaczymy. Mamy dwa tygodnie, dużo. A oni mają tylko khm!.. kghm!... – Położył dłoń na grdyce, ścisnął tłumiąc kolejne spazmy kaszlu. – ...Tylko dwa tygodnie.

Popatrzył na obu pomocników, obaj mieli te same powątpiewające miny. Roześmiał się i po raz pierwszy przez rysy Ttafeonda przebił się szeroki uśmiech Hondelyka.

– Co za ponure miny? Nie wierzycie mi?

Zingute wzruszył ramionami i natychmiast zarumieniwszy się skłonił nisko głowę.

– Wybacz, królu. Nie mam usprawiedliwienia...

Ttafeond sięgnął do buta, zdjął go jednym ruchem i cisnął trafiając w lewe ramię zaskoczonego Zingute.

– Dajcie mi jeść i pić, najpierw pić. I idźcie sami wypocząć, straż pod drzwiami z gwardzistów, wystarczy.

Sprawdziwszy, że korytarz jest pusty pomogli Ttafeondowi wrócić do komnaty, ułożyli w pościeli. Wyszli obaj na korytarz, Zingute szybko wydał polecenia straży. Cadron przystanął przy oknie, trącił palcem obluzowaną, drżącą i pobrzękującą pod naporem wiatru szybkę. Brzęczenie ustało. Oderwał palec, przeciąg wywołał cichy gwizd i głośniejsze drganie. Przycisnął jeszcze raz szybkę.

– Nie chce mi się spać, ani wypoczywać. – Odwrócił się, przycupnął na parapecie. – Najchętniej... – Urwał, krzywiąc się jednocześnie na znak, że ma ochotę na coś, co jest niemożliwe.

– Najchętniej co?

– Pograłbym w knapy, w dobrej kompanii. – Zatarł ręce. – Tak wiesz, do rana, z beczką piwa, z dobrym mięsiwem, z kapelą. – Westchnął przeciągle, popatrzył żałośnie na Zingute. Odczekał chwilę. Pokiwał głową. – Wiem, to niemożliwe, co? Niemożliwe.

– Poszóstne? Poszóstne knapy, rzecz jasna? – Zingute wysunął język i szybko przejechał nim kilkakrotnie po dolnej wardze; po raz pierwszy od zawarcia znajomości, przez chwilę po jego twarzy błąkał się nikły uśmiech i siostrzany wyraz rozmarzenia. Zaraz potem jednak rysy stężały, a cała głowa wykonała znany ruch oznaczający rezygnację i zwątpienie. – Nie-możliiwe...

– Chodźmy, popodsłuchujemy trochę...

Cadron ruszył pierwszy, nie oglądając się wszedł do komnaty. Zamyślony Ttafeond z pucharem w rękę popatrzył na niego, Cadron pomachał ręką żeby sobie nie przeszkadzał, podszedł do ściany z wejściem.

– Naucz mnie otwierać tu drzwi.

– No to patrz: tu – tak... tutaj – tak, i pchasz, jasne?

– Jasne, daj sam spróbuję... Aha, dobrze. To idziemy.

Obaj wchodząc w wąskie drzwi rzucali po kolei spojrzenia na króla, ale skinął tylko głową. Ruszyli wąskim przejściem, w gęstniejący mrok. Po kilku krokach Cadron zatrzymał się i pociągnął Zingute za rękaw, ale nic nie powiedział, tylko precyzyjnie go obok siebie i pchnął delikatnie do przodu, na prowadzenie. Przemykali cichą ciemną kruchtą nasłuchując, ale na tym poziomie w żadnej z komnat nie było mieszkańców, mimo to nie pozwolili sobie na najmniejszy hałas. Potem Zingute zwolnił, trącił wysuniętą do tyłu ręką współnika. W nikłym świetle wpadającym z rozmieszczonych nad głowami otworków Cadron zobaczył, że Zingute zaczyna pokonywać kręte schody. Za pierwszym zakrętem przewodnik przystanął i wyszeptał:

– Zostań na tym piętrze, ja pójdę jeszcze niżej. Który pierwszy się znudzi pójdzie do drugiego.

Pokiwał głową na znak zgody i uprzytomniwszy sobie, że mrok niemal całkowicie zamazuje kontury ich ciał pochylił się w stronę Zingute aż zobaczył, że tamten też kiwa głową, a potem rusza do przodu i w dół znikając w ciemnościach. Cadron odczekał chwilę na swoim stopniu, aż odstęp między nimi powiększył się, a potem ruszył w dół. Pokonując ostrożnie ostatni stopień zobaczył jak sylwetka Zingute błysnęła na chwilę w jaśniejszej smudze światła i zniknęła za kolejnym zakrętem, zbliżył się do ściany z wystającym trzpieniem, przyłożył ucho, a potem delikatnie poruszył bolec i wsłuchał w leniwie prowadzoną za ścianą rozmowę.

– ...tomiast sokoły są albo przekarmione, albo niewietrzone przez całe tygodnie i nic z polowania z nimi nie wychodzi!

– A kto ma się polowanie zająć? Stary Oprus? On tylko myśli czy uda mu się wyszczypać jeszcze jedną dziewczkę, nawet nie wychodzi z komnaty, żeby się nie przeziębić, tylko mu nocniki zmieniają.

– No, tylko król ruszał to towarzystwo – powiedział z żalem pierwszy głos. – Ale i jemu się to ostatnio znudziło...

– A teraz to już nie wiadomo co się będzie działo... Z całym dworem i w ogóle...

Dwa długie westchnienia. "Jeśli spiskują, to teraz powinni zacząć narzekać i planować zmiany". Coś stuknęło mocno w ścianę, przy której warował Cadron. Przestraszony odskoczył.

– Niech to licho! – syknął ktoś. – Już nawet nożem nie trafiam w tarczę. Jeszcze trochę i zacznę się bać byle wiejskiego ciula.

– Bym ci poradził, żebyś nie siedział w izbie i nie dziurawił ścian, ale wziął jakiś skadr i przewietrzył się w okolicy granicy, ale mnie nie posłuchasz...

– Bym ci poradził! – przedrzeźnił drugi głos. – Sam się przewietrz! A! – skrzypnęła podłoga, głos przybierał na sile w miarę jak mówiący zbliżał się do ściany: – Nikomu nic się nie chce, to i mnie też. A wycieczka małym oddziałkiem, to duża szansa na ugotowanie w kotle czarnych.

– Oj, przestań! – warknął drugi. – Jak sobie przypomnę oczy Kachlena w głowie nabitej na pal...

– A Storge? Lepiej skończył? – No!

– A weźmy Ukgele, albo...

Cadron słuchał przez chwilę jak na wyścigi wyliczają poległych towarzyszy, nic nie wskazywało, by mieli zamiar przestać lub oskarżyć o straty Ttafeonda. Wolno wcisnął sztyft na swoje miejsce, głosy ścichły, odsunął się na palcach i przesunął do sterczącego z przeciwległej ściany trzpienia. Chrapanie, głośnie beztroskie chrapanie. Następna komnata – cisza, następna – kłótnia małżeńska. Jeszcze jedna kłótnia, karesy, drugie karesy, jeszcze jedno zapasy miłosne. Zostały jeszcze dwa trzpienie, jeszcze dwie komnaty, gdy bezgłośnie wyłonił się Zingute i gwałtownym ruchem ręki przywołał Cadrona. Zanim przywołany ostrożnie przymknął kanał podsłuchowy przewodnik zniknął już w mroku, Cadron pobiegł za nim na palcach, szorując dłońmi po ścianach korytarza. Prawie bez kłopotu przebrnął przez schody, minął odgałęzienie korytarza, drugie, w mroku trzeciego natknął się na klęczącego nad wyciągnięta pod ścianą kobiecą postacią Zingute. W rozcieńczonym słabymi smugami światła mroku świeciły rozrzucone białe nogi, Cadron podbiegł do Zingute, wychylił się nad jego ramieniem.

– Co się stało? – zapytał.

– Ktoś ją napadł – wymruczał Zingute. – Dusił... Może usłyszał moje kroki, albo nie chciał... – Podtrzymał głowę dziewczyny jedną ręką, dłonią drugiej delikatnie rozcierał skronie. – Chyba ją najpierw ogłuszył, czuję krew na palcach. Może uderzyła się padając, albo podczas szamotaniny?..

– Szamotaninę byś usłyszał...

– Prawda. Pewnie jednak zaszedł ją, huknął w głowę i zaczął dusić. – Obejrzał się przez ramię. – Musimy jakoś ją stąd wynieść, ale zapamiętaj to miejsce.

Cadron mruknął coś potakująco. "Można pomyśleć, że słyszała coś ciekawego, skoro dała się podejść. Choć może być zupełnie nie tak... Sama musi nam opowiedzieć co się tu stało". Zingute wsunął już jedną rękę pod talię dziewczyny, drugą wciąż podtrzymawał jej głowę. Cadron pochylił się i objął kolana i uda dziewczyny, dobiegła go woń moczu, poczuł wilgoć na materiale spódnicy. "Wystraszyła się, biedactwo. Zabić gada!". Jednocześnie wyprostowali się i ruszyli najpierw tyłem do krzyżówki korytarza, potem Zingute pierwszy, szybko, ciągnąc za sobą niepewnie stąpającego Cadrona.

– To jedna z tych dziewczyn? – zapytał korzystając z tego, że odcinek korytarza pozbawiony jest

trzępieni, a więc – tak to sobie wymyślił – również otworów do komnat.

– Tak, tylko nie wiem która, i dlaczego była sama.

Przypieszył, Cadron niemal natychmiast potknął się, wymruczał: "Przepraszam!", Zingute zwolnił. Zeszli jedną kodygnację niżej, przebiegli kilka załomów kruchty, kawałek pochyłego korytarza, schody i jeszcze jedno, najgorsze dla Cadrona – wąskie, strome i wysokie, w końcu Zingute zatrzymał się i pochylił. W tej części zamku było już prawie całkowicie ciemno, nawet po pobycie w zaciemnionej części, na górze, wzrok nie wychwytywał światła. Zingute krzesął iskry, trafił nimi na tłusty koniec umocowanej w ściennym uchwycie pochodni. Nerwowo posapując rozdmuchał ogień, poprawił jej osadzenie w uchwycie.

– Tu poczekał – zerknął na dziewczynę, drgnął, jakby chciał uklęknąć przy niej. – Trzymaj – podał Cadronowi sztylet, ale widząc odmowny ruch głowy Cadrona i wsuwającą się za poję kaftana rękę odwrócił się i wbiegł w ciemność korytarza zgęstniałą jeszcze bardziej po rozpaleniu pochodni. Na jej trzonie połyskiwała świeża rozmazana czerwona plama.

Cadron zerknął przez ramię przypominając sobie ukształtowanie terenu za sobą, przykucnął obok dziewczyny ze sztyletem w dłoni, opuścił głowę, nie chcąc, by oślepił go blask pochodni. Przyjrzał się ofierze. Pasma włosów z boku głowy przesunęło się na twarz, odgarnął je. Miała miłe rysy, perkaty nosek i soczyste pulchne wargi, ale w tej chwili dwie inne rzeczy rzucały się od razu w oczy – ciemne, niemal czarne obramowania zamkniętych oczu i – ponieważ leżała płasko, z brodą uniesioną ku górze – paskudna wąska, ale głęboka szrama na szyi, obramowana nabrzmiałymi wałkami spuchniętej skóry. W dwóch miejscach z blizny po sznurze czy cienkim rzemieniu sączyła się krew. Na szczęście pierś dziewczyny unosiła się w płytkim oddechu. Cadron zastanawiał się chwilę, ale uznał, że sytuacja jest dla dziewczyny groźna, zerknął w oba końce korytarza, a potem uniósł powiekę. Żrenicy nie było widać na odwróconej gałce oka, mogło to – w połączeniu z ciemniejącymi sińcami pod oczami i przedłużającej się utracie przytomności – oznaczać, że poważniejszy jest uraz głowy niż blizna po nieskutecznym duszeniu. Podniósł się, wytarł o nogawkę spodni spoconą dłoń. Zza zakrętu rozległ się cichy gwizd a potem sapanie, wypadł z ciemności Zingute, dwoma skokami pokonał dzielącą go od Cadrona odległość.

– Szybko, mamy drogę wolną.

Pospiesznie unieśli dziewczynę, potruchtali do zakrętu, pokonali schody i – w końcu – dotarli do komory, w której rozpałały się trzy pochodnie oświetlając dwoje drzwi. Zingute dobiegł do tych bliższych, otworzył je kopniakiem i niemal wciągnął Cadrona za sobą do izby. Ułożyli bezwładne, leżące przez ręce ciało na pryczy. Zingute zwałił się na kolana przy dziewczynie, gwałtownymi ruchami odrzucił włosy z twarzy, wyprostował ręce, strzepnął spódnice. Zauważył, że z dziewczyna zgubiła prawy bucik, odruchowo chwycił drobną stopę w dłoń, ale szybko zrezygnował z pomysłu ogrzania jej swoim ciepłem. Odwrócił się do Cadrona.

– Biegnij po medyka, chyba król nie będzie miał...

– Nie będzie! – zapewnił go Cadron ruszył do drzwi, ale zatrzymał się. – A gdzie go znajdę?

– Diabli! Sam pobiegnę, będzie szybciej. – Śmignął obok Cadrona. – Spróbuj ją ocucić, jakoś pomóc...

Cadron nie zdążył zapewnić go, że zrobi wszystko, co będzie mógł. Rozejrzał się po komnacie; drzwi przez które weszli zrosły się już ze ścianą. Te, przez które wypadł Zingute prowadziły na jakiś korytarz, nic nie wskazywało, by można nim było szybko dotrzeć do wody, a drugie drzwi – jak się okazało po ich otwarciu – zamykały schody, ciemne, tchnące zimnym i stęchłym powietrzem. Cadron ostrożnie wysunął się na korytarz, uważnie przyjrzał się obu końcom, wsłuchał w ciszę. Popatrzył przez ramię na dziewczynę, ale najmniejszy ruch ani odgłos nie wskazywał, przynajmniej z tej

odległości, że żyje. Cadron ostro ruszył śladem Zingute, przebiegł kawałek, skręcił, zawahał się przed kilkoma schodkami, ale przeskoczył je i – widząc, że nadal nie ma skąd wziąć wody dla dziewczyny – zawrócił i równie szybko pognął z powrotem. Pomyślał, że Zingute miałby mu za złe, gdyby...

Wpadł do pokoju. Dziewczyna leżała jak przedtem, tyle że pochylał się nad nią jakiś mężczyzna. Cadron zwolnił i już otwierał usta, by zapytać nieznanego co robi, gdy gość odwrócił się dziwnym zmijowym ruchem, przy którym jego głowa, znalazłszy się niemal na poziomie łóżka, odwróciła szybciej niż wykonało ćwierć obrotu całe ciało. Zmrużone jadowicie, klujące nienawiścią szparki oczu pozwoliły otrząsnąć się Cadronowi z zaskoczenia, sam nie wiedząc dlaczego tak postępuje odskoczył w bok, nie w kierunku gościa. Jednocześnie wyszarpnął sztylet i cisnął nim w mężczyznę, natychmiast sięgnął po raz drugi. Nóż, choć ciśnięty celnie, nie doszedł celu, mężczyzna okręcił się na piętach, uchylił i ostrze, które każdemu innemu wbiłoby się w żołądek, przeleciało obok i uderzyło w ścianę. Jeszcze zanim sztylet brzęknął napastnik poruszył swoim ramieniem i nagle – nie wiadomo skąd – w wysuniętej do przodu dłoni pojawiły się dwa ostrza na wspólnej rękojeści. Cadron poczuł chłodne tchnienie strachu na karku. "Nie uchylę się tak gładko jak on. Muszę..." . Ciśnięty wcześniej sztylet uderzył tymczasem w ścianę, odbił się, zakręcił szaleńczego młynka, wbił w powietrze i wirując trącił napastnika między łopatki. Wężowy gość szarpnął się, odruchowo poruszył głową, chcąc obejrzeć się, zrozumiał co się stało i usiłował odrobić straty w czasie. Ale już było za późno. Cadron z całą rozpaczą i siłą, na jaką było go stać rzucił się w przód, od kolana ciskając drugi sztylet. Dzieliło ich w tym momencie nie więcej niż dwa-dwa i pół dużego kroku, nóż trysnął odbitym światłem pochodni na boki i wbił się na wysokości pasa w ciało mężczyzny. Po raz pierwszy gość wydał z siebie odgłos – coś jak czknięcie, które jednocześnie z odgłosem wstrząsnęło jego ciałem, ale mimo to ruszył na Cadrona, choć głowa – znowu dziwnym, ale już niezamierzonym ruchem – majtnęła się do tyłu. Cadron odchylił się, opadając na plecy dźgnął z całej siły obiema stopami w kierunku mężczyzny. Prawe śródstopie trafiło w sterzący z brzucha napastnika sztylet, rozległ się stłumiony trzask, zagłuszony głośnym jękiem, przechodzącym od zaskoczenia do bolesnego skowytu rannego. Zdwojony sztylet wypadł mu z dłoni, a on sam złamał się w pół, ugięty kolana, głowa poleciała do przodu i w dół. Napastnik runął bezwładnie uderzając z nieprzyjemnym trzaskiem twarzą o kamienną podłogę. Cadron podkurczył stopy i poderwał się na równe nogi. Przełknął ślinę, zerknął na drżące ręce. Przeskoczył nieruchomego napastnika żeby podnieść swój sztylet, cofnął o krok. Oderwał na krótką chwilę wzrok od zwiniętego w kłębek mężczyzny.

Dziewczyna miała półotwarte usta, otwarte jedno oko. Cadron odetchnął z ulgą Pochylił się nad zamachowcem, zamierzał chwycić go pod pachy i wywlec na korytarz, ale zamarł nagle z rękami zwisającymi już w dół. Serce zdobyło się na kilka niezaplanowanych wcześniej skurczów, jakieś echo od serca zakotłowało się w gardle, zakorkowało je, jednocześnie eksplodując falą torsji. Cadron odskoczył od mężczyzny walcząc z kotłującym się żołądkiem, ale jednocześnie popatrzył jeszcze raz na dziewczynę. Nie miała otwartego oka, w tym oku tkwiła szpila z płaską owalną końcówką, trójkolorową. Ktoś okrutny i szyderyczy brzegi końcówki pomalował na czarno, większą część pola na białe a na środku wymalował – niespecjalnie starannie – błękitny okrąg z czarną kropką w środku. Oko. Nawet głupi zrozumiałby o co mordercy chodzi – śmierć podglądaczom, śmierć szpiegom. Cadron wyskoczył na korytarz i zwymiotował na ścianę, fala mdłości ustąpiła natychmiast, tak samo raptownie jak się zaczęła. Nawet gdy Cadron stanął w progu i popatrzył na martwą dziewczynę nic w nim już nie zadrżało. "A przecież gdybym nie zawrócił nie znalazłszy wody – dziewczyna byłaby martwa, tylko podejrzenie o jej zabicie mogłoby spaść na mnie! Nie wiem jak myśli Zingute, zresztą może zanimby pomyślał już miałbym ostrze w boku?". Przeniósł już całkowicie opanowane

spojrzenie na napastnika. Niewiele stąd było widać, leżał na boku, skurczony, z twarzą odwróconą w stronę drzwi do piwnicy, którymi zapewne tu dotarł. Z pleców sterczało szpic ostrza sztyletu Cadrona, obramowany nieregularną rozpełzającą się na boki plamą czerwieni. Obie ręce miał odrzucone do tyłu, dłonie szerokie, z krótkimi palcami, mocne. Cadron nagle pomyślał, że może nadejść ktoś trzeci, nie Zingute – współnik zabitego; szybko przemierzył izbę, wyszarpnął z rany swój sztylet, rozległo się ciche cmoknięcie, z rany tłusto połyskując wypłynęła pierwsza fala krwi. Ciało poruszyło się nieznacznie. Cadron odsunął się szybko, podniósł upuszczony po kopnięciu sztylet napastnika i ustawivszy się pod ścianą obejrzał broń. Nic szczególnego, prócz rozdwojonego ostrza, żadnych ozdób, jakby "żądło" kute było dla ludzi, którzy traktują je jak gwoździe, jak przedmioty codziennego użytku, których się nie ozdabia, bo po zużyciu są po prostu wyrzucane. "Trzeba przeszukać piwnicę, chyba że przyszedł z innej strony, Zingute będzie wiedział którądy tu można się dostać. Muszę tylko doczekać się jego powrotu i wracam do góry. Trzeba pilnować Hon... Ttafeonda. Żebyż ten Zingute już wrócił!"

Przycupnął obok zwłokach na legowisku. Ostrożnie położył obcy sztylet na posłaniu, splótł dłonie i zacisnął między kolanami. Trwał tak aż na korytarzu dały się słyszeć szybkie kroki kilku ludzi.

* * *

Ttafeond wpatrywał się lekko osowiałym wzrokiem w ostatnie z czterech ud kapłaczki, kości z trzech poprzednich, znakomicie upieczonych, kruchych, najwyraźniej umiejętnie tuczonych i wybieganych ile trzeba, leżały na talerzu ogryzione tak, że poczęstowany nimi pies co najwyżej z wyrzutem popatrzyłby na obłudnego ofiarodawcę. Król łyknął wina, sapnął i ostrożnie dotknął palcem złocistej skórki. Była jeszcze ciepła, ale już niewiele brakowało, żeby ostygła tracąc nieodwracalnie najlepszy smak.

– A tam! – mruknął i zajadle zaatakował pieczone udko. Apetycznie chrupnęła skórka, Ttafeond warknął radośnie. Po chwili z mięsa zostało wspomnienie, ale władca Vernie pracowicie obrabiał gnata, aż wyglądał identycznie jak wcześniejsze trzy. Splukał przełyk kilkoma łykami wina. – Czuję się lepiej – mruknął do siebie. – Na ile lepiej wolno mi się czuć?

Skrzypnęły drzwi, w szparze pojawiła się twarz esela straży.

– Twa małżonka, panie. Pyta czy może się z tobą zobaczyć.

– Każ zabrać to – wskazał dłonią resztki śniadania. – Niech przyniosą z kuchni gorącego wina z miodem i proś Kalię.

Kalia wbiegła do pokoju i zatrzymała się zaraz za drzwiami. Usłużna czyjaś ręka bezgłośnie zamknęła za nią drzwi. Wpatrywała się z napięciem w twarz Ttafeonda, a on, spod przymkniętych powiek, z obojętnym wyrazem twarzy uważnie obserwował jej reakcję.

– Konsyliście powiedział, że czujesz się lepiej – powiedziała zakończywszy lustrację, a król nie mógłby jej oskarżyć ani o jedno fałszywe mrugnięcie oka, ani o obłudne drgnięcie włosa, ani o nieszczerze tchnienie oddechu. Nie patrząc zrobiła krok w jego kierunku i zatrzymała się.

Ttafeond pomyślał, że obawia się zrobić jakiś fałszywy krok i nagle poczuł że jest zły na Cadrona, który swoimi aluzjami doprowadził do podejrzliwości wobec Kalii. Tymczasem dziewczyna wyglądała szczerze. I apetycznie. Zadbane. Popielate włosy, właściwie srebrnoszare, koloru żeliwa, starannie wyczesane i ozdobione tylko dwoma smolście czarnymi wąskimi spinkami spięta w gładki twardy kok. W uszach po jednej ciemnozielonej calcheidowej kropce, białoszaro-czarna kraciasta bluzka kusząco opięta biust i talię Kalii i – czego nie omieszkał zauważyć Ttafeond – nie była zapięta pod samą szyją, co bez wątpienia zrobiłaby każda fałszywa nieutulona w żegnaniu męża żona. Każda, chyba że bardzo cwana. Ttafeond omal nie splunął ze złości. "Podejrzenia

Cadrona sprawiły, że cokolwiek ona zrobi dobrze, od razu sływa na konto jej piekielej przebiegłości. Trzeba to jakoś wyjaśnić".

– Wiesz, że niektóre choroby tak właśnie łudzą – odstępują pozornie i kiedy człowiek się cieszy – uderzają jak piorun – powiedział.

– A nie lepiej mieć nadzieję, że tak nie jest?

"Hm. Nie powiedziała ani, że tak na pewno nie jest, ani, że jestem dla niej okrutny, ani że przyśniła się jej ciotka, która powiedziała, że już jestem uleczony. Wszystko, co mówi brzmi szczerze, nie powinienem być dla niej okrutny..."

– Mam. – Powstrzymał się od kolejnej próby: "...bo co mi jeszcze zostało?". – Zostawmy to, bo nie mamy wpływu. Powiedz lepiej... eee...

Do komnaty wpadł zdyszany pacholek, ukłonił się i nie prostując szybko pobiegł we wskazanym mu przez króla kierunku i postawił na stoliku dzban, spod przykrywki którego uciekała smużka pary. Kalia odczekała aż zamknął drzwi, podeszła bliżej łóżka, zawahała się, ale przycupnęła na brzeżku, nieśmiało wyciągnęła rękę i nakryła nią wychudłą dłoń męża. Ttafeond umilkł zaskoczony nagłą swoją reakcją. Poczul falą ciepła napływającą nie wiadomo skąd do głowy i odpływającą w dół na piersi, brzuch i niżej.

– Nic się nie dzieje ważnego, panie. – Uśmiechnęła się przypomniawszy sobie coś. – Sokoły rychtują, cztery są nowe, z nich jeden, olbrzym, ciężki i wzlatuje z takim trudem, że każdego, kto na to patrzy, boli brzuch, tak człowiek chce mu pomóc. Nersa Wello mówi, że chyba jego matkę wytrzepotał orzeł, ale ten ptak nie rzuca się na bażanty, o nie. Barany, wyobrażasz sobie? – Klasnęła radośnie w dłonie. – Sarny, kozły, skalnice... Oj, i jaki chytry! Strąca ze skał, zapędzą w wąwozy... Jak człowiek.

Podsłoczyła na łożu, Ttafeond poruszył się, Kalia jęknęła i zerwała się na równe nogi.

– Przepraszam, nie uraziłam cię?

– Nie, skąd. Siadaj... – Gwałtownie zastanawiał się nad innym tematem do rozmowy, ale jego wiedza o zamku była ograniczona. Przecież przede wszystkim interesował się ludźmi, i to tylko niektórymi. – A stryj?

– Nic nowego. Zadowolony z otoczenia.– Przez jej twarz przemknął leciutki cień.

– Ciebie też podszczypywał?

Chwilę nie reagowała, potem zacisnęła usta, ale był to uśmiech, tłumiony śmiech. Skinęła szybko i gwałtownie głową.

– Tak. Chciał, lecz jestem szybsza, a on nie ma nawet pojęcia kim jestem – zawołał za mną, że postara się żeby odesłano mnie do kuchni.

Ttafeond prychnął przez nos i pokręcił głową: "Och, ten Oprus!". Poczul jej ciepłą dłoń na swojej, Kalia pochyliła się i złożyła lekki pocałunek na policzku Ttafeonda, przesunęła się, trafiła wargami na wargi męża. Jej były pulchne, jędrne, gorące, jego suche, chłodne, popękane, ale nie nieczułe. Szarość oczu króla rozplynęła się, kobieta zamknęła oczy, poczuła dłoń na plecach, sama wsunęła swoją pod głowę mężczyzny, przycisnęła swoją twarz do jego. Ttafeond poczul twardą pierś na swojej, wpił się ustami w jej usta.

– A jakbyś wskoczyła... – szepnął.

Odsunęła się, zeskoczyła z łoża, szarpnęła bluzkę, ochocze guziki wyskoczyły z gniazd, jeszcze bluzka nie zdążyła sfrunąć na podłogę, gdy dogoniła ją spódnica, chwilę później opadła na nią bielizna Kalii. Ttafeond poczul huczenie w skroniach, kobieta miała piękne ciało, nie była wysoka, ale kształtnie zbudowana, z pełnymi twardymi, mocno usadowionymi piersiami, z wcięciem w talii nad krągłymi biodrami. Nad lewą piersią, niczym malutka siostrzyczka sutka rozsiadła się ciemna

plamka znamienia, a w wąwozie złączenia prawego uda poruszały się przy każdym ruchu nogi dwa małe pieprzyki. Kalia szarpnęła jeszcze spinki i potrząsnęła głową. Miękki puszysty bezgłośnie wirujący kłęb gęstych włosów wzbil się w powietrze i podążył za nią gdy rzuciła się na łożo. Migiem wsunęła pod kołdrę i przytuliła do męża. Jej kolano wolno, mocno napierając przesunęło się wzdłuż jego uda, Ttafeond przekręcił się na bok i zrobił to samo. Wsunęła się pomiędzy jego nogi i przywarła mocno. Była o tyle niższa od męża, że gdy stykały się ich łona jej głowa znadawała się na piersi mężczyzny, całowała go, a on głaskał jej plecy, piersi, całował włosy i kark. Szybko dotarli do szczytu podniecenia, Kalia naparła na męża, przewróciła go na plecy.

– Poczekaj – szepnęła, choć wcale się nie sprzeciwiał. – Moja ciotka mawiała, że utrudzony mężczyzna potrzebuje w łożu trochę wypoczynku.

– Stara dobra ciotka – mruknął Ttafeond.

Uzmysłowił sobie, że wcale mu rozmowa nie przeszkadza. Kalia podrzuciła łokciem okrywającą Ttafeonda kołdrę i jaszczurczym ruchem wsunęła się w utworzoną nad nim wolną przestrzeń. Kolanami objęła miednicę mężczyzny, jej dłoń wsunęła się między ich ciała. Kobieta roześmiała się radośnie, głośno, beztrosko, opadła na Ttafeonda, przesunęła, wpiła ustami w jego wargi, zacisnęła zęby na dolnej i pociągała ją rytmicznie. Ttafeond powiedział "Ha!", mruknął coś jeszcze. Znalazł dla swoich dłoni znakomite miejsce na pośladkach żony, pocierał je i masował czując pod palcami gładką gorącą skórę, o pierś uderzały twarde szczyty jej piersi z nabrzniętymi twardymi sutkami. Kalia puściła wargę, wyprężyła się, jęknęła. Zakręciła głową aż jej włosy zaczęły smagać króla po twarzy, jedną ręką chwycił kłęb włosów, pociągnął do tyłu i gdy wygięła się w łuk mógł wreszcie sięgnąć ustami jej piersi.

I wtedy jedno po drugim, niemal jednocześnie dogonili wirującą wokół nich rozkosz i przeciągłymi jękami obwieścili to sobie samym i temu drugiemu.

Kalia opadła na Ttafeonda dygocąc jak w gorączce, król parsknął mocno, dmuchnął, żeby odepchnąć opadłe mu na usta włosy. Kobieta zorientowała się o co mu chodzi, szybko zsunęła się na posłanie, odgarnęła włosy, rzuciła kose spojrzenie na mężczyznę, zachichotała i przysuwając się do jego ucha szepnęła:

– Jestem szczęśliwa, wiesz, panie?

– A gdzie tam! Skąd miałbym wiedzieć?

– Żartujesz sobie, to raz, chciałeś mnie, przecież to czułam – to dwa! Czy jeszcze czegoś mogłabym chcieć?

– A nie chciałabyś się napić czegoś? Od rana męczy mnie pragnienie, nie wiem czy to od gorączki...

– Nie, prędzej dlatego, że cię opuściła. – Kalia wyskoczyła z łoża i pobiegła do stolika. – Gorącego wina?

– Trochę tego i zimnego też.

Kiedy nalewała do pucharów wina, Ttafeond zobaczył, że fragment ściany za jej plecami drgnął, szybko kaszlnął i krzyknął głośno:

– Wystarczy! Na razie daj mi tylko trochę!

Tajemne drzwi drgnęły jeszcze raz i po chwili jeszcze. Ttafeond zrozumiał, że ktoś, kto zamarł za nimi wie już o obecności Kalii i umyślnie porusza drzwiami, żeby Ttafeonda wiedział o jego obecności. Przestał szukać w pościeli sztyletu. Uśmiechnął się do biegnącej w jego kierunku żony, łyknął zimnego wina, posmakował, splukał gorącym i westchnąwszy opadł na wilgotną pościel. Przymknął powieki, żeby nie patrzeć w oczy kobiecie gdy będzie kłamał.

– Och, teraz się z przyjemnością zdrzemnę,

Usłyszał jak szeleści jej bielizna, uchylił powieki i dodał:

– Czy jak się obudzę będziesz chciała poczytać mi coś?

– Oczywiście – uśmiechnęła się szeroko.

"Zabiję tych dwóch, Cadrona i Zingute. Przez nich ciągle ważę w niej prawdę i fałsz. Uśmiechnęła się szczerze? Szeroko? Czy nie za szeroko? Nie za szczerze? Może triumfująco? Może w jej oku zabłysła zachłanność? Może..."

– To dobrze.

Zamknął znowu powieki i zajął się wymazywaniem z pamięci kształtu jej ciała, zapachu włosów, smaku warg. Nie otworzył oczu nawet gdy przestał słyszeć szelest ubrania i zrozumiał, że czeka na jego jeszcze jedno spojrzenie. Potem dały się słyszeć delikatne kroki i szcęk zamka. Dopiero po chwili rzucił "rozespane" spojrzenie na drzwi. I dopiero wtedy otworzyły się drzwi do sekretnego korytarza. Wsunął się przez nie Cadron, a Ttafeond ze zdziwieniem odnalazł w jego wzroku jakiś wyrzut. Wezbrała w nim fala złości.

– Tylko mi nie praw morałów, dobrze? – syknął. – Nie mam zamiaru się usprawiedliwiać i nie będę...

– Ktoś zamordował jedną z dziewczyn – szpiegów Zingute – przerwał Cadron nie zwracając uwagi na słowa Ttafeonda ani na ton jego głosu. Odczekał aż król zamknął usta. – Tak...

– Kiedy? Gdzie?

– Kiedy? – Przymaszerował po pokoju ściskając w rytm kroków splecione przed sobą dłonie. Odwrócił się do Ttafeonda, roztarł zziębnięte dłonie. – Chwilę temu, to znaczy chwilę temu ją znaleźliśmy, zabito trochę wcześniej. A gdzie – w korytarzu. Zapytasz jeszcze kto? Owoż mamy zabójcę, martwego, usiłował i mnie zadźgać, kiedy Zingute pognął po konsyliście. Nikt go na razie nie rozpoznał. Nie myślę, żeby ktokolwiek coś o nim dobrowolnie powiedział. Wspólnicy będą milczeć, a jeśli ich nie ma... – Wykrzywił twarz, zamachnął się niespodziewanie, krótko i mocno i rąbnął z całej siły pięścią w szczyt oparcia krzesła. Przeleciało kawałek i gruchnęło o ścianę. Odwrócił się do Ttafeonda i zapytał szybko, ostrym tonem, jakiego nie mógłby użyć w stosunku do króla:

– Możesz wstać i przejść kawałek?

– Mogę. – Ttafeond odrzucił przykrycie i usiadł. – Nie trać opanowania, bo jeśli ktoś odkryje, to, co mógłby odkryć, zabije mnie nie nasłany zabójca, ale oficjalny kat Vernie. Zingute mnie nie osłoni, ani... – Nie dokończył, sięgnąwszy pod poduszkę chwilę szukał czegoś, aż wyciągnął sztylet; w swojej koszuli nie znalazł schowka, więc narzucił na plecy gruby wełniany płaszcz, prawą ręką zgarnął poły, lewą z bronią schował. – No to chodźmy.

Zingute znalazł ich w trzecim od początku korytarza pokoju po godzinie; cienie pod oczami upodabniały go do rozjątrzonego puchacza, omijał spojrzeniem Ttafeonda i Cadrona, ale nie mieli mu tego za złe. "Uff, dobrze, że ściany oczu nie mają, pomyślał Ttafeond. Uciekłyby przed jego spojrzeniem i dach zwałiby się nam na głowy". Zaciśnięte wargi zostały rysowały się tylko jako blada szczelinka mniej więcej w miejscu ust. Ręce zwisały swobodnie wzdłuż ciała, ale gdy Cadron rzucił spojrzenie na Ttafeonda zrozumiał, że obaj widzą napięcie dłoni; gdyby Zingute przechodząc obok stołu uderzył weń czubkami palców mogłyby się złamać jak zleżały chrust. Milczeli wszyscy długą chwilę. Zingute stał tyłem do nich i z drobnych ruchów łopatek mogli domyśleć się, że z wysiłkiem przełyka ślinę, tłumi szloch czy walczy ze skurczem szczęk. Ttafeond i Cadron wymienili kilka długich wymownych spojrzeń i odezwał się Ttafeond:

– Odkryłeś coś?

– Nie. Ale nie spocznę...

– Zabraniam ci – przerwał Ttafeond – zajmowania się tą zbrodnią.

– Powiedziałem, że...

– Powtarzam! – Trzeba by było być głuchym i do tego oddalonym na strzał z łuku od Ttafeonda, żeby nie być ogłuszonym kamiennym brzmieniem jego głosu. – Od kiedy prywatnie...

Zingute rzucił się do łoża, zatrzymał się pół kroku przed Ttafeondem.

– ... jest ważniejsza od spraw państwowych?! – ryknął król. – Zapominasz się, sługo! – Końce kosmatych brwi zetknęły się ze sobą nad nosem, głębokie zmarszczki przeorały czoło. – Ostrzegam cię! – Chudy palec wysunął się błyskawicznie i dźgięty w brzuch Zingute zgiął się w pół. – Nie ty będziesz decydował co i kiedy będziesz robił. Ja ci to powiem. Jeśli masz zaufanych ludzi, naprawdę zaufanych – oni zajmą się szukaniem zdrajców. Ty tego nie będziesz robił, rozumiesz? Mam dla ciebie inne zadania. – Pochylony do przodu król wściekłym spojrzeniem mierzył Zingute. Po chwili odsunął się, odwrócił wzrok i wygodnie ułożył. – Albo nic – dokończył patrząc w przestrzeń przed sobą.

Zbesztany Zingute pochylony jakby chciał złożyć ukłon przed swym panem wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Ja... Ja...

– Zastanów się i za chwilę mi powiesz. Albo jesteś całkowicie zajęty służbą u mnie, albo... – Szeroki ruch ręki towarzyszył końcowi urwanej wypowiedzi.

Zingute jęknął i runął na kolana, niemal bezwładnie zwałił się do przodu uderzając czołem o brzeg pościela Ttafeonda. Król popatrzył na Cadrona, w jego wzroku widniało ostrzeżenie, które Cadron dobrze zrozumiał. Oczami i głową dał znać, że wie o co chodzi. Na palcach przesunął się do drzwi, kiedy je zamykał gwałtowny szloch Zingute wymiół ciszę z pokoju, jakby uciekała za Cadronem na korytarz. Przemierzył całą długość kruchty, skręcił za róg i natknął się na strażę. Dowódca miał zdziwoną minę, więc na nim wyładował złość:

– Jeśli wątpisz, że mam obowiązek sprawdzać was, gamonie, to zapytaj króla. – Kapcer pokręcił szybko głową, ale tego było Cadronowi za mało: – Przy okazji zapytaj, czy zapomniał już o pożarze.

– My... My... – zająknął się wbity w półpancerz kapcer.

– "Myyy! Myyyy!" – przedrzeźnił go Cadron – Nie dziw, że król jest w niebezpieczeństwie, jeśli służą mu jękający się wojacy. Miecz wyjmujesz gładko, czy też się tak...

Kapcerowi błysnęły oczy, ale jeszcze zanim zajaśniała w nich wściekłość odstąpił krok do tyłu, a Cadron zobaczył tuż przed swoim nosem koniec miecza. Zabolały go oczy od patrzenia w ostrze. Mrugnął kilka razy choć błysnęła myśl, że zgoli sobie brwi.

– No – rzucił pojednawczo. – Nie jest może z wami tak źle jak mi się wydawało. – Kapcer odsunął się jeszcze dalej, zakręcił mieczem młynka, świst ustał w chwili, gdy ostrze spoczęło w pochwie. Cadron pokiwał protekcyjnie głową i ruszył z powrotem. – Dobrze – rzucił już przez ramię. – Przekażę królowi, że jestem zadowolony.

– Zwykły szarlatan – usłyszał z tyłu głośny szept któregoś z niezadowolonych z potraktowania żołnierzy. – Pogoniłbym go aż by mu...

– Ale! – syknął kapcer. – Cisza mi tu.

Zingute siedział na brzegu fotela z łokciami opartymi na kolanach. Ttafeond siedział oparty o podsunięte ku wezłowiowi poduszki, kręcił palcami młynka. Nie popatrzył nawet na Cadrona, chwycił w palce brzeg mięsistego koca, podciągnął w górę.

– Powiem wam, co wymyśliłem. Posłuchajcie i powiedzcie jak wam się widzi...

* * *

Korytarz zawinał się kilka razy, opadł – obsunął się na kilku schodkach i przywarował przed

drzwiami. Cadron pchnął je, zaskrzypiały, szurnęły dolną krawędzią po podłodze. Kamień był na odcinku jednej czwartej koła wytarty, co znaczyło, że drzwi od dłuższego czasu trą o posadzkę, że w miarę wycierania obsuwają się i nikt tego nie zauważa i nie poprawia. "Chory władca to i służba się leni. Nie jest łatwo być królem, na dobrą sprawę musi pilnować nawet takich drzwi do kuchni". Przepchnął skrzydło aż uderzyło na zakończenie ruchu w ścianę, zobaczył, że – zgodnie z wiadomością od pachotka – konsyliasta z pomocnikiem siedzą przy stole i pracownicy się posilają. Chudy pomocnik pakował do ust dużymi kęsami mięsa, ale w dziwny sposób nie wypychało to jego płaskich policzków, jakby bez żucia wpadało do gardła i obsuwało się do żołądka, a ręce niemal bez przerwy chwyciły kolejne kawałki chleba, mięsa, pikli, marynowanych orzechów, ogonów peklowanych z fasolą i tamarychą, z rzadka podnosiły do ust kubek z wodą lub zaraz potem pucharek z winem. Konsyliasta zachowywał się o wiele spokojniej – żuł każdy kęs metodycznie, wolno, z pewnym mozołem. Zato o wiele częściej pociągał z pucharka. Na widok Cadrona najpierw pozwolił sobie na niechętny błysk w oczach, jednak zaraz potem stłumił go i dla odmiany w spojrzeniu pokazała się ciekawość i przebiegłość, medyk uprzytomnił sobie, że Cadron przebywając blisko króla może dostarczyć mu wielu cennych informacji. Poderwał się z szerokim zapraszającym uśmiechem, uderzywszy przedtem mocno pomocnika, żeby przypadkiem nie wyskoczył z czymś, co utrudni nawiązanie przyjaźni.

– Proszę do nas – wyrzucił z siebie śpiewnie, szerokim gestem wskazując Cadronowi drogę od progu do stołu. Odwrócił się do drugich drzwi i niespodziewanie dźwięcznie, władczo i wprawnie ryknął: – Kucharz, sam tu! Gościa mamy.

Cadron przeszedł wskazaną trasą, ominął zydel nie spuszczać przychylnego spojrzenia z twarzy medyka, skinął mu w podzięcie głową i nie odzywając się usiadł. Pomocnik uczcił jego wejście a właściwie słowa konsylisty chwilą bezruchu szczęk. Poruszył zuchwą dopiero gdy Cadron siadał i to tylko raz i tylko raz skoczyła mu wydatna grdyka. Wyglądało że przygotował się w ten sposób do wspierania medyka. Cadron obdarzył go niedbałym drgnięciem głowy, poprawił poły kaftana dając do zrozumienia, że zamierza wygodnie posiedzieć, więc pewnie i długo. Kucharz wybiegł wyszarpując mokrą dłoń spod lewej pachy, taki miał widać zwyczaj wycierania ręki, co spowodowało, że znoszony podziurawiony fartuch miał na lewej piersi olbrzymią tłusto-krwawą plamę, dzięki której kucharz wyglądał jak człowiek zraniony ciężko w okolicę serca. Siedzący na głowie kamiczek, w zamyśle sztywny i puchaty na szczycie, zapadł się pod ciężarem sadzy, tłuszczu i czasu i gdy kuk zatrzymał się opadł mu na połowę twarzy. Cadron z trudem powstrzymał się od śmiechu, w końcu miał ochotę – prócz wykonania delikatnej misji – na uczciwe śniadanie.

– Gdybyś, mistrzu, dał mi jakiejś polewki gorącej... – zawiesił głos, ale to wystarczyło. Kucharz z przyjemnością przełknął krótkie pochlebstwo, szarpnął głową, by pozbyć się czepca z twarzy i obdarzył Cadrona obiecującym uśmiechem. Wybiegł bez słowa do kuchni. Cadron chwycił w dwa palce kawałek pikla i włożył do ust, oblizał palce. – Uyhmmm... Dobrze – ocenił.

– A owszem – zgodził się konsyliasta ochoczo. – Nie zawsze, co prawda, tak karmili, dopiero gdy król zachorował – pokiwał z wyrzutem głową.

– Powiadają, że łaska pańska przegląda się w pełnych talerzach – rzucił Cadron sięgając kolejny raz do pikli.

– Tak powiadają? Inaczej to słyszałem... – roześmiał się przymilnie. – Ale najważniejsze, że król czuje się lepiej... – zawiesił głos.

– Przypomniałem królowi o twych – Cadron pomachał trzymanym w palcach kawałkiem dyni – zasługach. – Z zadowoleniem zauważył, że wahanie poprzedzające zakończenie wypowiedzi zastanowiło konsylistę. Nastroszył się i zeszywniał. – Miejcie nadzieję, że wynagrodzi wasze

starania, chociaż... – ponownie zamilkł i tym razem nie dokończył oświadczenia.

Medyk drgnął. Cadron zastanawiał się chwilę co miało to oznaczać, ale kiedy pomocnik wytarł sztywnym od tego zwyczaju rękawem usta zrozumiał, że konsyliista po prostu kopnął pomagiera zachęcająco. W milczeniu cmoknął w wilgotne palce i odsunął się od stołu bębnieniem palców dając znać, że złości go zwłoka w przynoszeniu śniadania.

– Czyżbyś nie zauważył wyników naszych starań? – zapytał cichym pełnym jadu głosem pomocnik.

– Wyników czego? – ironicznie parsknął Cadron. – Wasze starania to co: kwaśne wino, gorzko-słodko-kwaśno-słone mikstury? Żeby leczony nie mógł rozpoznać co w nich jest? Może jeszcze puszczenie krwi i lewatywa. Czy to może wyszarpnąć człowieka z objęć śmierci? – prychnął na zakończenie jeszcze raz przez nos i wyciągnąwszy rękę dźgnął medyka palcem w ramię.

– Przecież dokonaliśmy tego! – warknął pomocnik. Najwyraźniej on brał na siebie tę mało wdzięczną część dysputy – sprzeczkę, która rozjuszy adwersarza, po czym odezwie się pojednawczo sam konsyliista i dokończy dzieła. – Sam widziałeś króla i widzisz go teraz. Może miał tydzień temu ochotę i siły na wizyty małżonki?

Cadron uniósł brew: – O? Plotki zbieracie?

Konsyliista drgnął znowu, widocznie jego zdaniem pomocnik niewłaściwie zabrał się do dzieła. Wysuszony pomagier szczęknął zębami i zamilkł. Medyk uśmiechnął się przymilnie.

– Jesteście, panie, blisko naszego miłościwego pana to i wiecie dużo. Czy moglibyście...

Ktoś kopnął drzwi od kuchni, otworzyły się i wbiegła dziewczka z tacą i kuchcik z drugą. Niedbale, pobrzękując sztućcami, stukając naczyniami, a nawet wylawszy część polewki na stół rozstawili naczynia, kuchcik potknął się nawet o zydell Cadrona, który uznał, że to przesada, więc poderwał się i poczęstował chłopaka zamaszystym kopniakiem. Obdarowany jęknął dziwnie, jakby z wdzięcznością i wypadł przez drzwi, a dziewczka zachichotała i wtuliwszy zadarty usmolony kopciem nos w zgięcie łokcia wybiegła za nim. Cadron splunął zamaszycie w kąt i usiadł do stołu. Medyk odczekał chwilę, ostrożnie odsunął od siebie miskę. Zmrużył przebiegle oczy, przez co zaczął przypominać tłustego kocura ważącego pomiędzy skokiem na ptaszka i spokojnym marszem do mniej apetycznej, ale pewniejszej miski.

– No to jak jaśnie pan tłumaczy sobie swoje ozdrowienie?

Cadron popatrzył na niego znad łyżki, którą czerpał już polewkę i nie odpowiedział. W milczeniu dwie pary oczu obserwowały jak siorbał zupę i polował na kawałki grzanek.

– Nijak – oświadczył po chwili odsuwając pustą michę. Przysunął inną, z gęstym sosem, zaczerpnął pajdą chleba i szeroko rozdziawiając usta odgryzł kawał. – Pchesies wiadomo, he csłowiek zamieha być wdzięcznym póki chory – wymamrotał z pełnymi ustami. – Potem często... – Zrobił minę, widząc którą medyk ze zrozumieniem pokiwał głową. – Ale to nie o to chodzi. – Wytarł usta wierzchem dłoni, wskazał pomocnika ruchem brwi. – Jesteście go pewni?

– Jak siebie samego! – szybko odpowiedział zapytany. – Ale może odejść... – dodał z pośpieszną gotowością.

– Niech siedzi zatem. – Niedbale machnął ręką. Szybko nalał sobie wina, łyknął. – Król jest chory i nikt i nic mu nie pomoże – powiedział pochylając głowę do medyka. – Widzę to w gwiazdach i sprawdziłem na wiele innych sposobów. – Powstrzymał ruchem ręki rodzący się fałszywy protest konsyliisty. – Rzadko kiedy widzę taki wyraźnie zapisany los. Nie obraż się, ale twoje driakwie działają jak wiadro szczyń na pożar lasu.

Tym razem pomocnik odezwał się sam, bez sygnału swojego pana:

– Może twoje gusła mu pomogą?

– Nie. – Zobaczył, że para wymieniła szybkie spojrzenia, pośpiesznie odwrócili się od siebie, by odprowadzić wzrokiem ociekającą marynatą śliwkę przenoszoną z misy do ust Cadrona. – Nic mu nie pomoże. Ma różnie nazywaną chorobę, galopująca gorączka, albo jarła, ja nazywam ją rumienicą. – Konsyliasta skrzywił się. – Możesz nazywać jak chcesz, koniec jest jednak – przed zejściem chory czuje się lepiej, nawet bardzo dobrze, ale trwa to krótko. I potwierdzają to gwiazdy. I inne rzeczy, nie będę was zanudzał...

– Ale... – bez przekonania zaprotestował medyk.

– Czekaj! – Cadron rozejrzał się konfidencjonalnie po komorze. – Co możemy zrobić? – Pochylił nad stołem i wyszeptał: – Nasz interes jest taki – zanim król zemrze zabrać co się nam należy. Jasne?

– Jasne – po chwili namysłu wyszeptał medyk. – Co proponujesz, panie? – zawisł spojrzeniem na ustach cadrona, jego pomocnik również skierował w tę stronę szary kinol i zezowate spojrzenie.

– To proste – ja będę was chwalił i zwodził króla fałszywymi przepowiedniami, a wy podzielicie się ze mną waszą zapłatą. Dwie części wasze – jedna moja.

– Csoo? – syknął pomocnik, ale medyk energicznie huknął go łokciem w pierś aż chudzielec charknął i zgiąwszy się omal nie palnął czubkiem długiego nosa w stół.

– To dużo... – powiedział z namysłem i pewnym wyzwaniem medyk. Był jednak kiepskim aktorem, z twarzy bił fałsz jak smród z chlewni. Zastanawiał się masując uderzony łokieć.

– Cóż, niemało. Ale – palec Cadrona znowu dźgnął rozmówcę w pierś – zauważ, że w swoim własnym interesie będę nalegał, żeby Ttafeond zapłacił wam jak najwięcej.

– No, tak... – Medykowi zmętniało spojrzenie, myślami oddalił się od komory, w której rozmawiał, ważył coś dość długo. Cadron zdążył pochłonąć dwa kawały wybornej cielęciny, wypił po każdym po pucharu wina, przeczyścił gardło pajdą żytniego chleba. – Zgoda. – Pomocnik z wyraźną ulgą skinął głową, wyglądał szaro i nijako, ale rozumował szybko. "Widać lata terminowania u chytrusa zrobiły swoje". – Ale – ocknął się z zamyślenia medyk – jeszcze jedna sprawa... Macie pewność, że Ttafeond niedługo zemrze... – Cadron skinął głową. – Ja też się ku temu skłaniam. A wiesz, co może czekać medyka na dworze zmarłego króla? – Ponowne skinienie głowy. – Nie lepiej by było żebyśmy mieli możliwość opuszczenia dworu? – Popatrzył w zmrużone namysłem oczy astraleta. – Ciebie też to tyczy.

– Może.

– W każdym razie ja chciałbym móc wziąć zapłatę i udać się gdzieś, gdzie zajmę się czymś prostym: puszczaniem krwi, leczeniem popoju, biegunką, katarem i jałowymi kobietami.

– Rozumiem.

Zapadła cisza. Cadron zdusił w sobie gniew, który wzbierał w nim na widok wytrzeszczonych dwu par chciwych oczu. Siegnął po jeszcze jeden kawałek mięsa, ale wstrzymał się w pół ruchu, jakby ważna myśl zrodziła się właśnie wtedy w głowie.

– Czy może chcecie wiedzieć kiedy król... – wyszeptał -... zejdzie?

Zakiwali mocno głowami.

– Ho-ho! To jest wiadomość, która może dać fortunę temu, kto ją przekaż... – Zamilkł rażony nagłą myślą, zagłębił spłoszone spojrzenie w misie z sosem, ale kątem oka zauważył, że po chwili namysłu medyk szeroko otworzył oczy, kłapnął bezgłośnie ustami i prawie, prawie rzucił triumfujące spojrzenie na pomocnika, powstrzymał się jednak, by nie spłoszyć Cadrona. Zaczął mówić szybko, jakby śpieszył się zakończyć rozmowę. – Nieważne! Nie jest wam to potrzebne. Za dzień lub dwa Ttafeond da wam kilka mieszkań, nie próbujcie mnie oszukać, bo wtedy... – pokręcił głową.

– Ależ gdzie tam! – wykrztusił medyk. Z całej siły powstrzymywał się, żeby nie zerwać się i nie

wyściskać Cadrona. – Nie wiem, komu to potrzebne prócz nas... – rozbiegane oczy opadły z twarzy Cadrona, co było niewątpliwym znakiem, że miał już pomysł, komu może sprzedać taką wieść. – Nie masz pojęcia ile razy musiałem uchodzić przed gniewem chorych i ich rodzin, kiedyś może mi się nie udać, prawda? – Pomagier natychmiast westchnął i pokiwał głową. – Jeśli możesz powiedzieć więcej, to i ja więcej... Podzielimy się – po połowie, zgoda?

Leżące na stole ręce Cadrona drgnęły, palce zacisnęły się w pięści. Trzasnął któryś ze stawów, gdzieś daleko w kuchni upadła pokrywa i poturlała się po podłodze. Astralet zacisnął wargi, powiedział "hgm". Przeciąglým, niepewnym, pełnym wahania spojrzeniem obrzucił pomagiera i konsylistę. Obaj przypominali mu w tej chwili dwa żarłoczne i fałszywe psy czekające aż pan rzuci im kość ze stołu, albo na chwilę odwróci spojrzenie żeby go ugryźć w stopę. Wyprostowane i zaciśnięte ponownie palce wydały z siebie znowu kilka trzasków.

– Dwa tygodnie – tchnął w przestrzeń Cadron.

Gula na gardle medyka skoczyła w dół i wróciła na miejsce, ale zadrżała kilkakrotnie zanim się uspokoiła. Pomagier poruszył nosem aż niemal dotknął nim górnej wargi.

– Tak to! – warknął Cadron z hałasem odsuwając zydel i wstając od stołu. – Jutro-pojutrze dostaniecie pieniądze i niech wam do głowy nie przyjdzie!.. – Wyciągnął palec i błyskawicznie wyciągnął go w kierunku twarzy medyka, ten szarpnął się do tyłu, jego zydel zakiwał się i konsylista omal nie huknął na plecy, ale palec Cadrona zatrzymał się i wystraszony medyk uratował się od upadku. – No!

Odwrócił się i wyszedł szarpnięciem zatraskując za sobą odporne, żałośnie zgrzytające drzwi. Na rozdrożu korytarza skręcił w kierunku liftiery, do korzystania z której w ciągu kilku tych dni przywykł. Wjechał na górę, ominął strażę i widząc siedzącego na korytarzu Zingute westchnął przeciągle.

– Kalia?

Powitalny lekki uśmiech w okamgnieniu spelzł z ust zapytanego, jego ręce zeszywniały, ale powstrzymał się i nie sięgnął do broni. Milczał, z trudem, chwilę.

– Nie mów tak o królu! – mruknął w końcu. – To niecne i...

– Przepraszam, przepraszam! – Zbesztany uniósł obie ręce i odsunął się o pół kroku, Zingute chwilę mierzył go ponurym spojrzeniem, sapnął i odwrócił się do okna.

Cadron przycupnął na parapecie okna, odetchnął cicho, by Zingute nie usłyszał. Dwa razy otworzył usta chcąc wszcząć rozmowę, ale zerknąwszy na zaciętą twarz rozmówcy zrezygnował. Znalazł na nogawce małą wyschniętą plamkę i zajął się jej zdrapywaniem. Spod oka obserwował kompana. Dobry sobie, pomyślał z goryczą. Całkowicie zapomniał kto leży w łóżu, nie ma wątpliwości, że Ttafeond to ten tu, za ścianą. Zadziwiający, ale nie powinienem mu się dziwić – siła Xameleona! W końcu ja... Ileż razy miałem wątpliwości, nawet nie pamięć...

– Jak się udała rozmowa? – przerwał Cadronowi rozmyślania Zingute. Głos wydobywał się przez zęby i nie odwracał wzroku od okna, choć nie było czemu tak długo i uważnie się przyglądać. Nie zamierzał szybko zapomnieć, że Cadron uderzył lekceważącym pytaniem w jego pana.

– Znakomicie. Jak myślałem – ani z nich medycy, ani oszuści. Ot, małe szwale. Wezmą pieniądze i bezzwłocznie popędzą je pomnożyć. Tylko dopilnuj, żeby mnie nie oszukali, nie uciekli bez podzielenia się zyskiem, powodzenie mogło by ich zastanowić.

– Jasne.

– No i zobaczymy...

– Zobaczymy...

Stali długą chwilę w ciszy, za załomem korytarza najpierw rozległy się kroki kilku

wartowników, potem oficerowie ściszonymi głosami wymienili uwagi, coś brzęknęło. Któryś musiał potrącić coś lub kogoś, bo rozległy się ciche chichote urwane prawie natychmiast ostrym sykiem. Zmiana odmaszerowała, kroki ucichły.

Cadron klepnął wierzchem dłoni Zingute w łopatkę: – Każmy sobie przynieść piwa, co? Nie musimy wystawać w kruchcie, prawda?

Zingute zastanawiał się chwilę wpatrując w zamazany obraz za szybą. Skinął głową i wciąż nie obdarowując rozmówcy nawet spojrzeniem, naburmuszony ruszył do komnaty. Cadron w bezsilnym geście zacisnął pięści i wzniosł oczy w górę, ale nie odezwał się, odczekał aż Zingute przekroczył próg, machnął ręką i poszedł do warty. Kiedy przynieśli piwo usiłował kilka razy zagadać, ale rozmówca uparcie zbywał go pomrukami i półsłówkami aż skutecznie wygasił chęć rozmowy. Długą chwilę siedzieli w milczeniu. Cadron plasnął dłonią w kolano i zaczął wstawać chcąc pójść do swojej komnaty. Wtedy Zingute odstawił kufel, którego denkiem rysował mokre spirale na blacie stołu.

– Nie myśl, że nie wiem... – Rzucił kose spojrzenie spodełba na Cadrona, powtórzył: – Że nie wiem. Wiem. No to co? Nie ma innego króla i nie będzie, więc jest król. – Cadron milczał. – No powiedz – dobrze mówię?

– Dobrze, dobrze. Niepotrzebnie się sumitujesz.

Zapadła cisza, ale, o ile mógł to ocenić Cadron, nie taka jak jej siostra sprzed kilku chwil, bez wrogości. Potem Zingute zaczął się wiercić i nagle wydusił z siebie:

– A...Hgm! Czy-y... Czy często on zmienia...

Cadron szybko wyciągnął rękę i chwycił przegub trzymającej kufel dłoni w mocny uścisk, obie ręce zamarły na stole.

– Nie, Zingute. Po prostu tak jest, tylko tak ci mogę odpowiedzieć. O niektórych rzeczach po prostu ze sobą nie rozmawiamy. Może dlatego w ogóle się przyjaźnimy. Rozumiesz? – Ścisnął jeszcze mocniej nadgarstek Zingute, potrząsnął nim. – Tak? – Zingute pokiwał głową. – Dobrze.

Dokończyli w milczeniu kufle i – mimo że piwo było zacne i stał go jeszcze na stole drugi cały dzban – nie umawiając się przestali pić. Zingute pogrążył się w jakichś niewesołych rozmyśleniach, machinalnie rozmazując koniuszkiem kciuka wyrysowane wcześniej nierówne koła i spirale, aż wyschły pozostawiając na drewnie blatu połyskujące wzory. Cadron odchylił się na krześle i splótszy palce na brzuchu kręcił kciukami młynki raz w jedną raz w drugą stronę. Nawinałby na palce kilka szpul nici, gdyby zajmował się nawijaniem przędzy a nie powietrza zanim Zingute stęknął, a potem ciężko podniósł się opierając o stół aż ten zaskrzypiał, a kufel i dzban uderzywszy o siebie ściankami brzęknęły w różnej tonacji.

– Trzęsą mi się ręce – oświadczył wyciągnawszy na dowód ręce do przodu, Cadron uniósłszy brew przyjrzał się im, ale nie widząc drżenia pokręcił głową. – Nie mogę spać – mówił dalej Zingute. – Jem na siłę, nawet nie interesuje mnie kto zabił Faye.

– Nie przesadzaj, wysłałaś siostrę...

– Tak!.. – przerwał niecierpliwie. – Nie o to chodzi, nie tracę zmysłów do końca, ale takie czekanie mnie kruszy; jeszcze trochę i rozsypię się jak zmurszały kawałek cegły. Muszę...

Przerwał widząc, że Cadron przekręcił głowę nasłuchując czegoś, uniósł rękę i niecierpliwie pomachał nią. Na korytarzu rozległy się szybkie drobne kroczki, potem ktoś chyba oboma wskazującymi palcami, szybko, niczym na werblu zastukał do drzwi. Cadron był już w połowie drogi do drzwi, ale gdy szarpnął je nie zobaczył nikogo, dopiero gdy zaniepokojony wypadł na korytarz i popatrzył w lewo zobaczył powiewającą spódnicę Kalii, kobieta tuż przed zakrętem odwróciła się i wesoło uśmiechając kilka razy dógnęła powietrze palcem, a potem zniknęła za

rogiem. Zza pleców Cadrona wychylił się Zingute, niecierpliwie szarpnął go za ramię.

– Co powiedziała?

– Chodź, wzywa nas.

Szybko dopadli drzwi, wbiegli do komnaty szukając spojrzeniem Ttafeonda. Siedział na łóżku, uśmiechnął się widząc ich zaniepokojenie.

– Nic nie mówcie. Ja wam powiem – wysyłamy pośpieszne poselstwa do wszystkich czterech władców. Kto się stawi będzie rozmawiał, kto nie przybędzie – będzie ominięty.

– Czy... – zająknął się Cadron i zamilkł zamykając dłonią usta.

– Przybędą – oświadczył z pewnością Ttafeond. – Każdy z nich ma do upieczenia własną pieczeń, a niektórzy nawet dużą; nie zaryzykują, że inni pofatygują się, a oni przez nieobecność zmarnują swoją szansę. Nie mają już czasu na intrygi, sędzę, że zgadzają się co do czarnego niebezpieczeństwa. Wiedzą, albo dowiedzą się zanim dotrze do nich poselstwo, że mogą zejść w każdej niemal chwili... Nic więcej nie możemy zrobić, ale myślę, że za tydzień będziemy tu mieli furę gości. Zastanówmy się jak ich rozlokować, bo to ważne... – Przeniósł spojrzenie z nieruchomo stojącego Zingute na otwierającego i zamykającego usta Cadrona. – No, pytaj...

– Co zrobimy, kiedy przybędą?

– Przekonamy ich.

Cadron prychnął, ale zaraz pokręcił głową i przepaszającym gestem unosił rękę.

– Myślę... – powiedział Ttafeond cicho. Patrzył teraz w sufit, jakby szukał na nim słów godnych wypowiedzenia. Zamyślił się na chwilę. – ... Myślę, że przekonamy ich, naprawdę. – Nagle uśmiechnął się szeroko. – Oni sami się przekonają, nawzajem. Zobaczycie. Wytrzymajcie tylko ten tydzień.

– Oni się przekonają nawzajem? – wolno zapytał Zingute; miał szeroko otwarte oczy, uniesione brwi i nadzieję w spojrzeniu.

Ttafeond skinął głową.

– Tak myślę. A wy – przez ten tydzień dokładnie sprawdźcie wszystkich żołnierzy garnizonu. Przy najmniejszym podejrzeniu – wysłać za mury, do oddziałów polowych, dobrać stamtąd prostych wojaków. Potem dworacy, nie chcę ani jednego szpiega wokół siebie gdy przybędą ci czterej. – Przerwał na chwilę, uważnie przyjrzał się Zingute, jakby chciał sam znaleźć odpowiedź na przygotowane do zadania pytanie, jednak nie znalazł jej i zapytał: – Czy masz jakieś nowe ślady mordercy dziewczyny? – Zingute pokręcił głową i wykrztusił, że jej siostrę wywiózł zaufany oficer do znajomego w podzamczu. Ttafeond skinął głową z nieobecnym spojrzeniem. Odchrząknął. – Przygotujcie również komnaty dla gości. Muszą być od siebie oddalone, najlepiej każda w innym skrzydle pałacu...

– Przy tajnym korytarzu – domyślnie wtrącił ożywiając się Zingute.

– Niekoniecznie, ważniejsze żeby były dla nich wygodne i żeby łatwo było ich od siebie odciąć. Poza tym wiadomo – ochmistrz niech zadba o przygotowanie kilku dni, dużo wina i piwa, nie żałować zapasów, niech będą najlepsze trunki. Jakichś muzykantów znaleźć, komediantów... Lepsze szaty dla służby...

Zamyślił się na chwilę, obaj zaufani chłonęli każde jego słowo, gdy umilkł czekali w napięciu, ale gdy milczenie przeciągało się nie wytrzymał Cadron:

– Na pewno przybędą?

– Na pewno. Wiedzą, że to ostatnia chwila na załatwienie sojuszu. Cokolwiek o nim myślą muszą zdawać sobie sprawę, że beze mnie niczego szybko nie postanowią, więc ci, co mają ochotę

na tron muszą tu przybyć zmuszając do podróży swoich popleczników. Tak więc wszyscy się tu znajdują.

– I? – zapytał Cadron, gdy skończył mówić i ułożył się wygodnie.

– I czekamy na gości. – Zamilkł, ale nie dokończył, to było pewne. Po chwili dodał: – Tydzień.

* * *

Szóstego dnia przybył syn Filita, władcy Zrugan Formalo, Br'e'walu. Dzień wcześniej na dziedzińcu zamku wpadł na spienionym koniu mdlejący z wysiłku goniec. Zdążył wymamrotać, że Br'e'walu płynie najszybszą królewską lichtugą, i powinien przybyć za dwa dni. Potem stracił przytomność. Następca tronu królestwa Zrugan Formalo został przyjęty na króciutkiej audiencji i po wymianie konwencjonalnych powitalnych i uprzejmych oświadczeń udał się na odpoczynek do przygotowanych komnat.

W nocy przybył inny goniec, właściwie trzech paziowie ze świtą trzydziestu zbrojnych. Przynieśli wieść o wyprawie pozostałych trzech władców: Pwo, król Surney, wyruszywszy w podróż do Vernie zgarnia po kolei pozostałych władców: Morseya z Analass i Kenlee Tyerera z Manta.

Zingute słysząc tę wiadomość uniósł głowę do góry, przewrócił oczami i potrząsnął zaciśniętymi i splecionymi w jedną podwójną pięść dłońmi. Z jego ust nie wyrwał się żaden dźwięk, ale wargi odsłoniły zwarte zęby, co nadało jego twarzy dość ponury i drapieżny wyraz. Cadron zająknął się, zerknął na Ttafeonda, ale król uśmiechał się triumfalnie, inaczej, ale równie radośnie jak Zingute reagując na wieść.

– Przy okazji montuje koalicję dla siebie – wycodził. – Ale to nic, mamy ich! – Mrugnął do dygocącego z radości Zingute. Cadron z pewnym zdziwieniem i smutkiem, a nawet poczuciem krzywdy w sercu, przypatrywał się, jak jego stary przyjaciel zdradza go i dzieli się triumfem z człowiekiem, którego zna od miesiąca. Jakby obok nie było wiernego Cadrona! Urażony odwrócił wzrok i – żeby ukryć uczucia – poszedł do stolika, sięgnął po szklanicę i dzban. – Nie cieszysz się, Cadronie? – usłyszał z tyłu.

– Jak to: nie cieszę się? – zapytał odwracając z naczyniami w rękę. – Przecież o to chyba chodziło, po to tu jeszcze siedzimy, prawda? – Umyślnie prysnął zimną wodą na rozpaloną głowę Ttafeonda. Jeszcze gotów, pomyślał, zasiedzieć się tu, między Zingute i Kalią. Może zapomniał, może już tak się złączył z Ttafeondem, że nie da się ich rozłączyć? Nie raz zastanawiałem się co by było gdyby Hondelyk postanowił porzucić swoje ciało, i nie raz go o to pytałem, a on zawsze mówił, że to niemożliwe. Nigdy nie sprecyzował: niemożliwe, bo on nie zechce, czy niemożliwe, bo tak być nie może. – Ja tam czekam na nich z utęsknieniem, załatwimy swoje i... w drogę!

Zajął się – tak to miało wyglądać – nalewaniem wina i udało mu się nawet nie rzucić spojrzenia na władcę, ale, rzecz jasna, widział, jak gaśnie uśmiech na twarzy Zingute. Uniósł szklanicę do warg i jednocześnie wpił się spojrzeniem w oczy Ttafeonda. Król patrzył na niego uważnie, a potem – Cadron omal nie roześmiał się z ulgą – ledwo dostrzegalnie zmrużył oczy. W zupełnej ciszy niezależnie od siebie kotłowały się myśli trzech mężczyzn. Ttafeond przerwał milczenie:

– Zawołajcie do mnie biegłych skrybów. Przynies – zwrócił się do Zingute – plan traktatu. Gdyby po przybyciu któryś chciał się ze mną zobaczyć – odmówcie, zwalcie na chorobę, ale gdyby nalegał, zwłaszcza gdyby nalegał na rozmowę bez świadków i w tajemnicy przed innymi – przenosimy się do ostatniej komnaty. Ale zaraz potem – do pierwszej, blisko korytarza. Skrybów nie wypuszczać z tego piętra i nie dać się im kontaktować z nikim, cały czas pod strażą, straż dobrze dobrać. Ani jedna litera z traktatu nie może się wydostać poza te pokoje. – Wyciągnął rękę wskazując nią stół z napojami i niecierpliwie pomachał palcami. Cadron pośpiesznie nalał do rżniętego

kryształowego pucharu wina, wzrokiem zapytał o wodę; Ttafeond pokręcił głową, wypił połowę podanego trunku. – Czy ten stryj, jak mu tam? Oprus? Może podjąć się witania w moim imieniu królów?

– Pójdę powiem mu jaka jest wasza, panie, wola. Zobaczą jak się zachowa, lubi ceremonie i może wróci mu pamięć jak usłyszy, że będzie ważny...

– Dobrze by było, niech się nie złością na brak szacunku i nie najeżają od razu po przyjeździe. Wieczorem, kiedy już wszyscy będą – ucza. Na początku rozdamy im projekt traktatu, potem poinformuję ich, że Kalia została uznana przeze mnie za królową-małżonkę.

– Co?

– Po co?

Cadron i Zingute zareagowali niemal jednakowo i w tym samym momencie. Wyglądali w tej chwili jakby mieli tę samą matkę – Ciekawość. Ttafeond uśmiechnął się szeroko, zachichotał:

– Szkoda, że siebie nie widzicie! Jak dwa gargulce nad drzwiami do zamku. – Przestał się śmiać. – Po pierwsze, to korzystne dla planu. Po drugie, korzystne podwójnie, bo wprowadzi zamęt w głowach królów, będą zaskoczeni jak wy teraz i będą zastanawiać się jaki w tam jest haczyk, co chcę przez to osiągnąć. I – oczywiście – nie domyślą się, ale zmarnują siły na puste dywagacje.

– Czyli jak my teraz? – rzucił ironicznie Cadron. Ton wypowiedzi miał wyrażać pogląd, że jego zdaniem pomysł z koronowaniem Kalii ma wyraźne korzenie w łóżku króla. – Kalia...

– Cii! Ona nic nie wie i na razie się nie dowie. Koronowanie jest potrzebne... – zawahał się i jednak nie dokończył. – Jest potrzebne i kwita. Kto szuka tu ukrytego dna ten kiep. Wracamy do uczy. Ja opuszczę ją szybko, dam czas na myślenie, ale tej nocy wy macie być w najwyższym pogotowiu. Będziemy spali mało albo i wcale. W południe następnego dnia – rozstrzygnięcie.

– A... – Cadron zawahał się i zamilkł nie kończąc pytania.

– Nie wiem. Jeśli się nie zdecydują na moją propozycję – nie wiem. Na pewno najważniejsze jest stworzenie koalicji, lepsza pod złym przewodem niż żadna; najlepsza, rzecz jasna, pod dobrym. – Przyjrzał się po kolei obu współnikom. Klasnął w dłonie. – No! Do roboty!

* * *

Chuda, szponiasta dłoń leżała nieruchomo na drewnianej poręczy tronu. Palce opierały się o drewno swoimi czubkami. Wskazujący wysuwał się z szeregu, prostował i wolno, głaszcząc opuszką drewno, wracał do braci. Zingute rzucił niespokojne spojrzenie na drzwi, zapytał spojrzeniem Cadrona i – nie otrzymawszy wsparcia – przeniósł wzrok na twarz Ttafeonda. Król, jeszcze wczoraj żywotny i podniecony mającym się dzisiaj odbyć spotkaniem pięciu władców, przez noc postarzał się zewnętrznie o kilka lat, a kiedy usiłował poruszyć rano ręką okazało się, że przez kilka nocnych godzin stracił niemal wszystkie siły. Powiedział im wczoraj: "Czwórka negocjatorów musi odnieść wrażenie, że są świadkami ostatnich godzin mojego życia", ale obecny widok władcy mimo to wstrząsnął nimi. Cadron szybciej wytłumaczył sobie, że to tylko pozory. Ale żeby nie przesadził, pomyślał, wszedł tak dalece i na tak długo w ciało Ttafeonda, że może naprawdę umrzeć jako król. Na nic przy tym będą moje narzekania i prośby, on się uparł, że doprowadzi sprawę do końca. Żebyż już był ten koniec! A może... Trzeba mu przypomnieć, że nie jest Ttafeodem, do licha! Niech się tak nie przejmuję, bo...

Zapomniał, że w palcach trzyma kufel z piwem, podniósł rękę chcąc przetrzeć piekące po prawie bezsennej nocy oczy i niemal wylał sobie na twarz zawartość naczynia.

– Tfu! – Odstawił z hukiem kufel na stół. Ttafeond drgnął i z wysiłkiem podniósł powieki. – Wyglądasz jakbyś miał za chwilę zemdleć – zaatakował go przyjaciel. Czekał na pierwszą oznakę niezadowolenia, żeby głośno wyartykułować myśl: – "Nie jesteś naprawdę Ttafeodem!".

Król ocieżył sennym spojrzeniem obdarzył najpierw Zingute potem Cadrona.

– Nie martw się – wychrypiał. – Już niedługo.

– Czy mam wejść do tronu? – zapytał nerwowo Zingute usiłując zmienić temat.

– Właściwie... – zawahał się Ttafeond. – Tak, boję się, że zapomnę nawet który jest kim.

Zingute wsunął się w przestrzeń pod siedzeniem i za oparciem, sucho zgrzytnęło drewno ocierając się o siebie przy zamykaniu tajnych drzwiczek. Ttafeond usiłował uśmiechnąć się do przyjaciela, ale kąciki ust tylko szarpnęły się do góry i zaraz opadły.

– Kończymy, naprawdę. Podle się czuję...

Cadron podszedł do tronu i nic nie mówiąc ścisnął obie leżące na poręczach dłonie Ttafeonda. Potem podszedł do drzwi, otworzył je i skinął na wyprężoną gwardię. Ośmiu żołnierzy wmaszerowało do komnaty, ustawili się po obu stronach tronu i na ruch ręki dowódcy pochyłili się i wczepili palcami w drągi. Cadron przyglądał się im uważnie, ale żaden z nich nie okazał zaskoczenia z powodu wagi drewnianego tronu i wychudzonego króla. Ostrożnie manewrując wyszli z komnaty i ruszyli korytarzem. Cadron wyprzedzał ich, nakazywał otwarcie kolejnych drzwi, zapalenie dodatkowych pochodni. Przed drzwiami do sali tronowej obejrzał się, zerknął na drzwiczki, za którymi kilka chwil temu zniknął Zingute, zaczerpnął pełną pierś powietrza. Ttafeond, ku jego zdumieniu, na moment poderwał do góry prawą powiekę i szybko ją dwa razy opuścił. Cadron odetchnął z ulgą, odsunął się i pociągnął za sobą drzwi. Przepuścił lektykę-tron, przepuścił dodatkowych dziesięciu żołnierzy i wszedł za nimi. Od tyłu obszedł tron i ustawił się po lewej stronie Ttafeonda. Cała czwórka gości już stała i nie wyglądało, żeby zamierzali szybko usiąść, choć ich postawa była nie tyle wyrazem szacunku dla Ttafeonda, ile zaskoczenia wobec tak wyraźnie wypisanej na jego obliczu śmierci. Gospodarz oblizał wargi i powiedział wyraźnie, choć chrapliwym głosem:

– Siadajcież, szanowni goście. Witam was wszystkich... – Skierował spojrzenie na wysokiego chudego ciemnowłosego mężczyznę w prostym, ale wykonanym ze szlachetnych skór ubraniu. – Witaj po raz pierwszy na moim dworze Morsey'u. – Gość nisko skłonił głowę z widocznym wysiłkiem odrywając zaniepokojone spojrzenie od Ttafeonda. – Witaj, Kenlee Tyererze, władco Manta. – Jedyne z władców z koroną na głowie, grubas z przenikliwymi szarymi oczami dostojnym skinieniem głowy odpowiedział na powitanie i zaraz jego wzrok zmętniał, gdy przestał słuchać i zagłębił się w swoich rozmyślaniach. – Szkoda, że Twój ojciec nie mógł przybyć – powiedział gospodarz do młodego królewicza. – Br'e'walu, czy wypadek ojca był groźny?

– Ojca zwał z siodła zapędzony w pułapkę jeleni, którego uparł się schwytać żywcem. Koń przygniótł mu nogę. To bolesne i wymaga unieruchomienia, ale nie grozi specjalnie zdrowiu ojca – powiedział lekko młodzian. – Jeszcze raz pragnę przekazać jego słowa – jest mu niezmiernie przykro, że w tak ważnej dla kilku narodów chwili wyleguje się w piernatach.

– Wiem... Czuję to, że godnie zastąpisz ojca – powiedział Ttafeond, Br'e'walu skłonił poważnie głowę. Ttafeond wolno odwrócił głowę i popatrzył na ostatniego z mężczyzn, miał na sobie, podobnie jak Morsey, skórzane niby-podróżne ubranie, czarne, lśniące z kilkoma złotymi kłami. Po Ttafeondzie był najstarszym w sali władcą. – Witaj, Pwo, władco szczęśliwego, bo bezpiecznego kraju...

Pwo częściowo poszedł w ślady młodego Br'e'walu – skłonił się wolno, ale nie otworzył ust. Potem usiadł i złożony dłonie na brzuchu zamarł w wyczekującej pozycji. Przez chwilę miał minę jakby chciał zerknąć w bok i sprawdzić, czy pozostali zachowali się podobnie, ale czując na sobie uważne spojrzenie Ttafeonda zrezygnował. Cadron starał się słuchając króla patrzeć na tych z władców, do których akurat nie odnosiły się słowa króla, oczekiwał, że zdradzą się jakimś ruchem,

spojrzeniem, sygnałem, ale – jak na razie – nie dali powodu do podejrzeń. Tylko młody książę Zrugan Formalo rzucił na Cadrona szybkie taksujące spojrzenie.

– Wybaczcie, ale nie mogę długo z wami przebywać, moja niemoc nie pozwala mi... – Rozkaszał się, przesłonił usta wyszarpniętą z kieszeni chustką. Odetchnął chrapliwie kilka razy. – Sami widzicie – spróbował się uśmiechnąć. – Zaraz dostaniecie tekst traktatu, mam nadzieję, że... – Odetchnął głęboko zmęczony przemową. – ... powinien wam przypaść do gustu. Niewiele jest tam zmian, całość dobrze znacie. Przemyslcie to. Wieczorem zobaczymy się jeszcze raz. Jeśli dojdziemy do porozumienia – złożymy przysięgę na miecze, a z naszych pięciu sztyletów kowale wykują miecz koronacyjny dla władcy potężnego kraju. – Znowu zrobił długą przerwę, odrzucił głowę na oparcie i oddychał ciężko. – Wiem, że trochę nie tak powinno to wyglądać, ale czas mnie goni... Nie mogę sobie pozwolić na długie rozmowy i przetargi. Zresztą od dawna męczyłem was swoimi planami, wiecie wszystko, co powinniście wiedzieć, by móc podjąć decyzję. Musicie ją dzisiaj podjąć. – Uniósł ciężko dłoń i machnął nią w stronę stojącego pod ścianą skryby. Tamten szybko chwycił ze stolika rulony grubego czerpanego kartonu i ruszył przygięty w ukłonie w stronę Morsey'a. Cadron usłyszał jakiś syk i ponaglące stuknięcie. Z trudem powstrzymał się, żeby nie popatrzeć na tron. Ttafeond kaszlnął. – Jeszcze jedno – wieczorem, przed naradą pragnę wam przedstawić królową Kalię. Rano została koronowana, wybaczcie, że nie wzięliście udziału w uroczystości, ale sił mam tylko tyle, żeby doprowadzić jedną sprawę do końca. Gdyby to zostało zrobione z należytym ceremoniałem musielibyśmy odłożyć najważniejszą sprawę na jutro. A jutro... Nie wiem... Nieważne.

Kenlee Tyerer wychylił się ze swojego fotela do przodu. Miał na twarzy wypisaną podejrzliwość walczącą o lepsze z radością. Cadron pomyślał, że jeśliby Ttafeond zaproponował Kalię na królową koalicji król Syurney miałby w ręku bardzo ważne atuty i na pewno przekonałby innych, że Ttafeond oszalał.

– Czy to znaczy, że chcesz na nas wymusić posłuszeństwo wobec kobie...

– Nie! – niemal krzyknął Ttafeond. – Przeczytaj traktat. Nie szukaj w nim podstępów, który dałby władzę jednemu i pogwałcił innych. Wybaczcie... – niemrawo skinął na oficera.

Żołnierze zrećnie podchwycili drągi i lektyka niemal nie kołysząc się wypłynęła z sali. Cadron nie zdążył wyjść pierwszy z sali, na wąskich korytarzach nie było wystarczająco miejsca, więc włókł się za tronem dopasowując odruchowo swoje kroki do miarowego chodu żołnierzy. Przy liftierze zawahał się, ale wskoczył do komory i szybciej niż król dotarł do komnaty. Zanim pochód z lektryką dotarł na miejsce zdążył wlać w wyschnięte gardło puchar smokowicy i nalewał drugi. Zanim noszowi wymaszerowali z komnaty podał kielich królowi i odebrał naczynie, gdy zostało zachłannie opróżnione. Starannie zamknął drzwi i opuścił zasuwę. Pomógł wygramolić się Zingute. Ttafeond odezwał się dopiero gdy obaj przesunęli krzesła i usiedli na wprost niego:

– Po pierwsze, dzięki żeś przypomniał mi o koronacji Kalii. Dziwne – sądziłem, że ten tron to przesada, ale... – pokręcił głową. – Nie pomyliłem się w powitaniu?

– Nie, wszystko było dobrze – zapewnił Zingute.

– Więc teraz tak – najważniejszą rzeczą w traktacie jest – o tym nie wiecie – zmiana dotycząca władcy koalicji. Nie ma tam mojego – Zawahał się, jakby się potknął o słowo "mojego", ale dokończył : – imienia. Proponuję, żeby władcą został Morsey...

– C-sss-oooo? – Zingute najpierw wychylił się do przodu jakby chciał rzucić do kolan albo gardła Ttafeondowi, ale zerwał się natychmiast, zrobił krok i potknąwszy się o drąg zwałił na bok. Poła długiego kaftana zawinęła się w powietrzu i opadła mu na głowę, szarpnął się wściekle, wyplątał nogę spod drąga, poderwał się. – Nie!.. To zdrada! – krzyknął stając obok tronu i wyciągając rękę jakby zamierzał szarpnąć króla za ramię.

Cadron skoczył i odtrącił jego rękę.

– Nie krzycz – syknął. – Najpierw wysłuchaj...

Zingute odskoczył w bok i zaczął szukać pod połą noża. Miał w oczach szaleństwo i rozpacz. Ręka przestała szukać broni, rozejrzał się dokoła.

– Zingute, proszę. – Głos Ttafeonda brzmiał cicho, ale mocno, na tyle mocno, że drżący Zingute odwrócił się do niego i wysunął rękę spod poły kaftana. W jego szeroko otwartych, unieruchomionych przez wezbrane pod powiekami łzy widniała rozpacz. – Zrozum: Ttafeond nie może być władcą. Nawet gdyby cała czwórka się na to zgodziła, to i tak znaczyłoby to tylko tyle, że czekają na jego śmierć, żeby już bez kłopotu, bez jego autorytetu i bez przeszkód albo podzielić władzę między siebie, albo wybrać któregoś z czwórki. Zmuszając ich do wyboru Ttafeonda w rzeczywistości tracimy więc kontrolę nad całym układem, nad całym planem... Wybiorą mnie i co? Koniec. Kenlee Tyerer tylko czeka na to i pierwszy się zgodzi. A potem albo Ttafeond umrze, albo go zabiją skrytobójcy, truciele czy zwyczajni zdrajcy. Rozumiesz? Rozumiesz? I dopiero wtedy najmniej godny, ale najbardziej bezwzględny sięgnie po władzę, a wiesz, że to może oznaczać wojnę między piątką państw. Wojnę, kiedy za kilkoma wzgórzami czeka czarny imperator?!

Zingute nie odwracając wzroku od Ttafeonda cofnął się, zacisnął pięści, uderzył nimi w uda.

– Ale nie tak miało być, nie tak to planowaliś... planował Ttafeond! – Cadron zrozumiał, że zamierzał wyrzесzczеć tę wiadomość na całe gardło, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar. Odetchnął, racje Hondelyka-Ttafeonda dotarły już do Zingute, musiał jeszcze tylko się z nimi zgodzić. – Nie tak...

– W jednej tylko rzeczy Ttafeond się pomylił – powiedział cicho, bardzo cicho Hondelyk. – Był przekonany, że każdy pragnie władzy i bogactwa, był pewien, że jeśli tylko znajdzie sobowtóра, to ten z wdzięcznością przyjmie jego ofertę. Ja nie. Być może za jakiś czas będę tego żałował – zerknął na Cadrona, a ten pośpiesznie pokręcił głową. – Może nie?

Zingute obejrzał się do tyłu szukając krzesła, ale stał już o włos od stolika, po nieostrożnym ruchu biodra rozdzwoniły się kielichy i dzbanki na blacie. Cała trójka drgnęła, Cadron poruszył się żeby łapać naczynia, ale nic nie spadło. Zingute usiadł, po chwili Cadron.

– Musimy wybrać takiego, który zapewni całej koalicji potęgę zbrojną i wewnętrzny spokój. Kogoś, kogo będą szanowali, kogoś honorowego. Tym kimś może być tylko Morsey. Co prawda z zapisków wynika, że Filtil też nie byłby zły, ale jego kraj leży na uboczu sojuszu, na pewno nie przeprowadziłby się tutaj, chociażby dlatego, że ma furę czyhającej na tron rodziny... Tak więc – nie ma o czym dywagować: Morsey. I wiem jak to zrobić. Poza tym...

– Koniec Vernie... – powiedział Zingute suchym, drewnianym głosem, jakby zupełnie nie słuchał Ttafeonda, a jego słowa były tylko wynikiem ospałego myślenia. – Tego nie przewidział Ttafeond.

Ttafeond w milczeniu przypatrywał mu się chwilę. Przyłożył dłoń do gardła i ostrożnie odkaslnął.

– Pozornie – tak – powiedział cicho. Wzrokiem poszukał Cadrona i spojrzeniem i ruchem brwi polecił mu sprawdzić korytarz. Po chwili, kiedy Cadron zamknął tajne przejście i aprobująco pokiwał głową król dokończył: – To nie koniec Vernie, nie masz racji. Bo nie wiesz jednej rzeczy... – Niespodziewani przez pomarszczoną, szaro-siną twarz przemknął uśmiech, Cadron odnalazł w nim cień uśmiechu Hondelyka i radośnie zabiło mu serce. – Podejdźcie bliżej, bo to jest naprawdę ważne...

* * *

– Oszałał. – Doradca Kenlee Tyerera Gbary puścił rozłożony na stole arkusz tektury z tekstem traktatu. Zwój z głuchym trzaskiem zwinął się, potoczył i spadł na podłogę. Gbary kopnął go pod

ścianę. – To nam ułatwi robotę. Nikt nie będzie serio traktował planu szaleńca.

– Morsey będzie – niedbale rzucił Kenlee Tyerer podnosząc kielich do ust.

– No, jasne. Czemu nie? – zarechotał zausznik. – A Pwo aż się pali, żeby pozwolić temu góralowi być jego zwierzchnikiem! Że już nie wspomnę o Filtilu Zamorskim. – Energicznym krokiem obszedł stół, szapnęła krzesło, z hukiem ustawił je i ciężko opadł na siedzisko. Zanim otworzył usta przysunął się do blatu, oparł na nim łokcie, zawisł nad stołem. I milczał chwilę. Wygląda jakby chciał mi wysiorbać moje wino, pomyślał Kenlee Tyerer. Machinalnie odsunął na bok kielich, żeby ślina z kącika ust doradcy nie wpadła do naczynia. – Mamy go! Prawda?

– Chyba tak – wolno, jakby niechętnie przyznał Kenlee Tyerer.

– Chyba? Przecież...

– Pomyśl – przerwał mu obcesowo król. – Ttafeond nie jest durniem, musi wiedzieć, że tylko on poprze Morsey'a, a mimo to wysuwa jego osobę. Czy to nie znaczy, że ma jakiś plan?

– A jakież?

Kenlee Tyerer wzruszył ramionami, pobębnił palcami w stół i nagle chwycił ciężki kuty nóż do mięsa i cisnął nim w drzwi. Ostrze zawirowało, huknęło drewno, ale ostrze uderzyło bokiem, wyłupało tylko głęboką drzazgę. Nóż zawisł na chwilę i upadł na podłogę.

– Gdybym wiedział – wycedził Kenlee Tyerer – nie gadałbym... – chciał powiedzieć z "z tobą", ale w ostatniej chwili zmienił zamiar, postanowił nie zrażać starego zausznika. -...z nikim. Tylko działał.

Po przelotnej mgiełce niechęci w oczach Gbary'ego poznał, że tamtego nie zmyliła końcówka zdania, ale nie miał ochoty usprawiedliwiać się, wręcz przeciwnie – jego złość skierowała się właśnie na siedzącego za stołem mężczyznę.

– Podnieś nóż – warknął. – Ktoś wejdzie i pomyśli, że się tłukliśmy o lepszy kawałek mięsa – parsknął złym śmiechem. – Ale by się uśmieiali!..

Gbary odsunął z hurkotem krzesło, umyślnie, zgrzytnął nogami mebla jeszcze raz i ruszył do drzwi. Podnosząc nóż zamarł i z przykłąku zapytał cicho:

– A jeśli jego plan to siłą zmusić was do zgody? – wyprostował się z nożem w rękę i podszedł do stołu.

Kenlee Tyerer myślał chwilę.

– Już myślałem o tym, ale – nie. Nie może nas wytruć czy nadziać na piki swoich rajderów. – Zastanawiał się nad własnymi słowami, podniósł wzrok i szepił spojrzenie z ponurym wzrokiem zausznika. Gbary zapomniał już o urazie, zawsze szybko zapominał całkowicie oddany swemu panu i swoim planom dalekosiężnym. Dlatego Kenlee Tyerer pozwalał sobie tylko co jakiś czas na wyładowywanie złości na Gbarym. – Nic nie zyska, same kłopoty, a nie może liczyć na to, że spokojnie rozwikła wszystkie problemy. Przecież zdycha!

Gbary pokiwał głową unosząc brwi do góry – no tak, no tak! Zamyślili się obaj na chwilę i zostali zaskoczeni energicznym stukaniem do drzwi. Kenlee Tyerer odruchowo sięgnął do rękojeści sztyletu, ale widząc ironiczne spojrzenie Gbary'ego: "A przecież mówiłeś, że nie ma się czego bać!?" opuścił rękę i wściekły machnął głową w stronę drzwi. Gdy zausznik wolno ruszył warknął:

– Pośpiesz się!

Do komnaty wszedł widziany przy tronie Ttafeonda mężczyzna. Miał trzydzieści kilka lat, krótko, niemal przy skórze przystrzyżone włosy. Ciemne poważne oczy, szacujące, zaciekawione. Pewnie podsłuchiwał, pomyślał Kenlee Tyerer. Może się zdziwił, że nic nie słyszał. Mężczyzna wszedł nie obdarzając nawet namiastką spojrzenia Gbary'ego, przykłąknął i nisko pochylił głowę.

– Panie...

– Tak?

Mężczyzna wstał i zrobił jeszcze jeden krok. Kenlee Tyerer pomyślał, że zausznik Ttafeonda powinien mimo wszystko być traktowany ostrożnie, wskazał mu krzesło, z którego poderwał się przed chwilą Gbary. Mężczyzna obszedł stół, ale nie usiadł. Gbary zamknął drzwi, a spojrzenie przybyłego zawisło na chwilę na jasnej kawernie wylupanego w drzwiach drewna.

– Jestem astraletem króla Ttafeonda. – Powiedział z szacunkiem, pochylił głowę. – Cadron. Przynoszę prośbę o chwilę rozmowy z moim panem.

– Hm. Kiedy?

Gbary szybko ruszył, żeby znaleźć się za plecami posłańca i stamtąd dawać znaki Kenlee Tyererowi, ale zanim doszedł Cadron odsunął się od stołu i nalegającym gestem wskazał drzwi.

– Teraz. Ttafeond prosi, żebyś zrozumiał, że choroba opuszcza go na krótkie chwile i akurat teraz czuje się na siłach porozmawiać o ważnych dla wszystkich sprawach.

Gbary przygryzł wargę i powstrzymał się od rad, zresztą na obliczu Kenlee Tyerera gościł podobny wyraz zadumy, zastanawiał się krótko. Wstał.

– Idziemy.

Cadron szybko przekroczył próg i nie oglądając się ruszył pierwszy. Gbary poczekał aż Kenlee Tyerer wyjdzie, dogonił go i lekko trącił w ramię. Król Manta niecierpliwym ruchem barku strącił jego dłoń. Gorączkowo zastanawiał się nad taktyką rozmowy, ale nic prócz planowego uporu w przyznaniu korony Morsey'owi nie przychodziło mu do głowy. Po kilkunastu krokach obejrzał się do tyłu, Gbary bezgłośnie zapytał "Co robimy?", ale odpowiedzią było tylko wzruszenie ramion. Minęli posterunek przy schodach, drugi na piętrze, podeszli pod drzwi komnaty Ttafeonda. Cadron otworzył je i z ukłonem ustąpił miejsca Kenlee Tyererowi. Potem, gdy władca Manta wszedł wskazał wejście Gbary'emu. Sam wszedł ostatni.

Ttafeond siedział na swoim tronie-lektyce, po bokach przeżyli się czterej gwardziści. Kenlee Tyerer skłonił się lekko i ustawił w wyczekującej postawie.

– Należcie nam wina – zaszemrał głos pomiędzy sinych warg. – I wyjdźcie. Wszyscy. – Wyblakłe spojrzenie liznęło Cadrona o potem Gbary'ego. – Zgadzasz się?

Kenlee Tyerer miał ochotę dokładnie obejrzeć komnatę, ale gdy oderwał wzrok od twarzy Ttafeonda uświadomił sobie, że ten ma kłopoty z utrzymaniem głowy. Przyłożył rękę szerokim szczerym gestem do serca.

– Jak sobie życzysz.

Cadron skinął na gwardzistów i wyszedł pierwszy, nie klaniając się, jakby obrażony na Ttafeonda. Gbary odczekał chwilę i – nie widząc wsparcia w Kenlee Tyererze – wyszedł za nim. Gwardziści skierowani ruchem ręki Cadrona odmaszerowali.

– Ponieważ wiem, że nam nie ufacie, proponuję, żebyś poczekał tutaj na swojego króla – powiedział nagle Cadron. Gbary milczał. – Oczywiście – nie chcemy żebyś, panie, stał tu jak strażnik. – Włożył zgięty palec do ust i przenikliwie gwizdnął. Kiedy zza rogu wybiegł żołnierz przywołał go ruchem palcem i wydał polecenie. Po chwili na palcach przybiegli słudzy z małym stolikiem i dwoma wygodnymi plecionymi z tyk i ścięgien calimbusa krzeselkami. Obaj mężczyźni usiedli, potem gdy nalano im wina Cadron pierwszy uniósł swój puchar i umyślnie szybko – żeby pokazać, że wino nie jest zatrute – wypił cały puchar. Gbary łyknął również, ale ostrożnie. Lubił wino, to, którym go poczęstowano było wyśmienite, ale zagrożenie wisiało jego zdaniem w powietrzu i nie zamierzał podstawiać podeń łba. Przybrał znudzoną – ale bez przesady – minę i wygodnie rozparłszy się na krześle spróbował nasłuchiwać przez drzwi, po chwili zrozumiał, że ponieważ dźwięki z ust Ttafeonda ulatują z mocą niewystarczającą do ugaszenia ogarka to Kenlee

Tyerer musi siedzieć blisko i mówić cicho. Przynajmniej nie muszę się wysilać, pomyślał. Ciekawe, co to za astralec, ten Cadron. Nigdy o nim nie słyszałem, choć tych wędrownych wydrwigoszy jest zatrzęsienie, można by ich skórą obić mury wszystkich zamków, gdyby to miało jakiś sens. Łyknął wina.

– Powiedasz, panie, że jesteś astraletem. Hm, muszę przyznać, że dotychczas żaden nie przekonał mnie do swego kunsztu. Prognozy są zawsze takie... – Uniósł dłoń i zatrzepotał palcami równocześnie cmokając. – Że niby, na przykład, "Spotka cię nieszczęście, ale je pokonasz". Wiadomo, co jakiś czas coś się człowiekowi nieprzyjemnego przytrafia i jeśli nie jest to śmierć, to jakoś z tego wychodzi. Jak umrze, to nie żyje, i nie ma o co kruszyć kopii; jeśli nie umrze – co: racja astraleta? Że nie uległ nieszczęściu? Jak to jest, możesz wytłumaczyć?

Cadron otworzył usta, ale zamiast słów nastawiający uszu Gbary usłyszał dość głośne beknięcie. Z kim ja gadam, zapytał siebie bezgłośnie, jednocześnie odsuwając się trochę, żeby fala powietrza z żołądka ominęła jego nos. Bydlę prymitywne, pomyślał wściekły na Kenlee Tyerera, który pozwolił wyrzucić z pokoju swojego najlepszego przyjaciela i doradcę.

– Zaiste – powiedział Cadron tłumiąc jeszcze jedno beknięcie przyciśnięciem dłoni do ust; chociaż drgnął cały i policzki nadęły mu się na chwilę jak banie wydawał się być zadowolony ze swojej dworskości. – Zaiste, powiadam, pełno szwali różnej namnożyło się. Azaliż nie wszyscy...

Gbary jęknął w duchu słysząc wytworną mowę hochsztaplera. Wszystkie duchy, złe i dobre, pomyślał zrozpaczony, sprawcie bym szybko mógł wynieść się z tej okolicy!

–...jednakowoż, owa imdolencja oszukańczych wróżbitów...

Gbary ponowił wezwanie do duchów i zamarł, bowiem wydało mu się, że zrobił to na głos, ale widząc, że Cadron nie przerywa perory zrobił uprzejmą minę i wyłączył słuch.

* * *

Ttafeond chwilę oddychał ciężko, Kenlee Tyerer wpatrywał się uważnie i z pewnym niepokojem, ale okazało się, że władca Vernie tylko zbiera siły, by unieść puchar do ust. Napił się i ciężko opuścił rękę na pierś. Półożąc na szerokim siedzisku tronu nie opanował ruchu i trochę wina wychlupnęło mu na haftowaną złotem szatę.

– Pewnieś zaskoczony moją propozycją... – wyszeptał chrapliwie.

Kenlee Tyerer wypuścił powietrze przez nos i nie zamierzając odpowiadać, by nie zdradzić niczym swego sądu sięgnął po swój puchar z winem. Ttafeond jęknął przez zaciśnięte zęby. Przymknął powieki i zamarł niemal w bezruchu, tylko pierś chodziła mu w górę i w dół, nierówno, i coś chrobotowało w niej i szumiało parskliwie. Kenlee Tyerer napił się jeszcze, a ponieważ przerwa przedłużała się łyknął dwa razy dochodząc do połowy pucharu. Ttafeond otworzył oczy.

– Wybacz... Już mówię... Nalej mi, proszę jeszcze wina, rozgrzewa mnie...

Król Manta poruszył się, sięgnął do starej kamionkowej butli i starając się nie zabełtać zawartości nalał Ttafeondowi i sobie. Rozgrzewa? Mnie jest gorąco i wydaje mi się, że chłodzi, pomyślał. Usiadł i napił się jeszcze. Trzeba by go pogonić, bo inaczej będę tu asystował przy jego drzemce do wieczora.

– Taaak... – przeciągnął. – Nie powiem, trochę mnie zdziwiło, że oddajesz...

Wytrzeszczył oczy, zamarł w bezruchu. Głowa szarpnęła mu się na boki i opadła w dół, na pierś. Ttafeond odetchnął głęboko. Z boku tronu otworzyły się drzwiczki i wygramolił się ze skrytki Zingute. Natychmiast rzucił się do znieruchomiłego ciała Kenlee Tyerera i zaczął zdzierać z niego ubranie. Ttafeond z wysiłkiem podniósł się z tronu i rozpinając guzy na haftowanym pledelu, ze wzrokiem utkwionym w twarzy Kenlee Tyerera mruczał coś do siebie. Prócz tego sapał głośno i tylko raz podczas rozbierania się rzucił wyraźnie sformułowane polecenie: – Nie zasłaniaj jego

twarzy!

Bezwładne ciało Kenlee Tyerera spoczęło w bieliźnie na podłodze, Zingute poderwał się z ubraniem króla Manta w rękę. Zamarł. Potem na palcach poszedł do drzwi i ostrożnie, by zasuwa nawet nie zasześciła, umieścił ją w skoblach. Odwrócił się do Ttafeonda, podbiegł na palcach do zsuwającego spodnie króla.

– Zapomniliśmy o drzwiach – wyszeptał. Przyklęnąwszy pomagał królowi zsunąć nogawkę, zerknął do góry, zacisnąwszy przedtem zęby. Spodziewał się, że Ttafeond zacznie przemianę w Kenlee Tyerera, wiedział o tym, ale że zmiana już się dokonała i jeden osobnik leży na podłodze, a drugi identyczny właśnie skończył ściągając z siebie spodnie i zaczyna wkładać inne, zdarte z bliźniaka – nie spodziewał się. Przez chwilę zajmował się wyszukiwaniem różnic w wyglądzie obu Kenlee Tyererów, ale niecierpliwy gest ręki tego, który nie spał przerwał mu to zajęcie.

– Pośpiesz się! – tchnął ponagłajaco "żywy" Kenlee Tyerer.

Zingute rzucił się do onderoty Kenlee Tyerera, zdarł ją z szyi śpiącego i założył Ttafeondowi, opadł na kolana – trzasnęły kości w kolanach i był to jedyny dźwięk w komnacie – i zaczął wsuwać stopy króla w karsze z cholewami, zacisnął rzemienie i splótł ze sobą kutasy. Poderwał się na nogi.

Kenlee Tyerer wskazał kciukiem ścianę, niecierpliwie powtórzył gest. Zingute pochylił się do niego i szepnął:

– Może go schowamy do tronu? Jakby ktoś wszedł...

Nie! – wrzasnął szeptem, niemal bezgłośnie Kenlee Tyerer, energicznie wskazał ścianę. Zingute otworzył przejście i ruszył pierwszy. Po kilku krokach z tyłu dobiegł go szept:

– Jeśli Cadron nie będzie w stanie utrzymać tego totumfackiego na korytarzu, to będzie znaczyło, że i tak już nic z tego pomysłu nie wyjdzie. – I po chwili: – Ja trochę zwolnię, gdyby ktoś tu był – usuń, nie mogą mnie widzieć.

Przemierzali korytarz niemal w ciemnościach, dzisiaj rano Zingute osobiście przewędrował cały system i pozabierał z gniazd pochodnie. Ja sobie poradzę, powiedział do Ttafeonda, a jeśli będą tam obcy – po co mam im pomagać? Teraz więc maszerowali po ciemku, czasem tylko przecinając cienką smugę światła i wtedy Hondelykowi wpatrzonemu w mrok przed sobą wydawało się, że ktoś niewidzialny bezgłośnie uderza przewodnika świetlistym batem. Chyba mam już naprawdę dość, pomyślał. Z każdej strony dość. Zingute przemknął przez kilka smug, Hondelyk-Ttafeond-Kenlee Tyerer musiał zmrużyć oczy, zatrzymał się chcąc przetrzymać zawrót głowy, potarł skronie. Z ciemności dobiegło go ciche psyknięcie. Pomachał ręką i uprzytomniwszy sobie, że Zingute nie widzi tego ruszył wono przed siebie.

– Wychodzę – syknął mu w ucho Zingute.

Wysunął rękę i trafiwszy na pierś współnika trącił go lekko.

Ciemność pękła, klin światła uderzył w przyczajoną postać, Zingute wymknął się w jasność, Hondelyk odczekał chwilę, wysunął jego śladem, mrużąc oczy rozejrzał się po pokoju. Zingute otwierał już drzwi i wysuwał głowę na korytarz. Pomachał ręką. Hondelyk odetchnął głęboko, wyprostował się. Zdecydowanie ruszył do wyjścia.

– Drugie drzwi po prawej – szepnął Zingute i usunął się z przejścia. – Będę tu czekał – dodał niepotrzebnie.

Hondelyk skinął głową. Kilkoma susami dopadł wskazanych drzwi i zastukał. Za drzwiami na chwilę zapadła cisza, potem szcęknięty rygle i nabijana żelaznymi sztabami płyta uchyliła się.

– Powiedz królowi Pwo, że Kenlee Tyerer chce z nim chwilę porozmawiać. Szybko! – rzucił Hondelyk zaskoczonemu słudze. – No? Jeszcze mnie ktoś zobaczy – zrobił krok, trącił gamonia w pierś i szybko zamknął za sobą drzwi.

Mężczyzna rzucił się do drugich drzwi wiodących gdzieś do innych komnat, obejrzał się przez ramię. Dwaj inni przybocznicy Pwo, wstali z krzesła i zamarli. Goniec wypadł i zostawiwszy drzwi otwarte skłonił się.

– Król prosi.

Hondelyk szybko wszedł do pokoju odnalazł spojrzeniem rozwalonego w fotelu Pwo. Wskazał palcem dwóch umundurowanych.

– Mam mało czasu i muszę z tobą porozmawiać, niech wyjdą.

– Nie widzę... – leniwie wycedził Pwo. Przejechał wierzchem dłoni po umaślonych wargach, popatrzył na błyszczącą smugę na skórze.

– Rozmawiamy we dwie pary oczu albo wcale. Jak przyjaciel radzę ci... – nie dokończył.

Pwo zastanawiał się chwilę.

– Wyjdźcie – mruknął w końcu, a gdy zamknęły się drzwi rzucił ironicznie: – Przyjaciel! Od kiedy jesteś czymkolwiek przyjacielem?

– Oszczędź sobie wysiłku, co? – Kenlee Tyerer kopniakiem odsunął krzesło. Stał przy nim chwilę wpatrując się w Pwo, ale tamten nie wydawał się być zaniepokojony. Spokojnie opłukał palce w miseczce z aromatyczną wodą, wytarł dłonie w zielony rencyk i wyczekująco popatrzył na Kenlee Tyerera, ten usiadł. – Czytałeś traktat Ttafeonda? – Pwo pokiwał głową i nie odezwał się. Najwyraźniej cieszyła go sytuacja, kiedy Kenlee Tyerer musiał o coś zabiegać u niego. Hondelyk mignęła myśl, że Pwo może na złość Kenlee Tyererowi wykonać bezsensowny gest, tego nie przewidzieli. – No i co?

– Co?.. – Zapytany leniwie chwycił widelec i dźgnął nim połówkę pieczonego kapłona. – Głupie. Ani Morsey mi się nie podoba, ani... Rozumiesz o co chodzi z tym tytułem "regent"?

– To drugie wydaje mi się proste – Ttafeond był pewien, że to on zasiądzie na tronie, ale już chyba przejrzał – nie zdąży. Rozmawiałem z nim przed chwilą – to strzęp. Dobrze jeśli dożyje do jutra. Chyba chce, żeby pisano o nim w balladach. – Zaśmiał się krótko i wrednie. – Na to możemy spokojnie machnąć ręką, koronujemy go, niech sobie ma, wszak regent w chwili jego śmierci staje się królem.

– Nie wietrzyć tu podstępów? – Nóż wszedł gładko w mięso i został w nim. Pwo przestał się bawić. – Ty? Mistrz intryg? Przecież cię znam...

– Nie mówimy o mnie – przerwał Kenlee Tyerer – Ja...

Pwo stuknął kostkami palców w stół, Kenlee Tyerer zamilkł.

– A dlaczego nie mamy mówić o tobie! – zapytał miękko. – Czyżbyś zrezygnował z tronu? – Odsunął się od stołu, odepchnął rękami, skrzyżował je na piersi. – Nie wierzę.

– Możesz wierzyć w co chcesz. Byle szybko, za jakiś czas, gdy Filtiil zostanie władcą będziesz musiał wierzyć na komendę.

– Dlaczego Filtiil?

– Dlatego, że Ttafeond i Morsey są w koalicji, którą wzmocniło wysunięcie Morsey'a jako kandydata na tron sojusznicy. Rozumiesz? Jeśli nie wygra Morsey to zgodzi się na każdego, kogo podsunie Ttafeond. A Ttafeond nie wysunie mnie ani ciebie.

– No to sami się wysuńmy! – zachichotał Pwo. Pomysł po chwili śmiechu spodobał mu się jeszcze bardziej: zarechotał a potem zarżał głośniej. Kamienna twarz Kenlee Tyerera wywoływała coraz to nowe spazmy śmiechu. Zaczął płakać. – Nie-cheche... wydaje ci... aaach... cha-cha-chłeee... śmieszne?

– Ja to się pośmieję, gdy Ttafeond powie Filtiilowi, kto napadł na jego karawanę i zamordował jego córkę – zimno wycedził Kenlee Tyerer.

Pwo zakrzuszył się śmiechem i śliną. Kaszłąc, poczerwieniały na twarzy rozejrzał się nerwowo po pokoju. Chwycił renczyk i otarł nim sobie całą nagle spoconą twarz, nie poczuł nawet, że używana wcześniej do tłustych rąk ścierka zostawiła na jego twarzy tłuste smugi i włókienka mięsa. Sięgnął po pękaty ze smukłą szyjką dzban, ale ręce trzęsły mu się tak, że wino chludnęło na stół nie trafiając do pucharu. Pwo poderwał się i z całej siły cisnął dzbanem o ścianę. Chwilę potem otworzyły się drzwi i wpadł zaniepokojony wojak.

– Won!!! – ryknął Pwo i zanim zaskoczony żołnierz zdążył się ruszyć chwycił talerz i cisnął niedojedzonym kapłonem. Żołdak w ostatniej chwili uchylił się przed wirującym pociskiem, pochylony rzucił do ucieczki. Rozjuszony król uderzył jeszcze pięściami w stół i znieruchomiał pod kąpiącym spojrzeniem Kenlee Tyerera. – To potwarz! – wrzasnął.

– Ta. Powiedz to Filtilowi. Zwłaszcza jak już będzie naszym seniorem.

Buraczany na twarzy Pwo obiegł stół, żeby zatrzymać się przed spokojnie siedzącym Kenlee Tyererem. Tupnął nogą w bezsilnym geście dziecka, któremu nie pzwala się na jakieś dziecinne głupstwa.

– Kto to powiedział? Kto? Wbiję mu do gardła jego słowa! – Kenlee Tyerer milczał. – Wyzwę na pojedynek, jeśli to...

– A szop ci dupę z twoim pojedykiem – niedbale rzucił Kenlee Tyerer. – Fartil będzie wreszcie miał potwierdzenie swoich domysłów i nie będzie wnikał czy to prawda czy nie. Ważne, że będzie to zgadzało się z jego podejrzeniem. – Plasnął dłonią w kolano. – No, jak to mówią chłopci, skoro nie mamy o czym mówić, to nie mamy o czym mówić. – Wstał, ale Pwo nie odsunął się, wobec czego stali niemal ocierając się o siebie nosami.

– Możemy nie wejść do koalicji. Do tego nikt nas nie zmusi – syknął Pwo.

– Jak chcesz – nie wchodź – wzruszył ramionami Kenlee Tyerer. – Mnie już czarni zachodzą za skórę. Jak się nie przyłączę mogą zawrzeć z małpoludami rozejm i puszczać ich rzeką do mnie. Dziękuję. Wchodzę. Może nie jako król a namiestnik, ale jeszcze pożyję, ja i moje dzieci. A ty zrobisz jak zechcesz. – Ominął nieruchomego Pwo, ale tamten chwycił go za łokieć.

– Czekaj! – Kenlee Tyerer zatrzymał się, ale nie odwracał. Pwo puścił jego rękę, przeszedł się po komnacie z wzrokiem utkwionym w podłogę. Z całej siły trącił nogą zydel, klekot drewna ponownie przywołał strażnika. – Won... – rzucił król Syurney. – No to co robimy?

– Ja przyłączam się. Bo... Wiesz, co? Jeśli odrzucimy ten sojusz Vernie nie będzie składnikiem nowego państwa, a to duży słodki kawałek. Albo powstanie coś innego, a mnie w nim nie będzie. Tak więc – przyłączam się. Zwłaszcza że... – zawiesił głos. Zobaczył utkwione w sobie pełne nadziei spojrzenie Pwo. Uśmiechnął się szeroko. – Ttafeond przechytrzył trochę. Może nie przechytrzył, zgubiła go próżność.

– Co masz na myśli?

– Regent! Pomyśl chwilę – regent. Co to znaczy? Że nie będzie dynastii, ot, co to znaczy. – Wolno wyciągnął palec i sunął nim w kierunku nosa Pwo, król Syurney jak unieruchomiony tym ruchem stał i patrzył aż zabolowały go oczy. Odgiął korpus a wtedy Kenlee Tyerer obniżył palec i trącił nim Pwo w pierś. I błyskawicznie chwycił za koszulę, gdy zaskoczony Pwo zaczął lecieć na plecy. – Gdy Morsey umrze?..

Pwo nie pogniewał się za dziecinny dowcip, otworzył usta i skamieniał. Przez szeroko otwarte oczy maszerowały myśli, niczym kompania żołnierzy widziana przez otwarte okna, myśli stawały się coraz weselsze.

– Aaaaa...

– No właśnie! Już?

Oszołomiony Pwo, niezdolny do wymamrotania słowa pokiwał mocno głową.

– A kiedy umrze? – zapytał nagle z przebiegłym uśmieszkiem na twarzy akcentując słowo "kiedy".

– No, tego to nikt nie wie – powiedział Kenlee Tyerer chytrze mrużąc oczy.

– Może i nikt, ale ty wiesz, prawda?

– O tym to za wcześnie mówić, tak myślę. – Kenlee Tyerer klepnął się dłonią po brzuchu. – Za niedługo ucza.

– Czekaj! – Zaniepokojony Pwo, zatrzepotał dłońmi. – To co w końcu trzeba zrobić?

– Zrobisz co zechcesz! – niecierpliwie rzucił Kenlee Tyerer. – Ja ci tylko wyjaśniam, co będzie jeśli teraz otwarcie skoczmy do gardła Morsey'owi. A ty sobie rób co chcesz. Ja podpiszę traktat. Będę miał czas do namysłu, Morsey będzie zajęty czarnymi, będzie mnie bronił, a ja będę myślał. – Ruszy do drzwi, wyciągnął rękę do klamki, ale odwrócił się i wyciągniętym palcem wskazał Pwo. – Ty też myśl. Przynajmniej teraz.

Wyszedł. Ominął stojących nieruchomo z ponurymi minami żołdaków, zamknął starannie drzwi i szybko rzucił się do uchylonych już z Zingute w szczelinie.

– I co?

Chwycił Zingute za ramiona i potrząsnął nim mocno. Szeroki uśmiech rozlał się po jego twarzy.

– Zrobi co chcemy! – wykrzyczał szeptem. – Wracajmy, Kenlee Tyerer musi uwierzyć, że tylko zapadł w drzemkę.

Zingute pchnął drzwi w ścianie, ale zanim wszedł uniósł dłoń i policzył na palcach:

– Morsey – raz, my – dwa, Pwo – trzy! Wystarczy.

– Oczywiście. Tym bardziej, że Kenlee Tyerer, gdy zobaczy jak głosują inni, natychmiast przyłączy się do większości. Trzeba będzie tylko ostrzec Morsey'a przed ewentualnymi spiskowcami. – Zingute wsunął się w mrok, Hondelyk za nim. W ciemnościach szepnął w przestrzeń: – A najlepiej by było, żeby Kenlee Tyerer i Pwo się pożarli, pękłby wtedy ich dwuosobowy sojusz. Ale to się może nie wydarzyć... – Usłyszał z przodu "aha!". Przeszedł kilka kroków w milczeniu. – Prowadź.

Epilog

Owinięte płatami wilczego futra kopyta koni niemal nie płoszyły nocnej ciszy. Cadron, jako ten który lepiej widział w ciemnościach wysunął się do przodu o dwa końskie łby, ale ochota na pogawędkę rozpierała go. Czuł się szczęśliwy jak dzieciak, któremu ktoś wcisnął w garść kilka miedziaków albo wrzucił na koszulę kilka chrupiących wiosennych jabłek. Co i rusz odwracał się do tyłu, tylko po to, żeby w mroku wyłapać znajomą cylwetkę i znajome rysy twarzy Hondelyka.

– Zingute będzie czuwał jeszcze jedną noc? – zapytał Hondelyk

– Tak powiedział. – Wyciągnął do góry ręce i przeciągnął się z całej siły. Poprzednią noc spędzili na czuwaniu przy skamieniałym a właściwie zlodowaciałym ciele Ttafeonda, potem Cadron zapadł w krótką drzemkę, z której wybił go sen, w którym Hondelyk nie mógł powrócić do swojej postaci. – Może nawet dwie, zależy czy ciało się szybko rozmrozi...

– Zdamy do portu...

– Zdamy.

Kopyta koni zaciamały w serii kałuż nanizanych na koleiny i błyszczących w rozproszonym przez wątle obłoki światła księżyca.

– Całe szczęście... – machnął ręką Cadron

– Że zdamy?

– Nie, że już cała ta przygoda za nami. To było głupie, to było lekkomyślne, nie przemyślane...

– To było potrzebne – wpadł mu w słowo Hondelyk. – Wiele istnień ludzkich od tego zależy.

Nie mam pewności, że wszystko pójdzie jak wyliczył sobie i zaplanował Ttafeond, ale przynajmniej zrobiłem co należało, co mogłem zrobić. Tyle tylko...

– A tam! – machnął ze złością ręką Cadron – Naraziłeś siebie, Zingute, już nie wspomnę o sobie. I o dziewczynie, to znaczy królowej... Skąd miałeś pewność, że jest w ciąży?

– Nie miałem. Dlatego – miałeś mi to za złe, wiem – tak chętnie przyjmowałem ją w sypialni. Ale nie musisz się denerwować – urodzi dziedzica Ttafeonda. I za kilkanaście lat Morsey, gdy sam się zestarzeje przekaże władzę następcy Ttafeonda.

– Chyba że się wszystko potoczy zupełnie inaczej – sceptycznie mruknął Cadron.

– Może i tak być – westchnął Hondelyk.

– Ale tak naprawdę – po co wzięłaś tę robotę? Co? Przez cały czas skacze mi po głowie taka myśl, że jeszcze nie wszystko wiem, że czegoś mi nie powiedziałaś? Hę?

– Taa? Taka myśl ci chodzi?.. – Hondelyk wyraźnie zagrał na zwłokę. Cadron nie ponaglał go czując, że i tak za chwilę odpowiedź padnie. – No więc... Hm... Pamiętasz, że Ttafeond miał syna, który kiedyś uciekł z domu rodzinnego i nie wrócił?

– No. Pamiętam.

Droga zaczęła się wspinać na lekkie wzniesienie, kałuże dawno zostały z tyłu, ale nasączona wodą i błotem skóra soczyście mlaskała przy każdym końskim kroku. – Przecie mówię, że pamiętam. No? – ponaglił Hondelyka Cadron. – Nie znęcaj się powiedz mi coś? Słyszysz? Gadaj! Zabiję, no zabiję, naprawdę. Gadaj – co ty masz do tego syna, co? Czy do innego?..

Hondelyk zachichotał.

– Ach tak? Koniec z naszą przyjaźnią! Koniec. I to... Nie, proszę cię – powiedz. Przecież wiesz, że takie rzeczy mnie słabiają jak nic, muszę wiedzieć. Nie będę mógł spać ani jeść... Gadzino, powiesz czy nie!?

01-03.94

Przerwany popas

– Schłodzo-o-one... – przeciągając środek słowa, z wyraźną, kierowaną do bóstwa piwa, wdzięcznością w głosie, powiedział Hondelyk. Mimo że popasali w zajeździe drugą dobę wciąż nie mógł przyzwyczać się do obfitości najzwyczajszej chociażby wody, a tym bardziej innych napojów. Pociągnawszy łąpczywie, odstawił niemal pusty kufel, otarł usta. Zerknął przekornie na Cadrona. – Cały czas chce mi się pić! – poskarżył się.

Cadron dotknął swojego kącika ust, by pokazać gdzie na twarzy przyjaciela osiadła puchata kropka piany i powiedział:

– Przypominasz mi teraz owego dziada, co to wszedł na karczmy i nudził: "Jak mi się chce pić! Jak mi się chce pić!" aż któryś z gości nie wytrzymał i kupił mu kufel piwa, a ten wypił i zaczął: " Jak mi się chciało pić! Jak mi się chcia-alo pić!". – Pociągnął długo z kufla, odsapnął odstawiając kufel a lewą ręką wykonał kolisty ruch nad głową, na co karczmarz, ogromne chłopisko z łapami jak siedziska taboretów, żywo skinął głową i pogonił do beczki z czterema kuflami w ręku. – Będziemy tu siedzieli i pompowali w siebie piwo przez ile jeszcze? – zapytał Hondelyka.

– Ooo... Dwa dni, tydzień. Długo. Aż zapomnę tę przekłętą pustynię i jak mi się chciało pić. – Hondelyk popatrzył na swoje dłonie, z których skóra, mimo długich trzech kąpiei w baliach ciepłej i chłodnej wody, schodziła płatami. – Aż konie przestaną przypominać skórzane worki na zręcznie ułożone kości, aż przestanę się ślinić na widok studni, aż...

– Aż się zwalimy pod stoły a stopy innych gości zaczną z nas wyciskać wlane w siebie płyny! – wskoczył mu w słowo Cadron.

– Dokładnie tak. – Hondelyk dojrzał zbliżającego się karczmarza, trzymającego w zgięciu wskazującego palca cztery kufle, jednym łykiem dokończył swoje piwo, cicho upuścił wydobywające się z żołądka gazy. Oczekał aż chłopisko niedbale nanizawszy na gigantyczny pałak palca uszy sześciu pustych kufla skieruje się za szynkwasa i powiedział cicho i poważnie: – Nie mówiłem ci, ale po raz pierwszy w życiu widziałem wyraźnie jak teraz ciebie, że obok nas cwałuje Pan Morte... I nic nie mogłem zrobić prócz przymilnego uśmiechania się do niego...

– Przecież my się wlekliśmy noga za nogą?.. – bąknął zdeorientowany Cadron.

– Wiem. Ale on cwałował. Nie wzniecał przy tym kurzu i – rzecz jasna – nie zostawiał śladów... – Myślami wrócił do ostatnich dni drogi przez Qoke-Macanta, wzdrygnął się i chyba żeby odstraszyć nieprzyjemne wspomnienia plasnął dłonią o blat stołu. – Fuj! Zostawmy go i nasze z nim ewentualne przyszłe spotkania w spokoju, pijmy! – Chwycił kufel i zaczął pracowicie go doić nie zwracając uwagi na pełen podziwu wzrok Cadrona. Oderwał się od naczynia dopiero wtedy, gdy krawędź dna znalazła się na poziomie oczu, ocierając usta popatrzył pytająco na towarzysza.

– Nie, ja nie mogę tak dużo i tak szybko... – odpowiedział Cadron kręcąc głową w podziw.

– Bo to wymaga ćwiczeń...

– I pęcherza jak garb dromadera!

– Uech! Może. Skoro już o pęcherzu mowa?..

– Właśnie, chodźmy ulżyć sobie.

Wstali, ale przedtem Hondelyk pośpiesznie dopił niedokończone piwo, i ruszyli do szerokich drzwi wiodących na małe brukowane podwórko z dębowymi rynnami wokoło wysokiego płotu. Ostra woń uryny szczypała w oczy, ale mimo że bardzo się starali dość długo trwało, zanim mogli umknąć z kibla. Po wejściu do sali Hondelyk rozejrzał się po izbie i zaproponował:

– Wiesz ty co, chodźmy do ogrodu z piwem? Już mogę bez wstępu i strachu patrzeć na słońce.

Oczywiście siedząc w cieniu! – Wyciągnął szyję, by przechwycić spojrzenie szynkarza i dać się samemu zauważyć. – Karczmarzu, przenieście nam to pod orzech w ogrodzie! – Odwrócił się na pięcie i skierował do innych drzwi, nie zauważając pewnej rozterki na twarzy gospodarza. Cadron zauważył jego konfuzję, ale ponieważ ten nie wykrztusił ani słowa pośpieszył za przyjacielem do sadu.

Wydeptana obramowana rzeczonymi otoczkami ścieżka wijąc się między drzewami i grzędami ziół doprowadziła ich do niskiego stołu otoczonego ławami z odchylonymi ku wygodzie oparciami. Deski stołu wygładziły łokcie całych pokoleń spragnionych świeżego powietrza gości, a ciemny kolor nadały mu spadające z góry dorodne owoce w barwiących wszystko na brunatno mięsistych łupinach. Hondelyk delikatnie odsunął zwisającą gałąź trzeszczą pod ciężarem chyba worka orzechów, wsunął się pod baldachim innych gałęzi i zawołał:

– Ot miałem pomysł! Nie ruszę się stąd do wieczora!

Cadron wsunął się za nim pod wielowarstwowy parasol liści, usiadł i ostrożnie wypróbował oparcie, a potem już upewniony, że robota stolarza nie podlega skardze zarzucił ręce za oparcie i pokiwał głową z uznaniem. Jednocześnie głęboko zaczerpnęli powietrza i jednocześnie parsknęli śmiechem. Karczmarz, podszedłszy z naczyniami i rozstawiając je na stole wpatrywał się w nich zaniepokojony. Cadron opanował się pierwszy.

– Jeszcze nie jesteśmy pijani, gospodarzu zacny. Po prostu udało nam się uciec z pieca Qoke-Macanta...

– Z pieca to dobrze powiedziane – serio powiedział karczmarz. W jego głosie nie trzeba było szukać szacunku do przyczajonej za pasmem kamiennych wzgórz pustyni, szacunek i obawa przebijały nawet z przygarbionej w tej chwili postawy giganta. – Tak właśnie, jak z pieca wyjęci, wyglądaliście – wysuszeni, spaleni, jak nie przymierzając suchary na kwas chlebowy...

– DObra-dobra! Nie przypominaj nam tego – przerwał Hondelyk. – Za jakiś czas przyślij tu kogo ze świeżymi kuflami. I coś zimnego na przekąskę, co tam znajdziesz w piwnicy.

– Jeśli mogę radzić, to tarankę. – Widząc zmarszczoną w namyśle brew Hondelyka pośpieszył z wyjaśnieniem: – Suszona na słońcu płóć, twarda jak deska, do piwa wyśmienita i słona, to dobre po wyczeniu.

– Zgoda. Ruszaj.

Oberżysta zawahał się, poruszył ustami. – No? Coś jeszcze?

Chłop pośpiesznie pokręcił głową. I szurnawszy we wszystkie strony gałęziami pognął wykonywać polecenie. Z trąconych gałęzi posypały się orzechy, trzy duże jak jabłka zawerbliły w blat stołu, obaj mężczyźni od– ruchowo chwycili – Cadron jeden, Hondelyk – dwa. Łupiny odeszły bez trudu, skorupy trzasnęły po uderzeniu pięściami, jadra były soczyste i słodkie, orzechowe.

– Coś chciał powiedzieć, nie? – rzucił w przestrzeń Cadron. Hondelyk nie odpowiedział zajęty wydłubywaniem jądra orzecha. Pytający rozejrzał się dokoła, ale najbliższy owoc leżał poza zasięgiem ręki. – Pewnie znowu by chętnie opowiedział jak to kiedyś omal nie zginął na pustyni i dlatego zbudował tu karczmę, żeby ratować innych, którym się... Co? – Hondelyk przerwał dłubanie w skorupie i zamarł... nasłuchując... usilnie... Cadron wyprostował się i również wyteżył słuch. – Co jest? – syknął.

Prawa ręka ześlizgnęła się do cholewy buta, trąciła uwypukloną przez rękojeść noża cienką miękką skórę, lewa dłoń zanurzyła się pod połą kaftana. Hondelyk potrząsnął głową, krótko, nie chciał tracić przez długie kręcenie kontaktu słuchowego. Wolno wyciągnął rękę i ścisnął lewą przyjaciela. Cadron zrobił minę, która miała zastąpić słowa: "No i lepiej, że nic nam nie grozi!", ale nie poruszał się, żeby nie przeszkadzać. Po chwili zmarszczył czoło, zmrużył oczy, odchylił się,

chcąc przez gałęzie poza plecami Hondelyka dojrzeć osobę nucącą jakąś smutną melodię i najwyraźniej zbliżającą się do nich. Rzucił krótkie spojrzenie przyjacielowi i w tej samej chwili kobieta przestała nucić, ale zbliżyła się na tyle, że słyszeli wyraźnie szelest sukni ocierającej się o gałęzie i gęsty szpaler wysokiej rumienicy obramowującej ścieżkę. Wzruszył ramionami, wyprostował się, przez gęstwinę gałęzi zobaczył sylwetkę w długiej, koloru zakrzepłej krwi haftowanej sukni.

– To ktoś znaczny – tchnął w kierunku Hondelyka.

Kobieta poruszyła gałęziami wchodząc w cień, najwyraźniej zamierzając usiąść na ławie, obaj mężczyźni poderwali się i zwrócili w jej kierunku.

– Och! – powiedziała widząc Cadrona i: – Ty? – wbijając spojrzenie w Hondelyka.

Zaskoczony Cadron przeskakiwał spojrzeniem od przyjaciela wpatrującego się w osłupieniu w kobietę i pochylającego po chwili głowę w niskim ukłonie, do rumieniącej się damy, która dopiero gdy Hondelyk wyprostował się przypomniała sobie o etykiecie i wykonała nerwowy dyg. Potem opanowała się i o wiele staranniej oddała ukłon Cadronowi.

– Tyy... – powtórzyła.

– Wyjechałaś mi to z ust – powiedział Hondelyk, ale głos mu się załamał i musiał odkaszlnąć, żeby dokończyć: – pani. To mój przyjaciel i towarzysz Cadron. Cadronie masz cześć poznać panią Folnevill.

Wytrącony w równowagi Cadron na wszelki wypadek skłonił się jeszcze raz i korzystając z tego, że kobieta całą uwagę skierowała na Hondelyka przyjrzał się jej pobieżnie, żeby nie być zaskoczonym na wbijaniu wzroku w mężatkę, co ogłaszał światu – z wyraźnie małomiasteczkową elegancją – ciasno spleciony w gruby precel warkocz na tyle głowy. Miała około trzydziestu lat, piękną cerę o smagłym odcieniu, ale błękitne oczy i lekko zadarty nos. Cienie pod oczami sygnalizowały jakieś dręczące ją zmartwienie lub chorobę. Dłonie, gładka skóra, kilka różnej wielkości pierścieni i długie wypielęgnowane paznokcie świadczyły o tym, że właścicielka nie tylko nosi się jak dama, ale i żyje tak, nie kalając pięknych dłoni ciężką a może i żadną pracą. Dbała jednak o figurę, albo została jej taka dana raz i na zawsze: smukła, giętka, sądząc po stanie nogi musiała mieć długie, a jedyne, co nie spodobało się Cadronowi to zbyt małe piersi.

– Każę przynieść wygodniejsze krzesło – powiedział i mimo że pani Folnevill zaprotestowała skłonił się i szybko ruszył do oberży. Gdy wrócił prowadząc dwóch pacholków targających wygodny szeroki kantabas pikowany dobrze utrzymaną skórą syberyjskich karakałów Hondelyk i Folnevill stali jeszcze i wyglądało na to, że wpatrywali się przez ten czas w siebie niewiele albo wręcz nic nie mówiąc. Kobieta podziękowała Cadronowi lekkim uśmiechem, usiadła wdzięcznym ruchem odgarniając połę długiej sukni. Pod orzechem zapadła dość niezręczna cisza i gdy stała się już nieznośna, gdy jednocześnie Hondelyk i Folnevill otworzyli usta usłyszeli tupot nóg, pod okap gałęzi wdarł się schylony w ukłonie karczmarz z dziewczyną i szybko rozstawili na stole kilka dzbanów, kufle, karafę z winem i patery z owocami. Cadron zauważył, że karczmarz z własnej inicjatywy nie przyniósł obiecaną taranki zapewne uważając, że dość ostry zapach suszonej ryby mógłby zaszkodzić w konwersacji ze szlachetnie urodzoną damą. Zostali sami i Hondelyk powiedział:

– Cadronie, pani Folnevill i ja mieszkaliśmy ongi blisko siebie, a nasze rodziny przyjaźniły się od kilku pokoleń. Mógłbym powiedzieć, że znam ją nawet dłużej od ciebie, ale nasze drogi rozeszły się jeszcze przed poznaniem ciebie...

Cadron skinął głową na znak, że rozumie sytuację, i że rozumie dlaczego Hondelyk zakręcił szybkiego młynka kciukami: "To, co w ogóle robimy to nasza sprawa i cisza o tym".

– Nie mieszkasz już w Lynniedorfie? – zwrócił się Hondelyk do gościa.

– Nie. Pamiętasz – miałam wyjść za pana Chocera... – Hondelyk pochylił głowę, a Cadron doznał olśnienia. – Wyjechałam na jego dwór, potem on dostał burgię Joda Borgwin... – Przerwała, strzeliła spojrzeniem w Cadrona, a gdy ten zaczął się podnosić, żeby przeprosiwszy odejść i dać porozmawiać im swobodnie Hondelyk powstrzymał go ruchem ręki:

– To mój najlepszy i jedyny przyjaciel. Ufam mu i ty możesz ufać. Jeśli chcesz coś...

– Mój mąż został oskarżony o spisek! – wyrzuciła z siebie jednym tchem dziwnym załamującym się szeptem. – To bzdura, ale burgia to bardzo łakomy kąsek, a Chocer starał się zarządzać nią jak najlepiej i nie miał czasu na częste wizyty na dworze. Wykorzystała to rodzina Walnekif i tak długo sączyła jad w uszy pana, aż dał im posłuch. – Przygryzła dolną wargę i chwilę walczyła z drżącym podbródkiem. – Chocer zaś nie zauważył intrygi, a kiedy wyszła na jaw honorowo zwlekał, bo sądził, że prawda sama go wytłumaczy... – Zamilkła na chwilę, pokręciła głową: – Ale prawda to sprzedajna dziewczka... – Teraz zamilkła na dłużej, w końcu, gdy milczenie stało się niezręczne wzdrygnęła się i dokończyła opowieść: – W końcu dał się namówić przynajmniej na ucieczkę, na nic innego nie było już czasu. To ja przekonałam go, że nie powinien dawać głowy za nie swoje winy, że musimy ukryć się na jakiś czas, zdobyć dowody niewinności i dopiero wtedy stanąć przed sądem, ale było już za późno. Schwytali go tuż przed pus...tynią... – Szloch przeciął ostatnie słowo, wyszarpnęła z rękawa chusteczkę i przytuliła do oczu.

Hondelyk spojrzął znacząco na Cadrona, ale ten udał, że nie zauważa znaku. "Pewnie – pomyślał – tylko odejdę, a ten się rzuci z ofiarą pomocy. Jak nic kochał się kiedyś w niej, ale nad przyjaźnią rodów przeważała kiesa Chocera, a gołodupiec Hondelyk ruszył na wędrowkę po świecie. Ciekawe, czy ona wie...". Sięgnął do karafy i wysunął ją w kierunku damy.

– Czy mogę ci nalać, pani, odrobinę wina?

Folnevill pokręciła głową nie odrywając chusteczki od oczu, ale nagle wyprostowała się dumnie i powiedziała:

– Przepraszam, nie powinnam... – nie dokończyła myśli. – Poproszę wina – uśmiechnęła się do Cadrona. Nalał i podał jej kielich, usłużył Hondelykowi i nalał sobie. Jednocześnie unieśli kielichy w niemym toaście, upili. W zapadłej na chwilę ciszy głośno zabzyczał jakiś owad przelatując pod baldachimem liści, zabrzączał zderzając się z gęstwiną, bzyknął inaczej i odleciawszy na wolność pozwolił ciszy ponownie rozgościć się pod orzechem.

– A ty co porabiałeś przez te wszystkie lata? – zapytała Folnevill i zanim Hondelyk otworzył usta dodała szybko: – Masz jakieś wieści z domu?

– Ja? – Zapytany wzruszył ramionami i chwilę szukał w głowie odpowiedzi. – Włóczę się tu i tam, wędruję, oglądam świat, poznaję ludzi... Co jakiś czas spotykam kogoś, kto może dostarczyć bratu wiadomość "Żyje i pozdrawia". A od innego włóczykija wiem, że i on żyje. Ot i wszystko.

Folnevill przygryzła dolną wargę i zastanawiała się chwilę kierując spojrzenie w dół, jakby chciała zobaczyć tę przygryzioną wargę, przez co jej oczy na chwilę zjechały się do siebie. Cadron musiał jednak przyznać, że nawet ten chwilowy zez nie odebrał jej ani krzty przebogatego uroku. Zresztą szybko zrezygnowała z patrzenia w dół, raptownie chwyciła kielich, ale natychmiast, nie donosząc go do ust odstawiła.

– To już tyle lat... – rzuciła gwałtownie, z dużą dozą afektacji. – A pamięć, jak płynąca w koło rzeka, wciąż podsuwa przed oczy te same obrazy. Nigdy nie byłam szczęśliwsza...

– Wspomnienia młodości zawsze są barwniejsze niż te późniejsze – bąknął Cadron "Dam ja ci szczęśliwsza! Już uruchomiła te babskie gierki: "A pamiętasz jak uwiłam ci wianek, jak słońce zachodziło nad starym borem, smak pierwszych dojrzałych malin, jak kąpaliśmy konie, jak trata-tata i hopsa-sa! A on zaraz zapyta gdzie stacjonują nieprzyjacioły jej mężusia i runie go uwalniać w

pojedynek!". – Gdy sobie przypomnę zachody słońca, smak kradzionych jabłek, kąpiele w zakolach rzeki...

Folnevill odwróciła się i wpatrywała w Cadrona z dziwnym wyrazem twarzy. Wytrzymała jej spojrzenie i na dodatek łatwo je odczytał – zaskoczenie z niechęcią, jakiś podziw i na koniec rodzaj rezygnacji. Kątem oka natomiast widział pioruny bijące z oczu przyjaciela. Spokojnie popatrzył na niego, chcąc pokazać, że umyślnie postąpił niegrzecznie, że miał świadomość grzechu, i że nie żałuje postępu. A nade wszystko radzi zastanowić się dlaczego tak postąpił. Hondelyk otworzył usta, a Cadron nagle domyślił się co powie.

– Przepraszam – skłonił głowę przed Folnevill. – Właśnie sobie przypominałem, że byłem – patrząc Hondelykowi w oczy położył nacisk na dwa kolejne słowa: – jak chciałeś... u stajennego i z końmi już jest wszystko w porządku.

I on i ona usłyszeli jak trzasnęły zęby w zamykanych gwałtownie ustach Hondelyka. Zapadła cisza, Folnevill po chwili poruszyła się jakby chciała wstać i odejść. Hondelyk wyciągnął rękę i dotknął czubkami palców jej dłoni.

– A co tu robisz?

Zacisnęła wargi i przygryzła je. Cadron poczuł palące ukąszenie sumienia. Chrząknął i poderwał się.

– Ale przypominałem sobie... – Wysunął się bokiem zza stołu. – Pani... – skłonił się, skinął głową Hondelykowi. – Będę w komnacie.

Szybko wycofał się na ścieżkę i ruszył szybko w stronę zajazdu, ale nie na tyle szybko, by nie dotarły do jego uszu odgłosy płaczu i uspokajające pomrukiwanie Hondelyka. "No, tośmy się napopasali – pomyślał." Ponuro dowlóknął się do zajazdu, wbrew wcześniejszym słowom zaszedł do stajni i godzinę spędził na czyszczeniu wyczyszczonych już przez pacholka koni, sprawdził kopyta, mocowanie podków, rozczesał grzywy i ogony, sumiennie przejrzał uprzęż i – żeby mieć poczucie właściwie wykorzystanego czasu – nakazał zmienić dwa rzemyki u sakw, a potem powędrował do pokoju i dokonał przeglądu broni i reszty bagaży. Musiał sam przed sobą przyznać, że zajmuje się tym przede wszystkim po to żeby sprowokować potrzebę pakowania. Co jakiś czas zerkał przez okno na ten fragment ścieżki, który przebiegał na wprost ich okien, ale nie zauważył kiedy Hondelyk i Folnevill wrócili do zajazdu, usłyszał tylko ich głosy na korytarzu. Zamarł z opończę w ręku, ale głosy oddaliły się i nawet nie zdołał określić czy były wesołe, czy poważne, czy ktoś kogoś pocieszał i czy ktoś komuś coś obiecywał. Po następnej godzinie rzucił się na swoje łóżko i w kiepskim nastroju myszkował po płataninie niewesołych myśli. W końcu zasnął. Obudziło go skrzypnięcie podłogi, zanim otworzył oczy ktoś trącił go w ramię.

– Wstawaj!

– A co robię? – burknął. Gwałtownie uderzył stopami w podłogę, usiadł. – Już idziemy?

– Dokąd? – Hondelyk odszedł pod okno, odwracając twarz, ale głos go zdradził – pytanie zabrzmiało fałszywie i nie było niczym innym jak grą na zwłokę.

– Dokąd, dokąd! – zjadliwie powtórzył Cadron – Na odsiecz pani Folnevill i jej mężowi, szlachetny rycerzu.

– Nie bądź zgryźliwy, pasuje to do ciebie jak... – zakończył machnięciem ręki.

– A nie mam racji? – Wskazał ręką dwa stosy rzeczy: – Przygotowałem ciemne opończe i broń. Konie od biedy są już do użytku...

Hondelyk ruszył do ławy, przerzucił jeden stos, pokręcił głową w podziw.

– No-no! Już zdąży... – Zmarszczył czoło. – Co tak węszysz?

– Czuję od ciebie zapach pachnideł, który już wcześniej czułem od innej osoby... – Zobaczył

zmieszanie na twarzy przyjaciela. "Koniec! Ani słowa więcej o Folnevill. Jego sprawa, jego... A, nieważne, bylebym pysk na kłódkę trzymał". – Przepraszam, nie moja sprawa!

Popatrzyli na siebie, doczytali niewypowiedziane słowa z oczu, niemal jednocześnie skinęli głowami.

– Na dole jest jeden podoficer z turmy. Nada się – zakomunikował spokojnym głosem Hondelyk
– Weź ten swój stempel.

Cadron sięgnął za połę kaftana i wyciągnął długi skórzany trzos mocno wypakowany drobnym krzemiennym żwirem, zakręciwszy nim w powietrzu plasnął o dłoń; znacząco, zuchowato poruszył brwiami. Popatrzył pytająco na kompana i nagle, wbrew wcześniejszym postanowieniom, z jego ust uleciało pytanie:

– Kochałeś się w niej? Kiedyś?

– Oj, jeszcze jak! – szybko, jakby spodziewał się tego pytania odpowiedział Hondelyk. Na jego policzki wypełził słaby rumieniec, czując to odwrócił się do ławy i zaczął przerzucać ubranie. Zrzucił z siebie kaftan, naciągnął na koszulę ciemną opończę, za pas wsadził krótki sztylet. – Niech to lichy porwie!.. – syknął przez zaciśnięte zęby. – Myślałem, że tyle lat, że się wypaliło...

Cadron zbeształ siebie bezgłośnie, podszedł do ławy i dokonał podobnych manewrów z odzieżą i bronią. Hondelyk grzebał jeszcze w rzeczach, więc Cadron odsunął się, podszedł do okna. Na gościńcu przed zajazdem stał solidny resorowany powóz, z którego wysiadał właśnie bogato, ale ze smakiem ubrany mężczyzna. W lewej ręce trzymał rapier w nieco wytartej pochwie, rozejrzał się nieznacznie dokoła, jakby sprawdzał czy nie zajdzie potrzeba posłużenia się bronią. Jego czujne spojrzenie przebiegło również po oknach oberży, zatrzymało się na woźnicy. Powiedział coś, stangret cmoknął i skierował parę koni do stajni. Przybyły podciągnął do góry cholewki sięgających ponad kolana skórzanych czarnych butów, przytupnął i sprężystym krokiem ruszywszy do drzwi zajazdu zniknął Cadronowi z oczu. Za jego plecami Hondelyk zapytał o coś.

– Słucham?

– Pytam czy masz jeszcze trochę tego proszku?

– Mam, ale tylko na raz, zużyjemy teraz?

– Chyba tak, wolałbym nie zostawiać żadnych śladów.

– Zaraz znajdę. – Oderwał się od okna, ostrożnie rozsupłał węzły na sakwie, wydobył na światło dzienne twardy pakunek, z którym przysunął się do stołu. Po rozwinięciu chroniącej go irchy pakunek okazał się żelaznym puzdrem zamkniętym na zamek i dopiero po precyzyjnych manewrach klucza odstąpiło ono swoje wnętrze. Cadron nie musiał szukać proszku – sięgnął wskazującym i środkowym palcem do wnętrza przy jednej ze ścianek i wyjął srebrzyście połyskującą rurkę.

– Gotowe.

– Nie sprawdzisz?

– Aha, żeby sam zasnął!?

Hondelyk zachichotał, urwał widząc wyraz twarzy przyjaciela, ale nie wytrzymał i roześmiał się cicho.

– A jeśli się okaże, że proszek zwietrzał, albo go nie ma dmuchniesz w twarz, a on ci też dmuchnie, ale z piąchy?

– Ty będziesz trzymał stempel.

– Jak zwykle.

– Jak zwykle.

– No to chodźmy.

Zeszli po schodach do głównej izby. Gości było niewielu, Cadron rozejrzał się szybko, ale nie

zobaczył nowoprzybyłego w botfortach; siedzieli tu głównie miejscowi kupcy, którzy pozamykali już swoje kramy i polewali zimnym piwem zakończone interesy oraz załatwiali pod kufel nowe. Pod ścianą siedział samotnie podoficer, klauchetr, w oszczędnie szamerowanym prochauskim mundurze i z lekkim "miejskim" mieczykiem na lewej łopatce. Sącył swoje piwo rozmyślając o czymś, w roztargnieniu przesuwając czubkiem palca okruchy zjedzonych sucharów i opadłe zeń ziarna kminku. Hondelyk skinął na dziewczynę i polecił:

– Wina nam przynieś, dziewczyno i kilka cierpkich jabłek, tych żółtych, dobrze?

– Już, panie.

Usiedli, Hondelyk plecami do wybranej ofiary, Cadron bokiem. Ten ostatni dotknął kieszeni.

– Nie dowierzasz nawet sobie – rzucił Hondelyk uśmiechając się.

– To u nas rodzinne. Ojciec nosił dwa paski do spodni.

– I przydał się choć raz ten drugi?

– Nie, ale kiedyś ojca zawiódł ten pierwszy i od tej pory mawiał często: "Jak chcesz sobie, synu, ulżyć w krzakach, to nie tyle ważne jest, żebyś miał się czym podetrzeć, ile żebyś mógł z nich wyjść nie trzymając portek w zębach".

– Nie da się zaprzeczyć – skwitował Hondelyk, ale czy słuchał Cadron pewności nie miał. Chyba jednak tak, bo zabębnił palcami w blat stołu i rzekł: – Czy ty wiesz, że właśnie w tej chwili odsłoniłeś pierwszą tajemnicę swojego domu?

– Wiem. – Na twarz Cadrona wypełził szeroki uśmiech. – Odłonić ci inną, jeszcze większą? – Widząc potwierdzające ruchy głową ciągnął: – Ojciec nie znosił pewnej naszej sąsiadki, gadatliwa jak cholera. Potrafiła papleć przez kilka godzin o wszystkich i wszystkim. Mama spokojnie szła w tym czasie odzywając się z rzadka, choć i to nie było tej damie do szczęścia potrzebne, ale ojciec siedział ponury, co jakiś czas wychodził niby to do służby, żeby przynieśli wina czy jakiegoś ciasta a sam tłuł w sieni pięścią w ścianę i mamrotał ciężkie przekleństwa. No i pewnego razu ojciec wpada do komnaty i szepce w trwogą i złością w głosie: "Jedzie Hoprine! Ja uciekam! Nie ma mnie!". Mama mówi: "Dobrze, jak chcesz". Poszła do sieni przywitać gościa i zaprowadziła do małej alkowy, żeby ojciec mógł spokojnie uciec na piętro, a stamtąd, gdyby chciał, czarnymi schodami do ogrodu. No i spokojnie sobie siedziały do wieczora, mama haftowała, tamta gadała jak najęta, służba donosiła serowce, ciepłe ciasteczka z owsianej krupy, dolewała ciepłego wina i tak dalej. Dopiero gdy Hoprine odjechała okazało się, że ojciec cały ten czas stał za drzwiami owej alkowy, bo wymyślił sobie, że matka zaprowadzi tę babę do głównej, a on chmychnie z tej małej na podwórze. Gdy matka zobaczyła ojca był sinopurpurawoszary i nie mógł nawet wykrztusić tego, co chciał wykrztusić – Hondelyk dusił śmiech nie chcąc ściągać na siebie uwagi gości, Cadron przygłaskał węża i chichotał cicho. – Poza tym miał plamę na spodniach, bo po dwóch godzinach stania za drzwiami musiał z honorem i bezgłośnie zlać się w spodnie. Podeszła dziewczyna z karafką, dwoma szklanicami, świeżo umyтыми, błyszczącymi i zimnymi. Cadron dostrzegł, że stara się jak może najlepiej usłużyć gościom, bo niosąc szklanki trzymała je za denka, a nie wkładała do nich palców, jak robiła podając naczynia miejscowym. Pobiegła do szynkwasu i doniosła paterkę z owocami, dygnęła.

– Czy jeszcze coś, panie? – zapytała zwracając się do Cadrona.

Zdziwiony zaprzeczył ruchem głowy. Odwróciła się na pięcie tak szybko, że plisowana spódnica zawirowała i odsłoniła kształtne nogi aż do kolan. Hondelyk gwizdnął cicho.

– Ma cię na oku. Na twoim miejscu, nie wychodziłbym sam w nocy do sadu, bo cię okraczy i...

– Toteż – przerwał kpiny Cadron – nie wybieram się w nocy s a m i n i e do sadu!

– Słyszę gorycz w twoim głosie, i – szczerze mówiąc – trochę się nie dziwię. Ale – powiada

mędrzec – najczęstszymi wrogami są nasi byli przyjaciele, bo dla nich najwięcej zrobiliśmy, a nie odpłacili tym samym. Nalał wina do szklanic, sobie oszczędnie, do połowy, Cadronowi pełną. Przynął. Zauważył kose spojrzenie przyjaciela, spokojnie umoczył usta w winie, usiadł wygodniej. Cadron sapnął i łyknął również.

– A cóż to za mędrzec tak powiada? – zapytał dając do zrozumienia, że alarm był przedwczesny. – Bo ja, na ten przykład, nie wierzę w mędrców. Są nimi tak długo, póki coś ich nie opęta lub ktoś nie omota – zakończył czując, że ostatnie słowa uleciały z jego ust tochę wbrew własnej woli, wyłącznie jako wyraz nieposkramialnej ciekawości. – Do diabła ze mną! – syknął postukując ze złością pięścią w stół. – Nie zwracaj uwagi na to gadanie.

– Nie zwracam – spokojnie zapewnił go Hondelyk.

Napili się wina, a w trakcie tej czynności, Cadron łypnął okiem na Hondelyka, odstawił swoją szklanę i powiedział cicho:

– Idę spuścić trochę, pękam. Szybko wstał i wyprzedzając spokojnie maszerującego po izbie klauchetra wyszedł na podwórze. Skierował się jeszcze szybciej w kierunku latryny, wręcz podbiegł kilka kroków, tak by żołnierz sądził, że to on natknął się na Cadrona, a nie odwrotnie. W urynaucie Cadron szybko wyjął z kieszeni rurkę, sprawdził oba końce, jasny i ciemny, odkręcił ten ciemny czop i zamarł nad korytem. Po chwili usłyszał kroki, natężył się, żeby uwiarogodnić swoje tu przebywanie, doczekał się wejścia klauchetra, ale nie zareagował na nie w żaden sposób. Chwilę potem kątem oka dostrzegł bezgłośnie wsuwającego się do latryny Hondelyka, który bez wstępów trącił podoficera w ramię, a gdy ten zdziwiony oderwał się od wpatrywania w stróżkę moczu Cadron szybko skierował w jego stronę rurkę, przyłożył usta do wywierconego pośrodku otworu, szarpnął mocno ofiarę w swoją stronę i dmuchnął prosto w zdziwione oblicze. Klauchetr wydał z siebie coś na kształt czknięcia i runął na bok. Hondelyk wkładał już ręce pod pachy mężczyzny, Cadron dwoma ruchami skręcił oszołoma i poderwał do góry nogi żołnierza. Chwilę potem mijali biegiem stół pod orzechem, wpadli między grzędy wysokich ziół i gdy wysoki koper sięgnął im piersi rzucili ofiarę na ziemię. Cadron wrócił kilka kroków i przykucnąwszy zaczął przez pióropusze roślin obserwować drogę, którą przed chwilą pośpiesznie przebyli. Nie odrywając wzroku od zajazdu i biegnącej od niego ścieżki po omacku sprawdził czy oszołom, szytylet i stompel znajdują się na swoim miejscu, poprawił cholewy butów i poły kaftana. Zerknął na swoje ręce i ze dziwieniem stwierdził że palce trzęsą się lekko. Roztarł dłonie pomrukując do siebie na przemian ze złością i uspokajająco. A potem usłyszał za sobą szelest i poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Idziemy. Zatrzymałem cię za burdy na ulicy – powiedział klautcher, gdy Cadron odwrócił się i z dołu patrząc obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– A jeśli tutaj nikogo nie obchodzą burdy na ulicy?

– To ci coś dołożę – podoficerowi drgnął lewy koniuszek ust, długi wąs skoczył do góry i opadł z powrotem. – Tylko – Ruszyli przez wonny labirynt w kierunku zajazdu – żebyś nie przesadził, może tutaj gwałcicieli dekapitują bez sądu i to natychmiast?

Cadron czuł, że jest zdenerwowany, że dowcipkuje chcąc pokryć lęk, i że jedno i drugie jest widoczne, a to zdenerwowało go jeszcze bardziej. Gdy wyszli na ulicę Hondelyk wyszarpnął z kieszeni cienki powróż i zręcznie oplątał nim dłonie Cadrona. Obaj wiedzieli jaki to węzeł, bo był ich wynalazkiem i ćwiczyli nieskończoną ilość razy natychmiastowe uwalnianie się z pozornie solidnej i pewnej pętlicy. Trzymając w lewej ręce koniec powroza Hondelyk pociągnął aresztanta zacienioną, a właściwie ściemniałą w zapadającym zmroku stronę ulicy. Cadron oddał się ponurym wieszczym rozmyśleniom, co jakiś czas stwierdzając, że nic na to nie może poradzić.

– Nawet nie wiemy jak masz na imię – mruknął sprawdzwszy przedtem, czy nikt ich nie słyszy.

– No to co?

– A jak cię ktoś zawoła i nie odezwiiesz się?

– Powiem, że siłą cię uspokajałem, ale zdążyłeś huknąć mnie w ucho... – beztrąsko rzucił Hondelyk.

– Dzięki – mruknął aresztowany. – Twoi kumple nie omieszkają pomścić twoje cenne ucho i oderwą mi moje, po czym usmażą je wraz z jaj... Klauchetr szarpnął powróż i roześmiał się swobodnie:

– Lubię gdy tak wesoło gdybasz, bo nigdy się to nie sprawdza, jakby los chciał zrobić ci na złość.

– Żeby tylko kiedyś...

Z tyłu dobiegł ich okrzyk, Cadron przerwał i szybko się odwrócił. Truchcikiem zbliżał się niski opasły klauchetr z tobołkiem w ręku. Zobaczywszy, że Cadron patrzy na niego pomachał drugą ręką i wrzasnął:

– Lihun! Na uszy ci padło?

Hondelyk zwolnił i odwrócił się. Na jego twarz wypełził powitalny uśmiech. Zatrzymał się przedtem błyskawicznie sprawdzivszy, czy w pobliżu nie ma nikogo innego, kto mógłby być Lihunem i skinął głową. Niziołek doczłapał do nich zwalniając z każdym krokiem.

– Uff... Co ty, na-ser-twojej-kurwy-maci, głuchy?!

– Jakbyś zgadł, jak chcesz do mnie mówić to mów głośniej! – oznajmił wyraźnie wymawiając słowa Lihun. – Ta gnida, trąciła mnie i palnąłem łbem w ścianę. Jeszcze mi huczy w głowie...

– To ło? – zdziwił się grubas pokazując brodą Cadrona. Przełożył tobołek do lewej ręki i niezgrabnie zamachnąwszy się nogą z całej siły kopnął więźnia w tyłek. Krótka noga pozwoliła mu sięgnąć tylko uda aresztanta, ale ten uznał, że trzeba, dla własnego dobra, dać satysfakcję podoficerowi. Jęknął i zatańczył na drugiej nodze usiłując łokciem rozetrzeć "bolące" miejsce. – To tylko zadatek – warknął zadowolony grubas. – W loszku zabawimy się z tobą inaczej i dłużej. – Obliznął pulchne wargi i splunął na bruk. – I w kilku! – wrzasnął z radością widząc, że Cadron kuli się w strachu. Łokciem dźgnął spętanego, odtrącił ze swojej drogi i ruszył pierwszy, Lihun z Cadronem ruszyli za nim.

– Nie bardzo możemy go tratować dzisiaj – powiedział ostrożnie Lihun i widząc zdziwione spojrzenie grubasa dodał: – Nie wiem czy nie ma on czegoś wspólnego z tym Chocerem... Tym, co chciał zwiać przez pustynię...

– A-a?..

– No właśnie, trzeba by ich gdzieś razem posadzić – sondował grubasa Lihun. Grubas milczał poświęcając całą uwagę wyborowi suchej drogi pośród świeżo powstałych wieczorem na ulicy kałuż pół na pół z pomyj i zawartości nocników. – Żeby byli na podorędziu jakby co... – brnął Lihun.

– Dobra, wsadzę go do tego złodzieja bydła, to zaraz obok – rzucił niedbale tłusciuch.

– Właśnie. – Lihun milczał chwilę. – Zresztą sam go wsadzę. Ryja mu nie będę dzisiaj glansował, ale za to moje ucho należy mu się... – Przełożył powróż do prawej ręki, szarpnął i gdy zaskoczony Cadron poleciał na niego przyłożył mu lewą w kark. Soczyście plasnęło. Grubas obejrzał i pokiwał głową z aprobatą.

– Tylko szybko, obejmuję squadę i nie chcę, żeby mnie Zawener pozbawił żołdu za bałagan.

– Sie rozumie! – zapewnił go Lihun. – Ten Chocer siedzi tam gdzie siedział? Nie przenieśliście go?

Grubas maszerując przodem pokręcił przecząco głową, ale nie odezwał się. Podeszli pod niski mur, za którym sterczał najeżony wieżyczkami dach wachtowni. Cadron przechwycił spojrzenie

Hondelyka, wzruszył ramionami.

– Drugie za zakrętem? – nie ustawał Lihun.

– Czwarte – warknął grubas. – Słuch ci odbiło i pamięć zarazem, czy jak?

– Grunt, że mi jajców nie ruszył – zarechotał Lihun – Reszta to suche gówno!

Gruby stęknieniem skwitował słowa Lihuna. Podeszli do bramy. Dwaj wartownicy z ociąganiem wstali z wysiedziałych całymi pokoleniami strażników występów w murze, wyprostowali się z wysiłkiem. Grubas splunął przed siebie, Lihun podrapał się w marszu pod pachą i załatwiwszy w ten sposób formalności weszli do sztakhosu. Lihun o dwa kroki za grubasem, Cadron wleczony z lekkim oporem, żeby usprawiedliwić ewentualne pomyłki w kierunku marszu. Przebyli podwórze bez przeszkód, weszli do wartowni, gdzie spaślak delikatnie ułożył tobołek na ławie i kiwnął głową w kierunku drzwi prowadzących w lewo.

– Zamknij go i zmykaj. – Podeszedł do skrzyni, otworzył ją swoim kluczem, wyjął pęk innych i cisnął Lihunowi. – Zostaw tu klucze, ja idę do kuchni...

Otwarcie drzwi, przejście przez nie i zatrzaśnięcie za sobą zabrało im mgnienie oka. Korytarz był dość dobrze oświetlony zarówno wpadającym przez okratowane okna rozproszonym, ale jeszcze wyraźnym wieczornym światłem i kopącymi, zawieszonymi na ścianach co kilkanaście kroków kagankami. Jeden kaganek przypadał na dwie pary drzwi, ruszyli niemal biegiem starając się stąpać cicho, żeby zaskoczyć – gdyby jakiś tu był – wartownika. Przed zakrętem Cadron naliczył osiem par drzwi, solidnych, ponurych i cichych, za zakrętem, za pierwszymi ktoś jęczał. Minęli je i widząc, że i na tym odcinku nie ma strażników wymienili spojrzenia. Cadron jednym ruchem uwolnił dłonie, ale utrzymał w nich powróż, Lihun zaś puścił sznur i rozcapierzył pęk kluczy wkładając pomiędzy nie palce. Bezgłośnie dotarli do czwartych drzwi, Lihun przykucnął i zerknął do dziury od klucza, poruszył wargami i cicho strzyknął śliną w otwór. Wybrał jeden z kluczy, delikatnie włożył go i spróbował pokręcić, zmienił klucz i potem raz jeszcze. Rygiel zgrzytnął niemrawo, Lihun szarpnął drzwi i przyłożywszy palec do ust wpadł do celi, za nim Cadron przyskakiwał od razu za sobą drzwi.

Oświetlały celę ostatnie promienie słońca, z całą wieczorną mocą uderzając w pierś mężczyzny. Strażnicy bali się pozbawić go kosztowności, na piersi błyszczał mu więc gruby złoty łańcuch, pod szyją spięty kosztowną broszą z dwoma niebieskimi i dwoma czerwonymi kamieniami. Kaftan był zielony, ciemnozielony, przybrudzony teraz, ze strzyżonej i farbowanej przez dymińskich farbiarzy cienkiej barankowej skóry, porysowanej śladami więzów. Gdy Cadron zatrzymał się obok Hondelyka właściciel kaftana odwrócił się, jakby chciał w ostatnich promieniach słońca pochwalić się swoim ubiorem. Wtedy na karku zobaczyli gruby węzeł. Wisielec zakręcił się jeszcze mocniej, zapewne poruszony strugą zaniepokojonego ich wtargnięciem powietrza. Hondelyk zerknął wyżej, ponad pierś mężczyzny, zobaczył szeroko otwarte usta, opadniętą żuchwę, siny język zwisający poniżej brody. Zrobił krok i wyciągnął rękę dotykając zwisającej bezwładnie dłoni Chocera.

– Zimny...

– No to zwijamy się.

– Poczekaj... Grubas pomyśli, że Lihun nie zajrzał tu nawet, bo i poco, więc nie będzie miał pretensji. A co z tobą?..

– Nic, w zamieszaniu po odkryciu nieboszczyka nie będzie co szukać jakiegoś awanturnika... Zwijamy się – ponaglił Cadron. Hondelyk zwlekał chwilę zastanawiając się nad czymś. – Chodźmy, grubo wróci z kuchni i jak mu wytłumaczysz, że mnie zabierasz stąd? Nie zostawiajmy nie potrzebnych śladów!

Hondelyk ruszył do drzwi omijając Cadrona, chwilę potem, gdy ten wypadł za nim na korytarz, zamknął drzwi i ruszył za oplątującym powrozem dłonie przyjaciela, dopadli zakrętu, pusto. Na

palcach dotarli do drzwi, Lihun przyłożył do nich ucho, uchylił i wskoczył do izby. Cisnął klucze na skrzynię i przybrawszy niedbałą postawę skierował się do drzwi wejściowych. Pomaszerowali niedbale, ale szybko przez podwórze, minęli bez przeszkód bramę i wyszli na ulicę. Za zakrętem Cadron zdarł pęta i wyprostował się również. Nie rozmawiając szybko pomaszerowali dopiero co poznaną drogą z powrotem do zajazdu.

– Albo czuł się winny – mruknął Cadron chcąc przerwać ciszę i – na tym mu bardziej zależało – wydusić coś z przyjaciela – albo upokorzony...

Hondelyk nie odezwał się. Zamaszyście kroczył rozmyślając nad czymś usilnie. Żeby tylko, pomyślał Cadron, nie przyszło mu do głowy związać się z tą kobietą. Odgrzewane miłości zawsze kiedyś oparzą. Ale czy on da sobie...

– Natychmiast wyjeżdżamy – odezwał się Hondelyk, a jego słowa balsamicznym echem rozdzwoniły się w duszy Cadrona. – Jak tylko przebierzemy Lihuna ja idę do koni, a ty spakuj manaty.

Cadron skinął głową obawiając się, że jeśli coś powie ton jego głosu zdradzi radość i spowoduje wybuch Hondelyka albo jakies... coś... co...

– Skierujemy się do Orchany, do starego przyjaciela, gdzie urządzimy sobie długi-długi popas. Zresztą i tak się tam wybierałem...

– Aha – odważył się szepnąć Cadron.

– I jeszcze trzeba... – zamilkł nie kończąc.

Słowa same cisnęły się na usta, ale Cadron odczekał chwilę, żeby nie zdradzić jak mu zależy na własnoręcznym dokończeniu misji.

– Ja jej powiem – oświadczył po chwili.

Odpowiedziało mu skinienie głowy, w którym – tak to sobie powiedział – było sporo niewypowiedzianej wdzięczności.

Jak późnowieczorne zjawy przemknęli do ogrodu, gdzie sprawnie i niemal bezszelestnie przebrali Lihuna w jego własny mundur, Cadron zarzucił go sobie na ramię i wolno poniósł do latryny. Hondelyk we własnej postaci i ubraniu dogonił go, pomógł ustawić i przytrzymał, podczas gdy Cadron odszukał w kieszeni rurkę, odkręcił jasny koniec i wydmuchnął z niego pył w nos żołnierza. Lihun charknął spazmatycznie, rozkaszał się, zatańczył na niepewnych nogach. Hondelyk skierował go na ścianę i puścił. Zanim krztuszący się klauchetr odzyskał do końca świadomość sprawcy jej wcześniejszego braku byli już w zajeździe. Hondelyk skierował się do stajni, Cadron podbiegł po schodach na piętro. Odszukał drzwi do pokoju Folnevill i zapukał energicznie. Zanim szczęknęła klama pogrzebał w kieszeni i zaciśniętą pięść schował za plecami. Drzwi odchyliły się, pojawiła się w niej zaciekawiona twarz służącej.

– Do pani Folnevill – powiedział Cadron – Mam krótką prywatną sprawę.

– Nie ma pani – szeptem odpowiedziała kobieta nie czyniąc najmniejszego wysiłku, by jej głos zabrzmiał choć odrobinę szczerze.

Ponad jej pochyloną głowę Cadron zobaczył szerokie łoże otoczone opadającą z baldachimu moskitierą, na skrzyni obok łoża leżała znana mu ciemnopurpurowa haftowana suknia. Moskitiera poruszyła się. Cadron zacisnął pięść mocniej.

– To bardzo ważna sprawa, dla niej ważna – powiedział z naciskiem i nieco głośniej niż dotychczas.

– No to ja jej przekażę gdy wróci – syknęła służka. Cadron już prawie wyciągnął rękę, by odtrąciwszy pokojówkę wdrzeć się do pokoju i zakłócić sen Folnevill, gdy zerknąwszy jeszcze raz na łoże zobaczył wystający spod niego solidny, wysoki i szeroki obcas. I kawałek czarnej skóry

długiej męskiej cholewy. Zacisnął zęby i skinął głową.

– Dobrze, to ja przyjdę jutro. – Odwrócił się i pomaszerował do swojej komnaty.

Gdy chłopcy znosili na dół ich bagaże i mocowali do jucznych koni, Cadron mruknąwszy coś do Hondelyka wpadł do izby głównej zajazdu i podszedłszy do szynkwasu skinął na dziewczynę, która usługiwała im tuż przed zamachem na Lihuna.

– Bardzo żałuję, że już muszę odjeżdżać – powiedział do zarumienionej dziewczyny. Chwycił ją za dłoń, rozwarł palce i przykrył je swoją zaciśniętą pięścią. – Masz ode mnie prezent, nie pokazuj nikomu i najlepiej stąd wyjedź zanim zdecydujesz się sprzedać, bo mogą cię oskarżyć o nie wiadomo co. Bywaj, miódku. – Przyciągnął dziewczynę, pocałował, rozwarł pięść i szybkim krokiem opuścił izbę.

Dziewczyna pokazała język tym z gości, którzy przeciągłym gwizdem skwitowali scenę, odwróciła się i pochyliwszy tak by nikt jej nie widział otworzyła pięść. Leżał na niej gruby złoty sygnet z największym, skrzącym się na seledynowo kamieniem, jaki widziała. Zacisnęła pięść i wybiegła z szynkwasu, na podwórzu chwyciła za ramię najbliższego chłopaka.

– Gdzie są ci dwaj panowie? Ci wysocy, jeden na biało-czarnym koniu?

– A odjechali, dopiero co. Co nie zapłacili?

– Zapłacili, durniu, zapłacili...

Hondelyk zamruczał do siebie jakąś meldyjkę, ale fałszywie. Zamilkł. Odchrząknął jak ktoś, kto zamierza powiedzieć coś po długiej przerwie, i rzeczywiście zagadnął:

– Powiedziałeś?

– Tak, pani Folnevill już wie – warknął Cadron. Uprzedził następne pytania Hondelyka dodając z naciskiem: – Wie wszystko.

Wcinali się w gęstniejący mrok, zagnieżdzeni we własnych myślach; monotony stukot kopyt czterech koni wybijał nierówny rytm najpierw na kocich łbach ulicy, potem w pyle drogi. Obaj myśleli o tej samej osobie, obaj czuli, że ten drugi myśli o niej inaczej, ale bardzo-bardzo-bardzo by się zdziwili, gdyby mimo wszystko wiedzieli jak wielkie było to "inaczej".

Sen o wolności, sen o śmierci...

Najpierw bili dwaj strażnicy, trzeci, jakby znudzony zabawą ze skutymi więźniami, stał w drzwiach oparty barkiem o kamienną okutą pionowymi żelaznymi sztabami futrynę. Trzymał w ustach koniec rzemyka, którym zapinał pod brodą szyszak, gryzł go i ssał, co jakiś czas popluwając na podłogę. Odezwał się tylko raz, kiedy jeden z oprawców splótł palce i utworzoną w ten sposób maczugą z dłoni uderzył ślaniającego się już i tak Hondelyka w bok głowy, a drugi natychmiast poprawił w kark. Hondelyk runął bezwładnie – nie na kolana i zwałiłby się twarzą w ciekłą warstwę słomy na kamieniach, ale podtrzymały go kajdany. Wtedy właśnie ten przy drzwiach przesunął koniec rzemyka w kąt ust i wydał z siebie coś jak: "No-o!?". Pierwszy żołdacz kopnął jeszcze Hondelyka w bok, ale nie pozwolił zrobić tego samego drugiemu – odsunął go i wskazał brodą Cadrona. Ten przy drzwiach westchnął głośno, przypomniało to coś obu żołdakom, w pośpiechu uderzyli po dwa razy Cadrona w głowę i niespodziewanie skierowali się do drzwi. Ostatni wyszedł ten, który nie bił, rzuciwszy na niego spojrzenie Cadron zrozumiał, że on właśnie jest najbardziej niebezpieczny z widzianej trójki. Dwaj piersi bili, bo trzeba, bo rozkaz, ten trzeci lubił widok i zapach krwi, on tu wróci i nie będzie machał rękami, nie będzie kopał, on przysunie sobie zydel i chwyci nos w cęgi, wolno będzie obracał wytrzeszczonymi oczami wpatrując się w usiłującą okręcić się za ruchem cęgów ofiarę. Potem chwyci w klamernię jądra i będzie przez cały wieczór skręcał po trochę mutrę napawając się jarzącymi z bólu oczami ofiary. Może będzie przejeżdżał wolno po plecach rozpalonym do czerwoności prętem. Może wsadzi twarz w kosz z rozżarzoną węglą, może... Och, na Kreista, jakież możliwości otwierają się dla kogoś, kto potrafi zaangażować się w ulubioną zabawę!?

Cadron opadł na kolana czując jak ręce same podnoszą się mu do góry szarpnięte łańcuchami. W ścianach lochu umocowane były solidne żelazne pierścienie, przez które przewleczono łańcuchy łączące prawą rękę jednego więźnia z lewą drugiego. W nikłym i pulsującym świetle sączącym się z dwu olejowych kaganków przy drzwiach Cadron zobaczył, że jest przyłączony do jakiegoś mężczyzny z lewej, prawą ręką połączony z Hondelykiem, a jego z kolei prawą rękę krótkim łańcuchem złączono z kółkiem, tak samo jak lewą rękę współtowarzysza niedoli. Zebrawszy trochę śliny oczyścił nią usta, splunął w słomę i z wysiłkiem dźwignął się na nogi. Zauważył, że nieznajomy współwięzień przesunął się jak mógł najbliżej lewej obręczy, by dać Cadronowi możliwość odpoczynku na kolanach.

– Postaraj się wyciągnąć do przodu – powiedział obcy. – Może sięgniesz nogą kubła z wodą – popchnij go do mnie, a ja skorzystam z rogu i może uda mi się przyciągnąć do nas.

– Zaraz – wychrypiał Cadron – Najpierw zobaczę... – Przyciągnął prawą rękę do boku, lewa ręką Hondelyka powędrowała do góry, całe ciało zakołysało się, głowa majtnęła na boki, ale nic więcej nie dało się z tej pozycji zobaczyć.

Wybrał cały możliwy luz oków, nieznajomy z lewej przysunął się do niego jak mógł najbliżej, Cadron odetchnął i wyrzucił do przodu obie nogi. Stuknął czubkami butów w ściankę kubła, zawisł na kajdanach, otarte i potłuczone przeguby zabolowały tak, że wrzasnął głośno. Tyłem głowy uderzył w lodowatą ścianę lochu. Pomysłodawca z lewej pociągnął za łańcuch pomagając Cadronowi wstać.

– Przykucnij, a dopiero potem sięgaj kubła – pouczył go.

– Wtedy nie sięgnę, łańcuchy mnie przyciągną. – Poprawił ułożenie dłoni w kajdanach, naprężył łańcuchy i chwycił je w dłonie. Wybrał ile się dało łańcucha od strony Hondelyka i szybko, by nie męczyć przyjaciela ponownie rzucił się nogami do przodu. Tym razem udało mu się objąć

rozpaczliwie wyprężonymi stopami kubeł. Kiedy bezwładne ciało Hondelyka pociągnęło go do tyłu przyciągnął kubeł. Kiedy zakołysał się niebezpiecznie puścił wiedząc, że następnym razem sięgnie już niemal bez trudu. I tak się stało. Miał kubeł przy nogach.

– I co dalej? – zapytał siebie wpatrując się w mętną rozedrganą powierzchnię cieczy.

Mógł sięgnąć ręką do pasa, wykluczone było by jego ręce zetknęły się. Zastanawiał się chwilę.

– Zrzuć but do wiadra a jeśli masz sprawne palce u stóp podasz sobie potem but. Widziałem tu takiego jednego, zawsze mógł się, kiedy chciał napić.

– Nie żartuj.

– Tu się w ogóle nie żartuje. Nie zauważyłeś? – zapytał nieznajomy.

Woda w wiadrze była zimna. Wypełniła but dość szybko, Cadron chwycił między paluch i drugi palec krawędź cholewki i wykręcając pod nienaturalnym kątem nogę w kolanie wolno podniósł but do poziomu połowy ud. Na tym skończyły się jego możliwości. Przez chwilę starał się chwycić but lewą ręką, ale ból w kolanie zmusił go do rezygnacji. Postawił but patrząc z żalem jak wylewa się część wody. Poruszył nogą żeby szybciej odzyskać w niej całkowitą władzę. Odetchnął głęboko.

– Może... – Zaczął obcy, ale umilkł uciszony syknięciem Cadrona.

Tym razem podnosił nogę szybko, gdy skończył się zasięg nogi rozwarł palce stopy i sięgnął po lecący do góry but. Pudło. Powtórzył od początku czynność – zaczerpywanie wody, "podrzucanie" buta. Zaczerpywanie wody, podrzucanie... Zaczerpywanie... Zaczerpywanie...

– Jest! – syknął triumfalnie nieznajomy.

Chwycony w koniuszki palców but groził wypadnięciem z uchwytu, więc Cadron delikatnie, przyspieszając ile mógł podniósł go do góry, jednocześnie szarpnął głową w dół i chwycił cholewkę w zęby. Teraz mógł chwilę odpocząć. Zamyczał triumfalnie, przestąpił z nogi na nogę, opuścił ręce. Nie czuł smaku skóry, ale woń wody uderzyła w nos. Na pewno w normalnych warunkach nie przyszłoby mu do głowy nawet pomyśleć o zaspokojeniu pragnienia tą bryją. Odczekał chwilę, w lewej słyszał ponaglące sapanie obcego, zgiął się w pół, wysunął do góry ręce i wypuścił but z zębów. Przycisnął obiema rękami but do brzucha, ostrożnie manipulując przełożył cholewkę do prawej ręki. Teraz popuścił wyprężony łańcuch, pozwolił opaść ręce Hondelyka i całemu jego ciału, zamachnął się wychlusnął część wody na głowę przyjaciela. Nie czekając na efekt, śpiesząc się, bo wody nieustannie wyciekała ze spoiny cholewki i podeszwy, powtórzył operację, struga trafiła gorzej – w plecy. Jeszcze raz, uwzględniając poprawki dokonał jeszcze jednego zamachu trafiając tym razem znowu dobrze w kark i głowę. Hondelyk drgnął. Teraz Cadron odwrócił się do obcego.

– Chcesz?

– Tak, ale najpierw wy. – Nagle wyszczerzy zęby, z przodu, nie miał co wyszczerzać, ciemny parów prowadził prosto do przełyku. – Później będzie trochę ten but przepłukany – zachichotał chrapliwie.

Cadron odkrył, że ściskając część buta może wydusić wodę z jego czubka do napiętka, skąd – jak sądził – łatwiej będzie wylać ją w dowolnym kierunku. Hondelyk potrząsnął lekko głową, syknął. Potem kołysał się chwilę, podniósł się z klęczek i dopiero wtedy rozejrzał. Ze złanej krwią twarzy wyjrzało jedno oko, drugie zaklecił gruby skrzep. W dolnej części krwawej maski otworzyła się szczelina i rozległ się najpierw charkot, potem Hondelyk odkaszlnął boleśnie wzdrygnąwszy się całym ciałem i na koniec zapytał:

– Długo?

– Nie, ale głęboko. Chcesz jeszcze wody?

Hondelyk odwrócił oko na brzuch Cadrona, chwilę zastanawiał się.

– Jak tyś to zrobił?

– Nieważne, chcesz czy nie? Jak nie – oddaję towarzyszowi z lewej.

Hondelyk wychylił się, wyszarpnięte o wiele wcześniej spod pierścienia długie włosy przesunęły się na twarz, przykleiły do klejącej maski.

– Pij, bracie, pij – pozwiedzał.

Cadron przestawiał chwilę palce na bucie, popatrzył w lewo. Nieznajomy skinął głową, ciśnięty but chwycił zręcznie i przedłużając ruch ręki chlusnął sobie w twarz. Z drugim razem było już o wiele gorzej – w bucie kończyła się woda i mniejsza struga trafiła w pierś. Współtowarzysz niedoli westchnął, wytrząsnął z buta resztę wody starając się nie pochłapać swoich nóg, zdziwionemu Cadronowi wyjaśnił, że w lochu jest upiornie zimno.

– Acha – powiedział Cadron. Odwrócił się do Hondelyka, ale nieznajomy dorzucił:

– Dlatego ci czarujący woje tak lubią machać tu na dole rękami.

– Acha – powtórzył Cadron – Rozumiem. – Popatrzył na Hondelyka. – Czujesz się jakoś? Połamany? Zapytany poruszył rękami, barkami, przestąpił z nogi na nogę.

– Chyba nie... – Rozpoczął długą serię ostrożnego pocharkiwanie aż zakończył ją soczystym splunięciem w stronę drzwi. – Ale nie wiem, czy będzie mi się chciało być niepołamanym jeszcze raz.

– Bydlę! – warknął Cadron – Nie jestem mściwy, ale ten szubrawiec mi zapłaci za to wszystko.

Obcy z lewej parsknął śmiechem. Nikt nie dołączył do niego. Cadron i Hondelyk zabrali się do oglądania swoich kajdan i łańcuchów. Zlustrowali również kółka, za pośrednictwem których byli złączeni ze ścianami. Przy pobieżnym oglądzie nie zauważyli żadnych słabych stron. Niemal jednocześnie wyprostowali się i odetchnęli głęboko.

– No i co? Długo jeszcze Ferny Sadłowór będzie żył? – zakpił obcy.

Nikt mu ni odpowiedział. Odchrząknął i powiedział:

– Zwyczaj jest taki – jeśli wejdzie tu z żołdakami – koniec z nami, a przynajmniej z jednym z nas. Lubi wdychać zapach ulatującej duszy. Jeśli go nie ma – tylko trochę poboli. – Dalej nikt nie podchwytował tematu. – A tak w ogóle – po coście tu...

...przyjechali wczesnym rankiem, nie świtem, ale wcześniej. Miasto drżało niczym ogarnięty febrą organizm w oczekiwaniu czterech dni świąt, już kilka kroków za murami trafili na pierwszych członków klanu kurkowe– go, którzy usiłowali im sprzedać kryształowo czystą lodowatą wodę po cenie niezłego wina, ale sprzed bramy. Obok nich kręcili się piekarze z gorącymi pachnącymi apetycznie aż do bólu bułkami, rogalami, kołaczami, podpłomykami, bachławami, palcherem, chalawą, plecionkami, gurlakami i całą resztą asortymentu. Cadron wiedział co mu grozi, jeśli skusi się na kawałek pieczywa, ale nie miał zamiaru rezygnować z przyjemności. Przy drugim kramie pochylił się i cisnął dwureklową monetą, zawirowała tnąc powietrze srebrzystymi błyskami i uderzyła z dźwięcznym brzękiem w dno miski.

– Dwie chalawy!

Zanim piekarski czeladnik podał płaskie uginające się pod własnym ciężarem puszyste stinmesle za piętę buta Hondelyka chwycił puciołowaty pacholek od masarza wyciągający do góry trójkątną tacę z kawałkami parującego mięsa i zimnych pasztetów.

– Skosztuj, panie, do chalawy. Jeśli nie posmakują ci – nie zapłacisz! – Zamrugał oczami i nie wytrzymał: – Nie wierzę byś skłamał!..

Obejrzał się przez ramię najwyraźniej obawiając, że mistrz usłyszy jak nie utrzymał się w roli i dźgnie go stalką w obfity zad.

Hondelyk pochylił się lekko i mocno wciągnął powietrze przez nos.

– Jeśli masz chrzan, albo – jeszcze lepiej – młode grzybki wofe-le!..

– Oczywiście! – Czeladnik obejrzał się i ryknął: – Grzyby, chrzan, ketchup, pieprzowy miód, kurna wasza maty, rychlej, bo ryje powy... – obejrzał się na Hondelyka. – O-p-przepraszam, panie – dość kiepsko zagrał takie mocne zaangażowanie w obsługę godnego klienta, że aż się niby zapomniał poganiając pachyły. – Dawać-dawać-dawać!

Chwilę później Cadron i Hondelyk musieli zsiąść z koni, uznając, że zjedanie śniadania w siodle o tyle ma mało sensu, że nie utrzyma się w ręku wszystkiego, co oferują piekarze i masarze, a dobrowolna rezygnacja to przywilej starości a nie ich wieku zaledwie dojrzałego. Rzucili więc cugle bojkowi i zsunawszy się z siodeł, nawet nie rozprostowawszy grzbietów, oparli się tylko o chłodne jeszcze po nocy mury zachłannie rzucili na ciepłe pieczywo i mięsa. Cadron zwłaszcza chwycił kawały, ciął zdecydowanymi łakomymi ruchami szczęk, mlaskał i oznajmiał na przykład:

– Brzusciec parwowy, och, ale mięsny, żeby go pho-okrę... – Ten wlaś– nie kawałek pardwona był gorący, przed kilkoma chwilami zaledwie wyjęty z bulionu, parzył. – Auć! Ale cyndra...uomblom! uff! – Odrywał kawał chalawy i traktując ją jak przebitkę szybko przeżuwał. Hondelyk jadł na pozór wolniej, ale jego taca o pół kawałka szybciej opustoszała. Przetarł ją ostatnim kęsem buły, porzucił go i chwycił w usta, Cadron z żalem popatrzył na połyskującą sosami tacę, ale ostatni kawałek pieczywa zjadł chwilę wcześniej.

– No, teraz mogę z głodnym porozmawiać, jak mawiał tata – powiedział tłumiąc będącą objawem sytości czkawkę. – Dokąd?

– Chyba spać, nie?

W najbliższym zajeździe gospodarz z wyraźną satysfakcją w głosie po– informował ich, że miejsc nie ma, nie w całym mieście i nie będzie przez trzy dni. Przyjął natomiast do stajni konie i – po chwili zastanawiania się – pozwolił za niewielką dopłatą rozłożyć tam swoje dery.

– Żeby go... – oburzył się Cadron, ale dopiero wtedy gdy rozłożyli się do drzemki na sianie. – Za niewielką dopłatą, suczysyn jeden! Przesz tyle byśmy zapłacili za całą izbę kilka dni temu?!

– Cicho bądź, bo się rozbudzisz i nie zaśniesz... Łekch-hułaaaa... -ziewnął Hondelyk zamasyżując okrywając się ceinkim kocem. – Albo idź daj mu w spasiony zadowolony chciwy pysk.

– Zadzieram kiece i lece!

Zamilkli, konie chrzęściły sieczką, któryś przestąpił z nogi na nogę, ale ludzie już tego nie słyszeli. Gdy popołudniowe słońce przez szparę w drzwiach musnęło twarz Cadrona obudził się natychmiast, chwilę leżał nie– ruchomo, potem poderwał i poszedł w kąt stajni za potrzebą. Wróciwszy zo– baczył, że Hondelyk już nie śpi.

– Myślałem, że to Gaber tak szczy – mruknął Hondelyk.

Cadron zrobił dumną minę i nie odzywając się sprawdził poidła obu Pok, ogier Hondelyka wypił tylko pół wiara, Gaber, jego cisawy wałach, wy– pił wszystko, a teraz chłodnym pyskiem potraçał pana domagając się pieszczot. Chwilę przytulali się do siebie , człowiek i koń, ręka Cadrona pieszczotliwie drapała szyję wierzchowca.

– Idziemy na turniej? – rzucił przez ramię pytanie Cadron.

– Jutro dopiero miecze.

– To i dobrze, za bardzo się objadł. Ale możemy szyć z kuszy?

– Jak chcesz – szyj, ja po prostu – Hondelyk poderwał się do siadu, zrzucił koc, wstał – popatrzę. – Wciągnął buty, otrzepał ubranie z kilku źdźbeł siana. Sprawdził rapier, przypasał, wyciągnawszy do przodu dłoń zobaczył, że sygnet z połyskującą w granacie literką "X" jest przybrudzona oczyścił sygnet pocierając pierścieniem o kaftan na piersi. Popatrzył wyczekująco na Cadrona. – No?

Niebo podczas ich drzemki zdążyło spochmurnieć, gdy wyszli skropił ich leciutki deszczyk, ale

zanim zdążyli zerknąć do góry deszcz ustał. Ulicami ciągnęły gęste rzesze mieszkańców gości. Wyglądało i tak chyba było, że wszyscy jednocześnie wyszli na wąskie ulice i poruszają się tylko w dwu kierunkach – na łęg przed twierdzą Mroclave'a i od niego. Najwyższy punkt twierdzy – wieżę obserwacyjną zobaczyli jeszcze ponad dachami budynków, potem, ponad ostatnim szeregiem dachów pojawił się wieloboczny donżon, miejsce ostatniego punktu obrony, z którego wobec potęgi twierdzy nigdy jeszcze nie korzystano. Potem, gdy wyszli na obszerną ławę łęgów otaczających twierdzę ogrom budowli zatchnął oddech w piersiach. Budowniczości mając do dyspozycji niemal nieograniczone zasoby niewolników i potężne skarbcze, zaś obie te rzeczy do wykorzystania przez kilka pokoleń wybudowali na naturalnym skalnym wzniesieniu gigantyczną budowlę składającą się z niezliczonych i potężnych bastionów, kurtyn, donżonów, kleszczy i wież obserwacyjnych połączonych wysokimi grubymi murami. Przed frontami obronnymi widniały trójkątne lunety, potężne kamienne bastiony najeżone ramionami katapaletów osłonięte były słoniczołami, które rozbijać miały impet jazdy napastnika i kroić szeregi jego piechoty. Z obu stron bramy, której potęga nawet z tej odległości odstraszała ewentualnych napastników znajdowały się na dodatek raweliny w kształcie półksiężyców i czołobitnie, ot, gdyby kiedyś straceńcza szarża jazdy na otwartą bramę nastąpiła.

Oszołomieni przyjaciele zastygli w milczeniu chłonąc wzrokiem niewysławialną potęgę twierdzy.

– Gdyby... Gdyby – syknął Cadron – wszyscy władcy mieszkali w takich... – pokręcił głową i nie znajdując słów dokończył: – To czy byłby sens najeżdżać kogoś? Żeby tłuc łbem o takie mury?

– Zawsze można splądrować miasto – mruknął sceptycznie Hondelyk.

– Nie zaryzykowałbym – ripostował Cadron – Skąd wiesz dokąd sięgają podziemne chodniki? Wtargniesz do miasta i okaże się, że masz z obu stron siły obrońców.

Szturchnięty łokciem Hondelyka zamilkł i ruszył z maszerującym długimi krokami drużem. Szli brzegiem łąki tuż przy tylnych ścianach ostatnich domów, tu było mniej ludzi i zupełnie nie było kramów. W zadomowych ogrodach mieszczanie porozkładali stoły, ławy, wywiesili hamaki. Służba krzątała się dymiąc apetycznie pachnącymi rożnami, gdzieś huknął szpunt z beki, syknęła struga piwa i ktoś ryknął: "Marucha! Pójdź tu, ale migiem, bo pierwsze łyki, te najlepsze ktoś inszy wypije!", "Nie daj!" ryknął ów Marucha i pokazał się na chwilę, potężne brodate chłopisko przeskakujące kucakiem niski płot między ogrodami. Cadron zachichotał a Hondelyk westchnął. Kilka chwil później dotarli do miejsca, gdzie heroldowie, zmagając się ze sobą o miano najgłośniejszego, grzmiącymi głosami obwieszczali rozpoczęcie turnieju arbaletów. Cadron przyspieszył, wyprzedził Hondelyka i niczym pocisk zaczął się przebijać przez gęstniejący tłum. Potem tempo poruszania się zaczęło spadać, tłum gęstniał i coraz trudniej było przedzierać się przezeń. Cadron obejrzał się na Hondelyka i mruknął, że pewnie się spóźni na losowanie. Potem tłum zafalował i gdzieś od twierdzy nad głowami zbitego tłumu zaczęło pofruwać jedno słowo, gdy dotarło do Hondelyka usłyszał, że wszyscy czy niemal wszyscy powtarzają imię Mroclave'a. Widocznie sam kasztelan raczył przybyć na zawody kuszników. Dało to Cadronowi czas na dotarcie do pierwszego szeregu. Lektyka stała już na ziemi, na długim drewnianym stole leżało kilkadziesiąt arbaletów, z których mieli strzelać uczestnicy zawodów. Z lektyki leniwie wysiadł – Cadron odwróciwszy się do Hondelyka szepnął mu na ucho, że wreszcie wie, co znaczy "miłościwie prze-mieścił swe ciało" – potężny kiedyś, dziś otyły mąż z twarzą opuchniętą, nalaną, błyszczącą od zimnego potu mimo ciepłego dnia. Wyraźnie złościł go obowiązek bycia na błoniach, choć sam go sobie narzucił. Tłum jakby nie zauważył tego, ludziska rozdarli się z całej mocy, młodzi powsadzali palce do gąb i pocięli powietrze na smugi trylowanymi gwizdami, dopiero teraz Mroclave łaskawie podniósł obie ręce i pozdrowił zgromadzony tłum. Wrzask spotęgował się jeszcze, ale gdy kasztelan zatrzepotał dłońmi w najbliższej odległości zaległa

cisza i niczym kręgi na wodzie po rzuconym kamieniu rozszerzyła się na cały łęg. Mroclave odchrząknął chrapliwie i ryknął:

– Są kusznicy wśród was, ludzie?

Odpowiedziały mu pojedyncze okrzyki.

– Wystąpcie zatem i losujcie broń. Zwycięzca dostanie ten oto szlem pełen srebra – wskazał za siebie, gdzie jeden z giermków uniósł nad głowę największy hełm, jaki kiedykolwiek wykuto, chyba nawet nie dla człowieka, bo każdemu opadłby na brodę. Cadron sapnął usatysfakcjonowany. – Ogłoś – warknął Mroclave do herolda.

– Kusznicy losują arbalety z wystawionych tu oto – wrzasnął soczystym barytonem wywołany. – Oddają po trzydzieści strzałów do trzech tarcz każdy. Po każdej tarczy odpada połowa strzelających. Po trzeciej tarczy zostaje pięciu i oni strzelać będą nie na trzy, ale na pięć przekroków, po dziesięć znowu strzał. I najlepszy odejdzie z nagrodą miłościwego kasztelana.

– Oby tylko trafić na broń zacną – mruknął Cadron

– Naprawdę chcesz startować w zawodach?

– A czemu nie?

– Hm, myślałem, że cię już nie bawią takie... Ghołp! – stęknął gdy przyjaciel wsadził mu solidną sójkę w bok.

Cadron wysunął się przed pierwszy szereg, podszedł do grupki już zdecydowanych strzelców. Cała grupka zachowywała się podobnie i każdy kto do– chodził zaczynał tak samo patrzeć taksująco na rywali a potem podnosił się na palcach i zerkał na zgromadzoną broń. Nikt się temu nie dziwił – nawet z daleka widać było, że leżały tam egzemplarze starannie wykonane i zapewne dobrze bijące, obok takich kusz, których nawet pijany ślepiec nie próbowałby naciągnąć. I było też kilka arbaletów, do których nawet pozornie spokojnemu i niemal obojętnemu Hondelykowi serce się rwało. Nasunął na czoło rondo fągowego kapelusza, bo przelotny deszczyk znowu sypnął wilgocią w tłum.

– Teraz każdy będzie brał po kolei kulę z korca – ogłosił herold. – Na kuli jest znak, po którym znajdzie swoją broń.

Mroclave nagle poruszył się i zrobił dwa kroki w kierunku kamiennego gara, po drodze pociągnął za sobą szczupłego wysokiego mężczyznę z przebiegłą lisią twarzą, ubranego w skórzane wąskie porty i kamzolę z ćwiekami. Strąki bezbarwnych włosów opadały mu na uszy, ale nie mogły ich zakryć – i włosów było za mało i uszy za duże. Mężczyzna poddał się ochoczo woli Mroclavea i ruszył do korca.

– Sam Shuanej – syknął sąsiad Hondelyka do siebie. – Kim jest? – Hondelyk pochylił się do jego ucha.

– Najlepszy u nas kusznik, panie – szybko odpowiedział zapytany nie odwracając się nawet, by nie stracić ani chwilutki z rozgrywającego się przed nim turnieju.

– Aha. Zobaczymy...

Mroclave podszedł do korca i zapytał tłum:

– Mogę za niego wyciągnąć kulę?

Ryk zadowolenia przemknął nad głowami porywając kilka co słabiej osadzonych czapek. Mroclave wsunął pulchną dłoń w sagan, pomanewrował nią chwilę, wsadził głębiej. Oczekiwanie przeciągało się, Mroclave opuścił wzrok, skierował go na tłum i nagle mrugnął łobuzersko do kogoś, co ciżba przyjęła zadowolonym rechotem. W końcu Mroclave wyjął kulę i rzucił ją Shuanejowi.

– Nie wiem czy mnie nie przeklniesz – powiedział głośno. – Ale taki z ciebie mistrz, że i z krokownika powinienes wygrać.

– Dołożę starań, panie. – Shuanej pochylił głowę w ukłonie. Odłożył swoją kulę na stół i

odsunął się by dać innym miejsce. Wszystko robił starannie, dokładnie, jakby chciał oznajmić światu: "Patrzcie – jam wzorowy sługa".

Hondelyk wpatrywał się w kasztelana i jego zausznika z uwagą, fałsz tej scenki dolatywał do niego wyraźnie i do innych również, ale oni byli miejscowi, pragnęli zwycięstwa swojego strzelca i – przede wszystkim – nie wiadomo dlaczego, ale uwielbiali Mroclave'a. Kasztelan również odsunął się i z wyraźnym niezadowoleniem zerknął na niebo, z którego prószyla mglista wilgoć. Przysunął się bliżej lektyki, obejrzał przez ramię. Jeden z towarzyszących mu pazi szybko wspiął się po balaskach na dach lektyki i odwinął płachtę, dwaj inni sprawnie umocowali jej brzegi w wystających tyczkach. Tymczasem pierwszy z rywali Shuaneja odważył się i podszedł do korca, wyjął kulę i popatrzawszy na emblemat odetchnął z widoczną ulgą. Hondelyk przyjrzał się totumfackiemu kasztelana spokojnie rozglądającemu się po najbliższej okolicy. Spokojny o wynik, pomyślał, jakby już od wczoraj wiedział, że wygra. Ciekawym z jakiej broni będzie...

Pochylił się do przodu chcąc dojrzeć znaczek na kuli Shuaneja, zmarszczył czoło i nagle wysunął się do przodu o krok i zawołał:

– Fałszujecie, kasztelanie, turniej!

Minęła chwila zanim do wszystkich dotarło znaczenie słów Hondelyka. Cadron odsunął zasłaniającego mu widok mężczyznę, Mroclave podniósł ciężkie powieki i przesunął na bok dolną szczękę, jakby chciał rozetrzeć coś między zębami. Shuanej szarpnął się do przodu, ale zaraz zatrzymał i obejrzał na pana. Hondelyk szybko podszedł do stołu z korcem i nie dotykając niczego wskazał palcem kulę Shuaneja:

– Patrzcie! Jest rozgrzana i dlatego łatwo można było ją znaleźć wśród innych!

Drobniutkie kropelki mżawki osiadały na kuli i prawie natychmiast parowały, kula pokryta więc była nieregularnymi plamami ciemniejszymi, połyskującymi, wilgotnymi i szarawymi – suchymi. Czasem nad kulą unosił się przez chwilę malutki obłoczek pary. Cadron wysunął się przed szereg zawodników i krzyknął:

– To takie są warunki kasztelana?! Ludzie?

W śmiertelnej ciszy nagle z tłumu rozległ się cienki krzyk. Wrzeszczał ktoś młody albo bardzo starający się, by jego dyszkant dotarł do wszystkich:

– Jaki fałsz!? To przybłądy!!! Czego tu szukają, to nasze święto!

Jeszcze przez chwilę panowała cisza, a potem nagle ktoś wrzasnął "Tak jest-e-est!" i jeszcze ktoś, i nagle tłum zaczął wygrażać Hondelykowi. Mroclave uśmiechnął się szeroko i wskazał go palcem:

– Brać i do ciemnicy!

Shuanej mruknął coś patrząc pod swoje stopy. Mroclave rozejrzał się po strzelcach.

– I tego też! – wskazał brodą Cadrona.

Usłudzi sędziowie, zawodnicy i straż migiem przełamali opór obu przyjaciół. Przy okazji każdy kto sięgnął ręką starał się uderzyć pięścią, łokciem, uszczypnąć, zadrapać. Na samym początku zawieruchy ktoś podbił oko Cadronowi, ktoś inny zdołał wsunąć rękę w kłęb innych i uderzyć w krocze Hondelyka, jeszcze ktoś inny szarpnął jednego a potem drugiego za włosy, musiało ich być kilku, bo szarpanie za włosy powtarzało się stale. Potem, kiedy wyciągnięto ich z tłumu do dzieła zabrali się strażnicy. Mieli więcej miejsca do zamachu, razy bolały bardziej i przynosiły więcej szkód. Po drugim kopniaku w pierś Cadron poczuł, że coś trzasnęło zaś po trzecim, zanim zemdlał, zrozumiał, że kopniak złamał mu kilka żeber. Hondelykowi złamano jednocześnie palec czwarty i piąty w lewej ręce, a potem ten sam żołdak umyślnie za te właśnie palce go szarpał, a najchętniej poniósłby. Któryś wpadł na pomysł, że żeby nie kaleczyć rąk o kości twarzy więźniów trzeba ich bić

czymś innym, mniej cennym niż własne łapy. Takim czymś były pasy, więc przez całe błonia, bramę, kilka szeregów schodów i kilka dziedzińców co jakiś czas na osłanianie przedramionami i ramionami twarze Cadrona i Hondelyka spadały dźwięczne uderzenia grubych ledwie wyprawionych żołnierskich pasów. Już po kilku chłaskach spełniły swoje zadanie: po- szatkowały twarze aresztantów, pocięły wargi, zmasakrowały nosy i upuściły z nich krew. Całe szczęście, że – Cadron usłyszał to wyraźnie i za to postanowił zabić, jeśli przeżyje – propozycja jednego z rozochoconych sołdaków, żeby użyć klamer nie spotkała się z uznaniem dowódcy.

– Nie teraz – rzucił zdyszany żołdak. Zamachnął się i chlasnął Hondelyka w kark. – Jeszcze nie t-he!.. – stęknął starając się końcem złożonego pasa trafić w oko – ...r-ras! F-chu-uu... – odetchnął. – Do ciemnicy i dobrze przykuć. I już nie tykać, bo Mroclawe musi mieć coś dla siebie.

Przyprowadzili ich trzech żołdacy, skuci i pobici nie mieli ani okazji do stawiania oporu, ani możliwości, ani sił. Gdy w lochu przekuto ich kajdany na łańcuchy przyścienne żołdacy, którzy odpoczęli trochę prowadząc więźniów po schodach dopełnili zabawy tłukąc już tylko dla własnej przyjemności.

– A tak, w ogóle – po coście tu przyjechali? – zapytał współwięzień, gdy zaspokoił pragnienie śmierzącą wodą. – Na turniej – mruknął z ironią Cadron

– Na turniej – powtórzył nieznajomy. – Nie wiedzieliście, że tu nikt obcy wygrać nie może?

– A co teraz wspominać, co wiedzieliśmy i czego nie. Lepiej pomyślmy co można zrobić tu i teraz, żeby nie służyć Mroclawe'owi za tarczę strzelniczą.

– Nie łudź się – tu ścinają łby – pośpiesznie oświadczył nieznajomy. – Dowiedziałem się, bo mnie to czeka, więc nie chciałem być nieprzygotowany.

Po prawej stronie Cadrona poruszył się Hondelyk, długo postękiwał, pocharkiwał, jęknął kilka razy, ale w końcu nadspodziewanie różnym głosem zapytał:

– Ktoś ty i za cię zdekapitować mają?

– Ukloper, przyjacielu drogi, do usług – mężczyzna wykonał coś na kształt ukłonu, na tyle na ile pozwoliły mu łańcuchy. – A odetną mi nos z przyległościami za złodziejstwo.

Jednocześnie i Cadron i Hondelyk chrząknęli.

– Wiem – westchnął z fałszywym żalem Ukloper. – Nie cieszy się ten fach szczególnymi względami ludzi, zwłaszcza zamożnych. Ale co robić – taki los mi Kreist przeznaczył.

– Jak stąd uciec? – przeszedł do rzeczy Hondelyk.

– Och, na wiele sposobów – parsknął zapytany. – Najlepiej być niewidzialnym. – Na korytarzu czyjeś kroki wzbudziły echo, Ukloper zamilkł a Cadron poczuł, że nawet przez łączące ich zimne łańcuchy dotarło do niego napięcie, z jakim złodziej wsłuchiwał się w kroki. Odetchnął gdy oddaliły się, ale już nie żartował. – Gdybym wiedział sam bym dyla sobie zafundował.

Zapadła cisza. Nowi więźniowie zaniechali rozpytywania, zajęli się rozglądaniem po lochu, ocenianiem grubości murów, drzwi, siły sztab, szczelin pod i nad drzwiami, wielkości dziury od klucza. Hondelyk zrobił krok do przodu i wychyliwszy się usiłował obejrzeć ściany celi za Cadronem i Ukloperem. Przy okazji przyjrzał się złodziejowi. Cadron z kolei zajął się sufitem, zadarł głowę do góry i starannie ocenił powałę, choć już na pierwszy rzut oka dawała ona szansę na harce tylko pajakom. Kilka chwil później lustracja była zakończona. Na korytarzu, gdzieś daleko od ich lochu zabrzmiał dźwięk dzwonu. Ukloper wzdrygnął się słysząc go.

– Zawsze zastanawiałem się – powiedział pośpiesznie, jakby chciał swoimi słowami wypchnąć z celi ciszę, albo zagłuszyć lęk – jak to jest po śmierci – może dusza wędrować czy nie, może dać jakiś znak żyjącemu czy nie?

– Jeszcze jak dla mnie za wcześnie na takie rozważania – oznajmił zniecierpliwiony Cadron, od razu zawstydzony się czując, że nie dodaje ducha Ukloperowi, jednakże gadatliwość złodzieja zaczynała go męczyć. Odwrócił się do Hondelyka: – Chcesz jeszcze wody? Nie?

Chwycił cholewę buta i podniósł jak poprzednio na wysokość pasa, przechwycił but w rękę i napił się. Upuścił but i odsunął trochę od siebie, przewidując, że za jakiś czas mógłby go zmoczyć mocz, a wtedy obrzydzenie do wody z buta jeszcze by się wzmogło.

– Waść zgrabne masz te nogi – odezwał się ponownie Ukloper. Widocznie chciał rozmawiać, albo mówić, obojętne mu było na jaki temat. – Ja w dzieciństwie wsadziłem nogę do buta, do którego moja siostra wrzuciła tuż przed tym kilka węgielków z komina. Została mi po tym taka długaśna blizna na stopie i nie mogę tak zręcznie jej zginać jak ty, panie. – Przerwał by złapać oddech, ale zanim ktokolwiek zdążył coś wtrącić zatrajkotał: – Kiedyś, kiedy byłem w bandzie Wachlowanki, był tam też taki zwijus, który potrafił nanizać igłę na nic i zaszyć dziurę na kaftanie nogami. Pokazywał to na targach, a my żeśmy taromosili sakiewki aż miło...

Przerwał i nasłuchiwał w napięciu. Cadron poczuł, że ni stąd, ni ząd jeżą mu się włosy na karku i drobniutkie chłodne ciarki przebiegają po plecach, ogarniają uda i zsuwają się na stopy. Ta rozzuta, prawa natychmiast ścierpła.

– Wieleśmy... tych sakiewek... na...darli – powiedział wolno Ukloper jękając się i spazmatycznie chwytając oddech, jakby go rozgrzanego wsadzała do lodowatej przerębli. Zamilkł na chwilę. – Nie ma co – idą – rzucił przełykając jednocześnie ślinę, przez co jego mowa stała się prawie niezrozumiała. – Żeby tylko się nie zesrał – warknął nagle przez zęby. – Żeby, ścierwa, nie mieli satysfakcji! – Szarpnął łańcuchy żeby widzieć obu współwięźniów. – Ale przecież nic nie żarłem od dwóch dni, to czym? Prawda?

– Nie bój się – powiedział spokojnym głosem Hondelyk – Na pewno wystarczy ci odwagi.

Kroki zadudniły na kamiennej posadzce, zbliżyły się, nasłuchiwali ich wszyscy troje z niepokojem, zatrzymały się przed drzwiami do ich lochu. Gładko zaterkotał klucz w naoliwionym zamku, drzwi otworzyły się i weszła czwórka żołdaków. Pierwszy miał w ręku klucz, drugi topór a dwaj ostatni nieśli na dwóch drągach niewysoki pniak. Okorowany, ale brązowy na całej widocznej powierzchni i od góry, i z boków.

– Ten – wskazał kluczem Uklopera pierwszy. Przystanął skromnie pod ścianą. – Bierzcie.

Dwaj od pniaka ustawili go, jeden sprawdził czy się nie chybotrze, drugi zrobił krok w kierunku więźnia, ale widząc, że Ukloper stoi nieruchomo zatrzymał się i obejrzał na pozostałych.

– Jestem miejscowy, dlatego tu mnie zetną – wyrzucił z siebie przez zęby złodziej. – Mroclawe nie chce stracić miłości mieszczan, bo wtedy może z nimi robić co chce.

– Zamknij ryj! – warknął żołnierz, ten który przestraszył się nieruchomej postawy więźnia. – Uklęknij!

Ukloper stał nieruchomo i nie zamierzał wykonać polecenia; poruszył się kat, odłożył topór na pniak, wyminął tchórzliwego strażnika i nagle błyskawicznym ruchem wyszarpnął spod poły krótką pałkę i z dołu do góry prowadząc zamach uderzył Uklopera w skroń. Więzień runął na twarz, ale zawisł na łańcuchach naprężonych odruchowo przez Cadrona. Kat pokazał skazańca i odsunął się. Teraz wszystko odbyło się sprawnie – Ukloper został rozkuty migiem, jego łańcuchy połączone i przyłączone do dalszego od Cadrona kółka, sam on zawleczony do pniaka i ułożony na nim. Ale ciągle się obsuwał, więc znudzony ceremonią klucznik zaszedł go od tyłu, przycisnął stopą plecy do pniaka.

– No? – ponaglił i gdy topór uderzył w naprężony kark zręcznie odskoczył, żeby krew nie pobrudziła mu butów i nogawek. Głowa złodzieja opadła, miękko uderzyła twarzą w kamienie,

przewróciła się kierując zamknięte oczy na Hondelyka. – Na ciebie się gapi – powiedział ponuro klucznik do Hondelyka, ale nie doczekał się odpowiedzi. – Zbierać!

Ci dwaj od pniaka szybko zarzucili ciało na pień, jeden lekkimi kopniakami porozmieszczał z obu stron pnia ręce i nogi, drugi niedbale zadarł kaftan na plecach i wcisnął tam głowę, dźwignęli całość. Kat wyszedł jeszcze przed nimi, klucznik chwilę zamarudził szukając jakichś słów, od których ścierpła by więźniom skóra, ale nie znalazł, więc tylko splunął w ich kierunku i wyszedł. Dawno ucichły ich kroki i uspokoiły się pelgające płomyki kaganków, gdy Hondelyk odezwał się cicho:

-Szast-prast i po złodzieju... Tyle to trwało ile wypicie kufla piwa. – Milczał chwilę. – To dla nas to widowisko – nie usłyszał żadnej odpowie– dzi więc dodał: – Może nawet ten biedak nie dałby szyi, gdyby nie my? – Cadronowe "E,tam..." nie uspokoiło jego sumienia: – Po diabła ciągnąłem cię tutaj? Mogliśmy...

– Przestań! – mruknął Cadron. – Będziemy tak długo "pocomkać": po com cię tu ciągnął, a ja pocom brał się za te kusze, pocom też się odzywał, a deszcz po co padał, a Mroclave to gnida i tak dalej. Pomyślmy lepiej jak się stąd wyrwać.

Hondelyk podniósł zmasakrowaną twarz i wpatrywał się chwilę w oblicze przyjaciela, spróbował ułożyć zmiążdżone wargi w uśmiech.

– Jeśli tak wyglądam jak ty...

– Ty? – zdziwił się niewesoło Cadron. – Ty byś chciał wyglądać jak ja!

– Rozumiem. A powiedz mi co z moim prawym okiem? – Podniósł możliwie wysoko twarz i ustawił ją w światło kaganków.

– Skrzep ci je zakleił. Hondelyk odetchnął z ulgą: – Chwała Kreistowi, bo już myślałem, że mi wyrósł jęczmień. – Chwilę milczał, przestępował z nogi na nogę usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję, jakby nieświadom tego, że nie mogło jej być. – Długo byłem nieprzytomny?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Jaka to pora dnia? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Cadron odruchowo zerknął w górę szukając słońca, parsknął niewesołym śmiechem, ale gdy Hondelyk zachrypiął parsknął jeszcze raz.

– Żebym tak miał taki przyrząd, o którym opowiadał Zager, pamiętasz?

– Pamiętam – że niby takie coś małe jak pół jaja czas wskazuje... Bzdura.

– Bzdura – zgodził się Cadron. – Ale gdybym taki miał...

– To by ci go kapole zabrali! Tak jak sakiewki.

– No tak – zgodził się Cadron

Jeszcze raz zadowioną tu więzienna cisza zapanowała nad całą.

– Ale jak myślisz – będzie wieczór? – zapytał Hondelyk

– Coś się wściekł z tym czasem?! Czekasz, że ci wieczór przyniosą czy się z damą jakąś umówiłeś? Odwołaj wszy... – Ponury odgłos dzwonu przemknął przed drzwiami celi i zgasł gdzieś w dalszych korytarzach podziemi. – Co za ponury dźwięk – mruknął Cadron zapominając, że nie dokończył poprzedniego zdania. – Milczał chwilę wpatrując się w podłogę przed swoimi stopami. – A niby jaki ma być – odpowiedział sam sobie. Westchnął. – Srebra mi się zachciało – powiedział z goryczą. – Przecież mam tyle ile potrzebuję, prawda? – zerknął spod oka na Hondelyka.

Stał z pochyloną głową oddychając z chrapliwym poświstem, jakby spał. Cadron skrzywił się, ale nie odezwał. Szczególnie, że na korytarzu ktoś zarechotał i brzęknęło coś metalowego uderzonego o podłogę albościanę. Ciemna kratownica w drzwiach pojaśniała, blask wzmógł się tak, że zaczął

konkurować z kijankowatymi chwościkami ognia w kagankach, a potem prostokąt stał się wyraźnie jaśniejszy i głosy zdążających w tym kierunku żołnierzy stały się wyraźne. I zrodziły nerwowe ciarki w dłoniach i stopach.

– Udawaj nieprzytomnego – dobiegło Cadrona ciche mruknięcie od strony Hondelyka. – Za skarby się nie odzywaj. Już! – syknął ponagłająco.

Cadron cicho podciągnął okowy, ugiął nogi w kolanach i ostrożnie zawisł na kajdanach. Poprawił się i zamarł słysząc pokasływanie pod drzwiami i głos żołdaka, który klnąc szpetnie niemal bez przerwy wskazywał drzwi do ich celi. Klucz gładko porozsuwał rygle, blask pochodni rozjaśnił przymknięte powieki.

– Obu, w dr-ryzd ich, bierzem, tak?

– Ta-a...

– Jeden śpi czy kiego?..

– Akurat śpi! – parsknął pierwszy z pogardą. – Może omdlał, kijem robiony, ze strachu. Zara się sprawdzi jak mu pochodnie pod kinol wsadzem.

Szurnęły podeszwy i Cadron gorączkowo przerzucił w głowie kilka wariantów postępowania, ale żaden nie przewidywał wytrwałego smażenia własnej twarzy.

– Te, a ten drugi? – Ktoś zrobił dwa szybkie kroki. – Przecież to nie ten, co miał być!

– Jak to, wszawa jego... Pokaż pysk!

Obaj strażnicy przyglądali się Hondelykowi. Cadron słyszał ich gorączkowe oddechy, jeden stęknął.

– O-zesz w trzy rzycie drągiem ruchany! – jęknął ten aktywniejszy. – Nie ten... Nie tego ścieli, wypierdziawy grochowe! – Ktoś ty? – ryknął drugi głos, głos drżał a siła nie pokrywała bijącego z niego strachu. Po chwili rozległ się ogłos uderzenia i jęk. Gadaj! – na drugiej sylabie głos się załamał do koguciego skrzeku.

– Ukloper... – usłyszał Cadron głos Uklopera. Nadal nieruchomy odetchnął z ulgą. Przynajmniej wiem, co może być dalej, pomyślał.

– Jak to? Mieli cię ściąć! – wrzasnął strażnik. Przez zaciśnięte zęby dodał: – Gad-daj!

– A co ja wiem? Przyszli, wzięli tego nowego i ciach! Nikt go o nic nie pytał.

– No to im Mroclave smarki zagotuje... – powiedział cicho strażnik.

– Im? A nam to nie?

Chwilę sapali zmagając się z ciężkimi myślami. – Może weźmiemy ich... Że niby nic się nie stało? – bąknął jeden. – Akurat Mroclave nie pozna, kapcanie posrani! – Zagrzechotał łań- cuch. – Nie ma co – bierzem tego złodzieja, chiba go trza ścionć, bo był do ściencia przewidziany, nie?

– I co – było trzech ścięli jednego i został jeden? – zaprotestował drugi.

– No tak... – stracił kontenans pierwszy. Myślał mozolnie aż słyhać to było w ciszy lochu. – To co robim?

– Może weźwa do góry i pokażemy Trybuchowi? To on ciął, niech tera myśli. Nie?

– Tak! – ucieszył się pierwszy. – Dawaj go!

Cadron ostrożnie rozchylił powieki, kątem oka widział jak jeden ze strażników rozkuwa Hondelyka, drugi stoi z boku, ale za daleko jeden i drugi, by ich sięgnąć. Okowy Hondelyka z grzechotem zsunęły się przez pierścienie wydłużając jednocześnie łańcuchy Cadrona. Odetchnął bezgłośnie i czekał. Hondelyk szarpnięty przez żołnierza poderwał się nagle, grzmotnął go pięścią w zęby, w kierunku Cadrona i rzucił się na drugiego, który zamarł z pochodnią w jednej ręce i kluczem do celi w drugiej. Cadron poderwał do góry nogi i objął nimi strażnika, udało mu się zapleść stopy,

zaciśnął cęgi z całej siły, aż żołnierz przeciągle beknął, a potem głucho stęknął, szarpnął się bezmyślnie kilka razy i opadł na ziemię, ale Cadron, mimo że łańcuchy wpiły mu się aż do kości w przeguby, nie puścił chwytu. Dopiero gdy uznał, że sam traci przytomność z bólu rozwarł imadło nóg i sycząc stanął na nogach. Drugi strażnik przestał kłać, tańczył z rozpędzlowanym na miękko nosem, i w ogóle – słaniał się, po celi kierowany potężnymi zamaszystymi uderzeniami, ale nie padał z nóg. W końcu, trafiony w skroń poleciał do tyłu, huknął tyłem głowy w ścianę i dopiero wtedy zwałił się na bok, jednakże przez cały czas opadania patrzył z wyrzutem w oczy napastnikowi.

– Czas najwyższy – syknął Cadron. – Znęcasz się nade mną czy co?

Zdyszany mężczyzna odwrócił się do Cadrona, ten pokiwał głową:

– Tak właśnie myślałem. Że nie ma Hondelyka, a jest Ukloper...

Ukloper w ubraniu Hondelyka pochylił się nad strażnikiem, wyszarpnął klucze spod jego boku i uwolnił Cadrona. Nie zważając się podeszli do beki, napili się śmierdzącej wody, potem Cadron zanurzył w niej kiście rąk i posykurując chłodził je chwilę poszarpane okowami. Hondelyk-Ukloper podciągnął pod łańcuchy oba bezwładne ciała.

– Chodź, pomóż – poprosił.

Przyjaciel wyjął ręce, pomachał nimi w powietrzu, ale zbliżywszy się do strażnika najpierw wciągnął na stopę but. Potem sprawnie zdarli ubranie z obu strażników, przykuli do ściany jednego wbiwszy w usta kłęb onucy, przykuli drugiego, drugą częścią szmaty wypełniwszy gębę. Cadron szybko narzucił na siebie tyle części ubrania ile trzeba było, by udąć strażnika, rozejrzał się za Hondelykiem. Druh stał przy beczce i pochylając twarz nad zmaconym lustrem wody opłukiwał twarz posykurując z bólu. Potem odwrócił się i pokazał twarz – niecałkiem udaną kopię oblicza strażnika, którego sam bił aż do skutku. Dyszał ciężko, Cadron podbiegł i podtrzymał go.

– Dasz radę?

– Chyba muszę – stęknął Hondelyk – Ale im szybciej wyjdziemy tym dla nas lepiej.

– Oprzyj się na mnie – Cadron chwycił przyjaciela w pól i przyciągnął do siebie.

– Nie, bo co powiedzą inni...

– Pies im rzecie lizał! Powiemy, że jeden więzień się stawiał i udało mu się kopnąć cię słabiznę.

Hondelyk nic nie odpowiedział, ale po tym jak raptownie wzrósł jego ciężar na ramieniu Cadrona ten ostatni zrozumiał, że tych kilka kroków zrobił ostatkiem już sił. Wysunęli się na korytarz i powędrowali ku schodom. Korytarz był dziwnie wąski i niski, co kilka kroków skwierczały umocowane w specjalnie wykutych szczelinach kopcące pochodnie. Pod każdą z nich musieli przechodzić ostrożnie – inaczej przypaliliby sobie włosy. Szczęśliwie przedarli się przez dwie kondygnacje, wyszli na wewnętrzny dziedziniec. Słońce już zaszło, albo niemal zaszło, w każdym razie zmrok nieoczekiwanie i fartownie pokrył załomy murów cieniami, w których łatwo było przystanąć, odpowiedzieć krzywym uśmiechem na powitania innych żołdaków, wysłuchać kpin i niemrawo odszczeknąć. Dopiero przy głównej bramie zrodził się problem, ale jak na zawołanie los podesłał im powóz z kimś znacznym, pod nosem więc straży zajętej przekomarzaniem ze stangretem wyszli bełkocąc pod nosem pijackie komentarze, klnąc i chichocąc na prze-mian. Potem Hondelyk zemdlął i Cadron wciąż udając podpitego żołdaka taszczył go aż pod linię ostatnich przed twierdzą domostw, gdzie złożył na zroszonej obficie całodzienna widocznie mżawką trawie, a sam wykonał zwiad po ogrodach. Wrócił po chwili, by przeciągnąć przyjaciela pod gigantyczny sąsieć drewna, w którym ktoś już wcześniej wybrał trochę bali z dołu tworząc wystarczająco obszerną komorę. Potem wypuścił się jeszcze raz i wrócił z dwoma flaszami, w których bulgotało coś, co pachniało jak wino i kilkoma plackami. Placki zostały nienaruszone – zbyt bolały zęby i wargi, ale wino wybornie

pokrzepiło. Ułożyli się jak mogli najwygodniej, przytulając bokami do siebie.

– Rano – wyszeptał Hondelyk – pójdę do karczmy po nasze rzeczy, po– wiem, że Mroclave kazał skonfiskować. I won z tego przeklętego miasta!

– A jeśli już skonfiskowali?

– Niemożliwe. W taki dzień nie mieli czasu na wyszukanie naszego noclegu.

Zapadł zmrok, księżyc, schowany za jednym z wyżej ulokowanych bastionów bezszelestnie wychylił się zza kamiennego muru, nadał i tak imponującym kształtom fortecy jeszcze bardziej złowrogą otoczkę. Jakiś nocny ptak, może dzienny tyle że spóźniony w drodze do gniazda przeleciał nad ich głowami dwa razy strzeliwszy lotkami w powietrze. Tłumiąc jęk Cadron obrócił się na bok, wrócił do poprzedniej pozycji, zamknął oczy. Poczł, że zawirowało coś nad nim, jakaś ciemna miękka ciepła płachta... Odetchnął głęboko, z ulgą, zrobiło mu się cieplej i przyjemniej. Ciało przestało boleć i...

– Zawsze podziwiałem twoją umiejętność zasypiania w najdziwniej– szych miejscach – usłyszał jakby nie swoimi uszami. Poderwał powieki, na moment powrócił ból w obitym ciele, ale zaraz został pokryty snem, przyduszony...

... i miękka ciepła puszysta ciemna płach...

– Obudź się!

Cichy, ale przenikliwy szept wwiercił się w otulinę snu, jak nieprzyjemny zimny podmuch wdzierający się pod pierzynę, wstrząsnął Cadronem, poderwał go. Wyprostował wyciągniętą gdzieś ponad głowę rękę, uderzył o coś przegubem. Rozległ się przy tym dźwięk, który na chwilę zmroził wszystkie zmysły. Serce uderzyło kilka razy mocno, gwałtownie i pocwałowało, a echo uderzeń puchatym łomotem zabrzmiało w uszach.

– Zawsze podziwiałem twoją umiejętność spania w dowolnej pozycji, ale teraz...

Hondelyk powiedział jeszcze coś, czego Cadron nie dosłyszał, ponieważ łomot w uszach nasilił się, a na dodatek zaczął czuć swoje nogi, ręce, ból w całym ciele. Z wysiłkiem, już wiedząc co zobaczy uniół powieki. But. Oklapły, przemoczony, skierowany noskiem do beczki, w połyskującej wilgocią kałuży.

– Słyszysz mnie? Cadronie?! – usłyszał z boku. Z wysiłkiem podkurczył jedną nogę, drugą, zacisnął zęby i wstał uwalniając ręce od dźwigania ciężaru ciała. Najpierw nie poczuł w nich nic, potem skurcze wykręciły na chwilę łokcie i przeguby dłoni.

– Och, żeby to... – stęknął. – Długo to trwało? – zapytał, żeby tylko cokolwiek powiedzieć, odpędzić ból odgłosami rozmowy.

– Nie, chwilę, ale i tak – Hondelyk pokręcił głową. Jedno oko, prawe, nadal miał przykryte plackiem zeskorupiałej krwi, ale lewe patrzyło na Cadrona zawiadacko. – Uwierzę, że będziesz umiał...

– Zaraz! – przerwał Cadron Zerknął w lewo, zwiślały tam czyjeś kajdany, puste. – Miałem sen... Czy tu był jakiś złodziej?

– No przecież! Ukloper. Ścięli go niedawno... – Hondelyk zaniepokoił się. – Dobrze się

czujesz?

– Tak, czuję się pysznie. Jak kapłon na widok siekiery i ostrzałki... – mruknął Cadron myśląc o czymś innym. – I potem nic się już nie działo?

– Po ścięciu? Nic, a co? Mało ci? – Hondelyk poruszył wargami chcąc strząsnąć z nich jakiś mały zwisający na cieniutkim płątku skóry skrzep. – Może jak kat się z nami zabawo będzie akurat... – przerwał i cmoknął z niesmakiem.

– Szkoda, miałem piękny sen – rozmarzył się przyjaciel nie zauważając niestosownego dowcipu Hondelyka. – Uciekliśmy w nim stąd i spaliśmy już na wolności. Gładko posz... – Nagle potrząsnął głową: – Przecież można go wykorzystać!.. – Szarpnął się w stronę Hondelyka, ściszył głos. – Słuchaj, widziałem we śnie, wyraźnie jak na jawie, że – przeszedł na niemal niesłyszalny szept: – zmieniłeś się w Uklopera, niech mu Kreist cierpienie wynagrodzi, rozumiesz? Jak przyszli po nas to zobaczyli, że nie tego ścięli i odplątali ciebie, zrobiła się zawierucha... Ty zrobiłeś jeszcze po drodze strażnika i – no? – rozumiesz? Daliśmy, jak to mówią, na buty dla Dyla!

Hondelyk słuchał uważnie, przez cały czas ruszając mięśnia – mi twarzy w daremnym usiłowaniu zerwania doskwierającego strupa na oku. Gdy Cadron umilkł jeszcze chwilę posyjąc krzywił się na wszystkie możliwe sposoby i w końcu zrezygnował.

– Nic z tego – pokręcił głową. I widząc jak we wpatrzonych w niego oczach gaśnie nadzieja dodał: – Ani nie zerwę tego plastra, ani nie udam Uklopera. Nie widziałem go nawet dobrze, a poza tym jestem taki słaby, że... – skrzywił się i jeszcze raz pokręcił głową.

– Nie możemy czekać na zmiłowanie Mroclave'a – po chwili wypełnionej więzienną ciszą powiedział Cadron. – Zgoda.

– Musimy coś przedsięwziąć – odrobinę głośniejszym tonem rzucił Cadron napastliwym tonem.

– Tak – zgodził się Hondelyk.

Odpowiedziało mu westchnienie. Cadron zabrał się do szczegółowego oglądania swoich kajdan i łańcucha, ogniwa po ogniwie. Hondelyk wrócił do robienia min. W przerwanej odgłosami krzątania głośno zaskwierczał jeden z kaganków, płomyk pyrknął, skoczył do góry, opadł, wydłużył się jeszcze raz i zgasł. Więźniowie znieruchomieli na chwilę.

– Może zaraz ktoś przyjdzie napełnić kaganki? – rzucił domysłem Hondelyk.

Cadron wrócił do lustracji oków i poszarpywania ogniwn uznanych za słabsze, potem okręcił się i wykręciwszy ramiona w bar – kach sięgnął najpierw jedną potem drugą stopą wkutych w ścianę pierścieni, ale mimo kilkukrotnego mocnego uderzenia żaden nie drgnął w kamiennych posadach. Zdyszany Cadron zerknął na cierpliwie poruszającego mięśniami twarzy Hondelyka. Jedno źródło słabego światła, rozbite napuchnięte wargi Hondelyka, zmierzwiłone włosy i czarny placek na prawej połowie twarzy sprawiały, że te upiorne miny wystraszyłyby niemal każdego bez względu na płeć, wiek i zawód.

– Może zrób taką minę jak przyjdą po nas – zaproponował wzdrygając się Cadron.

Zanim usłyszał odpowiedź cicho szcęknął rygiel w zamku, drugi, jeszcze dwa. W nagłej i głębokiej ciszy wyraźnie usłyszeli jak ślizga się metal po metali, klama poruszyła się, drzwi uchyliły i do celi wśliznęła się otulona sięgającym ziemi okapturzoną płaszczem postać. Cała trójka zamarła: postać wodząc – widać było błyski oczu w nieśmiałym blasku kaganka – oczyma od więźnia do więźnia, Cadron gorączkowo przypominając sobie w jakim położeniu jest łańcuch i czy wystarczy go by kopnąć przybyłego, Hondelyk z wykręconą i zadartą do góry głową, żeby móc zobaczyć go lewym okiem. Postać poruszyła się i nagle podbiegła do Cadrona, nieświadoma, że za chwilę zetknie się z mocnym kopnięciem.

– Cicho bądźcie – syknęła postać, a Cadron omal nie zwałił się na bok wyhamowując już

rozpoczęte kopnięcie. Postać nawet nie zauważyła tego. Wyszarpnęła spod poły płaszcza klucz i zaczęła majstrować przy kajdanach Cadrona. Po chwili był wolny. Nie wtrącał się do uwalniania Hondelyka, wciągnął na stopę but, podskoczył do drzwi i zaczął gorączkowo masować przeguby nasłuchując odgłosów z korytarza. Hondelyk – jak we śnie Cadrona – najpierw rzucił się do beczki i zaczął nerwowo odrywać strup z oka. – Szybciej! – syknęła postać.

– Niech się z tego uwolni – szepnął Cadron chwytając ją za łokieć i przyciągając do siebie. – Z takim krwawym plackiem zwróci na siebie uwagę każdego żołdaka. Ktoś ty? – zapytał jednym tchem.

– Potem wszystko wyjaśnię. Uciekajmy, bo...

Hondelyk przetarł twarz rękawem koszuli, przykucnął dwa razy, żeby rozruszać stawy, ale był to niemal zbyt duży dla niego wysiłek – zachwiał się, i dopiero podpierając o ścianę wstał.

– Masz jakąś broń? – zapytał.

Postać wyciągnęła zza pasa dwa sztylety i zanim zdążyła mrugnąć okiem oba zostały jej z rąk wyrwane. Cadron błyskawicznie zsunął kaptur.

– Wybacz, ale nawet nie wiemy jak się do cię zwracać – po– wiedział. Młodzieniec niecierpliwie potrząsnął głową. Obejrzał na drzwi. – Dokąd zamierzasz nas doprowadzić?

– Mam przygotowaną pakamertę dla was, tylko musimy dwa piętra pokonać.

– Jak tu są zmiany wart przeprowadzane? – zapytał Hondelyk.

– No właśnie niezadługo będzie. Wiem, niedobrze, ale nie mogłem wcześniej, a późniejsza warta już nie będzie taka podchmielona i śpiąca. Musimy teraz...

– No to nie gadajmy, w drogę – zakomenderował Cadron – Gdyby ktoś nas spotkał – jak najdłużej udawaj głuchego i najważniejsze: żeby alarm się nie rozniósł. – Położył dłoń na ramieniu niespodziewanego współtowarzysza. – Prowadź!

Młodzian pociągnął do siebie drzwi i bezszelestnie wymknął się na korytarz. Za nim poszedł Cadron, odepchnawszy wcześniej Hondelyka od drzwi. Korytarz nic się zmienił od czasu gdy ich nim wleczono – te same pełgające kaganki oddzielone od siebie plama– mi mroku, co kilka kroków drzwi do cel, niektóre gościnnie ot– warte, inne zamknięte, wszystkie okute i solidne. Zza czwartych od opuszczonej celi licząc dobiegało niskie monotonne bormotanie jakiegoś nieszczęśnika, który albo zwariował, albo usiłował zagłuszyć przeciągłym jękiem ból skatowanego ciała. Idący na końcu Cadron nagle syknął i gdy obaj zaskoczeni i zaniepokojeni wspólnicy odwrócili się szepnął do Hondelyka:

– Zupełnie nie tak wyglądał korytarz we śnie. Odpowiedziała mu wściekła mina Hondelyka i brak zrozumienia w spojrzeniu młodzieńca. Machnął ręką: "Nieważne, róbmy swoje", ponaglił ruchami rąk. Niemal bezszelestnie udało im się dotrzeć do zakrętu korytarza, tuż przed załomem młodzieniec uniósł palec i wolniutko wychylił głowę, patrzył chwilę a potem machnął ręką i pierwszy zniknął z oczu Cadrona. Popatrzył do tyłu na Hondelyka, napotkał ponagląjące spojrzenie, ruszył za przewodnikiem. Tuż za rogiem na zydłu rozwalił się żołnierz i sapał ciężko, obok niego stał młodzieniec i pokazał, że będzie pilnował strażnika, ponaglił. Przemknęli obok śpiącego, zięjącego oparami wina jak duchy i dopadli schodów, młodzian dogonił ich i ponownie wysforował się na przód. Na szczycie schodów odwrócił się i szepnął:

– Tu jest wartownia, musimy przechodzić pojedynczo...

Zwolnili, napięli mięśnie barków, jakby chcieli ulecieć, albo przynajmniej odciążyć przy pomocy skrzydeł swoje kroki, za– cisnęli zęby, Cadron i młodzieniec zębami przytrzasnęli wargi. Hondelyk oddychał przez szeroko otwarte usta, obawiając się, że opuchnięty nos może mu splatać figla. Dotarli do szerszych od innych drzwi, otwartych szeroko, biła od nich jaśniejsza plama światła.

Z odgłosów sądząc rozmawiało trzech strażników, głosy świadczyły o tym, na wartowni również świętowano. Młodzian przysunął się, zerknął do izby i pokazał cztery palce, potem jeden zgiął i skrzywił się. Acha, mamy do czynienia z trzema czuwającymi strażnikami, pomyślał Cadron. Młodzian sprężył się, przygiął i nagle lekko, bezszelestnie, ale szybko przemknął przez jasny prostokąt światła. Cadron sięgnął ręką do tyłu, wymacał poję kaftana Hondelyka, ale poczuł nagle na swojej dłoni chwyt palców przyjaciela. Zmagali się chwilę, potem Cadron wyrwał palce, zbliżył się i wzorem chłopaka wyjrzał. Dwaj strażnicy siedzieli na ławie plecami do drzwi, trzeciego głowa widniała między ich ramionami, tylko ten miał widok na korytarz, ale jego głowa chwiała się we wszystkie strony i Cadron bez większego trudu skorzystał z takiej chwili, kiedy strażnik majtnął nią w bok i do przodu, widok zakryli mu kompani. Coś w izbie stuknęło – kubek o stół albo czyjaś czaszka, urwała się raptownie rozmowa dwóch siedzących tłem do drzwi żołnierzy, któryś głośno i w miarę trzeźwo powiedział:

– Idę szczyzny złać... – czknął i dodał: – Sprawdzę Huńka...

Cadron rozpaczliwie popatrzył przez prostokąt otwartych drzwi na Hondelyka, przyjaciel stał blady, oparty plecami o ścianę, najwidoczniej opadł z sił, nie w stanie przejść dwóch czy trzech kroków, by dopaść Cadrona. Zgrzytnęły na kamieniu nogi odsuwanej ławy, drugi głos powiedział bełkotliwie:

– Te...but-fów nie zapow-mnij... Jak bess buts...

– Wiem, wiem... Nie tyle wypijam i wszystko wiem – pochwalił się pierwszy.

Cadron wolno wyjął sztylet i zacisnął na nim palce. Wychylił się odrobinę i akurat zobaczył, jak strażnik naciąga na stopę but, przytupuje i nagle rzuca się do tyłu, unosi nogę w górę i rycząc wali się na plecy. Drugi wystraszony usiłuje się poderwać na równe nogi, ale te, które ma nie są bynajmniej równe, opada na bok na ławkę, a z niej na kamienną podłogę. Trzeci strażnik podnosi głowę błędnym spojrzeniem omiata izbę, wciąga do ust policzki i pomemławszy puszcza je i mruczycoś, że służba to nie zabawa z dziew... Ten pierwszy wrzeszczy:

– Łoj, pali! Pa-a-ali! Ogień... Ła-a-a-iii! – krzyk przechodzi w kwik.

Cadron rzucił się do przodu, przez prześwit drzwi, otoczył Hondelyka ramieniem i spojrzał pytająco na młodzieńca, ten zerknął do izby i skinął ponagłajaco ręką. Po chwili obaj już wlekli Hondelyk po schodach, jeszcze chwilę później po dziedzińcu, dopadli korytarza, zwyczajnego, bez cel. Młodzian zwolnił.

– No, tu już jesteśmy bezpieczniejsi – odetchnął. – Jeszcze jedno piętro.

Hondelyk zupełnie opadł z sił, donieśli go powłóczącego czubkami butów do komory przygotowanej przez młodzieńca. W jednym kącie leżał na podłodze gruby siennik i kilka szarych pledów. Obok dzban, kubek i ukrywająca przed wzrokiem jakieś nieregularnego kształtu przedmioty serweta. Hondelyk opadł na materac, odwrócił się na plecy, poruszył ustami. Cadron skoczył do drzwi, założył zasuwę. Młodzieniec przyklęknął obok siennika, chlusnął z dzbana do kubka, szybko przyłożył do ust Hondelyka, potem delikatnie ułożył go na materacu i przykrył kocem.

– Jestem Kolster – powiedział wstając. – Jestem tu w fortocy zsisisbeo – dodał idąc do drzwi.

– Co to? – syknął Hondelyk.

– Oficjalny adorator kasztelanowej – pośpieszył z wyjaśnieniem Cadron. – Tak? – Młodzieniec akurat sprawdzał zamknięcie drzwi, ale odwrócił się żeby skinąć twierdząco głową. – Mąż ma przez to więcej czasu, bo nie musi dbać o zabawianie żony, staranie się o trefnisia dla niej, damy do towarzystwa, zabawy i takie tam inne.

– Pochodzę z ubogiego, niestety, już rodu, ale na tyle zacnego – zastrzegł wyraźnie Kolster – że trzeba mi było dać jakąś godną funkcję w kasztelu. Zostałem więc zsisisbeo – nagle za-czerwienił

się.

Cadron zmrużył oczy i chwilę przyglądał się młodzianowi. – A nie zakochałeś się w swojej pani aby? – zapytał. Rumieniec na twarzy Kolstera jak podsycony wewnętrznym ogniem buchnął z policzków na czoło, brodę, uszy, ściemniał i przerodził się w ciemny karmin. – Acha... I co – myślisz, że my zabijemy na przykład Mroclave'a? Czy co?

– Nie – jęknął Kolster. – Wystarczy, że ten bydlak się zezłości. On ją bije – dodał trochę nie na temat, ale obaj słuchacze zrozumieli o co mu chodzi. – Przychodzi do łaźni podczas kąpieli i gwałci badziewki łaźiebne, patrząc przy tym na panią, a ona nie może wyjść. – Zaczepnął tchu, żeby wyrzucić z siebie wszystko, ale wystarczyło mu odwagi tylko na trzy słowa: – I ją też...

Zasapał wściekle zaciskając dłonie w pięści, odsunął się od materaca i przemaszerował się do drzwi i z powrotem. Wrócił na poprzednie miejsce i poczekał aż Cadron ugasił pragnienie.

– Ja wiem, to małostkowe, gówniarskie, ale chcę mu jak najczęściej i jak najmocniej szkodzić! – wyrzucił z siebie. – Może w końcu udławi się swoim gniewem, może w szale wbije sobie nóż w bebechy – wyszeptał mściwie.

– Zaiste – motywy twoje nie są piękne – uśmiechnął się Cadrona z poziomu materaca. – Ale my na nich skorzystaliśmy więc nie zamierzamy krytykować. Nie będę cię też namawiał do intryg, ani tym bardziej do pochopnych jakichś działań... Tak po prostu jest w życiu – czasem w niegodne ręce dostają się kobiety warte kogo innego, ale dla ciebie to jeszcze nie koniec życia. Jesteś młody...

– Tak, wiem to wszystko. Podobnie i ona mówi – westchnął Kolster.

– Widzisz więc, że to prawda – ucieszył się Cadron. Usiadł wygodniej ze skrzyżowanymi nogami, nalał do kubka wina i zaproponował Hondelykowi. Potem napił się sam i poczęstował Kolstera. Hondelykowi wyraźnie wróciło trochę sił, usiadł i zaczął obmacywać swoje ręce i nogi. – A wiesz co? – powiedział wolno Cadron – Pamiętasz co mówił Ukloper o swojej stopie? Pamiętasz, że oparzył sobie wsuwając nogę do buta, gdzie był węgielek?

– No, pamiętam – odrzekł nic nie rozumiejący Hondelyk.

– A pamiętasz, że powiedział coś jak: ciekaw jestem czy można jakiś znak dać żyjącemu? – Hondelyk uniósł brwi i wolno pokręcił głową, patrząc na oniemiałego z oburzenia druha powtórzył ruch głowy. – Na pewno tak powiedział – nie ustawał Cadron.

– Nie-e! – prychnął w odpowiedzi Hondelyk. – Nie chcesz chyba mi wmówić, że... Nie-e...

– Tak! Właśnie tak! – Cadron poszukał wzrokiem pomocy u Kolstera. – Jego dusza jeszcze tu jest, albo była. Był rozgniewany na Mroclave'a, chciał się na nim jakoś zemścić, ale nie może albo nie chce bezpośrednio, więc pomógł nam... Nie rozumiesz – wrzucił węgielek do buta strażnika! Mówię wam! – Poszukał w spojrzeniach obu mężczyzn zrozumienia i aprobaty, ale obaj mieli na twarzach wypisane tylko zdziwienie. Machnął ręką. – Ach, niedowiarki...

– Jak zamierzasz nas stąd wypchnąć? – zapytał Hondelyk ignorując całkowicie perorę Cadrona. Oparł się na łokciu i posykurując ułożył na boku, żeby mieć na widoku Kolstera, Cadrona i drzwi. – Teraz już nie zdążymy, za chwilę odkryją pusty loch. Jutro?

– Chyba tak – powiedział Kolster. Uciekł spojrzeniem na podłogę przed swoimi stopami. – Myślę... eee... – Sapnął, stęknął boleśnie i zamilkł definitywnie.

Przyjaciele wymienili spojrzenia, obaj już wiedzieli, że plan zsisbeo nie sięgał dalej niż do tej komnaty, ale jakkolwiek by oni zręcznie układali plany to młodzian znał twierdzą, a oni nie. Bez niego nie mieli szans na przejście obok posterunków, a nawet wleczeni do turmy widzieli, że mijają co najmniej cztery. Cadron przymknął kilka razy powieki starając się powiedzieć w ten sposób Hondelykowi, że bierze na siebie prowadzenie rozmowy.

– Jeśli to bezpieczna komora możemy posiedzieć tu dzionek, dwa póki żołdakom gorliwość nie opadnie – zaproponował.

– No tak... Pewnie, tylko co do bezpieczeństwa... – Kolster spurpurowiał, odetchnął nerwowo kilka razy. – Ja...

– Posłuchaj, przecież rozumiemy – myślałeś, że wyprowadzisz nas od razu za mury i koniec, prawda? – powiedział miękko Cadron. – Trudno, nie wyszło. Trzeba zmienić plany i już. Najlepiej teraz idź do siebie, żeby na cię nie padło podejrzenie i przyjdź tu do nas jak tylko nabierzesz całkowitej pewności, ale powtarzam – całkowitej pewności, że już nas tu nie szukają, że są pewni udanej ucieczki za mury, przynajmniej do miasta. Dobrze? – Podeszedł do chłopaka, położył mu obie ręce na ramionach i potrząsnął lekko. – Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, naprawdę. Uratowałeś nam życie, a mało jest takich – uśmiechnął się szeroko – co byśmy im na to pozwolili. – Popchnął lekko chłopaka w stronę drzwi. Gdyby Kolster znał go lepiej zobaczyłby w jego oczach na– pięcie, z jakim wsłuchiwał się w odgłosy spoza drzwi, oczekując alarmu. – No, idź.

Szybko i cicho przymknął drzwi za chłopakiem, ostrożnie opuścił zasuwę w skoble, wydała z siebie cichą, ale nieprzyjemną zgrzytliwą skargę. Za wąskim oknem zmierzchało, gdzieś daleko, naprawdę daleko rozległ się głośny chóralny śmiech zakończony wibrującym dziewczęcym zadowolonym piskiem. Cadron zrobił krok, drugi nie odrywając spojrzenia od fortecznego okna, przy trzecim przesunął się w bok.

– Można nas zobaczyć – poinformował Hondelyka, ale tamten leżał z zamkniętymi oczami i nie zareagował na jego słowa.

Cadron pochylił się i zgięty w pół dotarł do siennika, zerknął pod serwetę, jak przypuszczał na lnianej ściereczce leżało kilka słodkich bułek. Młodzieńcza naiwność Kolstera wzruszyła Cadrona. Słodkie bułeczki ci nam przygotował, pomyślał. Ot, dzieciak, co sam lubi tym się i podzielił. Ostrożnie ułożył się na boku a po chwili – nadciągnięta w barku ręka pobolewała – przewrócił się na plecy. W twierdzy ciągle jeszcze panowała cisza, nikt nie wszczynał alarmu z powodu ucieczki dwóch więźniów. Za dobrze im tu, przemknęła myśl, bezpieczni, oswiali, nabzdyczali z dumy i pogardy wobec innych, za murami.

Ziewnął przeciągle. Zaraz, pomyślał i na chwilę wyrwał się z miękkich otulających łapek snu, zasną i znowu mi się coś przyśni, że już na wolności jesteśmy, i w ogóle. Niedobrze jest tak budzić się w gorszym niż we śnie świecie. A może to co teraz jest to sen? Może wcale nie jesteśmy pobici i w twierdzy, tylko śpię gdzieś i mam taki sen? Jak to sprawdzić? Uszczypnąć się? Dobrze, mogę...

Ale zanim ręka dotarła do uda, w które chciał się uszczypnąć na korytarzu rozległ się głośny wrzask i zaraz potem jeszcze głośniejszy dźwięk dzwonu. Teraz nie był to głuchy, jękliwy, niemrawy gong, ktoś kto uderzył weń zrobił to z dużą werwą. Za– raz potem zagrzechotały na schodach serie kroków, poszcękiwań broni, kilka zgrzytów, gdy końce wąskich tarcz przetarły się po ścianie. W wąską przestrzeń korytarzy i nieco szerszą pobliskiego wewnętrznego dziedzińca poleciały głośne komendy wsparte wielopiętrowymi przekleństwami. Hondelyk poruszył się, ale Cadron położył mu dłoń na ramieniu i przytrzymał na sienniku, sam pod– niósł się i niemal wyrysowując w kurzu na podłodze rysy kolanami dotarł do drzwi i przycupnął obok nich. W komorze panowała już niemal całkowita ciemność, tylko na ścianie za plecami Cadrona rysował się świetlny odcisk wąskiego okna. Na chwilę piętno gasnącego dnia wyrysowało się jaśniej, widocznie wtedy, gdy po dziedzińcu przemaszerowała grupa żołnierzy z pochodniami i wtedy można było zobaczyć, że Cadron chowa prawą pięść pod połą bluzy, a dolną wargę przygryza zębami. Przelotne, wędrujące wraz z bratnim światłem cienie pogłębiły zmarszczki na jego twarzy, podczerniły siniaki i strupy i Hondelyk, mimo że spięty i gotowy do walki, nasłuchujący i obolały na dodatek, zdążył pomyśleć, że gdyby był

żołnierzem, który wszedłby do tej komory to na widok Cadrona zapragnąłby z całej duszy znaleźć się o całe setki staggów stąd.

Plama światła powędrowała dwukrotnie od lochów w kierunku wyjścia i raz z powrotem, wrzaski dowódców i częste odgłosy kopniaków czy uderzeń płazem dowodziły, że Mroclave może być wyraźnie niezadowolony z czujności i gorliwości swojej straży. Po chwili jednak ktoś zaprowadził ład w poczynaniach podchmielonych żołdaków, usłyszeli jak ów ktoś zgrzytliwym głosem wypytuje poszczególnych strażników i rozsyła ich na dokładne spenetrowanie lochów i cel. Potem ten sam ktoś wysłał trójkowe patrole na inspekcję najbliższych okolic więzienia i ten sam odbierał meldunki powracających rekonesantów i tylko ziębnący z każdym raportem głos zdradzał, że jego właściciel balansuje na krawędzi wybuchu. Na szczęście jedna z trojek przyniosła zaskakującą no–winę: spotkali dwóch chłopaków – Cadron usiłował posłać Hondelykowi porozumiewawcze spojrzenie, ale w komorze było już za ciemno – którzy widzieli parę kulejących mężczyzn, pobitych i w po–dartym odzieniu, jak ci, jak na swój wygląd gorączkowo, maszerowali w kierunku głównej południowej bramy fortecy. Dziedziniec pod oknem komory opustoszał błyskawicznie, w ciemnościach Cadron osunął się na kolana i długo przeciągle odsapnął. – Pewnie to Kolster

– No to niepotrzebnie, żeby nie zaczęli się go czepiać...

– Aha...

– Sprytniej by było, gdyby podpuścił kogoś.

– Ale wtedy więcej ludzi by wiedziało.

– No tak.

Milczeli. Twierdza zapadła w majestatyczny sen, niecała, bo co jakiś czas lekki wietrzyk przynosił nieśmiałe dźwięki muzyki i ostatnie wzloty gremialnego śmiechu, ale potęga budowli tłumiała samym swym ogromem zbyt śmiało dźwięki. Nigdy nie powiedziałbym, pomyślał Cadron, że to miejsce tętni życiem. Ale w końcu, kontynuował filozoficznie, nie po to ją budowano. Nabrał pełne płuca powietrza, napiął przeponę sprawdzając gdzie i jak boli.

– Boli cię gdzieś? – szepnął w ciemność.

Odpowiedziało mi milczenie, ale Cadron zrozumiał, że przyjaciel patrzy na niego przez ciemność z wyrzutem. Potem syknął: – Zgaduj do trzech razy! – i po chwili: – Śpij, bo jutro... – Ziewnął potężnie i nie dokończył.

Pod kocami było wystarczająco ciepło, cisza trwała niemal niezmacona, niepłoszony sen nadleciał i pośpiesznie przykrył oczy mięciutkimi łapkami. Cadron zasnął zanim zdołał wydusić z siebie pytanie co będzie jutro. Ale kołatało się ono jeszcze po jego głowie, gdy nagle ktoś położył mu dłoń na ustach i przycisnął. Szarpnął się przytomniejąc i usłyszał przeciągły miękki cichy syk.

– Śśśś... – Hondelyk pochylił się i tchnął mu do ucha: – Ktoś jest pod drzwiami.

Do ich uszu dobiegło ciche rytmiczne poskrobywanie. Cadron wyobraził sobie stojącą do drzwi tyłem postać, nerwowo rozglądającą się po otoczeniu, a wskazujący palec lewej ręki nerwowo skrobie drewno drzwi. Poderwał się z siennika i dwoma cichymi skokami dopadł drzwi, uzbrojony w sztylet i przewagę zaskoczenia podniósł zasuwę i szarpnął drzwi. Zamierzał energicznie wciągnąć gościa do komory, ale przybysz sam tak gwałtownie wcisnął się w powstającą szparę, że omal nie przewrócił Cadrona i nadział się na jego broń.

– To ja, Kolster! – zasyczał, wyszarpnął się z objęć Cadrona zamknął drzwi. – Uff! Już myślałem...

– Co tam masz?

– Przebranie. Pojedynczo stąd was wyprowadzę... Mroclave jest wściekły, to pierwsza ucieczka z jego więzienia, ciągle nie może uwierzyć, że jacyś obcy przedarli się przez całą fortecę i uciekli

szczęśliwie. Powtarza, żeby szukać, bo gdzieś się zaszyli. – Kolster zrobił krok w kierunku siennika ciągnąc za sobą Cadrona.. – Kto pierwszy?

– Nie mogliśmy razem? – Cadron usiłował dotykami rozłożyć na sztuki przebranie, owiał go mocny duszący zapach pachnideł. – Co to jest?

– Suknia, wachlarz i baret jednej z dam, wypożyczyłem bez jej wiedzy, ale to jedyna, która jest...

– Suknia?! -jednocześnie krzyknęli szeptem Cadron i Hondelyk.

– ... na tyle wysoka, żebyście... A co miałem przynieść? Pancierz czy kataną Mroclave'a?

– Ale...

W ciemnościach rozległo się zgrzytnięcie zębami.

– No to ty pierwszy – usłyszeli w ciemnościach głos Hondelyka.

– Kreście litościwy! Dlaczego ja?

– Boś nie powiedział, że ja pierwszy – odparowała ciemność głosem Hondelyka.

– Uoff... – wściekle sapanie Cadrona przez chwilę dominowało w komorze, potem pokrył je chichot Hondelyka, ale po wykonanej na oślep sójce chichot urwał się słabym czknięciem i tylko szelest zdejmowanej odzieży zakłócał ciszę. – Co dalej? – usłyszeli chwilę po tym jak umilkło sapanie i odgłosy rozbierania.

– Już, tylko... Żeś tu porozrzucał... – zakrzętnął się Kolster. – O, to suknia, od mojej strony jest przód...

– Da-awaj już, znajdę! – wyszarpięto mu suknię z rąk. Po dłuższej chwili szamotania, posykiwania i cichych, ale ciężkich przekleństw usłyszeli: – Gdzie ten baret? – I po chwili: – Chusta! – Po komorze przeleciał wietrzyk, gdy Cadron zamaszystym ruchem zarzucił chustę na ramiona. – Już, możemy iść. Mam nadzieję, że nie przez jakieś jasno oświetlone korytarze? Acha, i bierzemy moje odzienie.

– Nie bardzo mam jak... – zaczął Kolster, ale Cadron nie zamierzał wysłuchiwać argumentów.

– Bierz! – miękki tłumok uderzył w pierś Kolstera, chwycił go i wcisnął sobie pod pachę. – Jak będę czekał na was – goły?! – Kolster poczuł, że coś go trąca w ramię a potem palce Ca.a mocno chwyciły za rękaw. – No? Idziemy! Zamknij drzwi – do Hondelyka.

Pierwszy na korytarz wysunął się Kolster, ułożył usta w ciup, jakby chciał pogwizdać sobie, niedbałym spojrzeniem spenetrował oba końce korytarza, krótkim ruchem głowy wywołał Cadrona i szybko poprawił dwie fałdy na sukni i baret. Wsunął rękę pod łokieć i pociągnął wysoką kobiecą postać po korytarzu. Korzystając z nieobecności świadków gnali tworząc dziwną a co najmniej zastanawiającą parę – młody wystrojony chłopak z nerwowym rumieńcem na twarzy i wysoka kobieta w niedopasowanej sukni, ciężkich butach widocznych przy szybkich krokach, poruszająca się kanciasto, wymachująca wolną prawą ręką, z kilkoma kosmykami włosów wypadającymi spod bareta. Na dodatek każdy kto zobaczyłby tę parę zrozumiałby, że to ona wlecze niemal po ceglanej podłodze urodziwego towarzysza. Na jednym z połączeń korytarzy natknęli się na parę strażników niemrawo maszerujących po odnodze kruchty, przemknęli obok nich, ale dogonił ich tłusty rechot i "Ale sobie chłopak znalazł ciuciurupę!" jednego z żołdaków.

– Tylko coś powiedz a wrócę i pozabijam ich! – syknął Cadrona kątem oka widząc układające się do Uśmiechu usta Kolstera.

Nie odzywając się do siebie pokonali schody, skręcili korytarzem w prawo, podbiegli po jeszcze jednych schodach. Zaczęła się ta część twierdzy, w której więcej kręciło się ludzi, na razie widzieli ich tylko przelotnie na krzyżówkach korytarzy, czasem słyszeli za drzwiami, ale sprzyjające im szczęście musiało się kiedyś skończyć. Cadrona czuł, że jeszcze kilka kroków, jeszcze jeden

zakręt i natkną się na dociekliwszy patrol, albo urwie mu się poła sukni, albo jeszcze coś, dlatego niemal nie uwierzył własnemu szczęściu, gdy Kolster szarpnął go w bok i po przejściu kilku kroków wyjętym z kieszeni kluczem błyskawicznie otworzył drzwi i wepchnął do pomieszczenia Cadrona. Sam wskoczył śladem, zatrzasnął drzwi niemal jednocześnie gładkim ruchem przekręcając klucz w zamku i oparł się plecami o ścianę, nawet w bladym roztańczonym po wejściu ludzi do izby świetle jedyne malutkiego kaganka widać było świeży perlisty pot na jego czole. W komorze potężnie śmierdziało dziegciem i świeżą spalenizną. Było tu niewiele miejsca dla ludzi – od ściany do ściany i pod sufit jedna na drugiej wypełniały ją ciemne połyskujące tu i ówdzie rozlaną na klepki zawartością zacieki.

– Ch-uff!.. – odetchnął Kolster – Tu jest smoła na wypadek szturmu. Tam – wskazał ciemny kąt – macie linę. Po wyjściu z korytarza skierujecie się w prawo, jeden przekrok i wychodzicie na mury. W tej części niemal nie strzeżone, bo tu jest rzeka. No i to wszystko, spłyniecie do miasta, a tam już...

– Poradzimy sobie. Dzięki. – Cadron szybko zrzucił chustę, baret i suknię. – Daj mi moje łachy... Kolster podał mu niezgrabny rozchełstany tłumok, sam podszedł do kąta i przyciągnął zwój liny. – Jeśli tylko nie pomyliłem się powinna wystarczyć – powiedział taksując kłęb wzrokiem.

– Wystarczy – uspokoił go Cadron. – Tylko żebyśmy już na murze byli to... – prychnął przez nos i nagle zamarł w bezruchu. – Gdzie moje porty? – syknął.

Kolster odruchowo wyprostował się i popatrzył na drzwi, potem sprawdził dokoła siebie. Wzruszył ramionami.

– No niech cię... – powiedział z niepokojem Cadron kolejny raz rozglądając się po niewielkiej przestrzeni komory. W jego głosie brzmiała wyraźna trwoga przemieszana z gasnącą nadzieją: – Przecież muszą tu gdzieś być...Gdzie... – Trzasnął pięścią w kolano. – A żeby to stary cap wydudkał, żebyż to grom rozpirzył na skrawki i rossss... – Zasapał wściekle, popatrzył na siebie stojącego nad ciśniętą na podłogę suknią, w koszuli do połowy ud i wysokich butach. Pochylił się i zgarnął szerokim gestem kobiece przebranie, cisnął w Kolstera. – Pędź a patrz pod nogi, może gdzieś moje portki leżą. – Okręcił się wokół własnej osi z pięściami przyciśniętymi do piersi. – Nie mogę! – jęknął. – Nigdy w życiu... – popatrzył na stojącego w bezruchu Kolstera. – Na co czekasz? – syknął.

Kolster wypadł przez drzwi, Cadron zamknął je na klucz i przykucnął przy ścianie beczek. W nieużywanej, nieogrzewanej komorze, na dodatek znajdujące się blisko murów zewnętrznych, albo nawet wręcz na ścianie studzonej powiewami wiatru było zimno. Naciągnął koszulę na kolana, objął golenie rękami, ale i tak po chwili wstrząsnął nim dreszcz, wstał więc i zaczął wymachiwać ramionami, co spowodowało, że niemrawy kaganek z wyschniętym knotem zamrugał na pożegnanie i zgasł. Cadronowi nie udało się do końca zdusić przekleństwa. Zrobił ostrożny krok, dotarł do muru bek, oparł się odeń plecami i dalej machał rękami. Po długiej chwili, kiedy pobite członki, żebra i stawy zaczęły domagać się litości poczuł, że nieco cieplejsza krew zaczyna krążyć po żyłach. Opuścił ręce, ale zajął się z kole przysiadami, wiele ich nie zrobił – kopnięte przez któregoś z żołdaków kolano gwałtownie zaprotestowało.

– Jak nie z nosa, to z rzyci – mruknął do siebie Cadrona – Mogliby już...

Po omacku przysunął się do drzwi, przyłożył do nich ucho i zamarł wstrzymując oddech. Na korytarzu panowała cisza, bliźniacza siostra tej z komory. Mógłbym zrobić zwiad, pomyślał rozłoszczony. Już byśmy wiedzieli co i jak, do licha! Do licha, do licha! Jak to się stało, że zgubiłem.. Nieważne, jakoś zgubiłem. Nawet nie ja, chyba że zostały w komorze z Hondelykiem?! Oj, tak musiało być – ja mu podawałem, on brał, ciemno było i trzask – zostały tam gdzieś.

Mdłe echo przyniosło skądś odgłos niedbale zatrzaśniętych drzwi, za plecami nasłuchującego Cadrona trzasnęło coś, znieru- chomiał, ale po chwili napiętego wsłuchiwania się musiał uznać, że

któraś z klepek wysychającej beczki skarży się na brak wilgo– ci. Tknięty pomysłem Cadron przekręcił klucz, ostrożnie uchylił drzwi i odczekawszy chwilę wyjrzał na korytarz. Jeśli będzie ktoś szedł, pomyślał, biorę go tu i zdzieram porty. Żeby mnie nawet miało kosztować prawą rękę. Zamknął drzwi, przekręcił klucz wsłuchując się w cichy zgrzyt rygli, przekręcił z powrotem, zostawiając niedokręcony klucz tylko o ułamek obrotu, żeby jak najszybciej i najciszej, najzręczniejsz dopaść ofiary.

Już musiał dojść do komory, pomyślał. Przebierają się... Nawet jeśli Hondelykowi trudno jest podnieść rękę to za chwilę powinni wyjść, potem te korytarze... Schody, dwa dziedzińce, jeszcze jedno schody. Kawałek korytarza. No to liczymy... Wyszli...

Zaczął liczyć swoje uderzenia serca, przymierzając je do kroków obolałego Hondelyka. Po długiej chwili w myślach doszedł do zajmowanej aktualnie komory. Cisza. Dołożył kilkadziesiąt uderzeń serca, nic. Przekręcił do końca klucz, wyjrzał na korytarz i zrobił kilka kroków w kierunku, z którego miał nadejść Kolster Z Hondelykiem. Wytrzymał w niepewności, półgoły dłuższą chwilę, potem wrócił do izby i zamknął drzwi jak poprzednio – gotowe w każdej chwili do natychmiastowego otwarcia. Zorientował się, że na dolnej wardze nie ma już miejsca, z którego mógłby wyskubać kawałek skórki, każde poruszenie ustami piekło i smakowało słono. Najcichszym z szeptów wyrzucił z siebie ciąg długich serdecznych przekleństw, których głównym obiektem był sam, potem równie cicho wezwał na pomoc Kreista i wszystkie poznane w awanturnicznym życiorysie bóstwa.

Cisza.

Coś się musiało-musiało, musiało-musiało-musiało stać! Co? Złapali! Może tylko schowali się czasowo gdzie indziej, by przeczekać patrol, przeczekać zakrojone na szerszą skalę, dokładniejsze poszukiwania?! Nic innego, nic gorszego. Na pewno nic gorszego, na pewno!

W końcu stracił rachubę czasu, kiedy oderwał się na chwilę od rozważania wszystkich możliwych czyhających na parę spiskowców niebezpieczeństw i zastanowił nad upływem czasu okazało się, że zupełnie nie jest w stanie określić, jaki czas upłynął od odejścia Kolstera. Przypomniał sobie przechwałki Zagera i w tej samej chwili czyjaś stopa szurnęła o podłogę korytarza. Zamarł ze sztyletem w jednym ręku i palcami gorączkowo wymacującymi klucz. Z drugiej strony drzwi ktoś zadrapał je palcem, powtórzył sygnał. Cadron gładkim ruchem dokończył obrotu klucza i szarpnął drzwi. Na korytarzu stał Kolster i nie śpieszył się wejść do komórki. Cadron odczekał chwilę, a czując, że za chwilę wybuchnie wrzaskiem zacisnął zęby i wciągnął chłopaka do komórki.

– Daj ogień – wychrypiał.

– Po c-co ci og... og-gień? – wyjąkał Kolster w ciemnościach.

– Krzesz ognia – zażądał Cadron czując, że jedynie ta nie– potrzebna nikomu w gruncie rzeczy sprzeczka o ogień trzyma go na powierzchni normalności.

– Z-zaraz... Już. – Kolster zaczął szamotać się z ubraniem, coś trzasnęło.

Cadron przeczekał dwa mocne niepotrzebne spazmy serca, wy– ciągnął rękę i odnalazł po omacku pierś młodzieńca. Zgarnął w pięść fałdy kamzołu i koszuli.

– Nie trzeba... Nie trzeba ognia. Mów! Tylko szybko i wszystko! No?!

– Nie wiem wszy-wszystkiego. Po drodze zatrzymał mnie pat-patrol i wypatywał co widziałem, c-co tu robię, gdzie są moim zdaniem najlepsze miejsca do ukrycia-cia się... I jeszcze na koniec, kied-dy już odchodziłem zap-py-pytali czy nie widziałem klauchetra, jakiegoś Diliwala... T-to wszystko trwało chwilę i jak doszedłem do tej ko-omory...

Zamilkł spazmatycznie wciągnawszy powietrze. Cadron usłyszał już najgorsze, ale gorączkowo odrzucał od siebie tę myśl, szukał sposobu, by zmusić Kolstera do powiedzenia czegoś innego, na przykład: "Wchodzę, a tu Dwaj żołdacy trzymają Hondelyka a trzeci kopie go w brzuch" albo: "Wywlekają go właśnie z komory i ciągną na dół, więc śledziłem ich aż dowiedziałem się...". Nie zamierzał ponaglać chłopaka obawiając się, że natręctwo może los uznać za zuchwałość.

I ukarać kilkoma słowami.

Jednym.

– Kie-kie-kiedy doszedłem do komory... Cadron usłyszał, że krzyczy "Nic nie mów! Nie mów, bo jeśli wypowiesz te słowa, to nic już ich nie odwróci, nie zgładzi ich śmiertelnie ostrych krawędzi! Milcz więc, poczekajmy, może wszystko się odwróci!".

– ... to tam nikogo nie było...

No i dobrze, świetnie! – krzyczał ktoś w głowie Cadrona. – Trudno – złapali go, ale ja jestem na wolności i mogę coś przedsięwziąć. Mam pieniądze w gospodzie, przekupię, przemycę...

– ...ale kiedy zacząłem wracać tu-t-taj, to strażnicy zaczęli krzyczeć, że znaleźli więźnia, tam pod oknem do kom-mom-mo... – zająknął się szczególnie mocno i zamilkł.

– Złapali... – wyszeptał Cadron.

– Nie! – prawie krzyknął Kolster. – Pod oknem... – wyrzucił z siebie głośno, jakby nikogo się nie bali, jakby się nie ukrywali w ciemnej wypełnionej beczkami ze smołą komorze. – Pod oknem leżało ciało twego przyjaciela!

– Nie.

– J-ja...

– Nie!

Zwalila się ma komorę cisza ciężka, gniotąca, śmierzcząca smołą i spalenizną, dusząca gniewem i poczuciem straty. Cadron znalazł po omacku ścianę, oparł się o nią plecami, zgiął kolana, zjechał szorując plecami aż usiadł na podłodze.

– Mam twoje spodnie – powiedziała ciemność głosem Kolstera.

– To nie mógł być on – odpowiedział Cadron.

– Znalazłem twoje spodnie – powtórzył chłopak. I dodał innym tonem: – To był on. Sam chciałem widzieć w tym ciele kogoś innego, ale...

– Zaraz! – Cadron poderwał się na równe nogi. – Jak powie– działaś?

– No, że...

– Miałeś, znaczy wątpliwości!?

– Najpierw tak – ciało jest zmasakrowane, znaczy się – głowa. Tam jest wysoko, niewiele... – Odetchnął głęboko jak przed skokiem do wody. – Niewiele zostało z twarzy, ale! – podniósł głos przewidując protest Cadrona. – wystarczy – włosy, na przykład. Ubranie, sztylet... Acha i to... – Coś dotknęło piersi Cadrona, chwycił dłoń młodzieńca i wyszarpnął z garści coś ciepłego ciepłym ludzkiego ciała, ciężkiego, małego, okrągłego... – To pierścień twojego druha, granatowe tło i skrzyżowane sztylety czy coś takiego.

Palce Cadrona odruchowo otoczyły sygnet Hondelyka., zacisnęły się w chwilową skamielinę z ludzkiego mięsa i kości, jednakże ani pierścień nie stopił się w jedno z ciałem, ani ciało nie przeniknęło srebra i kamienia. Może gdyby łyzy kapały nie na podłogę, ale właśnie na pierścień?..

– Nie wiem... – Kolster przełknął ślinę, odkaszlnął. – ...co powiedzieć. Nie straciłem jeszcze nikogo bliskiego, ale jestem pewien...

Cadron zgrzytnął zębami, przetarł oczy rękawem. Sygnet przymierzył na czwarty palec, trzeci,

lepiej siedział na trze– cim, więcC tam go zostawił.

– Masz gdzieś te portki? – zapytał starając zapanować na głosem.

– Tu...

Chwycił podane w ciemnościach spodnie, po omacku odnalazł pas i zzuwszy buty naciągnął spodnie. Wsadził koszulę za pas, ostrożnie wcisnął tam sztylet.

– Krzesz jednak tego ognia – polecił. – Muszę sprawdzić linę.

Była porządnie fachowo zbuchtowana, na oko miała cały przekrok albo niewiele mniej. Zarzucił ją sobie na ramię i podszedł do stojącego nieruchomo Kolstera, chłopak miał na twarzy wypisaną mękę i wahanie.

– Dziękujemy ci za pomoc – powiedział Cadron. – Nie ma gorszej śmierci niż z ręki niedbałego, znudzonego kata. Bo to szlachtunek, a człowiekowi jest pisana śmierć. Chyba że żył na bydłącą modłę. Więc z całego serca dziękujemy – chwycił dłoń młodzieńca i mocno ścisnął. – Gdy już wszystko się ułoży prześlę ci wiadomość, ale najpewniej będzie to strzała w brzuchu Mroclave'a. Bywaj – ruszył do drzwi. – Od tej pory – ja idę w prawo, ty w lewo i cokolwiek by się nie zdarzyło nie znasz mnie.

Nonszalancko otworzył drzwi nie sprawdzając czy jest ktoś na korytarzu, nawet pragnął tego, a komuś ze straży fortecnej dopisało szczęście, bo sztylet Cadrona nie dałby w mroku tej feralnej nocy nikomu szans. Nikt jednak na swoje własne szczęście nie zachodził mu drogi. Wyszedł z budynku i międzymurzem pomaszerował aż znalazł wygodną platformę przy murze zewnętrznym. Nie kryjąc się wdrapał na nią, zaczepił linę i nie sprawdzając niczego ani mocowania, ani dokąd sięga, zdając się zupełnie na los przewalił przez mur i zaczął zsuwać po linie. Po chwili mu– siał zatrzymać się, czując jak niemal skwierczy skóra na dłoniach, skorzystał z niewielkiego występu, by owinać się liną przez plecy i krocze, dopiero teraz zjazd stał się wygodny. Lina doprowadziła go do łagodnie szemrzącej powierzchni wody. Bez namysłu puścił linę i popłynął w wartkim nurcie wzdłuż posępnych kamiennych skarp i murów. Przeplłynął około pół stagga, rzeka odsunęła się od fortecy jakby zniechęcona nieustannym nieskutecznym atakiem na jej mury, nurt zwolnił, rzeka rozlała się, stała się płytsza, ale ciągle biegła po równinie nie dając schronienia pływakowi. W końcu Cadron widząc, że jeszcze trochę i w ogóle zostawi miasto za sobą wyszedł na brzeg i zajął wyzymaniem odzieży. Potem wytrzepał wodę z butów i w końcu szczękając zębami włożył na siebie niewiele suchsze ubranie i pomaszerował do miasta.

Miał przed sobą dwa cele – pierwszy bliższy: odzyskać złożone w gospodzie rzeczy, konie, uprząż; dalszy – zabić Mroclave'a. Najlepiej tak, żeby męczył się długo, żeby wiedział, że umiera...

– Najlepiej by utopić go w g–gównie! – mruknął usiłując za– grzać się rozmową z samym sobą. – Byle za szybko nie utonął.

Wszedł pomiędzy pierwsze domostwa, w niektórych jeszcze dogasały zabawy sąsiedzkie i rodzinne, w innych zatroskane matki i żony już wieszały wymoczone i wyprane koszule poplamione winem i tłustymi sosami. Cadron przypominający ofiarę ciężkiej bitwy stoczonej z kilkoma antałkami nie interesował nawet skacowanych złodziei i szumowin. Dotarł względnie szybko do bogatszej dzielnicy, przypomniał sobie drogę i zaryglowawszy w głuchym zakątku umysłu wspomnienia, pomaszerował w stronę gospody. Doszedłszy do ulicy, przy której stała ominął ją i dopiero przy następnej skręcił, potem jeszcze raz, przeskoczył niski płotek, uraczywszy soczystym kopniakiem uciszył nadgorliwego i nieznającego się na humorach ludzkich psa, przeskoczył jeszcze jeden mur i znalazł się na tyłach gospody. Dopiero teraz zaczął uważać na swoje kroki, przemknął jak duch pod ścianą, wsłuchiwał w stajenne odgłosy, odetchnął z ulgą słysząc znajome parsknięcie Poka. Szybkim

złodziejskim spojrzeniem obrzucił całe podwórze i wślizgnął się do stajni. Nie licząc koni – przeszukał ją starannie – była pusta. Szereg sakw był ułożony jak go zostawili. Cadron rzucił się do swojej i wydarł z niej świeże suche ubranie, szcękając zębami wygrzebał z drugiej wyklepaną z cienkiej srebrnej blachy oplecioną mięsistymi skórzanymi rzemykami płaską flaszę z pieprzową gorzałką, na takie właśnie okazje wiezioną i łyknął soczyscie. Zaczął zrzucać wilgotne ziębiące rzeczy i przygadując do siebie naciągać suche.

– Kochane miasteczko – nawet nie ruszyli bagaży! Zajęci zabawą na błoniach, kurwiesyny! Dam ja wam, brandzlmistrze – pociągnął z flaszy – zabawę. Posracie się ze śmichu, bydło. – Pociągnął nosem i szybko wytarł oczy. – Gady... – Nie dbając o za– chowanie ciszy cisnął zdjętym mokrym butem w wał słomy pod jedną ze ścian stajni, dołożył drugi but. Wymasował zziębnięte stopy, naciągnął na nie grube gryftowe scharpety, nieodpowiednie na tę porę roku, ale odpowiadające wyziębionemu ciału, włożył suche stare buty, których nie wiadomo dlaczego nie wyrzucił kilka dni temu, zakupiwszy nowe, wygodne, dobre. łyknął jeszcze raz i zdecydowanie zakorkował flaszę. Zadał obroku koniom, napoił i dok– ładnie wyczyścił Hondelykowego Gabera i Poka. Sprawdził kopyta, skropił je i wypędzłował olejem z karbonnika, rozczesał grzywy i ogony i w końcu usiadł obok sakw.

– Chodzi o to – powiedział do Poka – że jak nas było dwóch to decyzje zapadały same i zawsze dobre. teraz jestem sam i nie wiem – czekać na zmierzch – a może przyjdą? Wyjeżdżać teraz – może mnie szukają? Zostać tutaj – może gospodarz doniesie. Iść go przekupić – naśle zbirów.

Siedział chwilę bez ruchu, aż poczuł, że zmęczenie, ból ciała i ducha, znajomy i szanowany zapach siana i koni do spółki z podstępny smem skleją mu powieki. Potrząsnął głową.

– Zaraz zasnę... Może to właśnie trza zrobić? Łu-u-e-ech!.. – stęknął i jeszcze raz sięgnął do sakw. Grzebał chwilę po omacku aż wyszarpnął rękę z kawałem cienkiej suchej czarnej kiełbasy w garści. Wsadził koniec do ust i chwilę mocował się aż z głośnym chrzęstem ułamał kawałek i zaczął go pracowicie gryźć i miażdżyć zębami. Podlał też pieprzówką. – A ja tes dobry jestem – powiedział do siebie z pełnymi ustami. Odłożył flaszę, prze– szedł się do legowiska, spod słomy wyjął swój rapier, przypasał, dołożył sztylet i na końcu wyrzutował do strzału kupiony kiedyś przez Hondelyka od Malepis arbalet. Z kołczanem bełtów zasiadł z powrotem do posiłku nieco tylko zmieniając miejsce – teraz miał na oku drzwi i dwoje z trzech okien, nie było takiego miejsca, skąd mógłby kontrolować wszystkie trzy. Wolniej, nieco nasycony a przede wszystkim zmęczony żuciem kamienistej kiełbasy rozwalił się wygodniej, jeszcze poprawił się, zapadł w siano. Przełknął z wysiłkiem kęs i niechętnie popatrzył na resztę. – Później... – i tknięty nagłą myślą dodał: – Zawsze już tak będę do siebie mówił?

Pogrążył się w rozmyślaniach, przede wszystkim przypominając sobie wszystko, co wydarzyło się od poprzedniego dnia, ranka, rozważał wszystkie możliwości i ciągle wychodziło mu, że gdyby nie poszli na błonie, gdyby on nie zechciał wystartować w konkursie kuszników, gdyby Hondelyk nie zareagował na fałszerstwo Mroclave'a... W końcu mogli pójść na inne zawody, choćby okłada– nie się gminu poduchami ze strąkowiną bobową, mógł nie startować z powodu zmęczenia i mogli nie zważać na jawne oszustwo, bo i tak przecież zawsze magnat swoich ziomków i totumfackich popierali. Podniósł do ust flaszę, ale nie wypił ani łyka. Pijany być nie mogę, pomyślał. Odłożył piersiownik, podszedł do drzwi, założył widły w uszy skobla, którego od lat tu nie było i dowlókl się do sterty słomy. Zmęczenie zważyło się nań ciężarem młyńskiego koła.

– Pilnujcie teraz wy – mruknął do Poka i Gabera i chwilę później zasnął.

Obudziło go dżgnięcie w brzuch, zanim otworzył oczy sięgnął do pasa, ale broni tam nie było. Otworzył oczy. O dwa kroki od niego, poza zasięgiem nóg stał klauchetr, czubek rapiera wolno

przesuwał się jak wąż szukający lepszego miejsca do ukąszenia, pewny, że zdobycz mu się nie wymknie. W milczeniu wpatrywali się w siebie długą chwilę. Klauchetr rzekł:

– Szukam cię od świtu. Cała załoga twierdzy cię szuka, ale to mnie się udało – zakończył triumfalnie.

Cadron milczał.

– Nie pytasz jak tego dokonałem? – Cadron milczał. – Nie ciekawi cię, co teraz zrobimy?

Cadron milczał.

– A może...

– Słyszałem o tobie – wychrypiał nagle Cadron – ty jesteś Diliwal, prawda? – Zapytany nie odpowiedział, zmrużył oczy jakby zastanawiał się o co Cadronowi chodzi. – Może puścisz mnie wolno jeśli opłacę się?

– Ta-ak? A czymże to?

– A tym... – Zdjął z czwartego palca sygnet Hondelyka i ostrożnie cisnął w rękę oficera.

Tamten złapał i dokładnie obejrzał zdobycz.

– Hm? A nie jest to twojego przyjaciela?

– Jest, ale nie jest on już moim przyjacielem.

– Pewnie, zimny jak nogi staruchy w grudniową noc. Tylko wyznawcy Gerontego mogą go pokochać. – Oficer włożył pierścień na palec i obejrzał dokładnie pod światło. – No, nieźle muszę przyznać. – Opuścił nieco rapier i popatrzył na Cadrona pytająco. – Coś jeszcze?

– Jeszcze to mi możesz rzyć wylizać! – charknął Cadron – Pół nocy się zamartwiam, a ty się w klauchetra bawisz?

Diliwal odsunął się, przyklęknął na jedno kolano i sięgnął do piersiownika.

– Bawisz – rzucił z goryczą. – Włamał się jeden do tej mojej komory, to co miałem robić?

Ledwo zdążyłem nas przebrać jak zjawiała się reszta patrolu, wyrzuciłem ciało przez okno, na szczęście nikt nie pomyślał, że przez tę szparę nie da się nikogo żywego ani przytomnego wyrzucić.

– Ja pomyślałem, właśnie przed chwilą. Daj – wyciągnął rękę, odczekał aż Diliwal pociągnął głęboko i śpiesząc się pociągnął długo sam. – Ale przede wszystkim, jak już się obudziłem, jak już postanowiłem, że za chwilę zabiję cię przy pomocy koni – Hondelyk pokręcił głową – Tak, wrzasnę na nie, zaczną się miotać i tak dalej, ale właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że Gaber wcale się nie niepokoi, że żaden z nich nie parsknął nawet gdy wchodziłeś i wszystko zrozumiałem.

Hondelyk wyciągnął dłoń i przejął flaszkę, łyknął.

– Musimy się zbierać...

– Musimy. Połóż się i zdrzemnij, ja już się odespałem prawie. Przygotuję konie i wyjeżdżamy, zatrzymamy się na uczciwy popas w jakiejś najbliższej wsi. Odbijemy sobie i uczymy twoje zmartwychwstanie. – Coś przyszło mu do głowy. – Chyba że decydujemy się zostać tu i zemścić?

– Nie, taka zemsta, to przegrana. Siebie nie zadowolę, bo od jego bólu mojego nie ubędzie, a zabijanie jako kara jest mi obrzydliwe.

– No to wyjeżdżamy! Zdrzemnij się.

– Dobrze – Hondelyk nie sprzeciwił się planom przyjaciela. Odłożył rapier, zwałił na bok i przeciągle westchnął. Popatrzył na pierścień, zerknął na Cadrona gapiącego się na druha z uwielbieniem. – Tym razem blisko było, co?

– Przestań – warknął Cadron przełykając jakąś grudę rosnącą w gardle. – Ty byś po prostu nie żył, a ja co? Pomyślałeś o tym?

– Pomyślałem. Właśnie o tym przede wszystkim myślałem. I o tym, że gdyby kiedyś coś takiego wyszło, to wolałbym znowu być tym, co... No wiesz?..

– Akurat, wolałbyś – usiłował ironicznie prychnąć Cadron. – Akurat – powtórzył. – Ja bym odwrotnie.

Ale wiedział, że to nie on w tej chwili mówi prawdę.

I wiedział, że Hondelyk też o tym wie.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Śmierząca robota.	3
Wydrwiząb.	17
Fiollun cnotliwe, nieszczęśliwe...	34
Królewska rozszada.	47
Przerwany popas.	120
Sen o wolności, sen o śmierci...	133